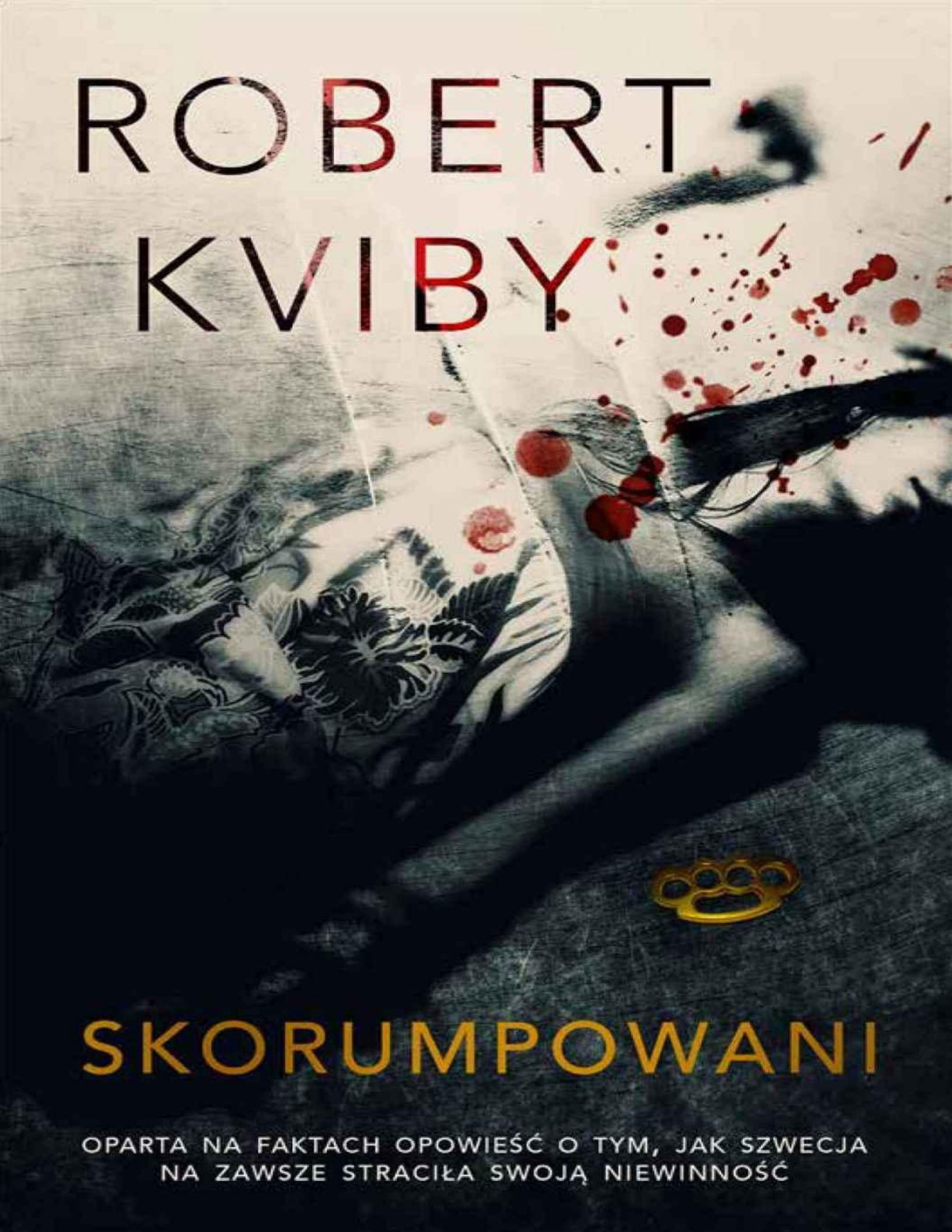


ROBERT KVIBY



SKORUMPOWANI

OPARTA NA FAKTACH OPowieść o tym, jak Szwecja
na zawsze straciła swoją niewinność

O książce

Jeśli śledztwa w sprawie serii brutalnych zabójstw zostają zamknięte, a sprawca lub sprawcy wciąż przebywają na wolności, to znaczy, że policja się nie stara. Albo się stara... zrobić wszystko, by zatuszować sprawę. I nie musi się tłumaczyć przed opinią publiczną. Bo kogo obchodzi śmierć kilku prostytutek? Tylko Annie Lander, sztokholmska dziennikarka, wbrew decyzji przełożonych prowadzi własne śledztwo.

Annie Lander przygotowuje cykl artykułów o serii morderstw popełnionych na prostytutkach. Śledztwo zostało umorzone, ale ambitna dziennikarka, przeświadczona, że policja zadała sobie zbyt mało trudu — albo wręcz próbowała mataczyć — prowadzi własne dochodzenie. Zaczyna od rozmów z prostytutkami, których nie przesłuchano. Korzystając z ich wskazówek, dociera do ekskluzywnego klubu. Jego członkowie to najbardziej szanowni i wpływowi Szwedzi, wyłącznie mężczyźni.

W chwili gdy Annie Lander jest już blisko znalezienia odpowiedzi, a przy okazji odkrycia prawdy o własnym pochodzeniu, przełożeni zabraniają jej zajmować się sprawą zamordowanych kobiet.

Zignorowanie ich decyzji może nie tylko złamać karierę Annie, ale i narazić ją na śmiertelne niebezpieczeństwo.

ROBERT KVIBY SKORUMPOWANI

Ze szwedzkiego przełożył
Wojciech Łygaś



Wydawnictwo
A. Kuryłowicz

Wydanie elektroniczne

ROBERT KVIBY

Szwedzki pisarz, z wykształcenia prawnik. Przez dziewięć lat pracował w rozgłośni radiowej MTG. Do napisania **Skorumpowanych**, nad którymi pracował ponad dwa lata, zainspirowały go autentyczne wydarzenia — seria mordów na sztokholmskich prostytutkach — a pierwowzorem Annie Lander była jego przyjaciółka, dziennikarka.

Tytuł oryginału:

DE KORRUPTA

Copyright © Robert Kviby 2012

All rights reserved

Published by agreement with Norstedts Agency

First published by Telegram Bokförlag, Sweden, in 2012

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2014

Polish translation copyright © Wojciech Łygaś 2014

Redakcja: Marta Bogacka

Zdjęcie na okładce: Jose AS Reyes/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: © Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-7985-065-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Przygotowanie wydania elektronicznego: [88em](#)

Spis treści

[O książce](#)

[Strona tytułowa](#)

[O autorze](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Motto](#)

*

–

[CZĘŚĆ PIERWSZA](#)

[Mężczyźni i kobiety](#)

[Tradycja i ambicja](#)

[CZĘŚĆ DRUGA](#)

[Nazwy i miejsca](#)

[Nowe kłamstwo i stara prawda](#)

[CZĘŚĆ TRZECIA](#)

[Nadchodzą wielkie czasy](#)

[Pełnia księżycyca i samotność](#)

[Przyjaciele i doradcy](#)

[Lojalność i ambicja](#)

[Usługi i ślady](#)

[Echa dawnych wydarzeń](#)

[CZĘŚĆ CZWARTA](#)

[Październik 1959 roku](#)

Krew i tajemnice

Myśliwy i jego zdobycz

CZĘŚĆ PIĄTA

Zakończenie

Co pozostało

Epilog

Zarówno autor *Notatek*, jak i *Notatki* to, ma się rozumieć, fikcje. Niemniej takie postacie, jak autor takich notatek, nie tylko mogą, ale nawet powinny istnieć w naszym społeczeństwie, jeśli weźmiemy pod uwagę okoliczności, w jakich się społeczeństwo kształtowało.

Fiodor Dostojewski, *Notatki z podziemia*
(przeł. Gabriel Karski, PIW, Warszawa 1964)

W Europie, Azji, Afryce czy na zachodniej półkuli nie ma już chyba takiego kraju, którego by nie zdobyli albo nie zniszczyli, jeśli tylko stanął im na drodze. Tym, co tak długo czyniło ich niewidzialnymi — i nadal czyni w wielu z tych miejsc — jest nie tyle ich spryt, ile raczej naiwność społeczeństw, które padły ich ofiarą.

Claire Sterling, *Octopus*

Gdyby wiedziała, miałaby więcej powodów do płaczu. Stała przy plamie krwi w miejscu, gdzie zastrzelono premiera. Plama nie zdążyła jeszcze zaschnąć, a ona powtarzała, szlochając głośno: „To nie może być prawda! Nie w Szwecji!”. Gdyby wiedziała... Na przykład o władzy, której nowe macki, jak u brudnoszarej ośmiornicy, poruszają się w takt bicia serca Szwecji, jej kraju, który właśnie ulega potwornej przemianie. O koneksjach ze światem przestępczym, dzięki którym nuworysze u władzy wspinają się na szczyty przy dyskretnym wsparciu szwedzkiej finansjery. O milczeniu policji, opłacanej po to, aby przymykała oczy na przestępstwa, które nieodwołalnie czyniłyby przestępcę persona non grata. O politycznych długach, które osiągnęły już tak znaczny rozmiar, że ich spłata zajmie dziesięciolecie. O pewnych wydarzeniach i wynikających z nich konsekwencjach, na razie trudnych do ogarnięcia, nawet dla tych, którzy brali w nich udział. O stróżach pewnej wersji historii, którzy z wielką gorliwością trzymają prawdę z dala od niej i innych dzielących jej smutek. Tak, jest wiele powodów, dla których mogłaby otworzyć szeroko oczy ze zdziwienia i wylać więcej łez. Słuchać. Patrzeć. Przyjąć je, jakby to była ostatnia kropla wody.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Piątek 13 stycznia — sobota 4 lutego 1989 roku

Mężczyźni i kobiety

— Widzę, że praca wre.

Annie Lander uniosła głowę. Redaktor naczelny, Jan Wikholm, był gotowy do wyjścia. Dochodziła siódma i w części redakcji należącej do dziennikarzy śledczych oprócz nich nie było już nikogo. Piątkowy wieczór. Annie się uśmiechnęła. Wikholm zgasił papierosa w przepełnionej popielniczce i pochylił się nad biurkiem.

— Wybieramy się z chłopakami na piwo na Vasagatan — powiedział z uśmiechem. — Może się z nami napijesz? Towarzystwo takiej ślicznotki na pewno zrobiłoby na nich wrażenie.

— Wierzę ci na słowo — odparła Annie, unosząc brwi. — Dzięki za komplement, ale jestem umówiona z Maxem, wybieramy się na kolację. I tak jestem już spóźniona.

— Do jego przyjaciół czy twoich?

— Jego.

— Są w porządku?

— Jak najbardziej.

Wikholm wyduł wargi.

— Więc co tu jeszcze robisz?

— Musiałam coś przeczytać — odparła Annie, wskazując stos

papierów na biurku. — Inaczej nie dawałoby mi to spokoju przez cały weekend.

— Dalej piszesz o tamtych dziewczynach?

— Powiedziałabym raczej, że o facetach.

Wikholm skinął głową i zapalił kolejnego papierosa. Głęboko się zaciągnął i wydmuchnął dym w bok.

— Twój facet nadal zarabia na życie, grając na gitarze?

— Mój mąż. Tak, a czemu pytasz?

— Słyszałem niedawno takie powiedzonko, właściwie dowcip. Wiesz, jaka jest różnica między pizzą a gitarzystą?

Annie pokręciła głową.

— Pizzą można nakarmić całą rodzinę — powiedział Wikholm, przekrzywiając głowę.

— Nie bądź wredny. Robi to, co kocha, i robi to fantastycznie. I za to go kocham. Jesteś po prostu zazdrosny.

— Pewnie masz rację — odparł Wikholm, wydmuchując chmurę dymu. — Prawda jest taka, że wszyscy jesteśmy zazdrośni. Staramy się to skrzętnie ukrywać, ale każdy facet w redakcji żyje nadzieją, że za niego wyjdiesz.

Annie odsunęła krzesło od biurka.

— Właśnie to próbujecie zawsze zrobić: zredukować kobietę do postaci madonny, która zjawi się nagle i wyciągnie was z waszego wymyślnego piekła. Jak jakaś Florence Nightingale.

Wikholm wsunął papierosa do ust, wzruszył ramionami i zaczął zapinać płaszcz.

— Nie zabijaj posłańca, Annie — powiedział.

— Mam dla ciebie wiadomość. Przekaż ją chłopakom, jak nadarzy się okazja.

— Czuję, że zaboli, ale dawaj. Za godzinę i tak będę pijany — odparł Wikholm i głośno się roześmiał.

— Wiadomość brzmi następująco: mam już męża, z którym zamierzam się zestarzeć. Poza tym nikt i nic was już nie uratuje, bo wszyscy jesteście beznadziejni.

Wikholm zastanawiał się przez chwilę nad jej słowami, a potem skinął głową.

— Wydaje mi się, że dwa lata temu żona powiedziała mi coś podobnego. — Ruszył w stronę drzwi. — Miłego wieczoru. Jesteś surowa, ale sprawiedliwa — dodał. Roześmiał się głośno i pomachał jej na pożegnanie.

— Nie wracaj zbyt późno do domu! — zawołała za nim Annie.

Uśmiechnęła się i pochyliła nad stosem papierów zalegających biurko. Jeszcze raz przeczytała informację od policji. Kolejna dziewczyna, którą znaleziono martwą. Marianne. Miała siedemnaście lat. Utrzymywała bliskie kontakty z pozostałymi dziewczynami i wiele je łączyło. Niestety, na razie jeszcze nie wie co. Dziś wieczorem też niczego nowego nie odkryje.

Spojrzała na zegarek. Była już spóźniona. Miała się spotkać z Maxem na Tennstopet, przy skrzyżowaniu Dalagatan i Odengatan. Przez chwilę rozważała, czy do niego nie zadzwonić i nie zaproponować, żeby spotkali się już u Patrika i Lisy, ale zrezygnowała i zaczęła się ubierać. Praca nie ucieknie. Max czeka na nią od godziny. To cztery piwa, pomyślała. Może pięć. Co ma powiedzieć? Przecież to ona się spóźnia.

• • •

Poznali się w kwietniu 1987 roku. Wylegiwali się na

trawnikach, pieścili się i nie zwracali uwagi na nadciągające czarne chmury. Spędzili ze sobą całe lato, dobrze się poznali, ale nie przestawali być sobą ślepo zauroczeni. Po roku zamieszkali razem i wzięli ślub. Rok później Annie zaszła w ciążę. Nie rozmawiali o tym. Po prostu się stało. Przyszło im to równie łatwo jak oddychanie.

Poznali się w klubie jazzowym, w którym Max występował. Poszła tam z kolegami z redakcji. Był to jeden z tych wieczorów, o których potem rozmawiali tyle, aż w końcu nabierały mitycznych rozmiarów, chociaż niczego takiego nie oczekiwali. Wszyscy byli ładnie ubrani, jedli pyszne małe i wypili mnóstwo piwa. No i muzyka: nie potrafili tego zrozumieć, ale działała jak narkotyk. Tylko ona i Max wiedzieli, że ten wieczór na zawsze odmieni ich życie. Inni cieszyli się tylko z przyjemnego pobytu w niewielkim lokalu. A oni zakochali się w sobie po uszy.

Wszystko to działo się długo po niewyjaśnionej sprawie morderstwa premiera Palmego. Tamtego wieczoru wszyscy się cieszyli, że mogą rozmawiać o czymś innym niż sytuacja w Szwecji, pić alkohol, śmiać się i żartować ze swoich szefów. Tylko oni dwoje wiedzieli. Patrzyli na siebie, a Max przez cały wieczór grał. Nie znał się na podrywaniu kobiet, ale zastosował kilka sztuczek. Następnego dnia Annie znowu przyszła do klubu, żeby go posłuchać. Tym razem sama. Po występie odprowadził ją do domu.

— Mam pewną tezę — powiedziała, gdy zatrzymali się przed wejściem do budynku. — Ludzie piszą, bo chcą przekazać coś, czego nie potrafią zachować tylko dla siebie. A muzycy grają, żeby zaciągnąć kogoś do łóżka.

— W takim razie oboje mamy dziś wieczorem swoją szansę — odparł Max. Głośno się roześmiała i już wtedy wiedzieli, że będą ze sobą. Potem Max nieraz myślał, że wykazał się wtedy odwagą. Od pierwszej chwili czuł się przy niej inaczej niż zwykle.

• • •

Patrik wzniósł powitalny toast i wszyscy zgodnie z tradycją wymienili spojrzenia. Max zatrzymał wzrok na Annie i od razu pożałował, że nie są sami. Na razie nie chcieli nikomu mówić, ale ze względu na ciążę Annie nie powinna pić alkoholu. Jeszcze kilka tygodni, i tajemnica się wyda. Był podenerwowany, ale szczęśliwy. Głównie dlatego, że kochał ją ponad wszystko, ale także dlatego, że to za jego sprawą zaszła w ciążę. Prymitywny zakamarek jego mózgu wołał: jesteś mężczyzną, który może się rozmnażać! Potencjalnie istnieją dwa miliardy kobiet, którym mógłby wyświadczyć tę samą przysługę. Skupił się na tym pierwszym powodzie i spojrzał Annie głęboko w oczy. O tym drugim zapomniał, gdy upił kolejny łyk wina.

Annie obserwowała go i zauważyła, że jest już pijany. Była na siebie zła, że wyszła z pracy później, niż zamierzała. Kiedy położyła mu dłoń na nodze, Max uniósł wzrok.

— Jesteś dziennikarką — zaczął Erik. — Co sądzisz o całej tej debacie o kobietach i mężczyznach?

Erik był ubrany w białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Na ręce miał ciężki zegarek, oczy przesłaniały mu ciemne okulary.

— Jaką debatę masz na myśli?

— Zdaje się, że w prasie toczy się debata na temat mężczyzn; prowadzicie ją wy, dziennikarze. Coś o wolności i takie tam. —

Erik się uśmiechnął.

— Szczerze mówiąc, nie wiem, co masz na myśli — odparła Annie. Zdjęła rękę z nogi Maxa i oparła łokcie o stół. — Może mi podpowiesz?

Zamiast Erika odpowiedział jej Patrik.

— Chodzi o tę panikę moralną, robienie z mężczyzn potworów. Zaczęło się po morderstwach popełnionych na kobietach. Pewnie, że to straszne, ale nie znaczy od razu, że wszyscy mężczyźni są potworami.

— No właśnie — przytaknął Erik, zanim Annie zdążyła odpowiedzieć. — Czytałem niedawno o akcji społecznej przeciwko pornografii. O co im chodzi? Że jak oglądasz pornosy, to zaraz zwariujesz i zaczniesz mordować kobiety?

Roześmiał się i czekając na odpowiedź Annie, wypił łyk wina. Jego przyjaciółka, Anneli, poczerwieniała.

Annie spojrzała na Maxa, a on na nią. W myślach zachęcał ją: rozerwij go na strzępy. Miał nadzieję, że żona wyczyta to w jego oczach.

— Nie sądzę, ale co nam szkodzi podyskutować o pornografii? Można się o nią spierać jak o każdą inną sprawę. Czy to dobre? Czy może wpłynąć na nasz sposób postrzegania płci przeciwnej? Nie należę do tych, którzy uważają, że o pewnych sprawach się nie dyskutuje. A ty?

Erik spuścił wzrok i zaczął grzebać w jedzeniu na talerzu.

— Też nie — odparł, unosząc spojrzenie.

Max uśmiechnął się pod nosem. Annie była jego idolką.

— Powiem ci, co mnie niepokoi: właśnie te sprawy, których się nie porusza we wspomnianej debacie — kontynuowała

Annie.

— Na przykład?

— Myślę na przykład o propozycji nowej ustawy z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku dotyczącej przestępstw na tle seksualnym. Komisja liczyła dziewięciu członków, ale była wśród nich tylko jedna kobieta. Wszyscy mężczyźni mieli ponad sześćdziesiąt lat. Zaproponowali, żeby obniżyć dolną granicę wieku, od którego dopuszcza się czynności seksualne z nieletnimi, z piętnastu do czternastu lat. Chcieli usunąć z Kodeksu karnego stręczycielstwo i kazirodztwo, a pojęcie gwałtu zarezerwować tylko dla tych przypadków, w których sprawca wykazał się szczególnym okrucieństwem albo bezwzględnością. Twierdzili, że należy zbadać relację ofiary z mężczyzną, a także odpowiedzieć na pytanie, czy zanim doszło do przestępstwa, kobieta pozwoliła mu na poufałości. To i wiele innych rzeczy pokazuje, w jakim społeczeństwie żyjemy. Takie społeczeństwo chcą stworzyć ludzie sprawujący władzę. I właśnie o tym chciałabym usłyszeć w debacie.

Erik oparł się o poręcz krzesła i skrzyżował ręce na piersi.

— Chcesz powiedzieć, że wszystkim nieszczęściom, do których dochodzi w Szwecji, winni są mężczyźni powyżej sześćdziesiątki?

— Nie, ale jeśli jesteś kobietą i nie zajmujesz w społeczeństwie wysokiej pozycji, to moim zdaniem jesteś zdana na ich łaskę. Twój los jest w ich rękach. Jeśli coś się zdarzy, będą się tylko przyglądać i żaden z nich nawet nie kiwnie palcem. Jestem zdania, że są gotowi wiele zrobić, żeby nic się nie zmieniło, nie wyszło na jaw ani nie zostało podane w wątpliwość. Jak to się dzieje, że każdego roku są mordowane kobiety, że ich zwłoki są

porzucane na ulicach takiego miasta jak Sztokholm i nigdy nie udaje się wykryć sprawcy? Może policja nie interesuje się każdym przestępstwem w równym stopniu? Jeśli zostaje zamordowana prostytutka, być może policja nie poświęca sprawie zbyt wiele uwagi? Niektórym ludziom może nawet na tym nie zależeć.

— To bardzo poważne oskarżenie — zaproponował Patrik.

— Co ty na to, Max? — spytał Erik.

— Na co?

— Dlaczego policji miałyby nie zależeć na wyjaśnieniu niektórych spraw — powiedziała Anneli, zanim Erik zdążył streścić Maxowi dyskusję. — Przecież to ich praca — dodała, zerkając na Maxa, który sprawiał wrażenie nieobecnego i był już chyba zbyt pijany, żeby brać udział w jakiegokolwiek dyskusji.

— Nie twierdzą, że policja nie chce wyjaśniać przestępstw — sprostowała Annie. — Może tylko nie chcą, żeby pewni ludzie okazali się sprawcami? I to niekoniecznie policja ukręca sprawie łeb.

— Tylko kto? — spytał Patrik.

— Przyjrzyjcie się aferze Geijera. Centralny Urząd Śledczy wysłał premierowi Szwecji raport z informacją, że minister sprawiedliwości w jego rządzie często odwiedza pewien burdel, w którym pracują Polki, powiązany z rosyjskim wywiadem. Sprawa wypływa w mediach, ale ktoś ją tuszuje. Media przepraszą i zaczynają się kajać. Do zatuszowania sprawy dochodzi prawdopodobnie nie pierwszy raz.

— Jeśli to rzeczywiście było tuszowanie sprawy — powiedział z szerokim uśmiechem Erik. — Przecież policja mogła się

pomylić. A może Geijer miał sobowtóra?

— Albo premier Szwecji chciał coś ukryć przed narodem, który go wybrał. Przecież do kolejnych wyborów było już tylko kilka tygodni. — Annie nie spuszczała z niego wzroku. Stopą wybijała pod stołem takt do muzyki, którą słyszała tylko ona.

— Więc co chcesz powiedzieć? — spytał Erik. — Że całe to zamieszanie wokół zamordowanych prostytutek jest elementem tuszowania sprawy?

— Może tak być — potwierdziła Annie. — Brzytwa Ockhama: nie należy mnożyć bytów ponad potrzebę. Jeśli policja nie potrafi znaleźć sprawcy zbrodni, najprostsze wyjaśnienie jest takie, że albo nie chcą, albo im nie wolno.

Patrik skinął głową i sięgnął po szklanę.

— Ciekawe. Powinnaś o tym napisać. Naprawdę.

Annie i Patrik mieli różne poglądy na prawie wszystkie sprawy. Mimo to lubiła go jak brata.

— Niewykluczone, że to zrobię — odparła z uśmiechem.

Potem rozmowa zeszła na kwestie tak przyziemne, jak pogoda w zimie. Spierali się też, która restauracja jest ostatnio najlepsza. Annie rozmyślała o serii artykułów na temat zamordowanych kobiet. Właśnie przygotowywała je do druku.

Ciało ostatniej ofiary, Marianne, znaleziono przed dwoma miesiącami w Rosersbergu. Pierwszej — przed siedmiu laty. Dwudziestodwuletnia Marie została znaleziona martwa w parku Humlegården w maju 1982 roku. Dwudziestosiedmioletnia Catrine w Solnie w lipcu 1984 roku. Elisabeth, która miała dwadzieścia cztery lata, w Hägersten w lutym 1985 roku. Każda była prostytutką i wszystkie były przed trzydziestką. Znajdowano

je w lasach albo w parkach. Żadna nie miała na sobie ubrania. Zwłoki porzucono tam, gdzie zostały znalezione, ale udało się ustalić, że ofiary ginęły gdzie indziej. Annie była przekonana, że sprawca morduje systematycznie. Cztery kobiety spotkały się z tym samym mężczyzną i dla każdej z nich skończyło się to śmiercią.

W trakcie badań dowiedziała się o lokalach, gdzie prostytutki serwują mężczyznom drinki. I o ukrytym pokoju, w którym przebywa on. Papież. Kozioł. Ma wiele imion, jak wszyscy ci, którzy są kochani albo napełniają innych bezgranicznym strachem. Zawsze tam był. Każdy tylko czekał na okazję, żeby zerknąć do środka. Mężczyźni byli gotowi zrobić wszystko, byle ich tam wpuszczono, a kobiety za nic w świecie nie chciały tam wejść. Niestety, zapłacono im, żeby robiły, co kazał, i nie miały wyboru. Mogły tylko czekać, aż ktoś otworzy drzwi i potem zamknie je na klucz. Na koniec pozostawało o wszystkim zapomnieć. O życiu kurwy.

Nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, którą robi, Annie zamierzała uczynić wszystko, żeby pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy odebrali tym kobietom życie. Jest im to winna jako kobieta. Jest też winna to swojej matce — jako córka.

Kiedy zmarli jej przybrani rodzice, prawda o tym, co przydarzyło się jej biologicznej matce, wyszła na jaw. A przynajmniej część prawdy. Ciągle słyszała opowieść o kobiecie, która odebrała sobie życie. Jednak prawda była taka, że jej matka została zamordowana, a sprawcy nigdy nie znaleziono. A ponieważ w rubryce „ojciec” wpisano słowo

„nieznany”, umieszczono ją w rodzinie zastępczej. Ojciec nigdy się nie ujawnił.

Z pewnych powodów nie opowiedziała o tym Maxowi. To jedna z tych chorych rzeczy, które dzieją się w związkach. Człowiek nosi coś w sobie tak długo, aż w końcu czuje, że nie umie o tym opowiedzieć. Kiedyś opowie, pewnie przed urodzeniem dziecka, ale jeszcze nie teraz. Na razie spróbuje odkryć prawdę o tym, co wydarzyło się przed trzydziestu laty. To między innymi dlatego pisała artykuły o zamordowanych kobietach. Była dziennikarką śledczą w jednej z największych gazet w Szwecji. I to jedną z najlepszych. Jeśli ktoś potrafił odkryć prawdę, to właśnie ona. Przestała o tym myśleć, gdy wśród okrzyków podziwu Lisa podała deser.

• • •

— Byłoby fajnie, gdybyś czasem też się włączył do dyskusji — powiedziała, kiedy po spotkaniu wsiadali do taksówki.

Max spojrzał na Annie, ale nie udało mu się zajrzeć jej w oczy. Po głosie poznał, że nie jest na niego zła. Wyciągnął do niej rękę. W taksówce było zupełnie ciemno. Kierowca prowadził jak pirat drogowy. Max skupił wzrok na zagłówku na przednim siedzeniu. Wszystkie odpowiedzi wyparowały mu z głowy. Annie spojrzała na niego, a gdy opadły mu powieki, ucisnęła jego dłoń. Max otworzył oczy i odwzajemnił uścisk.

Tradycja i ambicja

1

Drugiego dnia polowanie na lisa trwało prawie dwie godziny, ale nic się nie zdarzyło. W końcu ktoś z nagonki wydał głośny okrzyk, który odbił się echem i wrócił do zabudowań dworku. Lis ukrył się w norze. Buster Droth otrzymał polecenie, aby sprowadzić psa. Jego ojciec, Johan Droth, stanął na powalonym ośnieżonym pniu dwa metry od wylotu nory. Buster przyprowadził teriera i dał ojcu znak, żeby naprowadził psa na jamę. To było dobre zwierzę i Johan Droth mu ufał. Okazało się, że i tym razem się na nim nie zawiódł. Chwilę później list wypadł z nory jak z procy. Droth uniósł dubeltówkę kaliber dwanaście milimetrów, wystrzelił i lis padł na śnieg powalony garścią śrutu. Mężczyzna przyjął od myśliwych gratulacje i podszedł do zabitego zwierzęcia. Wszyscy byli zadowoleni, że to on upolował lisa.

Polowanie na lisa w Upplandzie było tradycją sięgającą czasów, gdy ojciec Drotha kupił dwór i posiadłość koło Gimo. Było to w latach trzydziestych, dwa lata po powrocie z Ameryki. Kiedy ojciec umarł, Johan Droth junior odziedziczył dwór. Na początku każdego roku zapraszał do siebie dyrektorów z różnych

firm i urzędów. Wspólny pobyt rozpoczęli od dwudniowego polowania. Krążyło mnóstwo opowieści o polowaniach, w których trakcie dyrektorom niższego szczebla udawało się ustrzelić zwierzynę, a Johan Droth wracał do domu z pustymi rękami. Wtedy myśliwy sam stawał się ofiarą, bo Johan chciał ustrzelić cokolwiek: przy użyciu strzelby albo swej nieograniczonej władzy. Goście dobrze o tym wiedzieli, ale nikt o tym głośno nie mówił. O takich rzeczach rozmawia się w cztery oczy, a jeśli pewne słowa padną w większym gronie, po chwili wszyscy udają, że nic się nie stało. Dowcipy o Machiavellim, docinki o kształtowaniu własnego wizerunku, przezwiska i przydomki...

Przed dwunastą Johan Droth osobiście otrąbił koniec polowania. Przy obiedzie podziękował miejscowym gościom za obecność i pożegnał się z nimi. Wśród nich był pewien polityk weteran z Uppsali, który stał na czele komisji budowlanej i całkiem niedawno podjął wiele decyzji z korzyścią dla branży Drotha. Ci, którzy zostawali dłużej, poszli się przebrać, aby o drugiej stawić się w salonie na oficjalne spotkanie. Mieli tam pracować do wieczora. Do kolacji o dziesiątej kazano im włożyć smokingi.

Za piętnaście druga wszyscy zebrali się w gabinecie przylegającym do salonu. Czekala tam na nich whisky. Na ścianie wisiał portret Johana Drotha seniora, namalowany pod koniec lat pięćdziesiątych przez Biancę Wallin, nadworną malarzkę księżniczki. To dlatego gabinet nazywano pokojem króla Gustawa Adolfa.

Jako pierwszy w gabinecie zjawił się Buster Droth. Kiedy

przyszli pozostali goście, siedział już w fotelu przy kominku. Na stoliku obok niego stała butelka bourbona, którą kazał sobie przynieść. Elijah Craig był jego ulubionym gatunkiem, dostarczany z USA. Kiedy starszy Droth zobaczył butelkę, zawołał służącego. W gabinecie zapadła cisza. Buster spoglądał na ojca z głupawym uśmiechem.

— Możesz sobie pić te amerykańskie perfumy — powiedział Johan. — My napijemy się whisky słodowej.

Wszyscy się roześmiali. Na początku cicho, ale po chwili śmiech zaczął narastać. Na stole pojawiła się nowa butelka i każdy sobie nalał. Czując spojrzenie Johana, mężczyźni nadal głośno się śmiali. Johan popatrzył po nich, dopił swoją whisky, wstał z krzesła i nie patrząc na nikogo, podszedł do drzwi do salonu.

• • •

Johan Droth junior urodził się w Nowym Jorku. Do Szwecji przyjechał w wieku jedenastu lat, gdy w Ameryce skończył się wielki kryzys. Wychowywał się na Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy i Central Park West, a jego rodzina mieszkała przez pewien czas w tym samym budynku, co gwiazda radiowa Walter Winchell. W 1931 roku rodzina Drothów wsiadła na statek *M/S Kungsholm* i popłynęła do Göteborga. Matka Johana kazała mu włożyć marynarskie ubranko, a jego starszym siostrom, Merrill, Rosie i Judith — sukienki. Pasażerowie mieli podziwiać ich w czasie podróży i w chwili zejścia na ląd. Matka Johana była czuła na tym punkcie. Zależało jej, aby wszyscy widzieli, z kim mają do czynienia, że nie są ubogimi emigrantami, którzy porzucili sen o Ameryce i postanowili wrócić do kraju. Oni odnieśli sukces, i to

duży. Ojciec Johana przyjechał do Ameryki razem z innymi Szwedami na początku stulecia, ale udało mu się i stał się bogaty, jeszcze zanim pozostali zdążyli zejść ze statku i znaleźć dyliżans do Chicago. Przez pewien czas prowadził biznes z ojcem pierwszego katolickiego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Interesowała ich branża alkoholowa, a także giełda na Wall Street.

Johan Droth senior zdobył w Nowym Jorku władzę i spory majątek, więc po powrocie do Szwecji mógł przystąpić do realizacji swojego marzenia o stworzeniu dynastii. W kraju obowiązywało racjonowanie alkoholu, a Szwedzi byli go spragnieni tak samo jak mieszkańcy Nowego Jorku. Alkohol sprowadzano z Estonii i Niemiec. Ktoś płacił, ktoś inny przemycił.

Od kiedy w latach trzydziestych Johan Droth senior wyeliminował wielu mniejszych graczy w Sztokholmie, sporo się zmieniło. Szwecja stała się innym krajem, wielkie przeobrażenia dokonywały się także na całym świecie. Mimo to rodzina zdołała się dopasować i wykorzystywała swoją pozycję, aby działać w nowych branżach. Można powiedzieć, że od kiedy Johan Droth junior przejął stery, żył zgodnie z rodzinną dewizą, która brzmiała: „Najwyższe osiągnięcia to nasz standard”.

• • •

Stół w salonie przypominał kształtem końską podkowę. Pośrodku siedział Johan Droth junior, u swego boku miał najbliższego doradcę, Martina Hellstena. Z drugiej strony siedział jego jedyny syn, Buster. Pozostałe miejsca zajmowało dwunastu gości. Wszyscy byli mężczyznami, wywodzili się z klasy średniej,

a ich iloraz inteligencji odpowiadał stanowi konta bankowego. Nigdy nie było wśród nich kobiety. Droth nie zatrudniał nawet stenografek. Uważał, że tak jest najłatwiej. Zgodnie ze zwyczajem sekretarzem był zawsze najmłodszy z dyrektorów. Conny Jonsson, który skończył czterdzieści cztery lata, pełnił tę funkcję przez pięć lat. Do czasu, gdy na posiedzeniu pojawił się Buster, który był najmłodszym członkiem zgromadzenia i jako jedyny nie przekroczył czterdziestki.

Zebrani spoglądali na starszego Drotha, a on przenosił wzrok z jednego dyrektora na drugiego. Siedział i milczał. Nawet ci, którzy z nim pracowali, czuli, jak zmienia się nastrój, gdy Johan Droth wchodzi do pokoju. Nowi członkowie grupy mieli wypieki na twarzach. „Przybył lord Vader”, żartował kiedyś Buster. Na te słowa mężczyźni odwracali wzrok i wychodzili z pokoju.

Droth napił się wody ze szklanki, odchrząknął i rozpoczął mowę:

— Większość z was wie, że interesuję się historią i że się na niej znam. I właśnie od tego chcę zacząć. „Historia uczy nas, że ludzkość niczego się z niej nie nauczyła”, powiedział pisarz George Bernard Shaw. Czy ktoś zgadza się z tym twierdzeniem?

Rozejrzał się po pokoju, ale większość mężczyzn tylko spoglądała po sobie albo spuszczała wzrok. Droth się skrzywił, jakby chciał pokazać, że ma do czynienia z bandą lizusów. Ale między innymi właśnie dlatego ich zatrudnił.

— Shaw się mylił. Mamy wspaniałą historię i możemy się z niej wiele nauczyć, jeśli chcemy mieć równie wspaniałą przyszłość. Nasze doroczne spotkania w nieprzebytych lasach Upplandu organizuję także ze względów historycznych. Tę

posiadłość kupił mój ojciec. Ma ona historię, która po części przypomina moją. Zanim zajmiemy się interesami, poświęcę chwilę, aby ją wam opowiedzieć.

Rozparł się na krześle i położył dłonie na oparciach.

— Było to tak: w tysiąc sześćset czterdziestym trzecim roku istniejący tu państwowy zakład został odsprzedany ojcowi szwedzkiego przemysłu, Louisowi De Geerowi. Był on z pochodzenia Holendrem, ale to właśnie Szwecję wybrał na swoją ojczyznę. Robić interesy nauczył się w domu, od ojca, a także podczas licznych podróży. Nie omieszkałam zauważyć, że jestem w tym do niego podobny.

Skinął głową i rozejrzał się po pokoju. Patrzył po kolei na każdego z dyrektorów, a gdy ich spojrzenia się spotykały, każdy z nich też kiwał potakująco głową. Johan Droth pomyślał, że to faktycznie zwykłe lizusy. Każdy z nich boi się stracić pracę, dom, samochód i członkostwo w klubie.

— Tak jak De Geer zarządzaliśmy krajowym przemysłem i przedsiębiorstwami usługowymi, stosując nowoczesne myślenie. Stworzyliśmy dominujący koncern z filiami na całym świecie i wzięliśmy udział w wielkim skoku, którego dokonał szwedzki przemysł stalowy. Pełnimy funkcję doradców, a radami w wielu różnych kwestiach wspieramy szwedzkie państwo. De Geer współuczestniczył w tworzeniu szwedzkich kolonii. To między innymi on założył afrykańską kompanię handlową w Cabo Corso, którą później nazywano Szwedzkim Złotym Wybrzeżem albo Ghaną. Podobno nadal istnieje tam wioska, której mieszkańcy mówią po szwedzku z akcentem De Geera. Przez dziesiątki lat, gdy chodziło o stworzenie powiązań między

Szwecją a potencjalnymi koloniami, byliśmy jedną z czołowych branż. A teraz jesteśmy tutaj. Nasze zadanie polega na kontynuowaniu tego dzieła. Patrzę na was i chcę się upewnić, że to właśnie wy potraficie wykonać to zadanie.

Spojrzał po zebranych, ale każdy z nich patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Niektórzy słyszeli przemówienie Drotha po raz pierwszy. Inni już wcześniej kilkanaście razy gapili się przed siebie w podobny sposób.

Johan Droth wodził wzrokiem wokół stołu zgodnie z ruchem wskazówek zegara, aż w końcu zatrzymał go na jednym z nowych dyrektorów. Jego wybór nie był przypadkowy. O każdym z obecnych wiedział wszystko, co chciał wiedzieć. Nie, nie było mowy o przypadku.

— Panie Karlvik, z jakiego powodu jest pan tu dzisiaj z nami?
— spytał.

Jan Karlvik miał grube rysy twarzy i ciemne włosy po bokach głowy. Jego garnitur w białe prążki podkreślał atletyczną budowę ciała. Karlvik skończył niedawno czterdzieści trzy lata i krótko przedtem został mianowany dyrektorem jednej z szybko rozwijających się spółek z branży stalowej. Szkoła w Niemczech, szkoła dla tłumaczy, uniwersytet w Uppsali, Wyższa Szkoła Handlowa. Prawdziwa elita.

— Słucham?

Droth wstał z krzesła i pochylił się nad stołem. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku ze swojej ofiary.

— Przepraszam, ale nie zrozumiałem pytania — powiedział Karlvik.

— Pytanie brzmiało i nadal brzmi następująco: z jakiego

powodu jest pan tu dzisiaj z nami? — spytał Droth podniesionym głosem. — Dlaczego nie miałbym pana stąd wyrzucić, zapakować do taksówki czekającej przed wejściem i odesłać do domu? Chcę, żeby mi to pan wytłumaczył.

Karlvik nabrał głęboko powietrza. Już wcześniej słyszał, co się działo w posiadłości Drotha, ale nie był przygotowany na tak ostro zadane pytanie. Wypił łyk wody, żeby zyskać na czasie, i spojrzał na swojego chlebodawcę.

— Na takie pytanie można z pewnością odpowiedzieć na wiele różnych sposobów, ale najprostsza odpowiedź jest taka, że znalazłem się tutaj, ponieważ jestem dobry w tym, co robię. Poza tym zamierzam przynieść koncernowi korzyści nieosiągalne dla innych.

— A jakież to ma pan cechy, których pana zdaniem nie posiadają inni w tym pokoju?

Karlvik spojrzał na Drotha, ale nie odpowiedział na jego pytanie. Zerknął na siedzących naprzeciwko pozostałych mężczyzn, z którymi rozmawiał w ciągu dnia, i nagle poczuł, że nie pamięta nawet, jak się nazywa i co robi.

— Niech pan nie zwleka z odpowiedzią, bo mogę zwątpić, czy podjąłem słuszną decyzję, mianując pana na to stanowisko.

— Jestem bezwzględny — wykrztusił Karlvik. — Jeśli postawię sobie cel, zrobię wszystko, żeby go osiągnąć. Jestem też sprytniejszy od innych.

— A więc to tak — przerwał mu Droth. — Niech pan popatrzy na każdego z moich dyrektorów. Twierdzi pan, że jest bardziej bezwzględny i sprytniejszy od większości z nich i dlatego nadaje się pan lepiej od innych na stanowisko dyrektora zarządzającego

w spółce, w której teraz pan pracuje? Mam rację?

Karlvik przełknął ślinę i starał się ze wszystkich sił nie patrzeć na siedzących naprzeciwko niego mężczyzn. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią i w końcu odparł:

— Tak, ma pan rację.

— To dobrze — odrzekł Droth. — Taka odpowiedź mnie zadowala. Jeśli jednak po prostu zadziera pan nosa, twierdząc, że jest bardziej bezwzględny i inteligentniejszy niż panowie pracujący w koncernie od dawna, którzy na dodatek odnoszą sukcesy, to chciałbym usłyszeć, czego zamierza pan dokonać w tym roku. Nie interesuje mnie jednak zwykle głędzenie o wzroście i zysku. To się rozumie samo przez się, bo po to pana zatrudniłem. Ma pan pięć minut, żeby nas przekonać. Proszę zaczynać.

Karlvik zrozumiał, że nadeszła ta chwila: teraz albo nigdy. Nie ma nic do stracenia. I rzeczywiście tak było. Pozostali dyrektorzy nie staną się jego przyjaciółmi, bo jest na to za późno albo za wcześnie. Więc powie przynajmniej to, co chce powiedzieć, zanim zjawi się kierowca, aby pomóc mu zapakować walizkę i smoking do bagażnika samochodu czekającego przed wejściem z włączonym silnikiem. Wróci do domu i zaskoczy żonę niemiłą wiadomością.

Wstał więc z krzesła i zaczął mówić. Objął niedawno stanowisko w niewielkiej firmie w Söderfors, niedaleko Gimo. To tam wszystko się zaczęło. Nadal istnieją powody, aby zachować kulturę pracy, którą tam kiedyś stworzono. Zapoznał zebranych z historią spółki i zatrzymał się dłużej przy najważniejszych wydarzeniach. Poinformował, że pracuje obecnie nad

połączeniem spółki z podobną firmą w Austrii. Zanim ktokolwiek zdążył zadać mu pytanie, wyjaśnił, że tak naprawdę austriacka firma nie jest mu do niczego potrzebna. Szwedzka spółka ma się dobrze, wypracowuje pokaźny zysk, jest w pełni wypłacalna, a efekt synergiczny fuzji okazał się dość ograniczony. Do czasu ustąpienia ze stanowisk austriacka dyrekcja też nie dostarczy nowych korzyści. Dlatego Karlvik zamierza zatrzymać tylko kilku menedżerów średniego szczebla, a reszcie każe odejść. Austriacka spółka zagwarantuje szwedzkiej międzynarodowy profil. Po fuzji produkcja ruszy w Szwecji, Austrii, Niemczech, Brazylii, Belgii, Turcji, Chinach, USA i w Meksyku. Karlvik wypowiadał nazwę każdego państwa głośno, w taki sam sposób, jak Olof Palme, gdy mówił o bombardowaniu Hanoi. Na końcu Karlvik podkreślił, że w nowym układzie spółka trafi na giełdę jeszcze w tym roku, co stworzy jej dalsze możliwości rozwoju. Na przykład kolejne, większe, fuzje. Albo ekspansję horyzontalną. Poprawę poziomu sprzedaży. Kto wie, może nawet coś więcej.

Przemawiał cztery minuty i czterdzieści pięć sekund.

Kiedy skończył i usiadł, Droth spojrzał na niego, ale nie skomentował jego wystąpienia. Skinął tylko głową i utkwiał wzrok w kolejnym dyrektorze, który siedział naprzeciwko. Karlvik wcześniej się z nim witał, ale zapomniał, jak się nazywa.

Droth przepytывał każdego z osobna. Nikogo nie oszczędził z wyjątkiem Hellstena i Bustera. Taksówka nadal czekała przed wejściem z włączonym silnikiem. Im dłużej trwało zebranie, tym bardziej uporczywy stawał się dźwięk silnika. W czasie posiedzenia Buster otrzymał ponad sto poleceń, które miał zanotować, dotyczących takich spraw, jak podjęte zobowiązania,

wątpliwości do wyjaśnienia przed następnym zebraniem, kontakty do nawiązania, rezerwacje terminów nowych spotkań i nazwiska osób, do których trzeba dotrzeć. Wszystko to musiał zaprotokołować.

Pod koniec zebrania salon wypełniał zapach potu i strachu.

2

Buster pochylił się nad ojcem i Hellstenem. Położył ojcu rękę na ramieniu i cierpliwie czekał, aż tamci skończą rozmowę i poświęcą mu uwagę. Każdy z nich opanował sztukę czekania do perfekcji. Właśnie podano kawę; za chwilę kolacja dobiegnie końca.

— Tak? — zagadnął Johan Droth, patrząc na syna pytającym wzrokiem.

— Nie chciałbym przeszkadzać, ale zaraz idę spać. Rano muszę wcześniej wyjechać, żeby nie spóźnić się na samolot.

— Jeśli chcesz usłyszeć bajkę na dobranoc, musisz się zwrócić do kogoś innego. Nawet kiedy sikałeś w pieluchy, nikt nie opowiadał ci bajek przed snem.

Buster skrzywił się i spojrzał na Hellstena.

— Nie o to mi chodziło, ale dziękuję, że znowu mnie oświeciłeś. Chciałem podziękować za dzisiejszy wieczór i zaproponować spotkanie zaraz po moim powrocie. Mam pewien pomysł dotyczący surowców naturalnych na Curaçao.

Johan Droth spojrzał na niego badawczo i odstawił filiżankę na stół. Brzęk porcelany sprawił, że kilka osób odwróciło się w jego kierunku. Wszyscy mieli nerwy napięte jak struny. Buster zerknął na Hellstena, a ten spuścił wzrok na swój pusty talerz. Przed chwilą leżał na nim czekoladowy tort. Przez moment

wydawało się, że Droth coś powie, ale odwrócił się i zaczął rozmawiać z mężczyzną po swojej lewej ręce. W trakcie rozmowy nałożył sobie na talerzyk kawałek tortu. Buster wpatrywał się w jego plecy. Poczul, jak krew napływa mu do twarzy, więc wytarł czoło wewnętrzną stroną dłoni i odprowadzany wzrokiem zebranych ruszył do drzwi. Przechodząc koło barku, poprosił, aby przyniesiono mu do pokoju butelkę Jacka Daniel'sa i skrzynkę coli.

Tak strasznie ich nie znosił — tych wszystkich miernot i lizusów. Miał większe ambicje i plany niż każdy z nich. Jeszcze zobaczą, na co go stać. Nalał sobie do szklanki trochę alkoholu i uzupełnił colą. Uniósł wzrok i w wiszącym nad szafą lustrze ujrzał swoje odbicie. Gdyby tylko wiedzieli, nie odstępowałiby mnie na krok, pomyślał z uśmiechem.

3

Johan Droth obudził się tuż po czwartej i dopiero po chwili przypomniał sobie, gdzie jest, chociaż tyle razy spał w tym pokoju. Usiadł na brzegu łóżka i powoli zaczęła mu wracać świadomość. Już wiedział, gdzie jest i co tu robi. Miał okropny sen. Śniło mu się, że razem z Busterem stali na piaszczystym podwórzu pod oknem. Trzymał w ręce dubeltówkę, z której przed chwilą oddał strzał i trafił syna w prawy bark, koło szyi. Ciało zostało rozerwane i na piasek poląła się krew. Śrut z dubeltówki trafił Bustera również w twarz. Jego syn stracił ząb. Jakieś anonimowe głosy zaczęły gratulować Drothowi tak dobrego strzału. Odwrócił się, ale nikogo nie zauważył. Buster uśmiechał się, jakby chciał powiedzieć: nie zdołasz mnie pokonać ani tą bronią, ani żadną inną, jestem wszechpotężny. Johan

Droth we śnie poczuł ból w klatce piersiowej. Starał się zrozumieć, jak to możliwe, że syn nadal stoi przed nim wyprostowany. Ból przeniósł się błyskawicznie na lewe ramię, a Droth wypuścił dubeltówkę z rąk i opadł na kolana. Pochylił się i oparł jedną ręką o podłogę, drugą przyciskał do serca. Miał na sobie nocną koszulę. Podszedł do niego Buster i jego krew zaczęła spływać na Johana Drotha. Czuł, jak przenika przez materiał i lepi mu się do skóry. Zrobiło mu się ciepło. Wiedział, że pozostało mu tylko kilka sekund życia.

Wstał z łóżka i podszedł do okna. Przesunął dłonią po plecach i stwierdził, że są mokre. W blasku latarni na dziedzińcu widział padający śnieg. Małe, drobne płatki. Poczucił głód, więc postanowił zdjąć koszulę, pójść do kuchni i wziąć z lodówki coś do zjedzenia. Ostatnio coraz częściej budził się o tej godzinie, chociaż powodem rzadko były nocne koszmary. Potem, żeby znowu zasnąć, musiał coś zjeść. Na pewno przytyje, ale uznał, że w tym wieku może sobie na to pozwolić.

Idąc ciemnym korytarzem, zatrzymał się przed pokojem syna. Przez szparę przy podłodze sączyło się światło. A więc Buster nie śpi. Johan Droth podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho. Usłyszał głosy, ale nie potrafił określić, do kogo należą i czego dotyczy rozmowa. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że słyszy tylko głos syna. Buster rozmawiał przez telefon. Nagle jego głos ucichł i Droth postanowił wrócić do siebie. Jedzenie i sen mogą poczekać.

Dotarły do niego pogłoski, że Buster utrzymuje kontakty z niewłaściwymi ludźmi. Na razie nie miał czasu, okazji ani chęci, żeby go o to spytać, ale wiedział, że syn jest spragniony

władzy i łatwo ulega wpływom. Uznał więc, że pogłoski są prawdziwe. Poprzedniego wieczoru się potwierdziły. Był już pewien, że propozycje, które złożył mu Buster — lokaty w USA i eksploatacja zasobów naturalnych na Curaçao — nie były jego pomysłem. Ktoś ma na Bustera albo na całą ich rodzinę haka i stara się go wykorzystać. Może to ktoś, kto jest we wszystko wtajemniczony? Buster nie jest dość silny, żeby poradzić sobie z czymś takim sam. Jest za to dość zaślepiiony, żeby dało się zrobić z niego marionetkę. Najwyższy czas sprawdzić, kto tak naprawdę pociąga za sznurki.

CZĘŚĆ DRUGA

Wtorek 19 września — piątek 13 października 1989 roku

Nazwy i miejsca

1

Tego wieczoru ostatni klient wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat. Był ubrany w elegancki beżowy płaszcz; w ręce trzymał duży parasol. Powiedział, że chce miłości francuskiej. Nic więcej. Zaproponował jej, żeby weszła pod parasol i poszła z nim do domu. Była to kusząca propozycja, bo przez cały wieczór padało i przemokła już do suchej nitki. Mężczyzna mieszkał na Jungfrugatan, na klatce schodowej było ciemno. Powiedział, że zepsuła się lampa, a administrator to skąpiec, który nie troszczy się o budynek. Wziął ją ostrożnie za rękę i zaprowadził na górę. Miał ciepłe, wilgotne dłonie. Wchodzili na kolejne piętra, a gdy dotarli do żelaznych drzwi prowadzących na strych, zrozumiała, że coś jest nie tak. Nie zdążyła go o to spytać, bo nagle uderzył ją pięścią w ucho. Potoczyła się na ścianę, a wtedy on otworzył kluczem drzwi, wciągnął ją do środka, rzucił na podłogę, przycisnął kolanem jej klatkę piersiową i założył na szyję duszący chwyt. Próbowwała się wyrwać, ale mężczyzna był zbyt silny. Jedną ręką ją przytrzymał, drugą bez przerwy bił. Była pewna, że zostało jej niewiele życia.

2

Budzik na biurku wskazywał piętnaście po pierwszej. Annie zaczęła się niepokoić. Oprócz światła padającego z zielonej lampki, która stała zapalona przy jej notatkach, w mieszkaniu było zupełnie ciemno i cicho. Max kupił jej tę lampkę w prezencie w Paryżu. Byli wtedy świeżo zakochani i prawie nie wychodzili z pokoju przy rue de Poitou. Któregoś dnia w końcu wyszli. Do hotelu wrócili z lampką i reprodukcją przedstawiającą Liechtenstein. Byli wtedy ze sobą od pół roku.

Max powinien już być w domu. Pod warunkiem że wyszedł zaraz po koncercie. Zazwyczaj gra do północy, a tym razem obiecał, że od razu wróci. Przecież rano mają iść do położnej.

Poczekaj jeszcze pół godziny. Potem się połóż bez względu na to, czy Max wróci czy nie.

Zaczęła czytać od początku. Na biurku leżał stos papierów. Były to wydruki zawierające najważniejsze fragmenty jej rozmów z Sissi nagranych na taśmę.

Dwadzieścia jeden lat. Kontakt za pośrednictwem Sonji. Mieszkały razem przez pewien czas, teraz już nie. Na Malmskillnadsgatan, od kiedy skończyła czternaście lat. Przychodziła tam w towarzystwie starszych przyjaciół. Problemy z narkotykami od szesnastego roku życia. Okresami czysta. Zadebiutowała na ulicy przed dwoma laty.

Sonja była pierwszą osobą, z którą Annie poprzedniej wiosny nawiązała kontakt. Miała dwadzieścia sześć lat i była wyższa od Sissi. Sonja miała synka, którego jej odebrano na wniosek opieki społecznej. Teraz zostało jej tylko zdjęcie, które nosi w portfelu. Czasami opowiada o dniu, w którym go kiedyś zaskoczy. Będzie wtedy porządną matką, czystą i ładną, z prezentami i przyszłością. Sissi mimo nałogu była mniej zniszczona przez narkotyki. Ale problem był głębszy niż tylko to, że była zbyt gadatliwą dziwką. Tak określił ją pewien policjant, gdy Annie

porządkowała zebrane informacje. Co za ignorant. Nawet nie wysłuchał do końca tego, o czym chciała mu opowiedzieć. Takich jak on nie brakuje, zwłaszcza wśród mundurowych. Palanty z dawnej Jednostki G, które mają wypucowane na połysk buty kupione za własne pieniądze. Unikała ich, jak mogła.

Annie była pewna, że Sissi wie coś, co może doprowadzić do przełomu w sprawie. Jednak podczas rozmów Sissi krążyła wokół tematu i zanim dotarła do sedna, rozpoczynała nowy wątek i nie było sposobu, żeby ją od tego odwieść.

Na początku roku Annie zaczęła łączyć elementy układanki w całość. Tworzyły ją informacje uzyskane z różnych źródeł: notatki od policjantów, od prokuratora albo — rzadziej — od adwokatów. Starła się wyjaśnić sprzeczności, na przykład te między policją w Västerort a policją w Norrmalmie. Dotyczyło to także opinii wyrażanych przez policjantów na temat tego idioty prokuratora. Czasem opowiadali jej o rzeczach, o których nie powinni. Innym razem była pewna, że podrzucają jej informacje z nadzieją, że trafią do gazet. Była przekonana, że traktują ją jak narzędzie, aby śledztwo mogło się toczyć w określonym kierunku. Nie dawała się nabrać, a po pewnym czasie dowiedziała się wystarczająco dużo, aby dojść do wniosku, że ma do czynienia ze sprawą, którą musi rozwiązać. Brakowało jej tylko dowodów, aby sąd miał na czym się oprzeć. Powinny być na tyle mocne, żeby gazeta zaryzykowała publikację materiału bez narażania się na proces o zniesławienie.

Krążyły pogłoski, że jest klub, albo coś w rodzaju zakonu, o nazwie Herrskapet, powiązany z młodymi prostytutkami. Istnienie klubu nie stanowiło wielkiej tajemnicy, bo udało jej się

znaleźć jego adres i numer telefonu. Kiedy zadzwoniła, ktoś z miłym głosem skierował ją do innej osoby. Do klubu należeli przedsiębiorcy i politycy. Najprawdopodobniej wielu z nich nie miało niczego do ukrycia. Musiała więc dotrzeć do wewnętrznego kręgu, którego członkowie wiedzą więcej. Do tych, którzy uważali, że kobiety są towarem na sprzedaż. Dziewczyny zgłaszały się potem na policję, ale szybko zdawały sobie sprawę, że nikt nie bierze ich słów na poważnie. Annie musiała więc dotrzeć do jednego z członków, który zgodzi się ujawnić prawdę i o wszystkim jej opowie. Musi to być ktoś, kto jej zaufa, kto uwierzy, że nikomu nie zdradzi jego tożsamości. Ktoś, kto zechce ulżyć swemu sumieniu, kto ma dostęp do najtajniejszych spraw i wystarczająco dużo odwagi, żeby przemówić.

— Takich bohaterów znajdziesz tylko w mitach greckich — stwierdził Wikholm, gdy Annie poruszyła ten temat. — Plotki krążą od dziesięcioleci, ale nikt ich nigdy nie potwierdził. Według jednej z nich nazwiska niektórych członków klubu były na liście, którą Centralny Urząd Śledczy wysłał premierowi Palmemu. Byli wśród nich bogaci przedsiębiorcy i politycy, którzy korzystali z usług prostytutek. Robili to samo, co osoby zamieszane w sprawę Geijera. — Wikholm podrapał się po karku i kontynuował: — To się działo w połowie lat siedemdziesiątych, gdy jeszcze marzyłaś o wspaniałym życiu dziennikarki i nawet nie wiedziałaś, że istnieje coś takiego, jak tuszowanie spraw. Krążyły plotki o wielu osobach: o grubych rybach z biznesu, a nawet o pewnym wysoko postawionym wojskowym. Nie brakowało w tym gronie dziennikarzy i artystów. Mówili, że to

właśnie Herrskapet zadbał o to, aby Geijer, Fälldin i kilku innych trafiło na listę.

— Chociaż nie mieli z tym nic wspólnego?

— Podobno klub miał kogoś wysoko postawionego w policji, kto się tym zajął.

Potem Wikholm szybko się oddalił i Annie nie wydobyła z niego ani słowa więcej. Któregoś dnia pokaże mu zebrany materiał, przy którym afera Geijera będzie tylko słabym podmuchem wiatru.

Przerzuciła kartki notesu i dotarła do początku. Z dziewczynami prowadziła rozmowy przez prawie pół roku, często po kilka razy w tygodniu. Czasem się bała, ale nikt jej nigdy nie groził. Kobiety, z którymi się spotykała, były zazwyczaj zniszczone życiem i naiwne. Siedziały z nią, rozmawiały i szukały żył na swoich rękach. Kiedy odwracała wzrok, żartowały sobie z niej. Widziała mężczyzn, którzy odbierali od nich pieniądze albo kazali im występować w roli dilerów. Jednak za każdym razem, gdy Annie była w pobliżu, trzymali się od nich z daleka. Dziewczyny często o nich opowiadały, zwłaszcza o jednym, którego bały się najbardziej. Nazywały go Jugol. Nauczyła się rozpoznawać klientów, bo wielu z nich przychodziło w to miejsce dość często. Na przykład pewien architekt, który zawsze zjawiał się z nożem, ale nigdy nie był agresywny. Albo taksówkarz, który podwoził dziewczyny pod wskazane adresy. Stary chirurg, którego pozbawiono prawa do wypisywania recept i który zaczął wynajmować łóżka w swoim mieszkaniu, bo inaczej nie byłoby go stać, żeby przychodzić do tych dziewczyn. Bardziej niż czegokolwiek innego obawiał się

samotności. Każdy z nich był żaloszny. Annie myślała czasem, że spotykają się i umierają po trochu we wspólnym mroku.

— Pamiętam każdą twarz — powiedziała Sissi podczas jednej z poufnych rozmów. — Ale nigdy nie pamiętam samego aktu. To znaczy seksu. Mam jakby dwie osobowości: jedna to Sissi z ulicy, druga to prawdziwa ja. Kiedy się sprzedaję, jestem Sissi. Nawet mój alfons nie wie, jak naprawdę się nazywam. Wyłączam się na ten czas, a seks sprzedaje ktoś inny.

Potem Sissi opowiadała Annie o różnych klientach i rozmowa zesłała na nieprzyjemne tory. Mówiła jej o zamkniętych grupach klientów z wyższych sfer, o mężczyznach przyzwyczajonych do tego, że dostają to, czego chcą. Organizowali imprezy i zamawiali prostytutki. Niekiedy zdarzało się, że sytuacja wymykała się spod kontroli. Jeden z nich zachowywał się szczególnie brutalnie, pobił wiele dziewczyn. Policja nie kiwnęła palcem. Sissi dała do zrozumienia, że niektórzy policjanci zostali przekupieni i nawet kazali im pieprzyć się z nimi za darmo, bo inaczej donieśliby na nie opiece społecznej.

— Więc nie ma komu o tym powiedzieć. I nigdy nie doniesiemy policji. Więc świetnie się nadajemy do tego, żeby nami pomiatać. Ci faceci niczym nie ryzykują, jeśli zrobią coś złego komuś takiemu jak ja.

Sissi zdradziła Annie, że najbardziej marzy o wyjeździe do Hiszpanii, gdzie prowadziłaby zwykłe życie żony i matki. Udało jej się zdobyć paszport, który zawsze ma przy sobie. Kiedy Annie poprosiła ją o pokazanie fotografii, Sissi odmówiła i szybko schowała paszport do torebki. W paszporcie wpisano jej prawdziwe imię, którego za żadną cenę nikomu nie zdradzi, bo

wtedy czar pryśnie. Paszport to jej amulet, dzięki niemu nigdy nie martwi się o przyszłość. Zawsze powtarza, że jakoś jej się w życiu ułoży.

— Powinnaś się bardziej niepokoić niż ja — powiedziała jej pewnego razu Sissi. — Pomyśl o własnym życiu — dodała, wskazując na brzuch Annie, który zdążył się już zaokrąglić.

Annie pomyślała, że Sissi być może ma rację. Uważała jednak, że spoczywa na niej pewien rodzaj odpowiedzialności, że powinna dać Sissi i innym dziewczynom z ulicy jakieś zadośćuczynienie. Głównie za to, jak są traktowane. Czuła się jak siostra, która może urzeczywistnić ich marzenia o innym życiu, w którym będą dzieci, dom i samochód. Najpierw musi o tym wszystkim napisać bez względu na to, komu nastąpi przy tym na odcisk.

Znów spojrzała na zegarek i postanowiła się położyć. Dochodzi druga, a Maxa ciągle nie ma. To nie pierwszy raz i dlatego dobrze wie, co ją czeka.

• • •

Obudził ją telefon. Wyciągnęła rękę w stronę szafki nocnej i nie zapalwszy lampki, podniosła słuchawkę.

— To ty, Max?

— Nie, mówi Andreas Larsson. Przepraszam, jeśli cię obudziłem.

Larsson miał dzisiaj nocny dyżur.

— Która godzina?

— Już późno. Dzwonię w sprawie Sissi.

— Co się stało?

— Ma poważne kłopoty.

3

— Zostaw mnie w spokoju! — krzyknęła Sonja. Szła szybkim krokiem, prawie biegła. — Pieprzona lalunia! Zostaw mnie w spokoju!

Annie odnalazła Sonję w schronisku w dzielnicy Hägersten. Ruszyła szybszym krokiem, żeby ją dogonić.

— Poczekaj, chcę z tobą porozmawiać.

Okazało się, że Sissi została pobita i tuż po północy trafiła do Szpitala Świętego Jerzego. Miała przy sobie redakcyjny numer do Annie, więc pod niego zadzwoniła. Odebrał Larsson, który pełnił nocny dyżur. Sissi miała przestraszony głos i twierdziła, że ktoś ją ściga. Kiedy Annie zjawiała się w szpitalu, po Sissi nie było już śladu.

— Przyszło tu dwóch policjantów, wypytywali o nią — powiedziała pielęgniarka pełniąca nocny dyżur. — Dziesięć minut później, kiedy weszłam do jej pokoju, był pusty. Policjantów też tam nie zastałam.

Pielęgniarka nie zapamiętała ich nazwisk. Przed świtem już wszyscy wiedzieli, co przytrafiło się Sissi, a przez całe przedpołudnie krążyły różne historie na temat tego, kto ją znalazł i dokąd poszła.

Sonja odwróciła się. Widząc jej zaczerwienione oczy, Annie poczuła niepokój i zatrzymała się dwa metry dalej. Różowa szminka na wargach dziewczyny zdążyła już wyschnąć i przypominała martwy naskórek.

— Już i tak narozrabiałaś — powiedziała Sonja. — Sissi zaginęła, pewnie ktoś ją porwał. Kapujesz? To wszystko przez ciebie. Jesteś jak wampir!

Sonja zrobiła szybki krok do przodu, zamachnęła się torebką i uderzyła Annie w prawą skroń. Annie poczuła łyzy w oczach, ale nadal stała nieruchomo. Sonja miała w torebce metalowy ciężarek. Jakaś kobieta, która wyszła z psem na spacer i właśnie je mijają, przeszła na drugą stronę ulicy.

Policzek nadal bolał, ale łyzy przestały Annie napływać do oczu.

— Nigdy nie zamierzałam narażać jej na niebezpieczeństwo — broniła się. — Ani żebyś ty albo Sissi...

— Ale naraziłaś. Znam ją tak dobrze, jakby była moją siostrą. Razem mieszkamy, więc gdyby nic się nie stało, już dawno dałaby znać. Coś musiało się stać. Wszystko przez te twoje pieprzone pytania. Za dużo chciałaś wiedzieć, a ona, młoda i głupia, mówiła. Teraz zaginęła. Obyś się za to w piekle smażyła, bo to twoja wina!

Sonja odwróciła się i ruszyła przed siebie ulicą. Annie zrozumiała, że nie ma sensu za nią iść.

Położyła dłoń na brzuchu. Nagle pociemniało jej w oczach i pojawił się ból. Oparła się o słup i zaczęła głęboko oddychać. Zupełnie zapomniała, że ma wizytę u położnej. Max wrócił do domu o świcie, a gdy wychodziła, jeszcze spał. W salonie śmierdziało tak, jakby ktoś umył podłogę ginem.

Wsiadła do metra, opadła na siedzenie i rozplakała się. Inni pasażerowie siedzieli ze wzrokiem wbitym tępo w podłogę. Na stacji Liljeholmen do wagonu wszedł starszy mężczyzna, który zajął miejsce naprzeciwko niej. Wyjął z kieszeni chusteczkę i uśmiechnął się do niej. Chusteczka była brudna, ale mimo to Annie ją przyjęła. Mężczyzna przymknął oczy i skinął głową,

jakby rozumiał, co się stało.

• • •

Mijały kolejne dni od zaginięcia Sissi, a Annie czuła się jak we mgle. Nie poszła do redakcji, tylko do Biblioteki Królewskiej, gdzie w dziale z mikrofilmami szukała wszelkich informacji na temat Herrskapet. Starła się nie myśleć o Sissi, ale ciągle miała przed oczami jej pełen ufności wzrok. Przez chwilę wmawiała sobie, że zaginięcie dziewczyny nie ma związku z jej pytaniami. Sissi jest narkomanką. Takie jak ona co jakiś czas znikają, a potem nagle pojawiają się z powrotem. Chwilę później dotarło do świadomości Annie to, co się stało, uderzyło w nią ze zdwojoną siłą. Rzeczywiście, jeśli Sissi coś się przytrafiło, winę ponosi ona. Wydawało jej się, że podczas rozmów z dziewczynami zachowała ostrożność. Teraz nie była już o tym przekonana. Może jednak coś wyciekło? Pewnie ktoś zirytował się jej pytaniami o zamordowane dziewczyny i zaczął węszyć. Nagle uświadomiła sobie, że nie może ufać nikomu z wyjątkiem Maxa. Wiedziała jednak, że aby osiągnąć cel, kilku osobom zaufać musi.

4

— Słyszałeś kiedyś nazwę Herrskapet? — spytała Annie.

— Masz na myśli ten klub? — odparł Kay Orha, który od dłuższego czasu brał udział w śledztwie dotyczącym zamordowanych kobiet. Wcześniej niezbyt często rozmawiali, ale gdy Annie do niego zadzwoniła, przypomniał sobie jej nazwisko i głos.

— Tak, mówię o klubie.

— Jasne — odrzekł Kay. Przez chwilę milczał. — Ale nie

w związku z żadnym śledztwem, tylko przy innej okazji. Czemu pytasz?

— Nadal zajmuję się sprawą zamordowanych prostytutek. Pewne fakty przemawiają za tym, że niektórzy członkowie klubu mogli być w to zamieszani.

— Wcale mnie to nie dziwi. Od wielu lat krąży mnóstwo takich plotek. Kiedyś słyszałem nawet, że klub przekupił jakiegoś ważnego policjanta. Siedzi podobno tak wysoko, że potrafi ukręcić łeb każdej sprawie, jeśli tylko zajdzie potrzeba.

— Też o tym słyszałam. Więc można powiedzieć, że plotki są wiarygodne?

— Wierzysz w nie?

— Nie ma dymu bez ognia.

— Całkiem możliwe.

— Podobno trzeba się naprawdę napracować, żeby takim ludziom jak oni cokolwiek udowodnić.

— Istnieje mnóstwo mitów. Ale nigdy nie spotkałem nikogo, kto by o tym mówił. Na razie brakuje wiarygodnych świadków i jakichkolwiek dowodów. Trzeba czekać, aż któryś z tych ludzi zacznie sypać albo zostanie przyłapany na gorącym uczynku.

— W końcu ktoś taki się pojawi. Wystarczy solidnie popracować nad źródłami.

— Tak — odparł w zamyśleniu Kay. — Najbardziej irytujące jest oczekiwanie.

Annie poznała go w szkole policyjnej. Prowadził kurs dla dziennikarzy, który zorganizowała jej gazeta. Dyskutował z nimi na interesujące ją tematy. Przemoc wobec kobiet. Prostyucja a kwestia płci. Rozmawiali o pozycji i władzy kobiet i mężczyzn.

O frustrującym obrazie madonny i ladaczniczy, który sprawia, że mężczyźni szukają zaspokojenia tam, gdzie mogą sprawować całkowitą kontrolę. Niektórzy koledzy z redakcji kręcili na to nosem. Podobnie inni uczestnicy kursu — policjanci. Kay kierował wzrok również w ich stronę. Nie wszystkim się to podobało, ale Orha nie poniósł żadnych konsekwencji, bo miał zbyt długą listę sukcesów na koncie. Uchodził za jednego z najbardziej uzdolnionych, doświadczonych i oddanych oficerów policji w kraju.

Po dłuższym milczeniu Kay odchrząknął.

— Nie wiem, czy o tym słyszałaś, ale w ostatnich latach trochę się zajmowałem sprawami dotyczącymi mężczyzn i kobiet. Mogę z całą pewnością stwierdzić, że to wpłynęło na moją karierę, ale w niezbyt pozytywny sposób. Trudno pogodzić się z tym, że tkwimy w miejscu. Część dziewczyn pracujących na ulicy to prawie dzieci. Odruchowo zaczynasz myśleć o ich rodzinach. Masz dzieci?

— Jestem w ciąży.

— W takim razie gratuluję. Mogę tylko powiedzieć, że to błogosławieństwo. Nie chcę cię straszyć, ale w życiu rodzica pojawia się nowy rodzaj niepokoju. Już nigdy się go nie pozbędziesz, nawet gdy dzieci dorosną. Mogę pozwolić sobie na prywatną refleksję?

— Jasne.

— Mam córkę, która niedługo skończy dwadzieścia dwa lata. Mieszka teraz w Dublinie. Poznała tam faceta, starszego od niej o dziesięć lat. Jest jej narzeczonym, a ja go nawet nie znam.

— Na pewno dobrze wybrała.

— Pisała mi, że ma na imię Lorcan. Kiedy dzwonię, nigdy nie odbierają. Tak to właśnie wygląda — dodał z westchnieniem. — Jest dorosłą kobietą, ale dla mnie na zawsze pozostanie małą córeczką.

— Rozumiem. Pewnie wszyscy tak mają.

— Utrzymujesz bliski kontakt z rodzicami?

— Nie. Od dawna nie żyją.

— Przykro mi to słyszeć. Nie będę cię dłużej zatrzymywał. Przed tobą mnóstwo ciężkiej pracy. Wielu dziennikarzy próbowało rozwikłać podobne sprawy, ale żadnemu nie udało się znaleźć mocnych dowodów, takich, które przekonałyby prokuratora. Może tobie się uda. Nie wahaj się prosić mnie o pomoc. Jesteśmy po tej samej stronie.

5

Annie nadal czuła w ustach smak śniadania. Na dworze było tak zimno, że kiedy weszli do ciepłego pomieszczenia, zabolą ją koniuszki palców. Poprzedniego wieczoru pokłóciła się z Maxem. Jak zwykle poszło o alkohol. Podświadomie czuła, że jej argumenty do niego nie dotarły.

— Nie chodzi tylko o to, że się upijasz i nie jesteś wtedy zbyt przyjemny — powiedziała, gdy emocje trochę opadły. — Chodzi też o to, że zawsze muszę się martwić, czy upijesz się i tym razem. Zastanawiam się, jak minie wieczór. W jakim będziesz stanie, gdy wrócę z pracy i otworzę drzwi. Nie chcę czuć tego niepokoju, a przede wszystkim nie chcę, żeby nasze dziecko musiało się zastanawiać, czy jak wróci do domu, zostanie w nim pijanego ojca. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Max skinął zrezygnowany głową, odwrócił się na bok i nie

odpowiedziawszy na jej pytanie, zgasił lampę. Teraz siedzieli na krzesłach i rozmawiali z położną.

— To całkiem normalne, że rodzą się pytania, na które trudno odpowiedzieć — rzekła położna, patrząc to na Annie, to na Maxa. Od razu wyczuła, że się pokłócili, i wyjaśniła, że kobieta w ciąży miewa humory i niepokoi się różnymi sprawami. — Martwi się na przykład o relację z partnerem — powiedziała, kładąc Annie rękę na ramieniu. — O zdrowie dziecka. O pieniądze. Jest wiele rzeczy, które mogą ją niepokoić. To nie znaczy, że na narodziny dziecka przestanie pani czekać z niecierpliwością. Dlatego nie ma się czego wstydzić.

Położna zapewniła ich, że sprawy mają się dobrze, i ustalili kolejny termin. Kiedy wyszli, Annie postanowiła pojechać do redakcji. Przeszła dwadzieścia metrów, odwróciła się i patrzyła za Maxem, który powoli oddalał się w przeciwnym kierunku. Ciekawe, co dzieje się teraz w jego głowie. Gdyby miała czas, pobiegłaby za nim i zaproponowała, aby wrócili do tamtego baru i udawali, że poznają się na nowo. Przyśpieszyła kroku. Zastanawiała się, jak będzie wyglądał jej pierwszy kontakt z klubem Herrskapet.

• • •

Klub miał swoją siedzibę w żółtej kamienicy na Blasieholmen. Przed wejściem stał goły maszt. Akurat była pora lunchu. Annie wbiła wzrok w drewniane drzwi. Stała ukryta w wejściu do budynku po przeciwnej stronie ulicy. Od klubu dzieliło ją dziesięć metrów. Nie oczekiwała po tym spotkaniu zbyt wiele. Chciała tylko sprawdzić, z jakim rodzajem mężczyzn będzie miała do czynienia, kim są członkowie klubu.

Otuliła się ciasniej kurtką, włożyła ręce do kieszeni i przywarła mocniej do ściany, żeby nie wystawiać się na porywy wiatru. Według niektórych źródeł historycznych w miejscu, które obecnie nazywa się Blasieholmen, doszło pod koniec XIV wieku do masowej zbrodni. Dwudziestu kilku mieszkańców Sztokholmu zostało zapędzonych do budynku, który potem podpalono.

Tuż przed drugą zwróciło jej uwagę kilka osób. Ulicą szło wielu ludzi, ale z jakiegoś powodu zainteresowała się właśnie nimi. Najpierw zauważyła dwóch mężczyzn, wkrótce potem pojawił się jeszcze jeden. Zaintrygował ją sposób, w jaki pierwsi dwaj traktowali trzeciego. Był od nich starszy i wyszedł później. Okazywali mu cześć graniczącą ze strachem, chociaż obaj byli po pięćdziesiątce i na pewno osiągnęli sukcesy na tyle znaczące, że zasłużyli na członkostwo w klubie. Starszy mężczyzna był wysoki i szczupły, a szyję miał, jakby należał do gatunku wymarłych gadów. Siwe włosy, wiek około siedemdziesięciu lat. Cała trójka stała przed wejściem do budynku nie dłużej niż dziesięć sekund. Zaraz podjechał samochód i jeden z nich otworzył drzwi. Najstarszy mężczyzna oparł się ręką o dach wozu, żeby nie stracić równowagi, i wtedy zauważył Annie. Na chwilę się zawahał. Annie podniosła z ziemi torbę i ruszyła w stronę rynku. Czekala, aż usłyszy dźwięk zatraskiwanych drzwi samochodu, który potwierdziłby, że mężczyzna do niego wsiadł. Nic takiego się nie stało, więc uznała, że mężczyzna nadal tam stoi i za nią patrzy. Zwolniła na chwilę na placu przy pomniku przedstawiającym bizantyjskiego konia i stała nieruchomo, aż usłyszała, że samochód wjeżdża w Arsenalsgatan. Odwróciła się, ale mężczyzn już nie było, a samochód zniknął właśnie za rogiem.

Doszła do wniosku, że widziała kilku z tych, których szuka. Była też prawie pewna, że oni również ją zauważyli. Wyjęła notes, oparła się o pomnik i zanotowała numer rejestracyjny samochodu. Schowała notes do torby i ruszyła w stronę centrum.

• • •

Następnego dnia znalazła już imię i nazwisko mężczyzny z szyją dinozaura. Wykorzystała do tego swoje kontakty w policji. Z policyjnej bazy danych wynikało, że samochód należy do spółki akcyjnej, która zajmuje się między innymi cateringiem i wynajmem limuzyn. Właścicielem spółki jest z kolei firma z branży nieruchomości. Dzięki kontaktom, które miała w urzędzie skarbowym i wydziale środowiskowym wojewódzkiej komendy policji, dowiedziała się, że firma nie prowadzi zbyt rozległej działalności. Należy do holenderskiego holdingu, którego właścicielem jest holenderska fundacja. Jej zakres działalności niezbyt ją interesował. Ciekawsze było to, że na jej czele stał Szwed — Johan Droth junior.

• • •

W archiwum redakcji bez trudu znalazła jego zdjęcie. Była pewna, że to właśnie jego widziała przed siedzibą klubu. Z fotografii spoglądały na nią chłodne oczy. Dzięki pomocy fotoreportera, który fotografował znane postaci, zyskała dostęp do rejestru członków klubu, ułożonego w porządku alfabetycznym. Lista zawierała imię i nazwisko, datę urodzenia, funkcję i rok wstąpienia do klubu. Odszukała znane jej nazwisko na literę D.

Droth Johan junior, ur. 11.09.1920 r., dyrektor, 1950 r.

Droth Buster, ur. 23.02.1952 r., student ekonomii, 1977 r.

Buster, pomyślała, zapisując jego dane w notesie. Przejrzała

listę, szukając czegoś ciekawego. Wiele z tych nazwisk znała. Politycy, szefowie firm, słynne rodziny. Zatrzymała się dłużej na literze K. Jej uwagę przykuło nazwisko jednego z członków.

von Konow, Carl, ur. 14.12.1939 r., ekonomista, 1971 r.

Poczuła przyspieszone bicie serca. Niedawno czytała artykuł o P2 — *Propaganda Due*. Autor opisywał tajną lożę wolnomularską we Włoszech. Jej członkami były osoby sprawujące władzę: mafiosi, watykańscy hierarchowie, czołowi politycy, policjanci i prokuratorzy. Mieli do dyspozycji wszystkie niezbędne środki i narzędzia potrzebne do rządzenia. Wspierali ich najpotężniejsi ludzie w kraju i na świecie. Pewien były agent CIA opowiedział o związkach łączących USA z P2. Twierdził, że P2 pomagała w walce z komunistami między innymi poprzez wspomaganie terroryzmu i przemyt narkotyków do krajów, które znajdowały się na liście wspólnych wrogów. CIA w ramach rewanżu zgodziła się, aby P2 umieściła swoje archiwum na terytorium Stanów Zjednoczonych. Watykanem również kierowały względy polityczne. Też obawiał się komunizmu i dlatego udzielił P2 swego wsparcia. Chociaż katolikom nie wolno należeć do takich organizacji, gazeta „Osservatore Politico” opublikowała listę stu dwudziestu jeden kardynałów, biskupów i prałatów, którzy byli członkami P2. Wywodzili się oni z kręgów bliskich papieżom Piusowi XII i Pawłowi VI. Na dodatek P2 sprawowała kontrolę nad mediami — między innymi dzięki nabyciu największej gazety, „Corriere della Sera”, przez co wzmocniła więzi łączące ją z mafią. Nietrudno więc się domyślić, że tak dobrana grupa mogła bez trudu kontrolować cały kraj.

Annie rozejrzała się po biurze i pomyślała, że być może niewiele osób zdaje sobie sprawę, że ich krajem też rządzą

skorumpowane elity. Nie potrafiłaby dowieść, że Johan Droth junior ma cokolwiek wspólnego z prostytutkami zamordowanymi w ciągu ostatnich dziesięciu lat ani że wiedział o zabójstwach. Jednak instynkt podpowiadał jej, że powinna pójść właśnie tym tropem. Tam, przed klubem, ich spojrzenia się spotkały. A ona potrafi ocenić, kiedy ktoś ma coś do ukrycia. Coś niebezpiecznego. Niestety, jeśli poprosi Wikholma o środki na dalsze prowadzenie śledztwa i o więcej czasu, takie argumenty go nie przekonają. Musi dowiedzieć się czegoś więcej na temat Drotha, i to zanim poprosi szefa o zgodę na prześwietlenie organizacji, której pełnoprawnym członkiem jest od osiemnastu lat ich przełożony, Carl von Konow.

• • •

— Co wiesz o człowieku, który nazywa się Johan Droth? — spytała Annie.

— A ile masz czasu? — odparł z uśmiechem Leon. Pracował w gazecie od tak dawna, że nikt już nie pamiętał od kiedy. Poza tym wiedział o różnych ludziach więcej niż ktokolwiek inny.

— Jeśli trzeba, będę cię słuchać przez resztę dnia — powiedziała Annie. Podsunęła bliżej krzesło i na nim usiadła.

— No to świetnie — stwierdził Leon i głośno się roześmiał. Rozsiadł się na krześle i złapał za brodę. — Johan Droth. Jedyny syn w rodzinie, która kiedyś wyemigrowała do Ameryki, ale później wróciła do Szwecji. Wyjechali jako biedacy, wrócili jako bogacze. Ojciec i patriarcha też miał na imię Johan i podobnie jak wielu innym bogaczom zarzucano mu, że majątek zdobył w podejrzany sposób. W późniejszym okresie ludzi z jego sfery krytykowano za interesy w Ameryce Południowej. Oskarżano

ich, że unikają płacenia podatków dzięki łańcuszkowi fundacji i spółek. Nie ma w tym niczego szczególnego. Posługują się tymi samymi metodami co wszyscy bogacze. Ciężko pracują, żeby zarobić pieniądze, a gdy już je mają, robią wszystko, żeby jak najwięcej zachować dla siebie.

— Czym zajmuje się ich firma?

— Wszystkim po trochu. Działają w sektorze finansowym, są właścicielami największej na świecie firmy ochroniarskiej i należą do największych graczy na rynku stali.

— Dlaczego tak mało się o nich słyszy? Nie są za bardzo znani.

Leon skinął głową. Podniósł stos papierów, potem drugi, aż w końcu pod trzecim znalazł to, czego szukał: paczkę papierosów.

— Całkiem świadomie działają bez rozgłosu. Nie pokazują się publicznie w jaskrawych krawatach, siedzibę mają w skromnym budynku. Wiesz, o co chodzi.

Annie skinęła głową. Leon zapalił papierosa i wypuścił dym nad biurko.

— Zawsze trzymali z obiema stronami i dlatego nigdy nie mieli wroga, który obsmarowałby ich w mediach.

— Jak to „trzymali z obiema stronami”?

Leon odłożył papierosa na brzeg popielniczki i wyciągnął przed siebie rękę.

— Z jednej strony prowadzą firmy zgodnie z zasadami, które obowiązują wśród przedsiębiorców. Z drugiej utrzymują dobre stosunki z ważniakami ze związków zawodowych. Wspierają budowę siedziby związków zawodowych i udostępniają swoje lokale za darmo partii prawicowej. Zawsze im się udaje siedzieć

na wszystkich stołkach. Sprawiają, że ludzie władzy zaczynają wierzyć w kapitalizm z ludzką twarzą. — Leon skrzywił się, sięgnął po papierosa, zaciągnął się i wydmuchnął dym.

— Można się o nich dowiedzieć czegoś więcej?

— A co chcesz wiedzieć?

— Chcę mieć wgląd w ich środowisko.

— To nie będzie łatwe. — Leon pokręcił głową. — Wielu już próbowało. Ci, którzy spędzili wśród nich trochę czasu, milczą jak grób.

— A jeśli ktoś chciałby mimo to spróbować, to od kogo powinien zacząć?

Leon przesunął palcem po górnej wardze.

— Gdybym był na twoim miejscu, zająłbym się tym, który jest w klubie od niedawna. Ale musiałabyś na to poświęcić trochę czasu.

— Nie śpieszy mi się — odparła z uśmiechem Annie. — Kogo masz na myśli?

Leon siedział przez chwilę w milczeniu, bębniąc palcami po brodzie.

— Skupiłbym uwagę na Janie Karlviku. Od niedawna jest dyrektorem Scansteelu. To jedna z ich spółek, która handluje stalą. Karlvik jest z branży i zrobił szybką karierę. Ale nie pasuje do Drotha. Jest twardy i bezkompromisowy. Droth będzie go tolerował, dopóki Karlvik mu się nie postawi. W tym samym dniu wyleci z roboty. Miodowy miesiąc potrwa ze dwa lata, potem Karlvik dostanie kopa i będzie po sprawie.

— To mi wystarczy — powiedziała Annie, zapisując w notesie nazwisko.

— Działaj powoli, napisz najpierw o czymś związanym z jego branżą, z dziedziną, w której jest ekspertem. Innymi słowy, o czymś, o czym będzie mógł opowiedzieć bez zbytniego wysiłku.

— Na przykład?

— Nie wiem. Znam ludzi, nie branżę. A czego konkretnie szukasz?

— Piszę artykuł o prywatnych grupach, które skupiają władzę. Droth należy do jednej z tych najbardziej wpływowych.

— Coś w stylu wolnomularzy?

Annie skinęła głową i wstała z krzesła. Nie chciała odpowiadać na kolejne pytania i mówić o prawdziwych powodach.

— Uważaj, o co pytasz. Droth przez całe życie prześladował dziennikarzy, którzy zadawali mu niewłaściwe pytania. Miejmy nadzieję, że Karlvik ma prostszą naturę, ale jeśli się zorientuje, że kręcisz, załatwi cię. Każdy, kto należy do ich sfery, boi się o własną skórę.

Annie uśmiechnęła się i ruszyła do drzwi, ale nagle odwróciła się do Leona, który zaczął już przeglądać swoje papiery.

— Leon?

— Tak? — spytał, spoglądając na nią znad okularów.

— Dzięki.

• • •

Annie zerknęła na zegarek. Wpół do szóstej. Spakowała papiery, włożyła płaszcz i wyszła z pokoju. Postanowiła iść do klubu, żeby posłuchać Maxa. Poczowała kopnięcie dziecka w brzuchu, więc przyłożyła do niego rękę i zrobiła mocny wydech. Na dzisiaj koniec z siedzeniem w redakcji. Nie

opowiadała Maxowi o postępach w pracy, ale niedługo opowie. Nie spodoba mu się to, co ona robi. Tak groźna rzeczywistość mogłaby go zaszokować. Pod tym względem jest bardzo naiwny, ale między innymi za to go kocha.

Weszła do pokoju Wikholma i położyła mu na biurku teczkę z dokumentami.

— Wielka tajemnica ujawniona? — spytał z uśmiechem.

— Gdybyś przez jeden dzień musiał powstrzymać sarkazm, chyba w ogóle byś się nie odzywał — odparła Annie, idąc do drzwi.

— Zamknij drzwi i zostań jeszcze chwilę.

Annie zrobiła to, oparła się o drzwi i spojrzała na Wikholma pytającym wzrokiem.

— Co to za intymną rozmowę prowadziłaś z Leonem w jego pokoju?

— A co? Jesteś zazdrosny? — spytała z ironią.

— Za każdym razem, gdy o czymś nie chcesz mi powiedzieć, poznaję to po twoim wzroku. Jeśli do tego w pobliżu kręci się Leon, zaczynam się niepokoić.

— Nie masz powodu. Nie postawię cię w głupiej sytuacji.

— Nie chodzi o mnie.

Annie spuściła wzrok.

— Nie podejmuj ryzyka bez rozmowy ze mną. Dobrze?

— Dobrze.

— Spójrz na mnie.

Annie spojrzała mu prosto w oczy.

— Obiecujesz?

— Obiecuję.

• • •

Godzinę później Wikholm zapukał do drzwi człowieka, którego w pewnych sytuacjach nazywał swoim szefem. Carl von Konow. Wyżej sra niż dupę ma.

Na jego wizytówce było napisane „dyrektor naczelny”. Jego rodzicami byli Charles Gustaf Uno Falkman i Maria Eleonora von Konow. A na czole, ponad prostym nosem i wysuniętą brodą, miał wypisane: „wyższe sfery”.

Do redakcji trafił prosto z Riddarhuset. Podejrzana fundacja, w której wcześniej pracował, nie zdołała wprawdzie przekazać biednym ani grosza, ale nabyła udziały w gazecie, dzięki czemu von Konowa udało się umieścić w zarządzie.

Warto mieć swojego człowieka tam, gdzie dokonuje się selekcji informacji, pomyślał Wikholm. Zmarszczył czoło i nagle zamarzył o papierosie. Zastanawiał się, dlaczego postanowił rzucić palenie.

Wszedł do pokoju i położył na biurku plastikową teczkę. Zawierała kopie materiałów od Annie, które miały go przekonać, żeby dał jej więcej środków i czasu na zebranie informacji, a także pierwszy szkic artykułu.

— Mam to, o czym mówiłem — powiedział Wikholm. — Przeczytaj i powiedz, co zamierzasz z tym zrobić. Pytanie brzmi, czy chcesz to dalej ciągnąć.

Von Konow wziął teczkę i położył ją na kolanach.

— A jakie jest twoje zdanie?

— Byłoby dobrze, żeby ktoś zajął się tematem, ale nie jestem pewien, czy nadal chciałbym być redaktorem naczelnym w dniu, w którym to wszystko ukaże się w druku. — Wikholm uważał się

za dziennikarza, a nie kamikadze. Nigdy nim nie był i dzięki temu tak długo utrzymał stanowisko. Płaci podatki, żyje od pierwszego do pierwszego, od czasu do czasu wyskoczy na dziewczynki, ale na tym koniec. A jednak nie znosi tego rodzaju ludzi, których chce opisać Annie.

— To solidny materiał?

— Stara historia — odparł Wikholm, wzruszając ramionami. — Usłyszałem o niej kilka lat temu od znajomego, który pracuje w „Expressen” i prowadzi kronikę policyjną. Myślę, że w każdej gazecie znają plotki, które krążą na ten temat. Ale Annie odkryła nowe fakty, do tej pory nieznanne. Dotyczą bardzo poważnych spraw.

— A dlaczego nie powinniśmy dalej w tym grzebać?

— Zrozumiesz, kiedy przeczytasz.

— Domyślam się, że bez względu na to, co zrobimy, sprawa jest delikatna? Jeśli o tym napiszemy, oskarżą nas o zniesławienie. Jeśli nie napiszemy, pojawią się zarzuty, że nami sterują.

— Pewnie dlatego zrobili tu z ciebie dyrektora — powiedział Wikholm, idąc do drzwi. — Bo jesteś cholernie mądry.

Von Konow rozłożył dokumenty na biurku i zaczął je czytać. Po pewnym czasie zrozumiał, dlaczego z całej sprawy mogą wyniknąć kłopoty i dlaczego wcześniej odwiedził go Martin Hellsten.

Od roku docierały do niego pogłoski, że szefowie wielkich firm i czołowi politycy organizują zamknięte imprezy z udziałem prostytutek. Nikt nie mówił o tym otwarcie, ale wśród wymienianych nazwisk pojawiały się też nazwiska członków

jego klubu. Według niektórych pogłosek na imprezach dochodziło do sporych ekscesów, bo paru z ich uczestników miało „zбочzone skłonności”. Wszystko wskazywało na to, że podobne informacje dotarły też do Annie, która postanowiła je zbadać. Zachowywała się dyskretnie, ale wkrótce pewne osoby zaczęły się niepokoić faktem, że jakaś dziennikarka stawia niewygodne pytania. Może dlatego prawnik rodziny Drothów, Martin Hellsten, nawiązał z nim kontakt. Doszedł do wniosku, że Annie musiała nadebrać komuś na odcisk. Jeszcze nie wiedział, jakim tropem podąża dziennikarka, ale był absolutnie pewien, że nie chce brać udziału w czymś, co bez względu na wynik może mu przynieść więcej szkód niż korzyści.

• • •

Annie stała przed klubem jazzowym. Szyby były pokryte od wewnątrz parą. Na scenie siedział Max i jak zwykle wyglądał świetnie. Przytłumione dźwięki muzyki z trudem przebijały się na ulicę. Max z zamkniętymi oczami grał na żółtej gitarze. To prezent od niej. Może myśli teraz o nich? O tym, jak kiedyś na niego patrzyła, siedząc przy stoliku? Nagle wzdrygnęła się, bo tuż obok niej pojawił się jakiś mężczyzna. Otworzył drzwi, spojrzał na nią i przez chwilę się wahał, jakby chciał spytać, czy wejdzie z nim do ciepłego wnętrza. W końcu się rozmyślił. Max poczuł zimny powiew powietrza ciągnący od drzwi i uniósł wzrok, ale coś ją powstrzymywało, żeby wejść do środka i mu pomachać. Nie chodziło o niego ani o nią, ale o wszystko wokół, o świat. Miał swoje sposoby, żeby odsuwać ich od siebie coraz dalej. Zastanawiała się, kiedy się to wreszcie skończy.

Nowe kłamstwo i stara prawda

1

— Cholera, chociaż jedna kropla — syknął Johan Droth, patrząc na wodę w sedesie. Jej gładka powierzchnia zdawała się z niego szydzić. Popatrzył w lustro i ściągnął brwi. Powie administratorowi, żeby zabrał to lustro, bo nie chciał oglądać całego tego przedstawienia, które rozgrywało się za każdym razem, gdy wchodził do toalety. Trzyma się prosto, ma gęste włosy, stanowcze spojrzenie i mocny uścisk dłoni. Jest w dwurzędowym garniturze firmy Cordings. To jego ulubiona marka. Koszulę nosi zawsze białą i wykrochmaloną, do tego kremowy jedwabny krawat. Musiał przyznać, że jak na swoje siedemdziesiąt lat nadal prezentuje się elegancko. Niestety, choroby nie da się oszukać. Daje o sobie znać za każdym razem, gdy Droth próbuje oddać mocz. W ciągu ostatnich miesięcy było z tym coraz gorzej. Brał leki, ale załatwiał się z wielkim trudem. Czuł wtedy przeszywający ból w plecach. W niektóre dni, gdy stał nad sedesem i bolały go nogi, żałował, że rak nie usadowił się w mózgu, bo wtedy przynajmniej nie przeżywałby choroby w pełni świadomie.

W końcu dał sobie spokój. Spuścił wodę, umył ręce i oparł się

o umywalkę. Głośno oddychał. W lustrze zobaczył kroplę potu spływającą po czole. Wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa z rodzinnym monogramem, wytarł pot i przyłożył ją do dolnej wargi, żeby stłumić drżenie. Było zbyt słabe, żeby ktoś zauważył, ale i tak je czuł. Gdyby inni się dowiedzieli, że jest chory, powstałby chaos. Niektórzy z tych, którym ufał najbardziej, na pewno w końcu zwróciliby się przeciwko niemu. Dopadliby go jak stado wilków. A jego wrogowie nie czekaliby z atakiem zbyt długo. Zaczęliby od rozpowszechniania fałszywych pogłosek o złym stanie jego zdrowia. Potem pojawiłyby się plotki o tym, w jak niegodny sposób nabawił się swojej tajemniczej dolegliwości, przez którą tracił rozum i życie. Niewykluczone, że niektórzy wrogowie nazwą go pederastą, który w czasie swoich nocnych wypadów nabawił się choroby gejów. Kiedy grunt będzie w pełni przygotowany, postawią u jego boku kogoś zaufanego, żeby go ostatecznie wykończyć. „Robimy to z miłosierdzia”, powiedzą. „Kiedy na łożu śmierci zechce się rozliczyć ze swego doczesnego życia, nie będziemy nawet wiedzieli, o czym i komu o wszystkim opowie. Po co ryzykować?” Znał ich jak zły szeląg, ale i on postąpiłby tak samo. Członkowie klubu i wielu im podobnych ucieszą się z jego śmierci, choć nigdy nie wyjawią, że go znali. Ślady jego licznych wyczynów szybko odejdą w niepamięć. Po ukazaniu się nekrologu jego skrytka bankowa w Enskilda Banken zostanie wielokrotnie sprawdzona. W kominkach eleganckich willi przy Villagatan zapłonnie ogień, w którym spłoną dokumenty. Ich wspólną cechą będzie jego podpis.

Każdy z nich ma nazwisko, pochodzenie, świadectwa

z elitarnych szkół i sygnet rodowy. I tylko to do nich przemawia. Nie darzy ich sympatią i dlatego zamierza pozbawić ich radości i swobody związanych z jego odejściem z tego świata. Dzięki zapobiegliwości kolejnych pokoleń opanowali sztukę szczególnego patrzenia na życie; w jednym oku mają pogardę, a w drugim strach. Przy tym potrafią się jeszcze uśmiechać. Nie sprawi im radości, żeby z satysfakcją mogli unieść brew nad jego skromnym nekrologiem i wznieść toast za lepsze czasy. Nie jest jeszcze gotów rzucić ręcznika na ring. Pewien mądry człowiek powiedział kiedyś: kiedy śmierć zapuka do drzwi, sięgnij po karabin. Nawet osoby z jego najbliższego otoczenia nie wiedzą, że jest pod opieką lekarzy ze szpitala uniwersyteckiego we Fryburgu w południowych Niemczech. A ci twierdzą, że trzeba mieć nadzieję. Rak nie jest miejscowy, ale nie zaatakował kości. Całkiem możliwe, że pocieszają w ten sposób wszystkich nieszczęśników, którzy do nich przychodzą. Ma jednak nadzieję, że mówią prawdę, bo musi jeszcze trochę żyć.

Otrząsnął się z zamyślenia i przejrzał w lustrze. Spojrzeniem usprawiedliwił się, że znowu tu stoi i mówi do siebie. Przez dwie ostatnie noce nie mógł zasnąć i dlatego ciągle nad czymś rozmyślał. Potrzebował więcej czasu. Wmówił sobie, że lekarstwa go otępiają i że to przez nie stał się bardziej podenerwowany niż zwykle. No cóż, jest, jak jest. Bądź łaskaw przestać marudzić. Poprawił kołnierzyk koszuli i wrócił do pokoju, gdzie czekał na niego Buster.

Klub to jego drugi dom. Istnieje od 1800 roku i dlatego w rozmowach często odwołują się do „starych, dobrych czasów”. W broszurze informacyjnej można przeczytać, że w tamtych

czasach stres i pośpiech w ogóle nie istniały — ani w potocznej mowie, ani w rzeczywistości. W tamtych czasach dżentelmeni w cylindrach, w krochmalonych kołnierzykach i ze szpilką z perłą w krawacie przychodzili po pracy do klubu, aby spędzić tam kilka godzin w miłej atmosferze. Czas upływał im przy szklaneczce grogu. Jego ojciec był członkiem klubu od wojny. On sam wstąpił do niego w wieku trzydziestu lat, a Buster otrzymał trzy wymagane rekomendacje, gdy skończył dwadzieścia pięć lat. Taki klub pełni ważną funkcję: gwarantuje istnienie dyskretnego miejsca spotkań dla ludzi ze sfer politycznych i gospodarczych. Jednego dnia można tam spotkać prezesa IB albo kierownictwo Volvo; drugiego — szefa największej gazety w kraju, przywódcę Umiarkowanej Partii Koalicyjnej albo prezydenta Sztokholmu. Mieli tam dostęp do wszelkiej władzy.

— Wszystkie ważne decyzje zapadają w klubie, i to od bardzo dawna — wyjaśnił Busterowi za pierwszym razem, gdy siedzieli w tym pokoju tylko we dwóch. — Tak to funkcjonuje wszędzie. Dlatego ważne jest, aby należeć do właściwego klubu. W Londynie jesteśmy w Savile Club na Brook Street. W Nowym Jorku odwiedzamy Lotos, żeby zjeść lunch z doradcą, a gdy przyjeżdżamy do Brukseli, spotykamy się w Royal Automobil Club. W Szwecji trzeba należeć do Herrskapet, bo ten klub zrzesza polityków i przedsiębiorców. Posiadanie własnych zaufanych polityków jest dla nas od zawsze bardzo ważne. To w tym pokoju zapadła decyzja o modernizacji centrum Sztokholmu.

— Gdy wyburzono dzielnicę Klarakvarteren?

— Właśnie. W tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku.

Byłem wtedy trochę młodszy od ciebie i siedziałem w tamtym fotelu, koło kominka. Słuchałem, jak twój dziadek rozmawia z najważniejszymi politykami tamtych czasów. To był nasz ogromny sukces. Umocniliśmy się w nowych branżach i zdobyliśmy wpływy w najważniejszych związkach zawodowych. Nic lepszego nie mogło nam się zdarzyć. W Palermo odbywało się to na tych samych zasadach. Tam nazywają to „rzezią w Palermo”.

• • •

Ogień trzaskał na kominku. Na środku pokoju stał okrągły stół z ciemnego drewna, a wokół niego niskie czarne skórzane fotele. Na jednym z nich, tyłem do drzwi, siedział Buster. Zajmował taką samą pozycję, w jakiej zastał go Johan Droth, kiedy jakiś czas temu usiadł w fotelu, założył nogę na nogę, poprawił kanty na nogawkach i wypił trochę whisky ze stojącej na stoliku obok niego szklanki. Przymknął oczy i rozkoszował się ciepłem, które rozlewało się po całym ciele. Zlizał z warg ostatnie krople alkoholu, otworzył oczy i spojrzał na Bustera.

Jego syn ma już trzydzieści siedem lat. Jest opalony, na skórze ma gdzieś tam czerwone plamy i jest gładko ogolony. Pewnie chodzi do solarium, może nawet kupił sobie własne. Nadal jest kawalerem. Włosy zaczesuje do tyłu, oczy ma niebieskie, w kolorze nieba, spojrzenie mocne jak błyskawice podczas burzy. Jego marynarka wisi na oparciu fotela, ma na sobie białą koszulę bez krawata, spodnie trzymają się na granatowych szelkach. Szkoda, że nie ubiera się dyskretniej. Jego matka pochodziła z Glasgow i to pewnie jej szkocka krew ukształtowała w nim takie nawyki. Buster jest czuły na własnym punkcie, czasem

nawet zbyt agresywny i impulsywny. Wychowano go w taki sposób, żeby kierował się rozumem, a nie działał pod dyktando uczuć. Kiedy miał kilkanaście lat, wydawało się, że niebiosy sprzyjają rodzinie Drothów i w jego osobie zesłały zdolnego dziedzica fortuny. Niestety, nie była to prawda. Chociaż Buster przyswoił niezbędną wiedzę, był samowolny. Zbyt samowolny, aby zarządzać koncernem, któremu za jego życia stuknie sto lat. Johan Droth doceniał inicjatywę, ale wymagał bezwzględnego posłuszeństwa, które Busterowi przychodziło z wielkim trudem. To między innymi dlatego siedzą teraz w tym pokoju i rozmawiają w cztery oczy.

— Otrzymałem ofertę od pewnego konsorcjum z USA — zaczął Buster.

— Rozumiem, że to któraś ze znanych nam firm?

— Tak. — Buster skinął głową. — Wprawdzie grupa jest niewielka, ale są wśród nich dwie rodziny z Nowego Jorku.

Droth uniósł brwi.

— A dlaczego skontaktowali się z tobą? Byłoby rzeczą naturalną, gdyby zwrócili się do Rubena. Przecież wiedzą, że dla nas pracuje, więc jeśli chcą robić z nami interesy, powinni rozmawiać z nim.

Buster wzruszył ramionami.

— Słusznie, ale tak się złożyło, że skontaktowali się ze mną.

Johan Droth zamyślił się na chwilę.

— A jaki to interes rodziny z Nowego Jorku chcą ubić ze swoimi starymi przyjaciółmi ze Szwecji?

— Chcą pożyczyć od nas pieniądze.

— To czemu nie pójdą z tym do banku? — spytał ojciec. Chciał

tylko podrażnić się z Busterem, bo dobrze wiedział, że tacy klienci nie mają innej możliwości.

Buster zagryzł dolną wargę i zmrużył oczy.

— Chodzi o dużą kwotę, i to w gotówce.

Ojciec spojrział na niego z rozbawieniem, ale się nie odezwał.

— Dziesięć milionów dolarów — wyjaśnił po chwili Buster. — Nie rozmawialiśmy o odsetkach, ale zakładam, że będą wyższe niż w innych okolicznościach.

— Dziękuję ci bardzo! — zawołał Johan Droth. — Kiedy ktoś pożycza dziesięć milionów dolarów w gotówce, to na pewno nie on decyduje o wysokości odsetek. Na co im te pieniądze?

— Tego nie wiem. Nie pomyślałem, żeby o to spytać. To nie moja sprawa.

— W takim razie muszę ci coś wyjaśnić. — Johan Droth pochylił się i oparł łokcie na kolanach. — Nasi przyjaciele z konsorcjum chcą dużej kwoty od kogoś, kto może im pożyczyć nielegalne pieniądze, takie, których nie ma w księgowości. Chcą je zainwestować w coś, co też przyniesie im nielegalny dochód, z którego spłacą odsetki. Nielegalną gotówkę można zainwestować w korzystne interesy, ale istnieją też złe interesy, i właśnie od tego zależy nasza odpowiedź.

— Od czego?

— Od tego, na co zamierzają wydać te pieniądze. Jeśli chcą je skierować na ulicę i pożyczać ludziom na wyższy procent, to nie będziemy mieć żadnego problemu. Jeśli natomiast chcą je wydać na przykład na zakup leków odurzających, to moja odpowiedź brzmi: nie.

— A co to za różnica? Dla nas?

— Żadna.

— Więc jakie to ma znaczenie?

— Znasz odpowiedź na to pytanie. Od lat obowiązuje ta sama zasada: nie działamy w tej branży. Koniec, kropka.

Buster zerwał się z fotela.

— W czasie wojny pozwalaliśmy niemieckim pociągom jeździć przez terytorium Szwecji. Nasza rodzina sprzedawała Niemcom rudę żelaza, chociaż wiedzieliśmy, do czego jej potrzebują. Czym to się różni?

— To były inne czasy — odparł spokojnie Johan Droth. — A teraz mamy inne. Dyskusja skończona. Dowiedz się, co chcą zrobić z pieniędzmi. Wtedy podejmiemy decyzję.

Buster wbił wzrok w podłogę.

— To nie jest odpowiedź, jakiej oczekiwałem.

— Rozumiem. A czego się spodziewałeś?

— Myślałem, że powiesz: „Świetnie, Buster, że chcesz zarobić pieniądze dla rodziny. Odpowiadasz za to, żeby wszystko poszło, jak trzeba, i dziękuję ci za zaangażowanie”.

Johan Droth wybuchnął śmiechem.

— Ty nie ponosisz za nic żadnej odpowiedzialności. Jesteś moim synem, ale nie jesteś za nic odpowiedzialny. To ja jestem szefem tej rodziny. To ja decyduję, co trzeba zrobić. I niech ci się nie wydaje, że jest inaczej. Czy wyraziłem się jasno?

Buster usiadł w fotelu, ukrył twarz w dłoniach i skinął głową.

Jego ojciec stworzył siatkę powiązanych ze sobą firm. Ich struktura była trudna do przeniknięcia. Uczynił to głównie ze względów podatkowych, a nie po to, żeby przekazywać pieniądze organizacjom przestępczym. Wszystko zaczynało się od pewnej

fundacji w Holandii. Fundacja była właścicielem holdingu, również w Holandii. Holding był właścicielem spółek. Działalność innej spółki, zarejestrowanej w Luksemburgu, była opłacana przez holding. Mogła to być na przykład opłata licencyjna za patent. Właścicielem spółki w Luksemburgu była spółka na Antylach. Nią z kolei zarządzała spółka z Curaçao. Droth nie miał w tych spółkach ani jednej akcji. Kontrolował fundację i spółkę na Curaçao, bo właśnie tu była prawdziwa władza. I nie zamierzał jej wykorzystywać do sprzedaży narkotyków.

Kwota, którą chciało pożyczyć konsorcjum z Nowego Jorku, nie stanowiła żadnego problemu, pod warunkiem że on, Johan Droth, otrzyma należne odsetki. Niepokoił go tylko cel, na który pieniądze miały być przeznaczone. Nie jest przecież idealistą i od wielu lat pożycza pieniądze na różne ciemne sprawy. Leży to w naturze rzeczy, bo pożyczkobiorcy, którzy chcieliby pożyczyć pieniądze na cel zgodny z prawem, mogliby zwrócić się do zwykłego banku. Jednak on od zawsze był przeciwnikiem narkotyków, i żadne pieniądze nie zmienią jego stanowiska w tej sprawie.

Sięgnął do kieszeni marynarki, gdzie trzymał cygaretki. Wtedy przypomniał sobie, że rzucił palenie. Położył z powrotem ręce na oparciach fotela i skinął głową, jakby na potwierdzenie, że ta decyzja była słuszna. Rozsiadł się wygodniej, wypił resztę alkoholu ze szklanki i otarł z brody niewidzialną kroplę płynu. Spojrzał na Bustera, próbując się domyślić, co dzieje się w jego głowie.

— Nasza działalność jest oparta na doświadczeniu i na

prostych zasadach — zaczął. — Wiemy, nad którymi dziedzinami panujemy, działamy w nich i pozwalamy działać innym. Znamy branżę przemysłową. Znamy się na bezpieczeństwie i ochronie. Znamy związki zawodowe. Nie wchodzimy w branżę telefonów komórkowych ani w środki farmaceutyczne. Nie używamy naszych pieniędzy i wpływów do robienia niewłaściwych interesów. O tym wszystkim powinieneś wiedzieć. Zwłaszcza ty, bo dorastałeś u mojego boku.

— Ale ja o tym wiem — zapewnił Buster, patrząc na ojca pojednawczym wzrokiem. — Chcę tylko brać w tym wszystkim udział.

Johan Droth skinął powoli głową i nagle spojrzał na syna jak na małego chłopca, którym kiedyś był i który starał się zasłużyć na uznanie ojca.

— Nie będziemy już o tym więcej rozmawiać — uciął dyskusję. — Na dole czeka na nas jedzenie. Cieszymy się nim i nie zajmujemy się interesami.

— Oczywiście — odparł Buster. Wstał z fotela i podał ojcu rękę. Wydało mu się, że ojciec się skurczył. Siedzi ze szklanką w ręce i wygląda jak szkielet obciągnięty skórą albo ranny młody ptak skazany na łaskę innych. Buster poczuł, jak ogarnia go żądza władzy. Była jak nagły przypływ adrenaliny. Spojrzał ojcu w oczy i już wiedział, że ten zrozumiał. Znajomi z Luksemburga donieśli mu, że ojciec zasięgał porady lekarskiej w Niemczech. Na dodatek często chodzi do toalety. Jedyny słuszny wniosek jest taki, że ojciec ma raka. A on jest jednym z jego głównych spadkobierców. Jeśli więc ojciec wie, że zostało mu niewiele czasu, i nie podoba mu się podejście Bustera do niektórych

spraw, to pewnie wkrótce wykona jakieś posunięcie. Może nawet zmieni testament.

Johan Droth chwycił dłoń podaną mu przez syna i wsparł się na niej. Stali teraz naprzeciwko siebie i zanim opuścili ręce, Buster uśmiechnął się do ojca. Pomyślał, że ojciec bardzo by się zdziwił, gdyby wiedział, że jego dziedzic przez cały czas wyprzedza go o krok.

• • •

W drodze do domu Johan Droth zatrzymał się przy budce telefonicznej i zadzwonił do Hellstena. Poprosił go, aby skontaktował się z Rubenem Martinezem w Nowym Jorku, i to jak najszybciej.

2

— Proszę mi podać jeden dobry powód, dla którego nie powinienem teraz zadzwonić do Carla von Konowa i postarać się, żeby wyrzucił panią z pracy.

Jan Karlvik wszedł do pokoju. Annie nadal siedziała na krześle przed jego biurkiem. Ich rozmowa trwała już dziesięć minut, gdy nagle przeprosił ją grzecznie i wyszedł. Wrócił pięć minut później, ale nie miał dla niej dobrych wiadomości.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi — odparła Annie, żeby zyskać na czasie.

Karlvik obszedł biurko i usiadł na swoim miejscu.

— Oszukała mnie pani, więc chcę usłyszeć dlaczego.

— To nieprawda — próbowała się bronić Annie.

— Więc jak to możliwe, że kiedy zadzwoniłem do redakcji i spytałem, w którym dziale pani pracuje, usłyszałem, że jest pani dziennikarką śledczą?

Annie spuściła wzrok.

— Przed chwilą poprosiłem sekretarkę, żeby zadzwoniła na waszą recepcję. Kiedy ktoś próbuje mnie okłamywać, od razu to czuję.

Annie mogła mieć pretensje tylko do siebie, że tak się zaplątała. Rozmowę rozpoczęła od pytań dotyczących kariery Karlvika. Prawdopodobnie nie zwróciła uwagi na któreś z jego pytań i dlatego nabrał podejrzeń.

— Proszę mi wyjaśnić, czego chce się pani dowiedzieć.

— Pracuję nad tekstem o grupie mężczyzn zaangażowanych w działalność gospodarczą, a nie o panu. Chciałam porozmawiać z kimś, kto obraca się w tych sferach. To wszystko.

— Co to za tekst?

— Nie mogę tego zdradzić, chyba że obieca pan dochować tajemnicy.

— Za kogo się pani uważa? Przychodzi tu pani i stawia mi warunki? Czy to tak trudno zrozumieć, że może mi pani narobić kłopotów, wypytyując o innych ludzi?

— Zdaję sobie z tego sprawę.

— Mimo to uważa pani, że warto kłamać i stwarzać innym problemy tylko po to, żeby się od nich czegoś dowiedzieć? — pytał dalej Karlvik. Wstał z krzesła, ustawił się za nim i nie dając jej czasu na odpowiedź, kontynuował: — Zapraszam panią, szczerze z panią rozmawiam i co z tego mam? Będę potem czytał swoje własne wypowiedzi w zupełnie innym kontekście?

— Do niczego podobnego by nie doszło. Nie chciałam o tym pisać, tylko poznać branżę, w której pan pracuje.

— Jeśli nie zamierza pani o niczym pisać, to po co pani te

informacje?

Cisza.

— Jest mi pani winna odpowiedź.

Cisza.

Karlvik ruszył do drzwi.

— Koniec rozmowy. I nie chcę tu pani więcej widzieć. Jeśli pani to wydrukuje, zaprzeczę, jakobym cokolwiek powiedział. Nie lubię grozić ludziom znajomościami, ale jeśli wymieni pani moje nazwisko, mój adwokat skontaktuje się z Carlem von Konowem, który każe wam opublikować sprostowanie. — Przez chwilę milczał, po czym odważył się na stwierdzenie: — Jeśli mój przeciwnik postanowi grać nieczysto, nie zawaham się zrobić tego samego.

— Nie boję się von Konowa — odparła Annie. W torebce nadal miała włączony dyktafon. Czasem takie małe urządzenie wystarczy.

Spojrzała na fotografię kobiety, która mogła być żoną Karlvika, i zdjęcia dzieci stojące na szafce za biurkiem. Zastanawiała się, czy ktoś taki jak on może być zaangażowany w działalność klubu. Instynkt podpowiadał jej, że nie. Powinna była od samego początku być wobec niego szczerą.

Karlvik otworzył drzwi i czekał na nią z ręką na klamce. Annie odwróciła się i spojrzała na niego. Do środka zajrzała sekretarka.

— Czegoś pan potrzebuje? — spytała.

Karlvik popatrzył na dziennikarkę i uniósł brwi.

— No, dobrze — zgodziła się Annie. — Proszę zamknąć drzwi.

Posłuchał i stanął za biurkiem, z rękami skrzyżowanymi na

piersi.

— Musi mi pan obiecać, że zostanie to między nami — powiedziała.

— *Fair enough* — odparł Karlvik, potwierdzając obietnicę skinieniem głowy. — Pod warunkiem że nie napisze pani o naszym spotkaniu.

— Czy mogę panu zaufać?

Karlvik się roześmiał.

— Nie jest pani w sytuacji, w której można zadawać takie pytania i domagać się odpowiedzi. Ale zgoda, umówmy się, że jeśli ja mogę ufać pani, pani może zaufać mnie.

Annie zaczerpnęła głęboko powietrza i napiła się wody, którą dostała po wejściu do gabinetu. Szklankę odstawiła na biurko.

— Od dłuższego czasu badam sprawę kilku zamordowanych kobiet. Prostytutek. Pewnie pan o nich czytał.

Skinął głową.

— To tragiczne — powiedział.

— Niektóre ślady wskazują, że kobiety spotykały się z tymi samymi klientami, chociaż ich zwłoki odnajdywano w różnym czasie i w różnych miejscach. Może to były nieszczęśliwe wypadki, a może zamierzone działania. Mam na myśli morderstwa. Część faktów wskazuje na to, że kobiety pracowały w agencji prostytutek, które wynajmowano na prywatne imprezy. — Annie spojrzała na Karlvika, próbując wyczytać coś z jego twarzy.

— Imprezy?

— Mówię o prywatnych klubach dla mężczyzn, gdzie kobiety są wykorzystywane.

— Wykorzystywane? Imprezy? Niechże pani mówi prościej. Jakie imprezy? Czy chodzi o orgie seksualne?

— Mężczyźni wykorzystywali je seksualnie, ale czasem tak, że dla dziewczyn źle się to kończyło. Działali w grupie, nie indywidualnie.

Karlvik uniósł brwi i wypił trochę wody ze szklanki.

— Potem dokładnie po sobie sprząтали, żeby wydawało się, że kobiety zmarły z innej przyczyny, na przykład z przedawkowania. Krążą pogłoski, że w całą tę aferę zamieszanych jest kilku policjantów i lekarzy.

— Stop — przerwał jej Karlvik i uniósł rękę. — Twierdzi pani, że tamci ludzie zapraszają prostytutki na imprezy i zabawiają się z nimi wspólnie?

— Tak.

— I zdarzało się, że któraś z nich umierała, a wtedy oni zacierali ślady, żeby ukryć, jak naprawdę do tego doszło?

— Taka jest moja teoria.

— Brzmi potwornie. Kto pani zdaniem byłby do tego zdolny?

— Dotarły do mnie informacje, z których wynika, że czasami takie imprezy odbywały się w pewnym ekskluzywnym klubie. Nazywa się Herrskapet.

— Znam ten klub, ale nie jestem jego członkiem. — Karlvik powiedział to takim tonem, jakby chciał pokazać, że nie ma z klubem nic wspólnego.

— Wiem — odparła z uśmiechem Annie. — Mam listę członków.

— No tak... — Skinął głową.

— Uważam, że w klubie działa grupa i na jej czele stoi jedna

osoba. Ktoś szczególnie szanowany w tym gronie. Ma duże wpływy, więc inni nie ośmielą się mu sprzeciwić.

— Teraz rozumiem. — Karlvik się roześmiał. — Uważa pani, że tą poszukiwaną osobą jest Johan Droth?

Annie nie odpowiedziała. Karlvik wziął jej milczenie za odpowiedź twierdzącą. Rozsiadł się na krześle i spojrzał na nią z ulgą.

— Jestem pewien, że pani się myli — powiedział. — Johan Droth to człowiek o prostych zasadach. Nie ma nic wspólnego z dekadencckim stylem życia, jaki prowadzą niektórzy ludzie. On... — Przerwał, jakby nagle uświadomił sobie, że mówi o czymś, o czym nie powinien mówić.

— Czy dobrze go pan zna? — spytała Annie.

— Powiedziałbym raczej, że w ogóle go nie znam.

Annie zrozumiała, co Karlvik chciał jej dać do zrozumienia: o Johanie Drocie nie należy mówić w kontekście zamordowanych prostytutek. Ani w żadnym innym.

— W sumie to prawda, co pan mówi — zgodziła się, wkładając notes do torebki. — Ale trzeba sprawdzić wszystkie tropy. Jestem wdzięczna, że poświęcił mi pan czas. Przepraszam za niezbyt udany początek naszej rozmowy. Powinnam była od razu powiedzieć prawdę. Nie miałam złych zamiarów, chciałam się tylko spotkać z kimś, kto pomoże mi uzupełnić obraz.

— W takim razie obawiam się, że odejdzie pani stąd z niezalążoną sprawą.

— Mam nadzieję, że ta rozmowa zostanie między nami?

— Nie bardzo wiem, jak miałbym opowiedzieć komuś tę historię, żeby nie być wziętym za wariata. Proszę mi wybaczyć

szczerłość.

— Nie ma sprawy — odparła Annie, wstając z krzesła. — Zostawię panu swój numer telefonu — powiedziała, wręczając Karlvikowi wizytówkę.

— A po co miałbym do pani dzwonić? — spytał Karlvik, patrząc na jej dłoń.

— Może dojdzie pan do wniosku, że to świat oszalał, nie ja. — Ręka Annie zawisła w powietrzu. — W każdym razie polecam się. — Położyła wizytówkę na biurku i skierowała się do drzwi.

Dwie minuty po jej wyjściu Karlvik włożył wizytówkę do górnej szuflady biurka. Poleciał sekretarce, aby do końca dnia nie łączyła żadnych rozmów, chyba że zadzwoni żona. Przypomniało mu się spotkanie, które odbyło się wiosną w posiadłości Drotha. Aż się wzdrygnął, wyobrażając go sobie z kobietą.

• • •

Gdy tylko Annie zjawiała się w redakcji, usłyszała wołanie Wikholma. Stała w drzwiach jego gabinetu.

— Gdzie ty się podziewałaś? — spytał. — Wszędzie cię szukałem.

— Robiłam wywiad. A czemu pytasz? — Miała nadzieję, że Karlvik dotrzymał obietnicy.

— Chodź ze mną. — Wikholm miał taką minę, jakby od samego mówienia robiło mu się niedobrze. — Von Konow chce z tobą porozmawiać.

• • •

— Tchórze! — krzyknęła Annie. Krople śliny, które wytrysnęły jej z ust, spadły tuż przed zdjęciem żony von Konowa stojącym na biurku. Ten spojrział na nią, ale się nie odezwał.

Z początku poczuła ulgę, że rozmowa nie dotyczy jej spotkania z Karlvikiem. Potem była już tylko coraz bardziej zła. — Chcę się w końcu dowiedzieć, co jest grane!

Von Konow usiadł na krześle i zaczął bębnić palcami po blacie biurka, jakby chciał w ten sposób wyrazić swój aplauz dla niej.

— Uspokój się i usiądź.

— Nie chcę siedzieć.

— Pomyśl o dziecku.

— A ty pomyśl o swojej reputacji.

Von Konow skinął głową i rzucił spojrzenie stojącemu obok Wikholmowi.

— Właśnie o niej myślę — powiedział. — Nasza gazeta nie wyznaje teorii, którą opisujesz w materiale przekazanym Janowi. To ciekawy temat i dobrze o tym wiemy, ale zawiera zbyt wiele luźnych przypuszczeń i mętnych informacji z niepewnych źródeł. Lepiej się wycofaj.

— Zgadzasz się z jego opinią? — spytała Annie, patrząc na Wikholma. Ten potwierdził skinieniem głowy, ale się nie odezwał. Nawet nie spojrzał jej w oczy. Nad jego górną wargą pojawiły się krople potu.

— Czy to, co mówisz, ma jakiś związek z tym, że sam jesteś członkiem klubu? — spytała Annie, patrząc znowu na von Konowa. — Boisz się wejść w drogę ważnym ludziom?

Von Konow nie unikał jej spojrzenia. Wiedział przecież, że to pytanie się pojawi, i dlatego dobrze się na nie przygotował.

— Wiem, że tak to właśnie wygląda. Jednak ci, którzy mnie znają, mogą zaświadczyć, że nie przedkładam polityki ponad prawdę. Nie oczekuję, że mi uwierzysz, ale właśnie tak się

sprawy mają. Zresztą nie masz innego wyjścia. Nie dopuszczę do publikacji materiału pozbawionego konkretnej treści. Przyjmę za to twój felieton na temat upadku szwedzkiej niewinności. To naprawdę dobry tekst.

Annie usiadła powoli na jednym z krzeseł stojących przed biurkiem. Ukryła twarz w dłoniach. Wikholm podszedł do niej.

— Jak się czujesz? — spytał.

Nie mogła na niego patrzeć, a tym bardziej odpowiedzieć von Konowowi. Z trudem podniosła się z krzesła.

— Wiecie równie dobrze jak ja, że w tej sprawie jest jeszcze wiele rzeczy do ujawnienia. Niektórzy ludzie nie życzą sobie, żebyśmy w tym dalej grzebali. Wiem o tym od samego początku. Nie przypuszczałam tylko, że wy też należycie do tych, którzy nie chcą wiedzieć — syknęła. Trzasnęła drzwiami i wyszła na korytarz.

Kiedy wróciła do swojego pokoju, spakowała rzeczy, włożyła płaszcz i spojrzała na zegarek. Wpół do siódmej. Powinna już być w domu. Ona i Max próbowali, ale nie szło im za dobrze.

Po wyjściu z budynku ruszyła w stronę Malmskillnadsgatan. Postanowiła odnaleźć Sonję.

3

Przybita Annie szła wolnym krokiem. Minęła Regeringsgatan, gdzie stała grupka hałaśliwej młodzieży, i skręciła w Malmskillnadsgatan. Rano miała jeszcze nadzieję, że zdobędzie informacje od kogoś, kto tkwi w środowisku od lat, na przykład od Karlvika. Dopiero po spotkaniu z nim uświadomiła sobie, jak była naiwna. Przecież tacy jak Droth otaczają się ludźmi, którzy potrafią milczeć. Jeśli nie znajdzie czegoś, co

bezpośrednio łączy go z zabitymi dziewczynami, nie będzie miała nic. Nie ma przecież ani jednego świadka, który chciałby z nią rozmawiać. A prostytutkom nikt nie uwierzy.

Przypomniało jej się, czego dowiedziała się rok wcześniej od Cratza, lekarza sądowego z Solny. Chciał zrobić na niej wrażenie, więc opowiedział przerażającą historię. Spojrzała na zegarek. Już siódma, a Sonji nigdzie nie widać. Zatrzymała się przy budce telefonicznej i postanowiła od razu zadzwonić do Cratza. Często pracuje do późna i zawsze odbiera telefony.

— Annie, co za niespodzianka.

Annie wyczuła w jego głosie, że rozmowa z nią mu schlebia. Dlatego uznała, że od samego początku wszystko powinno być jasne.

— Mam pytanie związane z moim nowym tekstem na temat niewyjaśnionych zbrodni popełnionych na kobietach.

— Słucham. — Cratz był rozczarowany, że Annie nie zadzwoniła do niego, aby umówić się na drinka.

— Jakiś rok temu wspomniałeś, że nawiązaliście współpracę z pewną firmą z Anglii. Chodziło o analizę śladów znalezionych na miejscach przestępstw.

— Tak, o tak zwany profil DNA.

— No właśnie. Na czym to polega?

— Ogólnikowo czy naukowo i w szczególności?

— Ogólnikowo wystarczy — odparła Annie i głośno się roześmiała.

— Więc powiem tak: analizujemy znaleziony materiał, na przykład krew, ślinę, spermę. Musi to być ślad biologiczny. Profil DNA to kombinacja inna dla każdej osoby w wybranych

i przebadanych zakresach materiału genetycznego. Można powiedzieć, że każdy profil DNA jest unikalny.

— A więc to stuprocentowy dowód?

— Jeśli mamy wystarczającą ilość materiału genetycznego i porównamy go z odpowiednią liczbą osób, to tak. Ale takie badania są nadal w powijakach. Z drugiej strony, tak między nami, technika poszła już o wiele dalej, niż się przyznaje. W każdym razie takie odniosłem wrażenie po rozmowach z kolegami z Wielkiej Brytanii.

Badania DNA nie dostarczają tak pewnych informacji, jak by się chciało. Gdyby popełniono błąd, oznaczałoby to koniec ich wiarygodności. Dlatego naukowcy nie ryzykują zbyt daleko idących wniosków. Cratz wielokrotnie bywał z wizytą w Trace Diagnostics w Abingdon w Oxfordshire. Podczas ostatniej wizyty rozmowy na ten temat kontynuowano w miejscowym barze.

Chodziło między innymi o kwestie etyczne: czy można hamować technologię, za pomocą której nie da się wprowadzić skazać przestępców seksualnych, ale można zwolnić od zarzutu osoby niewinne i naprowadzić śledczych na właściwy tor? Jeden z Anglików powiedział Cratzowi, że etyka istnieje tylko w bajkach. Obaj byli już pijani.

— Dobrze zrozumiałam? Jeśli na ciele zamordowanej dziewczyny znaleziono spermę albo krew, jeśli mamy podejrzanego, a ty masz próbki jego spermy albo krwi, to dzięki testom da się stwierdzić, czy ten człowiek miał kontakt z dziewczyną?

— Tak. Ale akurat w tym przypadku istnieje pewien problem.

— Jaki?

— Zwłoki były tak czyste, że można to wytłumaczyć na dwa sposoby: albo mamy do czynienia z zimnym typem, który nie musiał się śpieszyć, pozbywając się zwłok, albo pomagał mu ktoś, kto wie, czego szukają tacy jak my.

— Cholera!

— Mam prośbę.

— Jaką?

— O tym wszystkim nie dowiedziałaś się ode mnie.

— Mnie można zaufać, zresztą sam o tym wiesz.

— Nie zaufałbym nikomu innemu — powiedział Cratz i się zawahał. — Sam nie wiem, dlaczego to robię. Zawsze mi odmawiasz, kiedy zapraszam cię na drinka.

— Tylko bez takich — odparła Annie, pukając drugą dłońią w słuchawkę. — Dobrze wiesz, że jestem mężatką. Więc albo mi o tym mówisz jak kolega koledze, albo dajmy sobie spokój.

— Miała prezerwatywę w żołądku — powiedział szybko Cratz, jakby się bał, że Annie nagle się rozłączy. — Dziewczyna znaleziona w Rosersbergu miała w brzuchu prezerwatywę.

— Skąd się tam wzięła?

— Przecież masz bujną wyobraźnię. — Cratz zachichotał. — Zastanówmy się. prostytutka była z klientem, robiła mu loda, on miał prezerwatywę. Chciał się uchronić przed chorobami albo nie chciał zostawić śladów. W każdym razie prezerwatywa znalazła się w jej żołądku. Ale jest jeszcze jedna ważna rzecz: prezerwatywa spełniła zadanie.

— To znaczy, że jeśli dostaniecie biologiczny ślad konkretnego mężczyzny, będziecie mogli sprawdzić, czy to on...

— Nie wiedziałem, że jesteś taka wstydliva. — Cratz się

roześmiał. — Sam dokończę: „...czy to on używał tej prezerwatywy”.

— Czego ci brakuje do przeprowadzenia testu?

— Tego, co najważniejsze: biologicznego śladu mężczyzny.

4

Wikholm przychodził do Klubu Prasowego tylko w piątki. Mimo to dzisiaj też tam poszedł i teraz siedział przy pustej szklance. Wodził wzrokiem po obrazach wiszących na ścianie. Przedstawiały gwiazdy dziennikarstwa, którym chciał kiedyś dorównać. Pionierzy i legendy różnych epok. Wyobrażał sobie, że gdyby go widzieli, uznaliby go za godnego dziedzica ich tradycji. Aż do dzisiaj. Nigdy przedtem nie bał się o swoją pracę tak bardzo, aby poświęcić dla niej dobro innego człowieka. Zamówił kolejne piwo, ale wiedział, że to i tak nie pomoże. Nawet gdy będzie pijany, myśli nie znikną z jego umysłu. Istniała linia, którą przekroczył. Teraz stoi po niewłaściwej stronie, ale drogi odwrotu już nie ma.

Upadek szwedzkiej niewinności

Tekst: Annie Lander

Szwecja to bezpieczny kraj. A także niewinny. Kraj, w którym wszyscy są równi, a przestępcy w sprawiedliwych sądach dostają sprawiedliwe wyroki. Czy na pewno? Czy naprawdę wierzymy w tak oczywistą nieprawdę? A może raczej przymykamy oczy i mocno trzymamy kciuki, aby nikt nie zwrócił nam uwagi, że to jedno wielkie narodowe kłamstwo? Kiedy słyszymy o niesprawiedliwości dziejącej się poza granicami naszego państwa, o procesach w sprawie korupcji i osobach z górnych warstw społecznych, które mimo obciążających je dowodów są uwalniane od zarzutów, reagujemy szybko i zdecydowanie, wskazując je palcem. Kręcimy głową i wzdychamy, bo świat zapomina, że wszyscy ludzie są równi; oburzamy się, słysząc, jaką władzę dają pieniądze i status. Potem sami siebie poklepujemy po ramieniu, wdzięczni, że my, Szwedzi, jesteśmy pod tym względem o wiele bardziej świadomi. Dlatego pytam: kiedy się

w końcu obudzimy? Kiedy do nas dotrze, w jakich czasach żyjemy?

Wierzę w coś innego niż szwedzka niewinność. Uważam, że w szwedzkim społeczeństwie istnieje wyższa sfera, której nie obejmują zasady i konwencje obowiązujące zwykłych ludzi. Przyzwolenie to przypomina immunitet dyplomatyczny: wybranym rodzinom — ich liczba nie przekracza kilkunastu — uchodzą na sucho czyny, z których powodu zwykli ludzie trafiają przed sąd i otrzymują surowe wyroki. Czy to naprawdę możliwe, że w naszym sprawiedliwym kraju niektórym ludziom nawet zbrodnie uchodzą bezkarnie? Myślę, że tak.

Od początku lat osiemdziesiątych w Sztokholmie znaleziono zwłoki kilku młodych kobiet. Sprawcy tych zbrodni nigdy nie wykryto. Kobiety łączyły wspólne cechy: były prostytutkami i miały mniej niż trzydzieści lat. Znajdowano je w lasach albo w parkach. Wszystkie były nagie. Ich ciała porzucano w innym miejscu niż to, gdzie pozbawiono je życia. Od dłuższego czasu rozmawiam z prostytutkami w Sztokholmie i spędzam z nimi sporo czasu. Między innymi na Malmskillnadsgatan, ale także w mieszkaniach albo schroniskach, w których przez pewien czas przebywały. Odsłoniły przede mną skrawek brutalnej rzeczywistości. Opowiadały o klientach z górnych warstw społecznych. O mężczyznach, którzy sami albo w grupie zamawiają prostytutki do swoich mieszkań albo pokojów hotelowych i robią z nimi, co im się tylko spodoba. Pieniądze nie stanowią dla nich problemu. Realizują swoje fantazje, wykorzystując do tego celu prostytutki — kobiety z innej klasy niż oni. Dzięki temu mogą sobie pozwolić na więcej, a potem odesłać je do domu z sutym napiwkem za ból i cierpienia. Jeśli któraś z nich dozna krzywdy, nie poskarży się. Jeśli któraś zniknie, nikt jej nie szuka.

Jak to możliwe, że dzieją się takie rzeczy?

Sądzę, że nie dostrzegamy prawdy na temat takich przestępstw, bo po prostu nie chcemy jej poznać. Albo ktoś inny nie chce, żebyśmy ją poznali. Tak czy inaczej, uważam, że istnieje wystarczająco dużo dowodów na potwierdzenie tego, o czym piszę. Wystarczy, że ktoś zechce otworzyć szeroko oczy. Że odważy się zapomnieć o władzy, bogactwie i statusie osób, które stosują takie praktyki, a przede wszystkim będzie miał wystarczająco dużo odwagi, aby stanąć w obronie zamordowanych prostitutek. Ciągłe twierdzymy, że w naszej bezpiecznej, sprawiedliwej Szwecji takich odważnych ludzi nie brakuje, że jest ich wielu. Pytam więc: gdzie są w tym przypadku?

Von Konow postanowił opublikować artykuł Annie, chociaż nie wyraziła na to zgody. Zredagował go jednak i usunął fragmenty dotyczące policji i wątpliwych działań prokuratury. Tak samo postąpił z informacjami dotyczącymi podejrzanych klubów. Klubów Carla von Konowa. Annie tego się po nim spodziewała, ale zastanawiała się, czy działał na czyjeś polecenie. Była rozczarowana — choć nieszczerólnie zdziwiona — postawą Wikholma. Podczas ostatniego spotkania dostrzegła w jego oczach, że nie potrafi stanąć po jej stronie. Był przestraszony. Może się bał, że straci pracę, a może z jakiegoś innego powodu? Strach sprawił, że stał się jak chorągiewka na wietrze. Kiedy rano mijali się na korytarzu, nie odpowiedziała na jego powitanie. Widać było po nim, że nie potrafi odnaleźć się w tej sytuacji. W jego zmęczonych oczach wyczytała, że poprzedniego wieczoru wydał w Klubie Prasowym dużo pieniędzy, aby o wszystkim zapomnieć. Potem przyszedł do jej pokoju i poprosił o rozmowę. Odpowiedziała, że wolałaby odłożyć ją do następnego dnia. Wikholm miał kaca i nie odważył się zaprotestować. Annie nie chciała go widzieć. Nie miała ochoty przebywać w jego towarzystwie. Obawiała się, że mógłby się domyślić, że coś planuje. Wikholm umie węszyć, a przecież ona potrzebuje czasu — bardzo dużo czasu — żeby napisać coś naprawdę dobrego, co będzie się nadawać do publikacji, co zmusi tych plugawych gnojzków do opuszczenia nor i wystąpienia na drogę prawną wobec gazety. Na tym polega jej podstęp. Taka będzie jej zemsta na von Konowie. Dostanie taki cios, że się już nie podniesie.

Wykorzysta do tego tekst, który został poddany obróbce. Przerobi go na artykuł, w którym powiąże ekskluzywny męski

klub w Sztokholmie z zabójstwami prostytutek. Napisze, że pewne poszlaki wskazują na to, że z klubem związani są niektórzy z ministrów i przedsiębiorcy. Ktoś powinien zareagować i gra się zacznie. Ten, którego szuka, na pewno nie oskarży gazety o zniesławienie, tylko zrobi krok do tyłu i jeszcze bardziej skryje się w cieniu. Jej plan polega na tym, że zostanie w redakcji po godzinach, a potem, między pierwszą a drugą korektą nowego wydania, pójdzie do szefa nocnej zmiany, Hansa-Christera Bergströma, i powie mu, że przynosi ostatnie zmiany zaakceptowane przez Wikholma. Jeśli Bergström do niego zadzwoni, a Wikholm będzie jeszcze w redakcji, wszystko się wyda. Jeśli nie, jej plan się uda. Miała nadzieję, że o tej godzinie Wikholm będzie pił w Klubie Prasowym. Jest wprawdzie czwartek, ale na takiego kaca jak dzisiaj musi się znowu napić, żeby pokonać strach.

Rozsiadła się na krześle i popatrzyła na tekst. Zamierzała opublikować półprawdy i spekulacje jako fakty. Właśnie w takim punkcie się znalazła. Demokratyczny obowiązek dziennikarza, pomyślała i głośno się roześmiała. Ten artykuł to coś innego. Jest bronią na wojnie, a wiadomo, że pierwszą ofiarą wojny jest zawsze prawda. Wikholm i von Konow ustalili zasady, a ona zgodziła się wziąć udział w ich grze i dostosowała się do zasad. Pomyślała, że z powodu jednej małej afery nie trafi przecież do piekła dla dziennikarzy. A nawet gdyby, to co z tego?

• • •

Próbowała skontaktować się z Maxem, żeby mu powiedzieć, że do domu wróci później niż zwykle, ale nie odbierał. Potem zaniósła swój artykuł Bergströmowi.

— Późna zamiana, polecenie od Wikholma — powiedziała.
Bergström uniósł brwi.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Widziałem się z nim, zanim wyszedł z redakcji, i nic o tym nie wspominał.

— Ale tak właśnie jest. Tekst zredagowano dość późno.

— Faktycznie — przyznał Bergström, drapiąc się po brodzie.
— Nie zrozum mnie źle, nie chodzi o to, że ci nie ufam. Ale nie weźmiesz mi za złe, jeśli do niego zadzwonię i poproszę o potwierdzenie?

— Jasne, że nie — odparła Annie. Stała nieruchomo przy biurku, kiedy Bergström wybierał numer telefonu Wikholma. Nagle zrobiło jej się niedobrze, ale nie potrafiła określić, czy to ze strachu, że Wikholm odbierze telefon i wszystko się wyda, czy raczej z powodu wyrzutów sumienia, że okłamuje Bergströma.

— Dobry wieczór, pani Wikholm, mówi Bergström z redakcji. Przepraszam, że dzwonię o tej porze. Mogę rozmawiać z Janne?
— Przez chwilę wsłuchiwał się w głos w słuchawce, aż w końcu odłożył ją na widełki. — Nie ma go w domu.

Uśmiechnął się do Annie, która od razu poczuła, jak napięcie opada.

— W takim razie spróbujemy w Klubie Prasowym — powiedział Bergström, wybierając z pamięci numer telefonu. — Tu Bergström z najlepszej w Szwecji porannej gazety — zaczął i głośno się roześmiał. — Szukam mojego naczelnego, Wikholma. Tak, poczekam. — Spojrzał na Annie i uśmiechnął się do niej. — Aha, nie ma go — rzucił do słuchawki, marszcząc czoło. — W takim razie przekazcie mu, że jego żona myśli, że on jest właśnie u was. Dzięki, do usłyszenia — zakończył rozmowę

i odłożył słuchawkę. — Jak widać, tam też go nie ma — powiedział, zakładając okulary. — Kiedy z nim rozmawiałaś?

— Chwilę przedtem, zanim wyszedł z biura. Wypruwałam sobie żyły, żeby zdążyć z tekstem.

— Wikholm zazwyczaj dzwoni w takich sytuacjach.

— Nie wyglądał najlepiej, jak go ostatnio widziałam. Chyba miał na głowie inne sprawy.

— Powinien się pilnować, niedługo stuknie mu sześćdziesiątka, a w pasie mu przybywa. Ja w każdym razie dbam o kondycję. — Poklepał się po brzuchu. — Okay, wrzucę ten tekst, mam nadzieję, że Janne właśnie tego sobie życzył.

Annie wyszła z pokoju i opuściła redakcję. Czowała się tak, jakby podłożyła bombę.

6

Na stole w salonie stała prawie pusta butelka wina. Annie zawołała Maxa, ale nie doczekała się odpowiedzi. Zdjęła buty i weszła do pokoju. Max siedział na podłodze przed zestawem stereo ze słuchawkami na uszach i gitarą na kolanach. Ze słuchawek dobiegały chaotyczne dźwięki muzyki jazzowej z jednej z jego płyt. Annie położyła mu dłoń na ramieniu. Max drgnął i przewrócił kieliszek z resztką wina stojący na podłodze.

— Cholera — zaklął. Zdjął słuchawki i sięgnął po opakowanie płyty, żeby nie zalało go wino. — Przestraszyłaś mnie.

Annie poznała po jego oczach, że zdążył opróżnić całą butelkę.

— Niedługo skończę — powiedział, nakładając słuchawki z powrotem. — Jeszcze kilka minut.

— A wino? — spytała Annie, wskazując na czerwoną plamę

na parkiecie.

— Sam wytrę — odparł Max. — Jak skończę.

Poszła do kuchni, wzięła ścierkę i nie zdjęwszy płaszcza, zaczęła wycierać podłogę.

Max popatrzył na nią i powoli zdjął słuchawki.

— Przecież powiedziałem, że sam to zrobię.

— Jeśli nasz syn okaże się leniwy i będzie odkładał wszystko na później, będzie wiadomo, po kim to odziedziczył — rzekła Annie, patrząc na niego surowo.

Max odpowiedział łagodnym spojrzeniem.

— A jeśli urodzi się chory, będzie wiadomo, kto za dużo pracował — odparł.

Annie przestała wycierać podłogę i spojrzała na niego. Dźwięki dochodzące ze słuchawek osiągnęły już poziom crescendo. Rzuciła mu morką ścierkę w twarz.

— Ty bezduszny idioto! — powiedziała i pobiegła do toalety.

Max wiedział, że nie ma sensu za nią iść. Annie zatrzasnęła za sobą drzwi z takim hukiem, że gdyby ulicą właśnie ktoś szedł, mógłby zadzwonić na policję, żeby zgłosić strzelaninę na Medborgarplatsen.

Nalał do kieliszka resztkę wina z butelki. Wypił do dna i pomyślał: nie zasługujesz na nią. Nie zasługujesz na nią. Nie zasługujesz na nią. Wypowiedział te słowa na głos i nagle oczy zasły mu łzami. Przesunął językiem po wargach i poczuł silny ból głowy, który promieniował do skroni.

— Maxie Lander, jesteś do niczego. Po prostu do niczego.

Wziął kieliszek i poszedł do kuchni. Wstawił go do zlewu, wyjął czystą ścierkę, wrócił do pokoju i zaczął wycierać podłogę.

Plama sięgnęła krawędzi dywanu, więc przyniósł sól i wysypał na nią pół opakowania. Sól sypała się na dywan jak piasek w klepsydrze. Patrzył i nie mógł się oprzeć myśli, że w taki sam sposób umyka mu czas. Nie może iść na skróty, nie wystarczy zwykle „przepraszam”. Dostrzegł to w jej oczach. Sygnał do ucieczki.

Na początku związku nie mieli problemów z rozmową. Jednak z upływem czasu coś się w nich zacięło, ale pytani, czy coś jest nie w porządku, odpowiadali przecząco. Wcześniej tolerowali swoje słabości, najpierw na poważnie, potem na niby. Trwała między nimi jakby zimna wojna. Różnica polegała tylko na tym, że w przeciwieństwie do prawdziwej zimnej wojny na czerwonym guziku wyraźnie zaznaczył się tłusty odcisk palca. Annie coraz więcej pracowała, on demonstracyjnie coraz więcej pił, a kiedy siedział w salonie, zakładał na uszy słuchawki. Leżeli po nocach, nie mogąc zasnąć, myśleli o dziecku i o tym, jak bardzo się kochają, i zadawali sobie pytanie, na które nigdy nie znajdowali odpowiedzi: co zrobić, żeby było lepiej? Wyglądało na to, że żadne nie potrafi zrobić niczego. Tylko Bóg może im pomóc. Poczuliby się lepiej, gdyby któreś z nich wierzyło w jego istnienie.

Usiadł na podłodze przed toaletą i oparł się plecami o ścianę naprzeciwko drzwi. Słyszał oddech Annie po drugiej stronie i wiedział, że ona też słyszy jego oddech.

— Nie jestem w stanie dalej się kłócić — powiedziała przez drzwi. — Dlaczego my to robimy?

— Nie wiem.

— Dzisiaj taka odpowiedź już mi nie wystarczy. Pomyśl.

Max zrozumiał, że musi zajrzeć w głąb swojej duszy i znaleźć w niej miejsce, w którym kryje się prawda o nim samym. Tak się jednak składało, że akurat w tym miejscu nie za bardzo lubił przebywać. Starał się go unikać. W podobny sposób reagował, gdy widział w telewizji prawdziwe i okrutne doniesienia ze świata. Jego życie polegało dotychczas na tym, aby nie wiedzieć o wszystkim, o sobie samym i o świecie. Oczy mu zmatowiały, zacisnął wargi. Jestem taki mały, pomyślał. Zmieściłbym się w tyłku mrówki. Właśnie tak mały jestem.

— Nic na to nie poradzę — odparł.

— Mów głośniej.

— Może po prostu stamtąd wyjdiesz?

— Nie.

Max skinął głową. Chciał powiedzieć, co czuje, ale nie potrafił. Czuł się tak, jakby swój talent do życia już dawno temu zamienił na talent muzyczny. Lepszej okazji, żeby znów dokonać zamiany, nigdy nie będzie. Chciał powiedzieć: nic na to nie poradzę, ale boję się, że na ciebie nie zasługuję. Kim jestem? Chłopcem w ciele mężczyzny. Tracę życie na bzdury. Nie wiem o niczym, o czym ty wiesz. Jestem egocentrykiem. Kiedy w telewizji mówią o poważnych sprawach, zmieniam kanał. Zawsze czułem się od ciebie gorszy, bo naprawdę taki jestem. Chciał powiedzieć, że czuje się jak natręt, ktoś, kto przez całe życie wdzierał się do świata, w którym tak naprawdę nie ma nic do roboty. Chciał jej wyjaśnić, że czuje się tak, jakby wszyscy inni ludzie w jej świecie mieli przynajmniej takie samo prawo do przebywania w nim jak on. Rozumiesz? — chciał spytać. Nie jestem wart więcej od innych. Nie zasługuję na zaufanie. Nie jestem wart poświęcanego

mi czasu, marzeń ani przyszłości.

Tak właśnie myślał, ale nie powiedział tego na głos. Poszedł do salonu, położył się na kanapie i zanim Annie wyszła z łazienki, zasnął.

• • •

Leżała w łóżku i odczuwała wyrzuty sumienia. Nie ma racji. Po tym, co się zdarzyło w ostatnich dniach, nie potrafiła trzeźwo myśleć. Wypowiadała pojedyncze słowa i zdania, ale brzmiały inaczej, niż chciała. Powinna iść do Maxa, obudzić go i przeprosić, a potem zachęcić, żeby jej w końcu zdradził, co tak naprawdę myśli. Powinna mu wyjaśnić, że ma złe przeczucia, że w świecie, w którym żyją, będą musieli walczyć o swój przyszły byt. Przyznać się, że ma trudną sytuację w redakcji, że być może będzie musiała się zwolnić i gdy urodzi Leonarda, stracą jedyny stały dochód. Powinna mu powiedzieć, że dopadło ją wszystko to, co kiedyś było w jej życiu niesprawiedliwe. Chciała się raz na zawsze rozliczyć ze światem. Właśnie o tym wszystkim chciała mu opowiedzieć. Może by ją wtedy zrozumiał i pomógł? Niestety, nie zrobiła tego.

Jawność ich jedynym świadkiem

Tekst: Annie Lander

W Sztokholmie istnieje pewien klub. Nazwijmy go po prostu Klubem. Od dawna jest miejscem spotkań ludzi władzy, ale dwieście lat od jego powstania kobiety nadal nie mają do niego wstępu. Nie da się zaprzeczyć, że o przyjęciu nowych członków decyduje nieformalna sitwa złożona z ludzi polityki i przedsiębiorców. Nie muszę chyba dodawać, że ta nieformalna władza jest zarezerwowana wyłącznie dla mężczyzn.

„Panowie kochają kobiety, ale uważają, że czasem miło jest odpuścić sobie flirty i ceregiele”.

Tak przedstawia to jeden z mężczyzn, gdy pytam go o Klub i o wykluczenie kobiet. Podobnie jak inni rozmówcy chce pozostać

anonimowy i ma ku temu powody. Kto bowiem wypowiada się na temat Klubu poza zaufanym kręgiem, ryzykuje, że zostanie z niego usunięty. Ów krąg tworzą znane nazwiska: ministrowie, wiceministrowie, sędziowie i prawnicy — to oni są członkami Klubu. Czy kogoś to dziwi? Nie, za to bardziej zdumiewający jest brak reakcji ze strony społeczeństwa. Wyobraźmy sobie, że jakiś minister, sędzia albo poseł należy do stowarzyszenia, które nie wpuszcza w swoje szeregi Żydów albo homoseksualistów, i że sprawa ta wychodzi na jaw. Wtedy reakcja pojawiłaby się natychmiast. Nasze zainteresowanie powinna też wzbudzić kultura takiego klubu, wyrażane w nim poglądy na sprawy kobiet, które prowadzą do jawnego wykorzystywania prostytutek w sposób odzwierciedlający przekonanie, że nie są one pełnowartościowymi ludźmi, a ich życie też jest niewiele warte. Może nawet w ogóle nie ma żadnej wartości.

Klub jest jednym z wielu podobnych stowarzyszeń. W ciągu ostatnich dziesięciu lat w Sztokholmie znaleziono cztery zamordowane prostytutki. Przynajmniej dwie z nich pojawiały się na organizowanych przez kluby imprezach, na które zamawiano prostytutki. Nie można wykluczyć, że kluby dokumentowały swoje spotkania, wpisując do protokołu datę i nazwiska uczestników. Ciekawie byłoby porównać te informacje z danymi, jakie zebrała policja na temat zamordowanych kobiet. Ktoś powinien się tym zająć. Problem polega jednak na tym, że wielu członków Klubu to prawnicy, sędziowie i inni ludzie, którzy na co dzień, z racji wykonywanego zawodu, badają tego rodzaju powiązania, o jakich piszę.

Niewiele z tych kobiet odważyłoby się zgłosić na policję, bo niektórzy z członków Klubu są policjantami. To oni złożyli im propozycję nie do odrzucenia: jeśli chcą uniknąć kłopotów w opiece społecznej, powinny jeden wieczór przepracować za darmo.

Zamknięte społeczności, takie jak opisywany wyżej Klub, sprawiają, że interes kręci się dalej. Ustawodawcy, prokuratorzy, sędziowie... To oni są winni śmierci tamtych kobiet. Przesadzam? Być może. Ale brak wiedzy nie pozostawia miejsca na inne wytłumaczenie. Przydałoby się trochę więcej jawności.

7

Max leżał zawinięty w koc i spał jak zabity. Ustami dotykał poduszki, która okalała jego twarz na kształt podkowy. Jedna ręka leżała wzdłuż boku, drugą wsunął pod brzuch. Lewą nogę

wyciągnął tak, jakby szykował się do wykonania gigantycznego skoku, prawa była skierowana w przeciwną stronę. Jego oddech przenikał przez poduszkę, a gdy wracał, owiewał ciepłem jego twarz.

Annie wzięła prysznic, wysuszyła włosy, przymierzyła kilka ubrań i przygotowała śniadanie. Przez cały ten czas Max twardo spał. Hałasowała bardziej niż zwykle, bo zależało jej, żeby się obudził. Niestety, Max ciągle spał. Muszą odbyć poważną rozmowę i dobrze o tym wie, ale teraz nie potrafiłaby tego zrobić. Od pewnego czasu obserwuje, jak Max pije coraz więcej. Domyślała się, że ma to coś wspólnego z jej ciążą. Że on się tej ciąży boi, tak jak ona. Musi go jakoś przekonać, że rozumie, ale on musi ograniczyć picie. Dla ich własnego dobra i dla dobra dziecka.

Stała przed lustrem przy końcu łóżka i przejrzała się w nim. Zmieniła pozycję i ponownie spojrzała w lustro. Przeciągnęła się, znowu obejrzała się z drugiej strony i postanowiła się przebrać. Włożyła to, co wybrała na początku. Zaokrąglić się to jedno. A co innego zwyczajnie się roztyć. Rozebrała się i postanowiła, że koniec z przebieraniem, trzeba przed wyjściem zjeść śniadanie. Jest już prawie ósma. Gazetę przeczytała zaraz po tym, jak listonosz wrzucił ją przez szparę w drzwiach. Jej artykuł został opublikowany. Chętnie pokaże go Maxowi, ale na razie włożyła go do torebki. Uświadomiła sobie, że odczuwa dziwny spokój, chociaż wiedziała, co ją czeka. Pomyślała, że inaczej nie mogła postąpić. Jest to winna Sissi i innym dziewczynom.

— Kochanie — szepnęła, przesuwając dłonią po włosach

Maxa. — Słyszysz mnie?

Wydał z siebie nieokreślony dźwięk.

— Kochanie, w kuchni czekają grzanki i kawa.

Jej głos przypominał Maxowi echo rozbrzmiewające w pustej sali.

— Mmm... — mruknął.

— Kochanie — powtórzyła Annie. — Muszę już iść.

— Mmm... — mruknął znowu i ponownie zapadł w sen.

Śniło mu się, że przebywa w sali wypełnionej publicznością. Nagle słyszy głośny aplauz i zaczyna grać na gitarze jak w transie. Czuł się jak Charlie Parker, zanim wszystko trafił szlag, przed wyjazdem na Zachodnie Wybrzeże. Grał i ludzie nie wiedzieli, że to jazz. Serce tłoczyło mu krew z taką siłą, że czuł puls w palcach. Grał i kołysał się na scenie. Tęsknił tylko i wyłącznie za kolejnym akordem. Nie za żoną, nie za ich dzieckiem, nie za ginem z tonikiem — tylko za akordami. W jednym momencie czuł wstyd, ale już w następnym takcie uczucie mijało. Następny takt. Tylko tego mu teraz brakuje. I tylko tego potrzebują inni. Kątem oka zauważył, że patrzy na niego szef. Wiedział, że jeśli spojrzy w górę, szef zastuka palcem w nadgarstek, na którym ma zegarek odziedziczony po ojcu. Dlatego nie spojrzał w górę. Jeszcze tylko trochę, pomyślał. Wiem, która jest godzina, ale pogram jeszcze przez chwilę. Potem pójdę do domu, gdzie czeka na mnie żona z dzieckiem, i zrobię wszystko, czego można się spodziewać po kimś takim jak ja. Wiedział, że kiedy będzie już po wszystkim i wyjdzie z lokalu, zacznie tęsknić i kochać tych, którzy są o wiele ważniejsi od niego i od kolejnego taktu. Tylko nie teraz, błagał we śnie. Nie

teraz.

— Jeszcze trochę — szepnął w stronę pustego pokoju. — Jeszcze trochę.

W tym samym momencie trzasnęły drzwi, zachrząścił klucz w zamku i na klatce schodowej rozległy się kroki Annie, które chwilę później ucichły. Było wpół do dziewiątej. Zapowiadał się chłodny dzień. Jakby zwiastował coś złego.

8

Carl von Konow siedział za biurkiem. Naprzeciwko niego, na tym samym krześle, co dwa dni wcześniej, siedział Wikholm. Kiedy Annie weszła do pokoju, odwrócił się i spojrzał na nią. Miał bladą twarz i zaczerwienione oczy. To po ostatnim wieczorze albo z powodu tekstu, który miał rozłożony na kolanach, pomyślała. Pewnie dostał go przed chwilą od von Konowa.

— Do jasnej cholery, Annie — zaczął Wikholm, gdy ich spojrzenia się spotkały.

Przerwał mu von Konow. Starał się zachować formalny ton, ale i tak nie udało mu się ukryć zdenerwowania.

— Na podstawie ustawy o stosunku pracy zawieszam cię od dzisiaj w pełnieniu obowiązków służbowych — powiedział. — W ciągu trzydziestu dni poinformujemy cię, jakie inne środki dyscyplinarne zostaną wobec ciebie zastosowane. Nie muszę chyba wyjaśniać, że będzie to zależało od rodzaju szkód, jakie nam wyrządziłaś. Nie mogę wykluczyć, że ktoś wstąpi na drogę prawną. Za okres zawieszenia nie otrzymasz pensji. Przewodniczący Stowarzyszenia Dziennikarzy Szwedzkich w naszej gazecie już o wszystkim wie, więc jeśli uznasz, że to konieczne, możesz się z nim spotkać. Wiesz, gdzie ma swoją

siedzibę. Rozmawiałem też z Bergströmem. Nie powtórzę, jak cię nazwał, ale powiedział mi, że w całej swojej karierze nigdy się z niczym podobnym nie spotkał. Jest co najmniej zdumiony twoim zachowaniem. Pod tym względem nasze opinie o tobie okazały się rozbieżne.

Von Konow założył okulary i podał Annie kartkę papieru. Wzięła ją, ale nawet na nią nie spojrzała.

— Zabierz swoje rzeczy i natychmiast opuść redakcję. Chyba że masz coś do powiedzenia na swoją obronę?

Annie opuściła pokój bez słowa.

• • •

Kiedy podeszła do swojego biurka, zauważyła karteczkę przyklejoną do telefonu. Zanim wyszła na spotkanie z von Konowem, jeszcze jej tam nie było. Ktoś do niej w tym czasie dzwonił. Widać zależało mu na tym, aby oddzwoniła. Nie ma co czekać, pomyślała. Numer kierunkowy 0157 wskazywał na Sörmland. Korytarzem przechodził akurat von Konow, który rzucił jej niezadowolone spojrzenie. Chcąc mu pokazać, jak małą wagę przywiązuje do jego słów, demonstracyjnym ruchem sięgnęła po słuchawkę i wybrała numer. Po drugim sygnale usłyszała w słuchawce męski głos.

— Słucham?

— Z kim rozmawiam? — spytała Annie.

— A kto dzwoni?

— Annie Lander. Znalazłam wiadomość, aby oddzwonić pod ten numer.

— O, to świetnie. Bardzo dobrze, że pani dzwoni — usłyszała. Mężczyzna, który odebrał, musiał być starszym człowiekiem.

— O co chodzi?

— Myślę, że mam do przekazania coś, co może panią zainteresować — powiedział mężczyzna. — Czytałem pani artykuł w dzisiejszej gazecie.

— I co?

— Przez całe życie pracowałem jako dziennikarz. Od kilku lat jestem na emeryturze. Pracowałem w pewnej gazecie we Flen, ale nie była tak duża jak pani dziennik.

— Nie dosłyszałam pańskiego nazwiska?

— Bo się nie przedstawiłem. Nazywam się Sture Hult.

— A czym chciałby mnie pan zainteresować?

— Ja też kiedyś badałem sprawę mężczyzn, którzy w bardzo brutalny sposób wykorzystywali kobiety, a mimo to unikali kary. Nawet gdy doszło do zabójstwa. Miało to związek z ich pozycją społeczną.

— Przepraszam, jeśli moje pytanie wyda się panu nieuprzejme, ale jeśli miał pan dowody, dlaczego nie zgłosił pan tego policji?

Hult się zachnął.

— Policji nie interesują takie sprawy. Zwłaszcza jeśli przychodzi do nich prowincjonalny dziennikarz, który prowadził śledztwo na własną rękę. Chyba pani wie, o czym mówię?

— A dlaczego pan sądzi, że mogłoby to zainteresować mnie?

— Bo znałem pani matkę i wiem, że ją też by to zainteresowało — odparł bardziej bezpośrednim tonem Hult.

Annie straciła nagle równowagę, a próbując ją odzyskać, kopnęła niechcący w biurko. Telefon upadł na podłogę, a gdy chwyciła za kabel, żeby go podnieść, zauważyła, że jej kawa

rozlała się po biurku. Hult nadal był na linii.

— Znał pan moją matkę?

— Tak. Ma pani na imię Annie i jest córką Karin Åkesson, prawda?

— Tak.

— Kiedy widziałem panią ostatni raz, miała pani trzy albo cztery lata. Zapamiętałem pani twarz. Od razu panią rozpoznałem na zdjęciu w gazecie. Nigdy nie zapomniałem o tamtej tragedii i być może dlatego pani twarz tak bardzo utkwiała mi w pamięci.

— Przepraszam, ale zaskoczył mnie pan — powiedziała Annie. Poczula, jak robi jej się sucho w ustach. — Gdzie poznał pan moją matkę?

— To było zaraz po tym, jak przeprowadziła się do Flen. Pod koniec lat pięćdziesiątych. Może pani o tym nie wie, ale Karin mieszkała przedtem w Västerås. Albo przynajmniej stamtąd się do nas przeprowadziła.

— Jak się poznaliście?

— Jak już mówiłem, byłem dziennikarzem. Pracowałem w gazecie „Folket” we Flen. Przeprowadzałem wywiady z nowymi mieszkańcami. Właśnie tak się poznaliśmy. Kiedy Karin przybyła do Flen, napisałem o niej, zrobiłem jej zdjęcie i tak dalej. Zgodziła się dość niechętnie. Po tamtym spotkaniu witaliśmy się na ulicy i zawsze trochę pogawędziliśmy. Czasem szliśmy na kawę. Myślę, że czuła się nieco samotna i musiała z kimś porozmawiać. Kiedy przyszła pani na świat, rozmawialiśmy rzadziej, ale kilka razy spotkaliśmy się nawet we trójkę. Była pani zbyt mała, żeby to zapamiętać.

— Pewnie tak — zgodziła się Annie, próbując przetrwać to, co przed chwilą usłyszała. — Prawie nie pamiętam mojej matki. Jaka była?

— To była fantastyczna kobieta — odparł z ożywieniem Hult. — Biła od niej taka energia, że każdy ją czuł, nawet jeśli nie znał jej zbyt dobrze. Wydaje mi się, że Karin miała ogromną radość życia, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę jej sytuację. Nie wiem, czy wyraziłem się zrozumiale.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni, pomyślała z uśmiechem Annie.

— Z tego, co wiem, pracowała wcześniej w jakiejś fabryce w Västerås. Firma zatrudniała kobiety z Włoch, a pani matka uważała, że dyrekcja nie traktuje ich we właściwy sposób. Dlatego pewnego dnia się spakowała i przeprowadziła do Flen. To była bojowa kobieta.

— Czy była ładna?

— Bardzo. Nadal mam jej zdjęcie, które opublikowałem razem z artykułem. Mogę przygotować kopię na nasze spotkanie.

— Będę bardzo wdzięczna. Jesteśmy do siebie podobne?

— Jak dwie krople wody. Kiedy zobaczyłem w gazecie pani zdjęcie, poczułem się tak, jakbym znowu zobaczył ją.

W oczach Annie stanęły łzy. Była dumna, że jest córką kobiety, którą chciała poznać przez całe życie.

— Bardzo mnie to cieszy — powiedziała. — Dziękuję panu. Dorastałam w przekonaniu, że moja matka popełniła samobójstwo. Jednak po śmierci moich przybranych rodziców dowiedziałam się, że została zamordowana. Co się właściwie stało?

— To długa i skomplikowana historia. I powiem jeszcze coś: to nie koniec. Wiadomość o śmierci Karin wywołała szok, ale do dziś nie wiemy, co się właściwie stało. Śledztwo prowadzono niedbale. Policja dopiero po dłuższym czasie przyznała, że Karin została zamordowana. Na początku twierdzili, że to samobójstwo, chociaż było jasne, że to nieprawda.

— Widział ją pan po śmierci?

— Rozmawiałem z osobami, które znalazły zwłoki. Mówiły, że Karin miała otwarte rany na głowie i zakrwawione ubranie. Każdy głupiec wie, że jeśli ktoś jest martwy, to już nie krwawi, a te rany musiały powstać wcześniej. Mimo to przez długi czas podtrzymywano wersję, jakoby obrażenia spowodowały fale, które rzucały ciałem o kamienisty brzeg. Próbowałem przekazać policji zgromadzone informacje, ale było jasne, że nikogo nie interesowały. Decyzja zapadła. Przyczynę śmierci zmieniono wprawdzie z samobójstwa na uduszenie, prawdopodobnie przy udziale innych osób, ale policja nie przesłuchiwała tych, których powinna przesłuchiwać. Nie przyjęła też innych zeznań, twierdząc, że okoliczności śmierci są zbyt niejasne i niczego nie da się udowodnić. Ja bym raczej powiedział, że prawdziwą przyczyną było to, iż ktoś z niejasnych dla mnie względów nie dopełnił swoich obowiązków.

— A co pan zrobił w tej sprawie?

— Wstyd się przyznać, ale po pewnym czasie wróciłem do pisania o ludziach, którzy przeprowadzili się do Flen. Można powiedzieć, że sobie odpuściłem. Jednak wieczorami dalej drążyłem temat. W końcu utknąłem, bo nikt nie chciał mnie słuchać. Odłożyłem sprawę *ad acta*, jeśli mogę się tak wyrazić. Do

chwili kiedy przeczytałem dzisiejszą gazetę i zobaczyłem pani zdjęcie. Poczułem się tak, jakbym wrócił do tamtych czasów, jakbym znowu zobaczył jej twarz. Wszystko nagle ożyło. Musiałem rozpakować stary karton, żeby się upewnić, czy nie śnię. Na szczęście to nie był sen. Papiery nadal leżały tak, jak je ułożyłem.

— Był pan na jej pogrzebie?

— Tak, ale oprócz mnie na cmentarzu zjawił się tylko ksiądz. Karin nie miała zbyt wielu przyjaciół. Zwłaszcza po śmierci.

Annie milczała przez dłuższą chwilę.

— Proszę wybaczyć, ale jestem zaskoczona.

Hult też milczał. Jakby czekał na jej pytania.

— Jak pan sądzi, czy to był przypadek? Została zabita przypadkowo? Może znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze?

Hult się zawahał.

— Wie pani cokolwiek o swoim ojcu? — spytał w końcu.

— Nie. Moi przybrani rodzice przekazali mi szczątkowe informacje tylko o matce. Później próbowałam się dowiedzieć czegoś więcej, ale okazało się, że ojciec był nieznany. A czemu pan pyta? Coś pan wie?

— Tak — odparł bez wahania Hult.

— A co?

— To nie będzie nic przyjemnego.

— Trudno — odparła Annie. Starła się udawać, że całkowicie nad sobą panuje. — Niech pan mówi.

Hult zwlekał z odpowiedzią przez kilka sekund.

— Myślę, że to on zamordował pani matkę.

9

Wszystko działało jak sprawny mechanizm. Rozmowa telefoniczna z Martinem Hellstenem. Faks wysłany z pewnej kancelarii adwokackiej w Luksemburgu do konsulatu Wenezueli w Nowym Jorku. Jego odbiorcą był Ruben Martinez. Faks zawierał treść, która dla niewtajemniczonych była zupełnie niezrozumiała:

JD-PH
+1-1500

Ruben Martinez był nie tylko pracownikiem konsulatu, ale także przedstawicielem rodziny Drothów. Prowadził ich interesy w Ameryce Południowej. Dlatego od razu się domyślił, że chodzi o rozmowę telefoniczną z Johanem Drothem, która ma się odbyć następnego dnia o godzinie piętnastej szwedzkiego czasu. O wyznaczonej godzinie przychodził zazwyczaj do King Cole Bar w hotelu St Regis, siadał przy stoliku i w oczekiwaniu na połączenie telefoniczne podziwiał wspaniałe malowidła na ścianach. Niestety, z powodu remontu hotel był od roku zamknięty, więc rozmowa musiała się odbyć w pewnej restauracji w pobliżu konsulatu.

O wyznaczonej godzinie Johan Droth wszedł do pokoju w hotelu Grand. Nie zamierzał w nim nocować ani nawet na chwilę położyć się na łóżku, żeby dać odpocząć plecom. Przyszedł tam tylko po to, żeby skorzystać z telefonu. Kiedy chce porozmawiać przez telefon w taki sposób, aby nikt nie mógł trafić na ślad rozmowy, korzysta z pokoju wynajętego przez osobę, która w tym samym czasie zwiedza któreś z muzeów. Osoba ta nie wie, że Johan Droth dzwoni wtedy do pewnej restauracji w Nowym Jorku i rozmawia z człowiekiem, którego

wyglądu i tożsamości nikt z personelu restauracji na pewno nie zapamięta.

— Dostaliśmy zapytanie w sprawie pożyczki — zaczął Johan Droth po krótkim wstępie mającym na celu upewnienie się, czy rzeczywiście rozmawia z Rubenem Martinezem. — Chodzi o dziesięć milionów dla pewnego syndykatu z Nowego Jorku. Chcę wiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, czy to pewne, że skierowali do nas takie zapytanie. Normalnie załatwiliby to za twoim pośrednictwem i dlatego nabrałem wątpliwości. Po drugie, na co im potrzeba tyle pieniędzy. Jeśli jest tak, jak podejrzewam, to rozumiem, dlaczego nie zwrócili się do ciebie. Wiedzieli, jaką dostaną odpowiedź. Słucham, co masz do powiedzenia.

— Pozwól mi najpierw opowiedzieć o sytuacji, która tu zaistniała — zaczął po chwili milczenia Martinez. — Historię opisano niedawno w „New York Magazine”, więc nie mam podstaw sądzić, że jest nieprawdziwa. Możesz przerwać, kiedy zechcesz — powiedział bez sensu Martinez, bo przecież wiedział, że jeśli Droth nie będzie chciał go dalej słuchać, natychmiast zakończy rozmowę. — W Nowym Jorku jest dwieście tysięcy ludzi zażywających heroinę. Innymi słowy, to duży interes. A konkurencja rośnie. Przed dziesięciu laty wszystkim kierował pewien syndykat. Teraz interes przejęli Izraelczycy z Brighton Beach, Jamajczycy i Pakistańczycy. Rośnie też presja ze strony policji. Dziesięć lat temu w wydziale do zwalczania narkotyków pracowało pięciuset ludzi. Dzisiaj policja zatrudnia ich tysiąc dwustu. Na domiar złego ceny narkotyków idą w dół. Na przykład przed pięciu laty za kilogram kokainy trzeba było

zapłacić czterdzieści siedem tysięcy. Teraz wystarczy dwanaście tysięcy. To świetna wiadomość dla klientów, ale gorsza dla dilerów. Syndykat z Nowego Jorku od dawna zaopatruje się w Wenezueli, ale im to nie wystarcza, więc robią interesy również na Sycylii. Muszę przyznać, że to genialne posunięcie. Heroinę ukrywają w meblach z drewna tekowego w jednym z państw Złotego Trójkąta, przewożą je do Indii, a stamtąd do Wielkiej Brytanii. Cały ten łańcuszek działa dzięki zasadom wolnego handlu, które obowiązują we Wspólnocie Narodów. Na przykład towary importowane do Wielkiej Brytanii z Indii nie przechodzą przez brytyjskie urzędy celne!

Martinez się roześmiał. Po drugiej stronie słuchawki panowała cisza, ale wiedział, że Droth go słucha i odezwie się tylko wtedy, gdy będzie to konieczne.

— Tak więc transport między tymi dwoma państwami odbywa się w zasadzie bez ryzyka — kontynuował Martinez. — W Wielkiej Brytanii towary są znakowane, zanim opuszczą port. Więc kiedy takie meble trafiają powiedzmy do Montrealu, z dokumentów przewozowych wynika, że krajem pochodzenia jest Wielka Brytania, a nie Tajlandia. Dzięki temu kanadyjscy celnicy traktują ładunek z mniejszą podejrzliwością. System funkcjonował perfekcyjnie, ale rok temu pojawiły się dwa problemy. Po pierwsze: włoska policja poinformowała Scotland Yard, że przez terytorium Wielkiej Brytanii przepływają do USA wielkie partie heroiny. Po drugie: sami Brytyjczycy zasmakowali w heroinie i do Ameryki zaczęły docierać resztki. Syndykat w Nowym Jorku nie miał czym handlować, a Sycylijczycy zaczęli zarabiać na sprzedaży heroiny w Londynie o wiele więcej, niż

wcześniej zarabiali na wszystkim innym. To z kolei zrodziło dwa kolejne problemy i tutaj cała ta historia robi się ciekawa. Po pierwsze: syndykat nie miał co sprzedawać w Nowym Jorku. Po drugie: rodziny na Sycylii rosły w siłę i bogaciły się z każdym kolejnym dniem. Jeśli chodzi o globalny handel narkotykami, można powiedzieć, że ośrodek władzy przesunął się z Ameryki na Sycylię. Tak to właśnie wygląda. Odpowiedź na twoje pierwsze pytanie brzmi: tak, to możliwe, że syndykat zwrócił się z zapytaniem o pożyczkę. Ale pytałeś też, na co im te pieniądze są potrzebne?

Droth jak zwykle odpowiedział milczeniem.

— Mogę tylko zgadywać, że syndykat zamierza stworzyć własną sieć przerzutową łączącą Nowy Jork ze Złotym Trójkątem albo Złotym Półksiężycem. W założeniu ma to być system niezależny od Sycylińczyków. Żeby coś takiego stworzyć i utrzymać, potrzeba mnóstwa pieniędzy. Akurat teraz takich pieniędzy nie mają. Muszą je więc pożyczyć od kogoś, kto zażyczy sobie wysokiego procentu i nie będzie pytał, na co pieniądze są przeznaczone. Musi to być ktoś, kto dysponuje wielkimi kwotami i nie będzie zadawał zbędnych pytań. Domyślam się, że wielu z tych, którzy udzielają takich pożyczek, już im odmówiło. Być może dlatego, że stworzenie sieci, która ominie Sycylię, stanowi polityczne ryzyko. Może dojść do wybuchu wojny, a w takiej sytuacji pożyczkodawcy nie chcą ryzykować utraty pieniędzy.

— A więc syndykat z Nowego Jorku chce pożyczyć pieniądze na sfinansowanie nowej drogi przemytniczej, a jeśli tej pożyczki nie dostaną, ryzykują, że ich władza ulegnie dalszej redukcji. Czy

tak należy to rozumieć?

— Tak sędzę.

— Ja też tak uważam.

— Co mam w tej sytuacji zrobić?

— Miej oczy i uszy otwarte — odparł Droth. Odłożył słuchawkę i wyszedł z pokoju.

10

Annie zwymiotowała do umywalki. Część wymiocin spłynęła na białe kafelki za pojemnikiem na mydło. Pochyliła się, nabrała wody do ust i znowu zwymiotowała. Kiepska kawa i grzanki, do tego fatalne samopoczucie.

Siedziała na sedesie i przez dziesięć minut głęboko oddychała. Potem wypłukała usta i otworzyła drzwi. Stała nieruchomo w ciemnościach i dopiero po chwili wyszła na korytarz. Jakby czekała, aż ktoś otworzy drzwi od zewnątrz i ją wypuści. Może chciała wyjść w innym miejscu, gdzie wszystko jest snem? Musi się obudzić.

Otworzyła drzwi i wsłuchiwała się w dźwięki dobiegające z redakcji. Zwykła codzienność. Makijaż rozmazał jej się na policzkach, oczy były pozbawione blasku, a wszyscy ci, którzy obserwowali ją, jak wchodzi do pokoju spotkań, doszli pewnie do wniosku, że ciężko przeżywa decyzję o zawieszeniu. Tak o niej mówią: jest twarda, ale wszystko ciężko przeżywa.

Wykręciła domowy numer. Nikt nie odbierał. Max, odbierz wreszcie, do cholery, pomyślała. Na pewno jest w domu. Stoi spocony w salonie ze słuchawkami podłączonymi do wzmacniaczy i gra jeden z tych swoich kawałków, których ona nie rozumie. Ponownie wybrała numer, ale Max i tym razem nie

odebrał. Spojrzała na zegarek i postanowiła zadzwonić do klubu. Dwadzieścia wolnych sygnałów i brak odpowiedzi.

Tylko spokojnie, pomyślała. Uporządkuj to, co masz. Dokonaj selekcji informacji. Oddychaj.

Rozejrzała się, wyjęła notes i sięgnęła po długopis, którego zapomniał jeden z dziennikarzy. Odnotowała to, co wie, i to, czego nie wie, a potem połączyła liniami poszczególne fakty. To jej sposób na odzyskanie kontroli nad sytuacją.

Skontaktował się z nią obcy mężczyzna. Przeczytał jej artykuł w gazecie i ją rozpoznał. Wie, że jest córką Karin. Albo mówił prawdę i rzeczywiście ją znał, albo tylko zebrał informacje na temat jej przeszłości. Dlaczego zadzwonił właśnie teraz? Czemu nie wcześniej? Twierdzi, że rozpoznał ją po zdjęciu w gazecie. Zapytała go, dlaczego zadzwonił dopiero teraz. Przecież pisuje dla tej samej gazety od wielu lat. Wyjaśnił, że odwiedziła go córka mieszkająca w Sztokholmie i to ona przywiozła gazetę. On jej nie czyta, ale córka nie może się bez niej obejść. To niezwykle zbieg okoliczności, powiedział. Jeśli jego pierwsze twierdzenie jest kłamstwem, drugie też nim jest. To, które dotyczy jej rodziców.

Narysowała linię łączącą Hulta, swój artykuł i matkę. Przyjmijmy, że wszystko się zgadza. Co wydarzy się później? Hult twierdzi, że mieszka we Flen i że jej matka też tam mieszkała. Poznał ją, gdy ona, Annie, była dzieckiem. Miała też ojca. Hult twierdzi, że wie, kto nim był, chociaż jej rodzice ukrywali, że coś ich łączyło. Jej ojciec nigdy nie przyznał się do ojcostwa. Więc albo matka nie wiedziała, kto był ojcem Annie, albo wiedziała, ale nie chciała tego ujawnić. Jeśli wie to Hult, wiedziała też ona.

Istnieją dwa wyjaśnienia, dlaczego nie chciała albo nie mogła zdradzić, kto jest ojcem: albo się wstydziła, albo tamten mężczyzna nie chciał, żeby wyjawiała prawdę. Zakreśliła tę drugą odpowiedź. A więc mężczyzna, który był jej ojcem, nie chciał, aby ktokolwiek się o tym dowiedział. Dlaczego? Z różnych powodów. Na przykład matka była jego kochanką, a on już miał rodzinę, której nie chciał porzucić. Zajmował tak wysoką pozycję w społeczeństwie, że nie mógł sobie pozwolić na bycie ojcem dziecka spoza formalnego związku. Mógł być na przykład duchownym. Nie, bez przesady. Napisała na kartce słowa „rodzina” i „pozycja” i wzięła je w ramkę. Mężczyzna, który był jej ojcem, nie chciał, żeby matka ujawniła jego nazwisko, bo albo już miał rodzinę, albo ze względu na swoją pozycję nie mógł sobie pozwolić na upublicznienie faktu, że ma dziecko z taką kobietą jak ona. Nie ujawnił się nawet po jej śmierci, żeby zaopiekować się własną córką.

Teraz żałowała, że tak szybko zakończyła rozmowę z Hultem.

— To nie takie proste — powiedział. — Pokażę wszystko, co mam, żeby mogła pani wyrobić sobie własne zdanie.

Dodał, że nie ma numeru telefonu, pod którym by go zastała, ale mogą się spotkać nawet jutro rano, jeśli tylko termin jej pasuje. Jedzie z córką do Sztokholmu i zatrzyma się tam przez tydzień. Zgodziła się, bo nadal była w szoku. Na tym rozmowa się skończyła. Jej dziennikarski instynkt rozwiązał się jak we mgle.

Przesunęła palcem po papierze. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby w życiu matki był jakiś mężczyzna. Nikt o nim nie wspominał. Po śmierci matki przepadł bez śladu. Zawsze przypuszczała, że jej ojcem był ktoś, kogo matka знаła przez

krótki czas. Zaszła z nim w nieplanowaną ciążę, ale nie było mowy o wspólnej przyszłości. Może ojciec nawet nie wie o jej istnieniu? Kiedy była nastolatką, próbowała dowiedzieć się czegoś więcej o swojej przeszłości, ale bez efektów. Jakby nigdy nie istniał. Potrafił zniknąć i zadbać o to, żeby nikt go nie szukał, chociaż były ku temu powody.

Dziennikarska natura zaczęła brać w niej górę. Nie może się mazać jak dziewczynka. Wie, od czego zacząć: od daty. Hult wymienił ją w czasie rozmowy. Sobota 17 października 1959 roku. Za dwa dni minie trzydzieści lat od śmierci jej matki. Hult twierdzi, że zginęła w domu, który później podpalono, żeby zatrzeć ślady. Twierdzi też, że zwłoki podrzucano później tam, gdzie je znaleziono. Sprawca podłożył je w odpowiedniej odległości od płonącego domu, żeby nikt nie powiązał ze sobą faktów. I tylko Hult coś podejrzewał. Przez chwilę znowu była małą dziewczynką, której chce się płakać. Na szczęście instynkt podpowiadał jej, żeby poszła do działu mikrofilmów w Bibliotece Królewskiej sprawdzić tamtą datę i dowiedzieć się czegoś o Hulcie. Może znajdzie tam odpowiedź i dlatego nie powinna z tym czekać do jutra rana.

• • •

Pierwszy artykuł znalazła w gazecie „Folket”. Była to publikacja, która ukazała się następnego dnia po śmierci matki.

W niedzielę, około wpół do dziewiątej rano, pewna para dokonała nad brzegiem jeziora Båven makabrycznego odkrycia. Zauważono zwłoki kobiety. Ciało nosiło ślady obrażeń. Nie znaleziono przy nim żadnych przedmiotów, które pozwoliłyby potwierdzić tożsamość ofiary. Wczoraj udało się ustalić, że przyczyną śmierci było utonięcie, a ofiarą jest urodzona w 1933 roku Karin Kristina Åkesson, która osierociła trzyletnią córkę.

Annie otarła łzę z policzka. Zastanawiała się, o czym mogła

myśleć jej matka w ostatnich sekundach życia. Na pewno wiedziała, że osieroci swoją małą córeczkę. Musiało jej to sprawić taki sam ból, jak świadomość tego, że za chwilę umrze.

Annie przeglądała kolejne numery gazety, aż znalazła to, czego szukała.

Tajemniczy pożar w dworku Töversta w parafii Helgesta

Przewinęła fragment tekstu i zatrzymała się na ostatnim akapicie. Czuła przyspieszone bicie serca. Pochyliła się w stronę ekranu i wstrzymała oddech.

Właścicielem dworku w Töversta jest Johan Droth senior ze Sztokholmu. Jego syn, Johan Droth junior, przebywał w czasie pożaru w dworku, ale przeżył.

Annie oparła się o krzesło i złapała za szyję. Wszystko ułożyło się nagle w całość. Jej matka. Dworek Töversta. Prostytutki. Klub. Mężczyźni, którzy kupują, czego tylko zapragną. Kobiety, które się sprzedają. Hult. Droth.

Wzięła torebkę i ruszyła w stronę toalety. Niedaleko jakaś para kłóciła się w obcym języku. Starsza kobieta syknęła na nich, żeby ich uciszyć. Annie poczuła na wargach słony smak łez płynących po twarzy. Potyka się w życiu o to, co dzieje się wokół niej teraz. Potyka się też o to, co zdarzyło się wtedy. Jedną z głównych ról odgrywa jej matka. Drugim aktorem pierwszoplanowym jest mężczyzna, który podobno jest jej ojcem. Czy ktoś ją obserwuje i stara się naprowadzić na trop, którym właśnie podąża? Czy taki szatański zbieg okoliczności jest w ogóle możliwy? Co mogło łączyć jej matkę z mężczyzną, którym zajmuje się od dłuższego czasu? Czy to w ogóle prawdopodobne? Musi natychmiast spotkać się z Hultem. Wyciągnie to z niego bez względu na to, jaką prowadzi z nią grę. Najpierw jednak musi go znaleźć.

Napiła się zimnej wody z kranu i ochlapała sobie twarz. Wyszła z toalety i się rozejrzała. Wykręciła domowy numer. Nikt nie odebrał.

Wybrała numer Orhy. Odezwał się po drugim sygnale.

Mówiła szybko. Opowiedziała mu o Hulcie, Drocie i swojej matce. Orha zadał jej kilka pytań, na które odpowiedziała. Poprosiła go o pomoc, a on obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby odnaleźć Hulta. W końcu skończyły jej się monety. Czowała, jak mózg jej pulsuje. Musi się dowiedzieć, gdzie jest Max.

• • •

Wyszła na ulicę, a ponieważ dzień był ciepły, nie zapięła płaszcza. Była spocona. Postanowiła iść do klubu i poszukać męża. Powinien tam być. Przecież są rodziną. Byli nią wczoraj i będą też nią jutro. Wszystko jest teraz zupełnie inne. Ona też jest inna. Chciałaby, żeby Max znowu patrzył na nią tak jak kiedyś. Potrzebuje tego.

Wyjęła z kieszeni niewielki notes. Były w nim nazwiska, daty, miejsca. Otworzyła go i zaczęła przeglądać, jakby się spodziewała, że znajdzie w nim wyjaśnienie. Zatrzymała się i zapisała kilka słów. Ktoś z tyłu ją potrącił. Odwróciła się i ujrzała mężczyznę, który przeprosił ją cichym głosem. Spojrzała na niego złym wzrokiem. Potrąciła kogoś w ramię i straciła równowagę. Zatrzymała się na chwilę, żeby głębiej odetchnąć. Zrobiło jej się gorąco, więc zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez rękę. To wszystko przez tę ciążę. Skręciła w David Bagares gata, gdzie tłok był mniejszy. Ulica była zacieniona i spokojna. Oprócz niej nie było tu nikogo. Zatrzymała się i postawiła torebkę na ziemi. Schody to zbyt duże wyzwanie. Wiele rzeczy jest dla niej

zbyt dużym wyzwaniem. Znowu włożyła płaszcz. Chyba jej się tylko zdawało, że jest ciepło.

Nagle poczuła się tak, jakby chodnik się uniósł, żeby uderzyć ją w głowę. Oparła się o transformator. Musi się w końcu pozbierać, porozmawiać z kimś, kto pomoże jej spojrzeć na wszystko z właściwej perspektywy. Przyszedł jej na myśl tylko Max i jego objęcia. Potrzebuje go bardziej niż kiedykolwiek.

Schyliła się po torebkę i zauważyła, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się i ujrzała mężczyznę. Stał tuż za nią. Mógł mieć niewiele ponad czterdzieści lat. Elegancko ubrany. Szalik na szyi. Od razu go poznała. To on potracił ją niedawno na ulicy i przeprosił. Szedł za nią, a teraz tu stoi.

— Czym mogę służyć? — spytała.

— Pani Annie Lander, prawda? — Mężczyzna się uśmiechnął; ręce trzymał w kieszeniach płaszcza.

Annie próbowała gorączkowo odnaleźć w pamięci jego twarz, ale bez rezultatu.

— Kim pan jest? — spytała, cofając się o krok.

Nagle usłyszała samochód jadący w ich kierunku. Poczowała ulgę, że nie jest już sama w towarzystwie obcego mężczyzny. Ma takie nieprzyjemne oczy. Wzdłuż Birger Jarlsgatan przesuwa się tłum ludzi, ale byli zbyt daleko. W sąsiednim budynku ktoś zamknął okno i dobiegające z oddali dźwięki muzyki nagle ucichły. Od klubu Maxa dzieliło ją nie więcej niż dwieście metrów. Pomyślała, że jeśli dokładnie się wsłucha, usłyszy jego głośny, radosny śmiech. Samochód zatrzymał się przy niej. Odwróciła się. Otworzyły się tylne drzwi, ale nikt z niego nie wysiadł. Co tu się dzieje? — zdążyła pomyśleć.

CZĘŚĆ TRZECIA

Piątek 13 października — piątek 20 października 1989 roku

Nadchodzą wielkie czasy

Vitomir Jozak prawie czuł zapach pieniędzy wysypujących się z otwartej torby. Brudne i używane banknoty w setkach i tysiącach, powiązane gumkami w pliki. Jeszcze raz zajrzał do środka i zobaczył elegancki papier. Teraz pieniądze należą do niego. Facet siedzący po drugiej stronie stołu, który przedstawił się jako Kenneth, powiedział mu, że w torbie jest pięćset tysięcy. Już wkrótce będzie miał wystarczająco dużo forsy, żeby kupić największą partię heroiny, jaka kiedykolwiek trafiła do Szwecji. Kiedy ją podzieli i sprzeda, nikt nie będzie mógł się z nim równać.

Nie jest uzbrojony, ale dwaj goryle, których zabrał na spotkanie, mają tyle amunicji, że mogliby podziurawić połowę gości w nocnym klubie Sturecompagniet i jeszcze by im starczyło, żeby wystrzelać resztę, przy wyjściu. Siedzi przy niskim stole, jak zwykle odwrócony plecami do ściany. Po jednej stronie siedzi jego brat, Ranko, po drugiej — Avram Gavrić.

Kenneth jest bliskim przyjacielem jednego z najbogatszych ludzi w mieście, Bustera Drotha. Buster „zainwestował” właśnie zawartość torby w jego interes. Adwokat Olsson wypierze pieniądze lepiej niż swoje własne gacie. Henrik Buster zasugerował, że kiedy Kenneth zacznie mu przynosić wysokie

odsetki od pożyczonej sumy, wejdzie w interes i zainwestuje tyle, ile zdołają przyjąć. Jozak uśmiechnął się na myśl o tak pięknych widokach na przyszłość.

Pieniądze w torbie są pożyczką, procent będzie wypłacał Kennethowi co tydzień. Za część pieniędzy Jozak kupi dwie restauracje — jedną na Kungsholmen, drugą w Sundbybergu. Obie mają tego samego właściciela. Urabiali go przez dwa miesiące, więc już wkrótce oba lokale zbankrutują. Fałszywe faktury, przekupiony biegły. Jak zwykle. Dlatego właściciel sprzedaje mu obie restauracje za pięćdziesiąt tysięcy. Są warte więcej, ale w takich sytuacjach nikt się nie cacka. Wszystko załatwił za pomocą gróźb, tak jak wiele razy wcześniej: zbijemy szyby w twoim lokalu i wystraszymy klientów, podwyższymy ceny za ochronę i w końcu zbankrutujesz, a wtedy sprzedasz nam lokal za grosze. Potem wyprowadzisz się do innego miasta i nigdy tu nie wrócisz. Wobec takich argumentów wielu uznało jego ofertę za korzystną, bo po całej serii takich gróźb Jozak stawał się głównym bohaterem dręczących ich koszmarów.

Jozak ma około czterdziestu lat i jest brzydki jak noc. Za każdym razem, gdy przegląda się w lustrze, przypomina sobie, dlaczego przestraszeni mężczyźni płacą haracz i dlaczego on sam musi płacić przestraszonym kobietom za ich usługi. Od kiedy stał się bogaty — licząc oczywiście jego własną miarą — problemy z kobietami przestały istnieć. Ma grubo ciosane ręce, brzuch płaski i twardy, podczas gdy u innych mężczyzn pojawia się coś, co ich żony i kochanki nazywają żartobliwie „bebechem”. Oczy ma ciemne, blisko osadzone, przez co przypominają wylot lufy dubeltówki. Są równie przerażające, jak jego pięści. Nie bez

przyczyny trenuje na wypełnionych piaskiem workach w klubie bokserskim na Östgötagatan.

W Interpolu dobrze go znają, ale niczego na niego nie mają. W ich bazie danych można za to znaleźć następujące informacje:

Vitomir Jozak, alias Vito, alias Ojciec Chrzestny. Urodzony w 1950 roku w miejscowości Pančevo na północ od Belgradu. Bliski przyjaciel rodziny, której członkowie zajmują wysokie stanowiska w tajnej policji, Uprava Državne Bezbednosti, UDBA. Zaufany człowiek Tito. W latach 70. przeprowadził się do Szwecji. Jego o dziewięć lat młodszy brat, Ranko, przyjechał do Szwecji dwa lata później. Pracuje jako ochroniarz. Matka przebywa w Belgradzie. Ojciec nie żyje. Najbliższa osoba oprócz brata to Avram Gavrić. J. prowadzi restauracje i siłownię. Przemycza do Szwecji podrabiane dżinsy, papierosy i narkotyki, głównie heroinę, ale także kokainę. Ma kontakty z Bożkiem Magašem z Belgradu. Podejrzany o dokonanie zabójstw. 1978: pisarza Ante Mikulicia w Paryżu; 1979: przedsiębiorcy Stjepana Tuksora w Berlinie; 1981: byłego wojskowego Nahida Jozaka w Carcaixent w Hiszpanii. Jesienią 1985 roku filmował w Sztokholmie demonstrację na rzecz chorwackiej niepodległości. Potwierdziła to szwedzka policja. Prawdopodobnie w ramach rozliczeń z UDBA za zgodę na przemyt papierosów i narkotyków do Macedonii.

Jozak przyjechał do Szwecji jesienią 1979 roku. Stało się to kilka tygodni po tym, jak jego dawny kumpel, Bożko, uwolnił z sali sądu rejonowego w Sztokholmie swojego kompana, o czym rozpisywała się prasa. Od tamtej pory wszystkich Jugosłowian mieszkających w Sztokholmie wiązano z Bożkiem, czy tego chcieli, czy nie. Bożko z każdym kolejnym rokiem umacniał swoją pozycję. „Znasz Bożka?” — takie pytanie często zadawano Jozakowi. Albo: „Pracujesz dla Bożka?” Byli i tacy, co chwalili się w Sturecompagniet znajomością z Bożkiem i udawali ważniaków, żeby zaimponować ładnym dziewczynom. Jozak, do takich nie należał. Kiedyś byli z Bożkiem w tym samym gangu i napadali na sklepy. Candyman, Zika, Vule, Bożko i on sam. Teraz, gdy wspomina tamte czasy, nazywa ich gówniarzami.

Dziwnym trafem przez dwa lata ich drogi stale się krzyżowały. Pracował wtedy na państwowej posiadzie, podobnie jak Bożko. Wyjechał do Rzymu, gdy jego kumpel, Dacović, trafił do Triestu, gdzie poznał kilku mafiosów, którzy dali mu w Rzymie robotę. Kiedy się tam zjawiał, Bożko już tam był. Przez cały czas jeden wyprzedzał drugiego o krok. Nigdy nie uważali się za przyjaciół, bo w tej branży nikt ich nie ma. Jeśli była taka potrzeba, płacił mu. Jeśli musiał, trzymał się od niego z daleka. Teraz Bożko jeździ różowym cadillakiem, chodzi w drogich garniturach, a na ręce ma rolexa. Tak przynajmniej słyszał.

Kenneth spytał go:

— Może zamówimy szampana i zaczniemy świętować?

Ranko i Avram popatrzyli na Jozaka. Pomyślał „czemu nie” i skinął głową. Dali znać kelnerowi, a Jozak znowu zajrzał do torby. To fakt, takie pieniądze dają widoki na przyszłość.

Z Belgradu wyjechał z dwóch powodów: ciężko tam zarobić, a kary są wysokie. Szwecję wybrał ze względu na dużą kasę, kiepskie zamki i niewysokie kary. Nie zamierzał wracać do kraju. Jego przyjaciele donosili mu, że ich ostrzegano. „Wyjedź”, radzili im. „Sytuacja robi się paskudna, poleje się krew”. Ludzie szeptali na ulicach i w barach o narastających problemach i o planach Miloševicia. Niedługo usłyszą o tym w radiu i telewizji. Na pewno w CNN. Serbowie to wielki naród, mawiał Milošević. Inni są przeciwko nam, to nasi wrogowie. *Nebeski narod*; jesteśmy niebiańskim narodem. Jozak pomyślał, że to nie jego sprawa. Nie będzie z nikim walczył tylko dlatego, że ten ktoś reprezentuje inną kulturę albo że w jego żyłach płynie inna krew. Zawsze walczył tylko o jedno: o pieniądze.

Kiedy kelner przyniósł szampana, Jozak uniósł głowę. Odsunął mankiet rękawa i spojrział na zegarek. Elektroniczny, wyposażony w grę ze spadochroniarzami. Bardzo ją lubił. Były pięćdziesiąt dwie minuty po północy. Napełnili kieliszki, Kenneth uśmiechnął się szeroko. To mój wspólnik, pomyślał Jozak i też się uśmiechnął.

— Co tydzień mój prawnik wypłaci ci dwa procent — powiedział Jozak, pochylając się nad stołem. — To odsetki. Pożyczka nadal pozostaje. Możesz mi ją cofnąć, ale na zwrot potrzebuję trzydziestu dni. Okay?

— Nie ma sprawy. W co inwestujecie?

— Niech cię to nie interesuje. Masz myśleć tylko o tym, żebyśmy ci płacili wyższe odsetki niż twój bank. Wtedy być może dojdiesz do wniosku, że inwestujemy w inne rzeczy niż twój bank. Możesz sobie o tym rozmyślać, bo to bez znaczenia. Ale nie pytaj. A teraz wznieśmy toast. *Živeli!*

Wszyscy podnieśli kieliszki i wypili.

Kenneth odstawił pusty kieliszek na środek stołu i pochylił się w stronę Jozaka.

— A gdybym chciał włożyć w to więcej pieniędzy?

— Zacznijmy od tego, co mam w torbie — odparł Jozak. Musiał udawać twardego typa z zimną krwią. Robić taką minę, jakby to oni zarabiali na nim, nie odwrotnie. — Jeśli będziesz zadowolony, porozmawiamy o tym.

— Znam takich, którzy chętnie by się przyłączyli, gdyby mieli okazję. Pieniądze w tej torbie to drobna suma w porównaniu z tym, co mogliby wyłożyć.

— To świetnie, ale my nie robimy interesów z każdym. Nie

jesteśmy też bankiem, który ktoś poleca krewnym albo przyjaciom. Tobie wolno robić ze mną interesy, bo robisz je z Rankiem, a on ci ufa — powiedział Jozak i spojrzał na Ranka, który skinął poważnie głową. Kenneth to jeden z jego największych odbiorców kokainy. — Nie wiemy, kim są twoi przyjaciele. Wiemy za to, kim ty jesteś.

— Jasne. Mówię o tym dlatego, żebyś wiedział, że są ludzie, którzy mogą wyłożyć więcej forsy. Niektórzy z nich są zainteresowani robieniem naprawdę dużych interesów.

Jozak skinął głową i dopił szampana. Wkrótce rozpruje tego wielkiego rekina, wyrwie mu zęby i zrobi z nich naszyjnik.

• • •

Jozak obudził się wcześniej rano. Zrobił kilka rund wokół parku HHumlegården, żeby pozbyć się kaca. Ranko zabrał pieniądze, a on wrócił do domu z dziewczyną, której imienia nawet nie pamiętał. Kiedy później wyszedł spod prysznic, pachniało nią w całym mieszkaniu. Ubrał się i poszedł na spotkanie z Avramem. Mieli pojechać do właściciela obu restauracji, aby go poinformować, że od dzisiaj będzie miał dwóch nowych wspólników.

• • •

Flamingo to jeden z tych lokali, do których nikt się nigdy nie wybiera, a mimo to są zawsze do połowy wypełnione klientami. Jeśli ktoś mieszka na Kungsholmen i lubi tanie piwo z beczki, idzie po prostu do Flamingo. Nieważne, kim są klienci; liczy się tylko to, że przez lokal przepływa rzeka pieniędzy. I właśnie o te pieniądze im chodzi. Zamierza je przeznaczyć dla swoich sprzedawców, na dystrybucję heroiny.

Jozak podał w drzwiach swoje nazwisko i wszedł do środka. Razem z Rankiem i Avramem skierowali się na zaplecze.

— Håkan czeka na końcu sali — powiedział ochroniarz, przesuając dłonią po włosach.

— To dobrze — odparł z uśmiechem Jozak. Żeby ci się tylko łapa nie przykleiła do tych przylizanych włosów, pomyślał.

Håkan był właścicielem lokalu. Czekał już na nich przy niewielkim stoliku w rogu sali. Wiedział, że wieczorem straci dorobek życia, wypił kilka drinków, żeby nie odczuwać tego aż tak boleśnie. Jeszcze dwa lata temu nosił elegancki garnitur, lepiej się prezentował. Pomieszczenie pachniało kobiecymi perfumami, chłodnym szampanem i stopionym lodem. Uśmiechnął się i podrapał po nosie.

— Witaj — powiedział do Jozaka. — Usiądź i rozgość się. Napijesz się czegoś?

— Na razie nie — odparł Jozak. Usiadł naprzeciwko Håkana i położył na stoliku paczkę, która zawierała około pięćdziesięciu tysięcy koron w gotówce. Uderzył w nią dwa razy dłonią i przesunął w stronę Håkana. — To twoje pieniądze. Pięćdziesiąt kawałków — wyjaśnił, opierając się łokciami o blat stolika.

Håkan zagryzł wargę, skinął głową i obrzucił wzrokiem pozostałych mężczyzn, którzy stali z tyłu.

— Co mam z nimi zrobić? Domyślam się, że nie przyszedłeś tu po to, żeby wręczyć mi prezent. A może chcesz zagrać w ruletkę? — spytał z nerwowym uśmiechem.

— Możesz z nimi zrobić, co chcesz. Kup synowi motocykl, bo o ile wiem, kończy niedługo piętnaście lat. Albo wykup wycieczkę dla żony. Albo zapłać rachunek swojemu dilerowi, bo

chyba masz u niego dług za kokę. Rób, co chcesz. Tu leży pięćdziesiąt tysięcy, należą do ciebie. Nie jestem twoim ojcem. Od tej pory jesteśmy współnikami. Kupiłem dziewięćdziesiąt procent udziałów w obu twoich lokalach. Zrozumiałeś?

Håkan wbił wzrok w blat stolika. Jozak klepnął go lekko w policzek.

— Popatrz na mnie i powiedz, że zrozumiałeś.

Håkan uniósł głowę i przyłożył dłoń do policzka.

— Dziewięćdziesiąt procent to bardzo dużo — odparł. — Sam powiedziałeś, że powinienem zadbać o rodzinę. Co mi zostanie, jak prawie wszystko mi zabierzesz?

— A masz wybór? Interes w obu lokalach kręci się kiepsko. Niedługo zbankrutują, a wtedy będę mógł je kupić od komornika. Dla twojej rodziny nie zostanie nic. Kiedy będę twoim współnikiem, interes się rozkręci i każdego miesiąca dostaniesz swoją działkę. Tak się właśnie stanie. Z tym nie będziesz miał problemu.

— Ale niewiele dla mnie zostanie. Dziesięć procent to za mało.

— Wolisz, żebym stąd wyszedł i żebyśmy się nie dogadali? Wolisz zostać bez pieniędzy? Jako niezadowolony współnik? Powiem wtedy Rankowi i Avramowi, którzy tam stoją, że temu człowiekowi nie wolno ufać. Myślałem, że się z nim dogadałem, że mieliśmy zostać współnikami, a on się nagle wycofał. To fatalnie mieć do czynienia z ludźmi, którym nie można ufać — powiedział Jozak. Pochylił się nad stolikiem i chwycił Håkana za brodę. — Chyba mogę ci zaufać, co? Mam nadzieję, że nie będziemy mieli z tobą kłopotów. Bo jeśli powiesz coś innego, zabiorę pieniądze i wyjdę stąd, a ty i tak stracisz oba lokale.

Kapujesz?

Håkan odsunął się od stolika, żeby wyrwać się z uchwytu Jozaka.

— Uspokój się, człowieku. Jasne, że możesz mi ufać. Mówiłem tylko, że sytuacja jest trudna. To dla mnie kiepski interes.

— Mówisz: kiepski interes?

— Tak, to cholernie mało pieniędzy za dwa lokale, które przyciągają tylu klientów, chociaż rzeczywiście ostatnio szło mi trochę gorzej.

— Głupi jesteś. To dość pieniędzy. Takie jest moje zdanie. Rozumiesz?

Cisza.

— Nie jestem idiotą — odparł po chwili Håkan.

— Więc mi odpowiedz, żebym wiedział, że naprawdę nie jesteś.

— Rozumiem.

— Co rozumiesz?

— Rozumiem, że zawarliśmy umowę... — zaczął Håkan. Wydawało się, że chce coś dodać, ale się rozmyślił.

— W takim razie wszystko jasne! — zawołał z uśmiechem Jozak, rozkładając ręce. — Po co to przeciągać? Mamy umowę! Oto moja ręka, wspólniku. — Håkan podał mu dłoń, a Jozak mocno nią potrzęsnał, spojrzał na Håkana i na młodego chłopaka, który stał o krok przed Rankiem i Avramem. — Jak ma na imię? — spytał.

— Jens.

— Jens! — zawołał Jozak. — Jak widzisz, ja i twój szef się dogadaliśmy. Podaliśmy sobie ręce. Zawarliśmy umowę.

Jesteśmy zadowoleni i teraz będziemy świętować. Idź i przynieś nam piwa.

Chłopak zrobił, co mu kazano. Jozak i Håkan siedzieli jeszcze przez pewien czas przy stoliku, popijając piwo. Jozak opowiadał o sprawach, które nie miały nic wspólnego z restauracjami. Pogardzał takimi ludźmi jak Håkan, którzy nie potrafią zadbać o swoje interesy i nie mają odwagi postawić się innemu facetowi, gdy do nich przychodzi i odbiera im wszystko, czego dorobili się ciężką pracą. Tacy faceci są słabi. Niestety, potrzebował go w charakterze figuranta, który będzie podpisywał papiery. Na przykład złoży wniosek o koncesję na sprzedaż alkoholu. Nigdy nie dostanie ani grosza ponad te pięćdziesiąt tysięcy, które już dostał. Połowę tej kwoty będzie musiał oddać Rankowi, żeby spłacić dług za kokainę, którą wziął od niego na kredyt. Håkan już jest przegrany. Sprzedadzą jego samochód, żeby zamówić towar do obu lokalów. Zastawią jego dom, żeby kupić nowe automaty do gry, ale wstawią je gdzie indziej. Wykorzystają jego polisy ubezpieczeniowe, aż facet pęknie. Potem przejmą całe jego życie. A gdy nie zostanie mu nic, dadzą mu sznur, żeby powiesił się na strychu. Håkan stanie się pionkiem w ich grze. Dzięki niemu oni staną się graczami. Jest jednym ze zwierząt, które on, Jozak, dosiada, żeby pojechać dalej. To takie proste. Popatrzył na Håkana, a gdy ten spojrział mu w oczy, opróżnił szklanę.

• • •

— W takich sytuacjach trzeba być czujnym — powiedział Jozak do Ranka. Szli chodnikiem, kierując się w stronę samochodów zaparkowanych w pobliżu urzędu miasta. — Håkan to nieudacznik, ale jutro, jak się obudzi, a żona zacznie mu

wymyślać, że stracił interes, wszystko może się zdarzyć. Może zadzwoni na policję albo kupi spluwę i uzna, że sam musi wymierzyć sprawiedliwość? Nie bardzo w to wierzę, ale nigdy nie wiadomo. Ludzi nigdy nie wolno lekceważyć. Nawet tych słabych.

— W porządku — odparł Ranko i nie zwalniając kroku, zapalił papierosa. Głośno dyszał ze zmęczenia.

— Rano pojedziesz ze mną do pewnego gliniarza w Brommie — powiedział Jozak. — Zapłacimy mu i będziemy go mieć z głowy. A ty — zwrócił się do Avrama — zajmiesz się inną sprawą. Mogą się zgłosić ci, którzy wymuszali od Håkana pieniądze i którym teraz się nie spodoba, że przejęliśmy jego interes. Następnym razem, jak przyjdą z wizytą, odpowiednio ich przywitamy. Dopilnuj, żebyśmy mieli broń pod ręką. I nie puszczaj Ranka bez wsparcia.

— Nie mam pięciu lat — odparł Ranko, na co Avram skinął gorliwie głową. — Sam umiem o sobie zadbać.

Jozak zatrzymał się i pochylił w stronę Ranka tak nisko, że prawie go dotknął.

— Nie zgrywaj chojraka — powiedział. — Jesteś tu nowy. Masz się uczyć i słuchać Avrama. Chcemy się rozwijać i wolimy, żeby nikt się nami nie interesował. Powtarzam: masz być ostrożny. — Uśmiechnął się. Cofnął się o krok i wyjął kluczyki do samochodu. — Zaczynamy wcześniej rano. To nasza nowa robota.

Pełnia księżycyca i samotność

W pokoju panowała złowieszcza atmosfera. Strach unosił się w powietrzu jak chmary much nad trupem. Max wstał z łóżka. Koc leżał owinięty wokół oparcia kanapy. W całym mieszkaniu panowała cisza, wszędzie pachniało sajgonkami. Na dworze było już jasno.

— Annie?

Cisza. Jego głos odbił się echem po mieszkaniu.

Trafił mu się dziś wolny wieczór i miał nadzieję, że Annie wróci do domu wcześniej. Czekał na nią w napięciu. Pomyślał, że Annie może się spóźnić. Bał się, że znów się pokłócą. Ostatnio coraz częściej im się to zdarza, a jego niepokój zamienia się w gniew. Sajgonki nadal czekają na stoliku w salonie. Słodko-kwaśny sos przesiąknął przez karton i zabrudził stolik. Max zamówił je dla nich obojga, ale nawet ich nie tknął. Po południu zadzwonił do redakcji i usłyszał, że Annie właśnie wyszła. Pomyślał więc, że pojechała do domu. Zrobił zakupy, trochę posprzątał, wziął szybki prysznic i przygotował się na jej przyjście. Zjedzą, przeproszą się i zaczną planować, co zrobią po narodzinach dziecka. Może pojedą we trójkę do Paryża? Annie powiedziała mu, że to będzie syn, a on jej wierzy.

Nazywał go Mingus. Od słynnego muzyka jazzowego

Charliego Mingusa.

Ona zaproponowała, żeby ich syn miał na imię Leonard. Tak po prostu.

On powiedział: Leonard Mingus.

A ona znów: Leonard.

Czekając na nią, zasnął. Spojrzał na zegarek: za kwadrans siódma, a jej jeszcze nie ma. Domyślił się, że musiało się stać coś złego, ale nie miał pojęcia co.

Odsunął z oczu kosmyk włosów i podciągnął spodnie. Spanie w dzinsach to niezbyt dobry pomysł. Wszedł do sypialni, ale okazało się, że łóżko jest zasłane. Drzwi do garderoby nadal były otwarte. Na łóżku leżały ubrania, które Annie przymierzała poprzedniego dnia. W przedpokoju nie było jej płaszcza. Wziął jeden z jej sweterków i głęboko wciągnął jego zapach. Annie mówiła, że ma kłopot z ubieraniem się, że czuje się brzydka i niezbyt seksowna. Próbował jej wyjaśnić, że dla niego nadal jest seksbombą, ale chyba nie bardzo mu się to udało.

Wszedł do łazienki, oparł dłonie o chłodną umywalkę i napił się wody z kranu. W łazience pachniało stęchlizną i szamponem. Potarł czoło i przekrzywił głowę. Na wieszaku nad wanną wisiała bielizna Annie. Nagle nabrał ochoty na seks. Na półeczce nad umywalką zauważył suchą szczoteczkę do zębów. Przypomniały mu się pieszczotliwe pocałunki Annie. Na kranie odciski palców ich obojga. Kiedy się kłócili, następnego dnia po kłótni nie pozostawał zazwyczaj żaden ślad.

Annie nie wróciła do domu. Co to może znaczyć? Że nocowała u koleżanki albo że coś jej się przytrafiło w drodze do domu? Może dziecko postanowiło przyjść wcześniej na świat, a teraz

i ona, i Leonard Mingus leżą w szpitalu i czekają, aż on zjawi się w sali, a wtedy cała ich trójka przytuli się do siebie? Spojrzał na zegarek: za pięć siódma. Jeśli Annie nadal się na niego gniewa i nie zamierza wrócić do domu, to nie miała zbyt wielkiego wyboru, jeśli chodzi o nocleg. Może śpi u którejś z przyjaciółek? Na pewno pozwoliłyby jej u siebie zanoć, a gdyby do nich zadzwonił, poznałyby po ich głosie, że to właśnie on jest wszystkim winien. Podszedł do jej biurka w sypialni po numery telefonów. Na blacie była żółta kartka przyklejona taśmą, a na niej kilka numerów. To kartka dla niego. Od kiedy zamieszkali razem, Annie zna różne numery na pamięć.

Nigdy wcześniej się nie zdarzyło, żeby nie wróciła na noc do domu, nic mu o tym nie mówiąc. Co innego on. Mają różne charaktery, różne osobowości. Annie częściej czeka na niego na kanapie, a potem w łóżku. W końcu wstaje i dzwoni do którejś z przyjaciółek, Leny albo Ulli. Za każdym razem ją pocieszają, że Max zawsze wraca do domu cały i zdrowy i tym razem będzie podobnie. Rzeczywiście, ich słowa zawsze się sprawdzały. Najczęściej wracał zbyt pijany, żeby sobie przypomnieć, gdzie tak długo był. Teraz jest na odwrót. To on będzie za nią wydzwaniał.

— Max? Coś się stało? Która godzina? — spytała Ulla. Sądząc po odgłosach w słuchawce, musiał obudzić nie tylko ją, ale także resztę jej rodziny.

— Jest u was Annie?

— U nas? A dlaczego miałyby tu być?

— Nie wróciła do domu.

W tle usłyszał czyjś głos. Jakieś wyjaśnienia. „Tak, to Max. Mówi, że Annie nie ma w domu”. I jakiś inny głos. Po chwili

w słuchawce znowu usłyszał Ulłę:

— Nie ma jej u nas. Sprawdziłeś u Leny?

— Nie, ale zaraz to zrobię. Sorry, że was obudziłem — powiedział Max. I powiedz swojemu facetowi, że jest żaloszny i brzydki, dodał w myślach. I że śmierdzi mu z ust. I że chciał mnie zabrać do burdelu w mój wieczór kawalerski. Fatalny wybór.

— Zadzwoń jeszcze raz, jak jej nie znajdziesz. Na pewno wszystko się wyjaśni.

Zadzwoił do Leny, ale z tym samym rezultatem. Annie też tam nie było. Trudno to wytłumaczyć. Jej przyjaciółki również są zaniepokojone.

Włożył kurtkę i wyszedł na ulicę, żeby sprawdzić, czy ich samochód stoi na swoim miejscu. Tak, stał tam, gdzie go zaparkował poprzedniego dnia. Toyota corolla. Kupili ją na kredyt. Trochę dalej zauważył jakąś parę. Rozmawiali na porannym spacerze z psem. Zza rogu wyjechała ciężarówka.

Może miała wypadek? Może postanowiła go rzucić? Fifty-fifty, stwierdził, ale zaraz odpędził od siebie tę myśl. O tak wczesnej porze jego wiara w samego siebie nigdy nie była zbyt głęboka. Wrócił do domu i zadzwonił do redakcji. Była sobota, ale ktoś tam zawsze pełnił dyżur. Tak mu się przynajmniej wydawało. Przecież Annie pracowała tam o różnych porach dnia i nocy. Dziennikarstwo to powołanie. Nigdy mu tego nie mówiła, ale tak właśnie rozumiał jej postawę. Annie była jedyną osobą z powołaniem, jaką kiedykolwiek znał.

„I akurat ty musisz się zajmować tym tematem?” — zwykł mawiać, gdy Annie pracowała do nocy. „W gazecie nie ma kogoś

innego, kto mógłby o tym napisać?” — pytał, kiedy bardzo mu brakowało jej obecności. „Szwedzkie społeczeństwo nie przeżyje kolejnego tygodnia, nie wiedząc, o czym chciałaś mi opowiedzieć?” — pytał, choć znał odpowiedź. Słyszał ją setki, a nawet tysiące razy. Mimo to za każdym razem, gdy mu odpowiadała, czuł dumę.

„Wiesz, co o tym myślę”, mawiała Annie. „Każdy obywatel żyjący w demokracji ma do tego prawo, a...”.

„A demokratycznym obowiązkiem dziennikarza jest dostarczanie informacji”, kończył za nią z uśmiechem na twarzy. „Wiesz, że właśnie za to cię kocham. Po prostu się o ciebie martwię. Nie złość się na mnie, to z miłości”.

Pocałował ją w myślach. Ostatnio często ją prosił, żeby tyle nie pracowała i pomyślała o Mingusie. Annie nie zgadzała się z takim podejściem. Oswobadzała się z jego uścisku, chociaż zawsze obejmował ją bardzo mocno. W myślach kochał się z nią tak, jak na początku ich związku.

Po trzecim sygnale ktoś odebrał. Młody męski głos. Mężczyzna odłożył słuchawkę, żeby sprawdzić, czy Annie jest w redakcji. Słyszając zbliżające się kroki, Max zaczął się zastanawiać, co Annie powie, gdy podniesie słuchawkę. Jest wiele możliwości i niektóre budziły jego niepokój. Niestety, to nie była ona. Mężczyzna wyjaśnił, że Annie nie ma w jej pokoju i nikt jej od wczoraj nie widział.

— Sprawdzał pan w szpitalach? — spytał.

— Nie.

— Powinien pan sprawdzić. Na wszelki wypadek.

Zaczął więc dzwonić po szpitalach. Za każdym razem musiał

opisywać jej wygląd. Coraz bardziej mu jej brakowało. Niewielkie znamię na brodzie. W ciąży. Blondynka. Wzrost metr siedemdziesiąt. Zostawiał numer telefonu, żeby mogli oddzwonić, jeśli do szpitala trafi ktoś odpowiadający jej rysopisowi.

W szpitalu zasugerowano mu, aby się trochę wstrzymał z powiadamianiem policji. Co to znaczy „trochę”? Do rana. Sprawa na pewno się wyjaśni. Pomyślał, że mają rację, że na pewno znajdzie się jakieś wyjaśnienie. Ale akurat teraz nic nie przychodziło mu do głowy.

Jest już wpół do jedenastej, sobota, a kobieta, którą kocha, przepadła jak kamień w wodę.

• • •

Kiedy chce się skoncentrować albo zapomnieć o swoim istnieniu, idzie wziąć ciepły prysznic. Zamknął drzwi, żeby łazienka napełniła się parą. Często pisuje na lustrze listy miłosne. Dziś tego nie zrobi, będzie tylko ciepła woda.

Użył jej szamponu w pomarańczowej buteleczce. Zamknął oczy i w wyobraźni zobaczył, jak stoją razem pod prysznicem. Uwielbia się z nią kąpać. Annie godzi się na to, żeby sprawić mu przyjemność. Ma wilgotne, przygładzone do tyłu włosy, stoi nieruchomo, a woda spływa po jej nagim ciele. Zna ten obraz na pamięć. Annie kładzie dłoń na jego piersi, przesuwa po niej palcami i mówi:

— Żeby uspokoić twoje skołatane serce.

Potem opiera brodę na jego obojczyku i dotyka brodawkami jego klatki piersiowej. Jest odważna jak Joanna d’Arc, przez trzysta sześćdziesiąt cztery dni w roku. Ostatniego dnia wróciła

do domu w milczeniu, zgasiła światło w sypialni i położyła się do łóżka. Leżała w pozycji embrionalnej, aż do niej przyszedł. Trochę ją przesunął, objął i tak długo tulił, aż się rozgrzała. Wtedy szepnęła do niego lekko ochrypłym głosem:

— Chciałabym się wcisnąć pod twoją skórę i zostać tam na zawsze.

— No to wejdz — powiedział, nie rozumiejąc, co ją dręczy. Świat, wyjaśniła. W dziwny sposób poczuł się dumny, że ta, którą miał za najdzielniejszą kobietę świata, chce, aby się nią zaopiekował i przez całą noc chronił w swoich objęciach. Nawet jeśli był to tylko jeden z trzystu sześćdziesięciu pięciu dni w roku i potem wszystko wracało do normy.

Rzucił ręcznik na łóżko i włożył szlafrok. Zwinęli go kiedyś z hotelu w Paryżu, na tyle drogiego, że można było doprowadzić szlafrok. Wisi teraz na wieszaku obok szafki. Nad szafką jest lustro. Ujrzał w nim swoje odbicie. Na szafce stoi zdjęcie, na którym są razem z Annie. On ze zdjęcia i on z lustra to dwie różne osoby. Na zdjęciu jest z kobietą, którą kocha. W lustrze jest tylko on. Czuł instynktownie, że będzie to głównym tematem ich rozmowy tego dnia. Zdradziły mu to oczy. Przypominają atramentowe plamy Rorschacha.

• • •

Mijał dzień, a ona nie wracała. Rozmawiał z kilkoma innymi osobami, ale bez rezultatu. Zaczął odnosić wrażenie, że mieszkanie coraz bardziej się kurczy. Ubrał się i wyszedł. Na wypadek gdyby w tym czasie Annie wróciła, zostawił na biurku kartkę: *Wyszedłem. Niedługo wracam. Czekaj na mnie. Max.*

Wszedł do małego pubu z czerwonym wystrojem. Musi coś

zjeść i się napić. Nie zdjawszy szalika, zamówił piwo. Chudy kelner przypominał mu szczura. Po drodze kupił wieczorną gazetę, która na razie leżała przed nim na stoliku. Podobno drużyna Chelsea pokonała Tottenham, ale co go to teraz obchodzi? Wypił spory łyk piwa i znowu poczuł się pewny siebie. Wszystko się jakoś ułoży.

Ten pub był kiedyś ulubionym miejscem jego i Patrika, jeszcze zanim każdy z nich związał się ze swoją kobietą. Patrikowi urodziło się dziecko. Max próbował dodzwonić się do niego z automatu wiszącego w rogu sali, ale nikt nie odbierał. Jest sobota, na pewno są na mieście. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, miał nadzieję, że do pubu wejdzie Patrik. Niestety, czekał na próżno. Przez długi czas pędzili wspólne życie. Nawet im się wydawało, że będzie tak już do końca. To ich uspokajało. Ale w ostatnich latach ich drogi się rozeszły i obaj to wiedzieli.

Zadzwoił do domu, ale nikt nie odebrał. Kartka nadal leży na stole. Wypił resztę piwa, włożył kurtkę i postanowił odwiedzić Patrika. Jeśli go nie zastanie, zadzwoni do matki. Stara się jej nigdy nie niepokoić, bo to ona niepokoi jego.

Patrika zna od siódmej klasy. Jest jego najlepszym i najstarszym przyjacielem. Nic ich właściwie nie łączy z wyjątkiem miłości do muzyki, do Liverpoolu i do siebie. To z nim wszystko planował, z nim podejmował życiowe wyzwania, z nim konkurował i razem z nim marzył. Kiedyś założył się z Patrikiem, kto pierwszy wypije sześciopak piwa, i wygrał zakład. Kiedyś rozmawiali o tym, jak to jest kochać się z dziewczynami, i również się założyli, który z nich zrobi to pierwszy. Tym razem wygrał Patrik. Czytali Hemingwaya

i zastanawiali się, który odważy się wziąć udział w gonitwie byków w Pampelunie. Wygrał on, Max (choć Annie uważała, że przegrał, bo przecież biegł). Marzyli, że przed czterdziestką zostaną milionerami. Tutaj żaden z nich nie wygrał. W sumie prowadzi Patrik.

• • •

Drzwi otworzyła mu Lisa. Zanim się z nią przywitał, spojrzał jej przez ramię. Zastawiony stół w salonie, w całym mieszkaniu ciepło od ludzkich ciał. Mieli zaczerwienione twarze. Odniosł wrażenie, że są tam wszyscy z wyjątkiem jego i Annie.

Stał w milczeniu.

— Mamy tu taki mały *le goûter* — wyjaśniła Lisa.

— Co takiego?

— *Afternoon tea*. Popołudniową herbatkę. Tyle że zamiast herbaty mamy szampan i ciasteczka.

Popołudniowa herbatka ze wszystkimi, których nie znoszę, pomyślał Max. Przy stole ujrzał Erika. Nie cierpi go. I Anneli. Jej też nie znosi. Jeszcze kilka lat temu on i Patrik szczerze ich nie znosili, bo to bezduszni karierowicze z głupimi fryzurami. A teraz siedzą w salonie i popijają herbatkę.

— Daj sobie spokój — mawiała w takich sytuacjach Annie. — Nie rozumiem, dlaczego ich po prostu nie zaakceptujesz. Wiem, że ich nie lubisz, ale możesz ich traktować jak ludzi.

Nie, Annie tego nie rozumie. A on czuje się od nich gorszy i nienawidzi ich z powodu pytań, które mu zadają.

— Nadal grasz na gitarze? — spytał jeden z nich, udając, że sam gra.

— Masz szansę na stypendium? — spytał drugi.

Popatrzyli na siebie, a ich spojrzenia przecięły go niczym chłodne ostrze brzytwy.

— Cholera, Max, gdybyśmy wiedzieli, że jesteś wolny — powiedział Patrik, wchodząc do przedpokoju.

Max zauważył, że jego przyjaciel jest lekko zawiany. Wzrok miał niewyraźny, rysy twarzy zmieniły mu się pod wpływem alkoholu.

— Max! — zawołał ktoś w salonie. Erik. Miał zaczerwienioną twarz, był tłusty i świecił się jak rzeźnik.

Max uśmiechnął się słabo i mu pomachał.

— Chodź tu do nas, do diabła! — zawołał Erik.

Max spojrzał na Lisę, a ona na Patrika. Oboje byli zaczerwienieni.

— Gdzie podziałeś swoją babę? — spytał Erik.

Max stał w milczeniu. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Spuścił wzrok.

— Gdzie jest Annie? — spytał Patrik. Przemówił trzeźwo, jakby nagle wyczuł powagę sytuacji.

Max nie mógł wydobyć z siebie głosu. Wszyscy umilkli i wbili w niego wzrok. Goście siedzący tyłem do wejścia odwrócili się do niego. Max chciał powiedzieć coś mądrego, żeby zachować twarz. Chciał oswoić zaginięcie Annie, żeby nie stało się prawdą. Czekał, aż słowa same wyjdą mu z ust, ale po chwili rzucił się Patrikowi w ramiona i wybuchnął płaczem. Nie płakał tak od śmierci ojca.

Przyjaciele i doradcy

1

Tylu gości nie pamiętał od dnia, w którym Annie urządziła mu imprezę z okazji trzydziestych urodzin. Patrik, Lisa i ich dziecko, jego matka, Lena i Ulla. Brakowało tylko Annie i Mingusa.

Wszyscy siedzieli w salonie, a on leżał w łóżku i próbował zasnąć. Wcześniej wziął tabletkę. Lisa jest lekarką i podała mu coś na uspokojenie. Obiecali, że sami załatwią wszystko, co trzeba, będą odbierać telefony, wyjdą na ulicę i popytają w sklepach, czy personel czegoś nie zauważył. Leżał w łóżku i słyszał ich ściszone głosy. O czymś rozmawiają, ale nie wie o czym. Znowu te szepty, jak na pogrzebie ojca. Chcą rozmawiać, ale szepczą, jakby nie chcieli naruszyć zgaszonej atmosfery. Jego matka też przyszła, pewnie teraz pije kawę. Zastanawiał się, czy czuje się tak jak on.

Poprzedniego wieczoru Patrik odprowadził go do domu. Lisa przyszła rano, potem dzwoniли do Ulli i Leny. Zadzwonili też do jego matki. Ona nie miała już do kogo zadzwonić, więc łańcuszek się urwał. Jest jej jedynym dzieckiem. Ojciec zostawił ich wiele lat temu, a on nie wiedział — i nawet nie chciał wiedzieć — czy po nim znalazła sobie jakiegoś faceta. Jego ojciec był malarzem.

Wychował się w dzielnicy Söder w Sztokholmie i często opowiadał mu o tym, jak się żyło w czasach, gdy był dzieckiem i mieszkał w Vita bergen. Kiedyś był człowiekiem sentymentalnym, pod koniec życia już tylko zgorzkniałym. Za wszystkie niepowodzenia obwiniał innych: Olofa Palmego, USA, Izrael, Björna Borga, ważniaków ze związków zawodowych, idiotów z władz dzielnicowych, producentów papierosów i tego pieprzonego starego króla pedałów. To oni są wszystkiemu winni: temu, że nie ma pracy dla malarzy, że ich dzielnica niszczeje, jego chorobie i fatalnej opiece medycznej, będącej na tak niskim poziomie, że wyrok śmierci wydał mu się oczywisty tego samego dnia, w którym dowiedział się o chorobie.

Patrik otworzył drzwi pokoju.

— Śpisz? — spytał, chociaż widział, że przyjaciel leży z otwartymi oczami.

— Nie — odparł Max, kręcąc głową. — Wejdz.

Patrik wszedł i zamknął drzwi. Jest wysoki, ma prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Trochę przybrał na wadze, ale prawie tego nie widać. Ma okrągłą twarz i brwi, które pod prawie czarnymi włosami tworzą literę „V”. Włosy zaczesuje do tyłu i zawsze wygląda tak, jakby przed chwilą się ogolił.

Usiadł na brzegu łóżka. Miał taką minę, jakby chciał coś powiedzieć. Od wczoraj niewiele ze sobą rozmawiali. Max domyślił się, że nadszedł czas na rozmowę.

— Znamy się od dawna — zaczął Patrik. — Więc mogę cię spytać o wszystko, tak samo jak ty możesz zapytać o wszystko mnie.

Max skinął głową.

— Czy między tobą a Annie dobrze się układa? — spytał Patrik. — Lepiej powiedz prawdę. Wiesz, że nie umiesz kłamać.

Max uśmiechnął się słabo.

— W tym tygodniu strasznie się pokłóciliśmy — odparł.

— Poszło o coś konkretnego?

— O bzdety.

— To możliwe, że nie ma jej właśnie dlatego?

— Nie — odparł Max i pokręcił głową. Ból wrócił. — To nie w jej stylu.

— A może coś przeszkrobałeś?

— Na przykład?

— Coś, co ją cholernie rozzłościło.

— Co masz na myśli?

— Może się gdzieś łajdaczyłeś?

Max wsparł się na łokciach.

— Zwariowałeś?

— Nie ma tematu — odparł Patrik. — Ale musiałem spytać.

Max długo mu się przyglądał.

— A ty się łajdaczysz? Jak mogłeś tak pomyśleć?

— Nie chodzi o to, co ja zrobiłem. Chciałem tylko spytać.

Zapomnij o tym.

Drzwi lekko się uchyliły. Do pokoju weszła Lisa. Popatrzyła na nich i powiedziała:

— Pójdę na dół i przyniosę coś do jedzenia. Zajmiesz się Antonem?

Podawała chłopca Patrikowi. Max spojrzał na małe dziecko w potężnych objęciach. Od kiedy urodziło im się dziecko, spotykają się dużo rzadziej. Chłopczyk był ubrany w luźne

śpioszki i małą czapeczkę. Był też owinięty kocykiem, z którego chciał się wydostać. Rozglądał się wokół siebie, bo znalazł się nagle w nieznanym mu świecie. Był taki drobny i śliczny. Max nie był na to przygotowany. Widok ich trójki. Zapach dziecka. Dziecinne gaworzenie. Z trudem powstrzymywał płacz.

— Wszystko w porządku? — szepnęła Lisa.

— Nie musisz szeptać — odparł Max. — To nie czuwanie przy zwłokach. Nikt tu nie umarł.

Lisa skinęła głową i popatrzyła na niego przepaszającym wzrokiem. Max zerknął na Antona, który spojrzał na niego swoimi rybimi oczami dziewięciomiesięcznego dziecka.

— Przepraszam. — Max pogłaskał Antona po główce. — Nie to chciałem powiedzieć. Chodziło mi tylko...

Przerwał i położył dłoń na główce dziecka.

Patrik i Lisa spojrzeli na niego i skinęli głowami. Wszyscy chcą dobrze. Ale on nie potrzebuje ludzi, którzy chcą dobrze. Właśnie tak czuł. Przełknął ślinę.

— Wiesz co? — spytał, patrząc na Patrika. Lisa stała już przy drzwiach.

— Tak?

— Jeśli to jakiś koszmarny sen, mógłbyś mnie obudzić? Uderz mnie w ramię i od razu wrócę do rzeczywistości. Jesteś moim najlepszym kumplem. Zrobisz to dla mnie?

— Przykro mi — odparł Patrik, kładąc mu dłoń na ramieniu. — Ale to nie jest koszmarny sen.

Max poczuł, jak oczy zachodzą mu łzami.

— Prawda. Wiedziałem, ale pomyślałem, że spróbuję. Ostatni raz.

Max podniósł się z łóżka, minął Lisę i podszedł do telefonu w przedpokoju. Zajrzał do salonu. Słońce przebijało przez cienkie zasłony, na podłodze ścieleły się cienie rzucane przez zaniedbane kwiaty na parapecie. Czerwony pluszowy fotel z oparciami. Stojak na gitary. Regał pełen płyt winylowych. Książki piętrzące się od podłogi do sufitu. Wszystko wyglądało tak jak zawsze, a zarazem było takie inne.

Patrik siedział na kanapie obok jego matki. Lisa nadal tkwiła w przedpokoju. Max podniósł słuchawkę i przez chwilę stał nieruchomo. Wsłuchiwał się w sygnał, który zdawał się przybierać na sile. Lena przytuliła się do ramienia Ulli i zaczęła płakać. A przecież to ona jest wzorem siły. Tak przynajmniej słyszał. Popatrzył po zgromadzonych w pokoju. Przyszli tu przez wzgląd na niego, bo w jego życiu zaszła gwałtowna zmiana. Zapanował w nim chaos, którego zawsze doświadczają inni i o którym można poczytać w wieczornych gazetach. Wystarczyło im na niego spojrzeć i od razu wyczuli, że sytuacja jest poważna. Nie ma co liczyć na cud ani na to, że zaszło nieporozumienie. Każde z nich rozpatrywało w myślach własną wersję wydarzeń. Max widział w ich oczach sceny, które rozgrywały się jak na filmach. Przedstawiały to, co mogło przydarzyć się Annie. Widział w nich strach i nadzieję na życie i świat, które właśnie stracili. Widział w nich chęć do ucieczki z tego miejsca i ukrycia się w ramionach tych, których najbardziej kochają.

Wykręcił numer policji, a gdy ktoś odebrał, wypowiedział słowa, które słyszał tyle razy wcześniej. Zawsze miał nadzieję, że akurat on nigdy nie będzie musiał ich użyć.

— Nazywam się Max Lander i chcę zgłosić zaginięcie mojej

żony.

2

W tym secie był remis, bo Johanowi Drothowi udało się przełamać serwis Hellstena. Od ponad dziesięciu lat co tydzień grali w tenisa na Królewskich Kortach. Zazwyczaj wygrywał Droth. Hellsten może sobie pozwolić na przegraną, ale nie są to porażki kompromitujące. Gdy budowano tę halę, ojciec Drotha był jednym z najhojniejszych sponsorów. Dzięki temu Johan w dzieciństwie spędzał w niej dużo czasu. Jego ojciec był niezłym tenisistą. Szczycił się też tym, że kiedyś pokonał samego Marcusa Wallenberga, uważanego przez wielu za jednego z najlepszych tenisistów w Szwecji. Obaj byli odznaczeni Królewskim Orderem Serafinów, ale oprócz tenisa nic więcej ich nie łączyło. Droth nie wiedział, czy to prawda, że jego ojciec wygrał z Wallenbergiem. Obaj już nie żyją i nikomu nie uda się ustalić, jak było naprawdę.

Zaserwował i piłka po returnie Hellstena trafiła w siatkę.

Martin Hellsten jest szczupły i ma mysią twarz. Na co dzień nosi ubrania, które wyglądają równie tanio jak jego fryzura. Hellsten jest jego prawnikiem. To, że wygląda jak drugorzędny doradca, stanowi problem tylko dla jego żony. Ale Johan Droth nie płaci mu za elegancki wygląd, tylko za doskonałe doradztwo. Pod tym względem jest z jego usług zadowolony. Nigdy nie przepadał za prawnikami i nadal mógłby wymienić wiele powodów swojej niechęci. To zwykli nudziarze. Kiedy mają coś wyjaśnić, od razu zaczynają to komplikować. Brakuje im odwagi i nigdy nie potrafią zagwarantować, że to, co mówią, naprawdę się zgadza. Ubierają się jak bibliotekarze i na domiar złego są koszmarnie drodzy. Zanim zaczął korzystać z usług Hellstena,

pozbył się kilku innych prawników reprezentujących najświetniejsze kancelarie w kraju, bo żaden z nich nie nadawał się do stałej współpracy. W końcu trafił na Hellstena i doszedł do wniosku, że powinien związać się z nim na dłużej. Hellsten wie, czego Johan Droth po nim oczekuje. Reprezentuje go w wielu sprawach, pełniąc funkcję bufora, żeby Droth nie musiał się nimi zajmować sam. Okazało się, że Hellsten jest fantastycznym negocjatorem. No i nieźle gra w tenisa.

Spojrzał na Hellstena, który przymierzał się do backhandu. To jego najsłabsze uderzenie i obaj dobrze o tym wiedzieli.

• • •

Zgodnie z planem Johan Droth wygrał pojedynek. Trzeci set zakończył się wynikiem pięć do dwóch. Po meczu spędzili jeszcze trochę czasu w saunie, a potem poszli do restauracji. W lokalu było niewielu gości, więc usiedli przy stoliku z dala od wejścia. Droth uniósł szklanke i się napił. Była w połowie wypełniona mocnym piwem, a w połowie słabym. Hellsten skinął głową i sięgnął po butelkę z wodą mineralną. Nigdy nie pije alkoholu. Droth nie wiedział dlaczego, ale wcale go to nie interesowało.

Następnego dnia mają spotkanie, więc szczegóły omówią teraz, żeby ich nie roztrząsać w zbyt licznym gronie. Chociaż i tak będą tam tylko zaufani ludzie, których cechują moralna postawa i niezłomna lojalność wobec rodziny. Zresztą na każdego z nich ma jakiś haczyk. Są na tyle silni, na ile jest mu to potrzebne, i na tyle słabi, na ile mu się podoba. Ma ich w garści — ich życie i małżeństwa. Jeśli któryś spróbuje ugryźć rękę, która go karmi, szybko się przekona, jak zimny i twardy potrafi być Johan Droth. To świadoma strategia, nauczył się jej od ojca. On

zawsze powtarzał, że powinien otaczać się ludźmi, których może kontrolować. Jeśli zajdzie potrzeba, warto posunąć się nawet do szantażu. To samo dotyczy Bustera. Kontrolowanie członków własnej rodziny to tradycja, z której zawsze byli dumni. Potem, przy odpowiedniej okazji, wystarczy już tylko zagrać odpowiednią kartą.

— Są jakieś informacje w sprawie Aeneid Investment? — spytał Droth, odstawiając szklanekę.

— Nic nowego — odparł Hellsten, kręcąc głową. — Nasz przyjaciel Kevinge przepadł jak kamień w wodę. Panuje kompletny chaos.

Mężczyzna, którego Hellsten nazwał „naszym przyjacielem Kevinge”, był szwedzkim finansistą ze skłonnością do dużego ryzyka. Poczucie moralności miał za to dość słabe. Od pewnego czasu wiedział o nim każdy Szwed, bo po jego zaginięciu wieczorne gazety zaczęły snuć przypuszczenia, że został zamordowany. Jeszcze dwa lata temu jego nazwisko było dobrze znane wyłącznie w kręgach gospodarczych. Interesy, które prowadził w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, nadszarpnęły jego reputację na salonach, więc kiedy potrzebował gotówki, poprosił Johana Drotha o pożyczkę. Chcąc wyrazić swoją wdzięczność za to, że Droth go przyjął, przyniósł mu prezent. Był to obraz Andersa Zorna z jego własnej kolekcji. Droth przyjął dar, powiesił go w swoim mieszkaniu i udzielił pożyczki za pośrednictwem banku na Curaçao. Potem rozpętało się piekło, na jaw wyszły jakieś ciemne sprawy i Kevinge zniknął. Krążyły pogłoski, że uciekł i nawet nie poinformował o tym swoich dzieci. Według innej wersji ktoś zapakował go do

bagażnika jego białego mercedesa, a samochód „zaparkował” na dnie morza w pobliżu Landsort.

— Możemy raczej przyjąć, że te pieniądze są dla nas stracone — powiedział Hellsten. — Gdybyś zaczął domagać się ich zwrotu, mogłoby to zaszkodzić twojej reputacji. Wszyscy by się dowiedzieli, że pożyczkę dostał od ciebie. Poza tym zainteresowałyby się władze. Dlatego, biorąc pod uwagę konsekwencje długofalowe, powinniśmy dać sobie spokój.

Łatwo ci to mówić, bo to nie twoje pieniądze, pomyślał Droth, ale głośno tego nie powiedział. Skinął tylko głową i wypił trochę piwa. „Konsekwencje długofalowe”, od razu przypomniał mu się jego nowotwór. Siedzą tu z Hellstenem i dyskutują, jak zadbać o rodzinny interes, a rak pożera go od wewnątrz jak jakiś wygłodniały gryzoń. Czasem mu się wydaje, że nawet słyszy ten dźwięk. Przypominał szmer myszy buszujących po strychu.

— Za dwa dni muszę wyjechać — powiedział. — Nie będzie mnie przez tydzień.

— Słyszałem o tym w biurze.

— Jak to?

— Zrezygnowałeś podobno z biletów?

Johan Droth spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

— Mam na myśli *Upiora w operze*.

— Rzeczywiście — potwierdził Droth i skinął głową. — Bilety.

— Theorin mnie pytał, czy chciałbym się wybrać, ale nie mam czasu, więc dał je komuś innemu.

Droth skinął głową. Faktycznie, Theorin zaprosił go na nowy musical, który podobno odnosi sukcesy na całym świecie.

„Pomyśleć, że trzy tygodnie temu oglądałem go na

Broadwayu, a teraz wystawiają go już u nas”, zachwalał Theorin.

„To naprawdę niesamowite”, zgodził się z nim Droth i pomyślał: mogą go sobie wystawić nawet na Księżycu, i tak na niego nie pójdę. „Mam pilne sprawy na głowie”, powiedział i zakończył rozmowę o biletach.

Theorin nie pytał go o nic więcej, bo Johana Drotha nie należy pytać o pewne sprawy. A gdyby ktoś zapomniał, jakie obowiązują zasady, i mimo wszystko dociekał, wystarczyłoby, żeby Droth na niego spojrział. „W takim razie proponuję te bilety Hellstenowi”, powiedział Theorin. Droth skinął głową i odparł, że to dobry pomysł. Ale Hellsten też najwidoczniej nie miał czasu. Droth popatrzył na jego szczerzą twarz. Co taki Hellsten sobie myśli? I co Theorin robił w Nowym Jorku? Może po prostu zabrał żonę na weekend i wybrał się na Broadway? Może nocowali w eleganckim hotelu? A może robił tam coś innego? Zaczynam wariować, pomyślał Droth. Przecież Theorin nie ma nic wspólnego ze sprawą z Nowego Jorku. A nawet gdyby razem z Busterem robili wspólne interesy, jest zbyt prostolinijny, żeby pomagać Busterowi w tego rodzaju sprawach. Im dłużej o tym Johan Droth myślał, tym bardziej był przekonany, że to jego syn się zmienił. Wolał się nie zastanawiać, czym się to może skończyć. Odnosił wrażenie, że nie poznaje swojej nielicznej rodziny. A jednak musi tkwić za fasadą, która pozwala mu ukrywać własne uczucia.

— A dlaczego nie chciałeś przyjąć biletów? — spytał. — Masz jakieś plany?

— Jadę do Kłajpedy na spotkanie z armatorem, z którym prowadzimy interesy. Na Litwę.

— Chyba mnie nie doceniasz... Wiem, gdzie leży Kłajpeda, chociaż nie wiedziałem, że prowadzimy tam interesy — odparł Droth. — W czasie wojny ludzie przeżyli tam piekło, ale po wojnie było jeszcze gorzej. Wiedziałeś o tym?

— Nie, chyba nie.

— Najpierw zjawili się Niemcy, którzy wymordowali ponad dwieście tysięcy litewskich Żydów. Potem nastąpiła epoka Związku Radzieckiego i zrobiło się jeszcze gorzej. Tych Żydów, których nie zabili na miejscu, wysyłali na Syberię. Tak wyglądało życie w Kłajpedzie. Tak blisko, a zarazem tak daleko od nas.

Hellsten skinął głową.

— A więc mówisz, że masz spotkanie z armatorem?

— Jeszcze nie zdążyłem się z tą sprawą zapoznać. Chcemy podpisać umowę. Jeśli wszystko się uda, będzie dla nas korzystna. Ale szanse na to są niewielkie. Wojsko nadal ma tam silne wpływy i trzeba będzie zapłacić wielu ludziom. Wcześniej zajmował się tym Buster, teraz zostały do wyjaśnienia kwestie prawne, więc ja się do tego wziąłem.

Johan Droth skinął głową.

— Jest coś, co dotyczy Bustera — powiedział. — I właśnie o tym chciałbym z tobą porozmawiać. Zamierzam zwolnić go z niektórych obowiązków.

Hellsten spojrzał na niego uważnie, ale nie dał po sobie niczego poznać.

— Buster jest przekonany, że wzrost eksportu do USA przyniesie nam korzyści. Ja mam odmienny pogląd. Podejrzewam, że mój syn wie o różnych sprawach i że wiedzę tę mógłby wykorzystać jako środek nacisku, aby doprowadzić do

porozumienia między Amerykanami a nami. To dlatego postanowiłem wyłączyć go na pewien czas z tych trudnych negocjacji. Chcę też dopilnować, żeby w przyszłości nie mógł wykorzystać wiedzy, jaką ma. O mnie, o nas wszystkich.

— Sądysz, że mógłby posunąć się aż tak daleko? A może obawiasz się, że ktoś chciałby te informacje od niego wyciągnąć, a potem je wykorzystać?

— Nie wiem. Nie sądzę, że odważyłby się wystąpić przeciwko własnej rodzinie, ale całkowitej pewności nie mam. Kierują nim inne instynkty niż tobą czy mną. Jeśli więc trafi się okazja, zatrzymaj wszystkie ślady. Chyba że już to zrobiłeś?

— Możesz uważać, że sprawa jest załatwiona.

Johan Droth skinął głową. Miał zatroskaną minę.

— Rozumiem, że będziemy musieli zająć się tym piątkowym artykułem w gazecie?

Hellsten się skrzywił.

— Zakładam, że też go czytałeś? — kontynuował Droth.

— Tak.

— I ty, i ja, i wszyscy inni, którzy widzieli, jak ta dziennikarka stoi na ulicy i szpieguje, wiedzą, że chodzi jej o nasz klub. Ludzie mogą nas łatwo wziąć na cel, chociaż nie wiedzą tego, co my wiemy. Takich klubów jak nasz jest niewiele, chyba tylko trzy. I nieważne, który z nich wezmą na cel, bo wtedy od razu zainteresują się dwoma pozostałymi. Mam rację?

— Tak.

— Napisała, że coś wiąże klub z prostytutkami. Niektóre nie żyją, ale w artykule nie ma żadnych dowodów. A teraz jej nie ma i nie może odpowiedzieć na żadne pytania. Czy powinniśmy się

niepokoić? Czy ten artykuł w ogóle zawiera coś konkretnego?

— Nie sędzę — odparł Hellsten i wzruszył ramionami. — Moim zdaniem jeśli jej sugestie są prawdą, to chodzi o jakiegoś psychopatę. Nie wierzę, żeby ktoś z naszego kręgu wykorzystywał i zabijał prostytutki.

— A teraz jej nie ma. Zaginęła?

— Tak twierdzą.

— Tak twierdzą, ale co podejrzewają?

— Na razie nie mają żadnych śladów. Z tego, co wiem, jej mąż zgłosił dziś rano zaginięcie. Obiecano mi, że jak pojawią się wieści, zostanę poinformowany.

— Istnieje ryzyko, że ktoś powiąże ją ze mną?

— Uważam, że jest zerowe. Zadbaliśmy o wszystko bez zarzutu.

— Tak... — powiedział Johan Droth. Przez chwilę wpatrywał się roztargnionym wzrokiem w jakiś punkt. — Ale artykuł o klubie może nam narobić kłopotów, zależnie od kierunku, w jakim potoczy się sprawa. A tak w ogóle, to jakim cudem ten tekst ukazał się w gazecie?

— Nasz przyjaciel w redakcji powiedział mi, że autorka umieściła go w tym wydaniu na własną rękę, bez zgody przełożonych. Po prostu ich oszukała i oddała tekst tuż przed wysłaniem składu do druku. Zauważyli to dopiero rano i od razu ją zawiesili. Mówią, że to do czasu, aż sprawa zostanie wyjaśniona.

— Jej zachowanie świadczy o tym, że jest przekonana o związku klubu z prostytutkami. Chciała wywołać reakcję i była gotowa zaryzykować utratę pracy. Możemy być spokojni, że

w razie czego klub pomyślnie przejdzie kontrolę?

— Sądzisz, że ktoś spośród nas mógłby być w to zamieszany?

— Czy inni jakoś zareagowali na ten artykuł?

— Nie. Słyszałem tylko wyrazy ubolewania, że ktoś ośmielił się powiązać nasz klub z czymś tak okropnym.

Johan Droth przypomniał sobie szkielety, które ukrywał we własnej szafie. Zastanawiał się, czy to nie jego chce dopaść ta dziennikarka. A może faktycznie odkryła coś, co łączy klub z zamordowanymi kobietami? Czy w klubie mogło dochodzić do takich zdarzeń, o których on nic nie wiedział?

— Żebyśmy się tylko nie obudzili z ręką w nocniku — powiedział. — Wolałbym uniknąć przykrych niespodzianek. Możemy z kimś porozmawiać, żeby się dowiedzieć, co ta Lander wie i czego szuka?

— Redakcja przesłała jej materiały policji, a mój kontakt w gazecie dostarczył mi kopię. Lander oparła swoje tezy na wypowiedziach kilku dziewczyn z ulicy. Zwłaszcza pewna młoda kobieta jest dla nas szczególnie interesująca. Niestety, moi ludzie jeszcze jej nie znaleźli. Ale to tylko kwestia czasu. Sztokholm jest zbyt małym miastem, żeby się w nim ukryć.

— To dobrze. Miej oczy i uszy szeroko otwarte i obserwuj reakcję innych. Byłoby rzeczą okropną, gdyby artykuł zawierał prawdę. Jeśli taki szaleniec jest wśród nas, musimy się go pozbyć. Zrozumiałeś?

— Tak. — Hellsten skinął głową.

Droth uderzył rakieta o podłogę.

— Jesteś dobrym doradcą, Martin — powiedział. — Doradzanie idzie ci lepiej niż gra w tenisa. I to mi się w tobie

podoba.

3

Jesienne słońce jaśniało nad zatoką Nybroviken, jego promienie barwiły złoto na czerwono, sztuczne zęby na biało i letnią opaleniznę na pomarańczowo. Restauracja Veranda była pełna gości, którzy kończyli późny lunch. Kelnerki w białoczarnych strojach mrużyły oczy.

Jozak był ubrany podobnie jak pozostali mężczyźni: w dwurzędową marynarkę i białą koszulę bez krawata. Spojrzał na swojego prawnika, Henrika Olssona, który siedział naprzeciwko niego. Przeciągnął palcem po białym lnianym obrusie. Ma wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wszystkie posiłki jadać tutaj. Nie robi tego z tej prostej przyczyny, że nie ma na to ochoty. To Henrik wybrał lokal. Takie preferuje. Pełno w nich mężczyzn, którzy przywieźli z Majorki opaleniznę i mówią przez nos. Ich kobiety chodzą do tego samego fryzjera, prowadzą sklepy albo pracują jako sekretarki w ambasadach. Lubi Henrika, ale nienawidzi tych, którzy mu tak imponują. Kiedy przyjechał do Szwecji, czytał w tygodnikach artykuły o imprezach, na jakie chadzają. Potem włamywał się do domów i mieszkań tych, którzy byli najlepiej ubrani albo robili wokół siebie najwięcej szumu.

No i co, lachociągi, miał ochotę powiedzieć. Płacę za dziwki waszą biżuterią i to dzięki mnie wasi synowie wciągają prochy, a potem brudzą krwią mankiety swoich marynarek od Armaniego.

Napił się trochę piwa.

— Obok stoi torba. Jest w niej czterysta tysięcy. Zabierz ją

stąd.

Olsson skinął głową. Ma ciemne włosy, które zaczesuje do tyłu. Na prawej skroni pojawiło się już kilka siwych kosmyków, co trochę go niepokoi. Bardzo dba o wygląd. Lubi biżuterię, bransoletki, zegarki. Zawsze mu się podobały, a teraz na wszystko go stać. Spod marynarki wystają spinki do mankietów z jego inicjałami. Na ręce ma zegarek, który kosztował więcej niż dom jego rodziców.

— Za tydzień wypłacisz temu człowiekowi dziesięć tysięcy — powiedział Jozak, podając mu wizytówkę. — Tydzień później kolejne dziesięć tysięcy. Sam ci powiem, kiedy przestać. Resztę przechowasz. W twoim języku mają chyba jakąś nazwę?

— Co takiego?

— Pieniądze, które się dla kogoś przechowuje.

— Nazywamy je „środkami dla klienta”.

— No właśnie, środki dla klienta. Podoba mi się. Ja je nazywam „ukrytym szmałem”. Ale nie jestem prawnikiem. Gdybym nim był, nie potrzebowałbym ciebie.

— Cieszy mnie twoja postawa — odparł Olsson. — A skoro mowa o tym człowieku... — zaczął, patrząc na wizytówkę. Odsunął ją na pewną odległość, żeby lepiej widzieć. — ...Kenneth Friis Jonson. Rozumiem, że będzie wiedział, o co chodzi, gdy się z nim skontaktuję?

— Kenneth pożyczył mi trochę pieniędzy — wyjaśnił Jozak. — Właściwie je zainwestował, to chyba lepsze określenie. A ja obiecałem mu procent. Dwa procent od pół miliona. Co tydzień ma dostawać dziesięć tysięcy.

— Żeby mógł dać nam więcej?

Jozak się uśmiechnął.

— A kiedy powiesz „stop”?

— Nasz inwestor wie, że inwestycja jest obciążona wysokim ryzykiem. Na pewno będzie mu przykro, kiedy przestanie dostawać swój procent. Ale takie rzeczy się zdarzają. Mogło być gorzej, bo już teraz chciał zainwestować więcej pieniędzy. Sam wiesz, że mam zbyt wielkie serce, żeby przyjąć taką propozycję.

— Tak, wiem coś o twoim sercu — odparł z uśmiechem Olsson; Jozak odwzajemnił jego uśmiech. — A co mam powiedzieć, jeśli któregoś dnia zadzwoni do mojego biura i spyta, co z jego odsetkami?

— To nie twoje zmartwienie. Zaufaj mi. Będę tak bogaty, że i ty się przy mnie wzbogacisz. A wtedy nie musimy otwierać, gdy ktoś zapuka. Jasne? — spytał Jozak. Pochylił się nad stołem i poklepał Olssona po ramieniu.

Ten przymknął oczy i skinął głową.

— To całkiem niezły plan. Wierzę, że się uda. Ale wyjaśnijmy pewną rzecz: co miałeś na myśli, mówiąc „resztę przechowasz”. Chodziło ci o zwykłe konto?

Jozak skinął głową.

Olsson miał znajomego, z którym studiował prawo. W 1978 roku razem zdawali egzamin. Znajomy pracował przez dłuższy czas w PK-banken, a teraz jest zatrudniony w pewnej spółce w Luksemburgu. Zajmuje się czymś, co sam nazywa „zarządzaniem kapitałem”. Jego współpraca z Olssonem ogranicza się do tego, że Olsson posyła mu przez kuriera pieniądze swoich klientów, między innymi od Jozaka, które są potem lokowane na koncie w Luksemburgu. Kurier wraca do

kraju z kartą Visa, powiązaną z kontem.

Spółka w Luksemburgu pobiera za usługę prowizję w wysokości kilku procent. Z kolei Olsson dostaje dwadzieścia procent od wszystkich wypranych pieniędzy. Przez ostatni rok mnóstwo zarobił, a teraz rozkręcają nowy interes. Im więcej pieniędzy mają jego klienci, tym więcej zarabia on sam. Dlatego najważniejsze dla niego jest to, aby Jozak przebywał na wolności. Wie, że nie wolno mu zadawać zbyt wielu pytań, ale orientuje się, że Jozak handluje heroiną i przekupuje policjantów, dzięki czemu miga się od więzienia. Jeśli interesy będą się dalej tak rozwijać, przejdzie na emeryturę, zanim skończy czterdzieści pięć lat.

— W torbie są też papiery — powiedział Jozak. — To umowa w sprawie obu restauracji, na Kungsholmen i w Sundbybergu. Są na niej dwa podpisy: mój i poprzedniego właściciela. Wszystko jest w teczce.

— Rozumiem, że każda umowa jest w jednym egzemplarzu? Oprócz tych w torbie nie ma żadnych innych?

— Nie ma. Schowaj je w sejfie do czasu, aż będziemy ich potrzebować. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, tak jak zaplanowaliśmy, sprawa nigdy nie wyjdzie na jaw. Wszystko zależy od ubezpieczeń i paru innych rzeczy. Może naprawdę wykupimy oba lokale, jeśli będziemy mogli zostać prawowitymi właścicielami? A może restauracja któregoś dnia po prostu spłonie? Kto wie.

— Masz pokwitowanie na to, że zapłaciłeś uzgodnioną kwotę? Pytam na wypadek, gdybyśmy go potrzebowali.

— Pokwitowanie jest w torbie.

— To dobrze. A kwota?

— Pięćdziesiąt tysięcy.

Olsson spuścił wzrok i pokręcił głową.

— Gratuluję kolejnego świetnego interesu.

— Dzięki.

— Gdyby moja kancelaria adwokacka wiedziała, czym się zajmuję, zniszczyłoby mnie. Chyba o tym wiesz?

— Jasne, ale co mogliby ci zrobić?

— Wysłać upomnienie, nałożyć grzywnę, a w najgorszym wypadku wykluczyć z palestry i odebrać uprawnienia adwokackie.

— Jak dostaniesz grzywnę, obiecuję ją zapłacić. Już ci mówiłem: jeśli ja będę bogaty, ty też się wzbogacisz. Dopiero zaczynamy, kolego. Kluby to tylko część interesu. Są inne źródła dochodu, z których niedługo zaczną płynąć pieniądze. Poza tym pracuje dla nas wiele innych osób.

— Powinienem wiedzieć, czym ci ludzie się zajmują? A może lepiej niczego nie widzieć i nie słyszeć?

— Pracujesz dla mnie — odparł Jozak, pochylając się w jego stronę. — Nie obchodzi mnie, co myśli twoja kancelaria. Mnie potrzeba adwokata. Jak przestaniesz być adwokatem, zatrudnię innego. Dlatego wypełniaj moje polecenia i nie zadawaj zbędnych pytań. Nie chodzi o to, że ci nie ufam. To dla twojego własnego dobra. Jak się okaże, że jesteś tak samo winny jak my, to nie będziemy mieć z ciebie żadnego pożytku. Kapujesz?

— Absolutnie.

— W takim razie zamówmy coś. Jestem głodny.

— Jest jeszcze jedna sprawa.

— Co takiego?

— Moje honorarium — wyjaśnił Olsson, bębniąc palcami po stoliku. — Wolałbym to z tobą omówić, zanim zamówisz butelkę wódki, a ja wyjdę stąd z pustymi kieszeniami.

Jozak tylko machnął ręką.

— Weź z tego, co jest w torbie.

— W porządku. Dwadzieścia kawałków?

Jozak skinął głową.

Olsson przywołał kelnera. Zamówili jedzenie i kolejne butelki piwa.

Czekając na posiłek, Jozak zatopił się w rozważaniach. Myślał o Ranku. Wziął go do siebie wbrew woli matki, która chciała, żeby chłopak został wojskowym, jak ich ojciec. Żeby nie był jak starszy syn gangster. Mimo to Ranko przyjechał do niego. W Belgradzie nie miał przyszłości. Tutaj Jozak może się nim zaopiekować. Avram go wszystkiego nauczy, choć nie będzie to takie proste. Ranko to impulsywny głupiec, ale ma wielkie serce. Jozak go kochał, ale od razu widać, że są ulepieni z innej gliny. Przesunął palcem po obrusie. W pewnej chwili uniósł głowę i napotkał wzrok kobiety siedzącej dwa stoliki dalej. Wpatrywała się w niego uważnie. Usta miała tak mocno zaciśnięte, że wykałaczkę można by w nie wcisnąć chyba tylko siłą.

— Jakiś problem? — spytał.

Kobieta spuściła wzrok. Olsson spojrział na nią i z trudem zapanował nad śmiechem.

— Znamy się? — spytał trochę głośniej Jozak. Mężczyzna towarzyszący kobiecie zaczął się rozpaczliwie rozglądać za kelnerem. — Może chodzimy do tego samego klubu tenisowego?

Albo trzymamy łódkę w tej samej marinie? Chyba nie, więc nie gap się tak na mnie, rasistko.

Olsson roześmiał się głośno.

— Daj spokój, Vito. Może trudno ci w to uwierzyć, ale takich jak ona naprawdę nie obchodzi, że pochodzisz z innego kraju. Boją się ciebie z zupełnie innego powodu.

— Jest rasistką, tak samo jak te pieprzone baby z wyższych sfer, które mieszkają w mojej kamienicy. Mówiłem ci, co mi się zdarzyło, jak się tam wprowadziłem?

Olsson pokręcił głową.

— Kupiłem sobie nowe mieszkanie na Sturegatan. W każdym pokoju kominek. Zrobiłem miejsce w kuchni na stół bilardowy. Jak zacząłem wnosić meble, nadjechał radiowóz i zatrzymał się przed domem. Pytają, co robię. Odpowiadam, że się wprowadzam do nowego mieszkania. Okazało się, że zadzwonił do nich któryś z mieszkańców. Myślał, że okradamy tę starą, która mieszkała tam przede mną.

Olsson oparł się plecami o krzesło i położył ręce na oparciach, jakby chciał się podnieść.

— Nie żartujesz?

— Poważnie. Kiedy ktoś taki jak ja się wprowadza, ludzie myślą, że kradnie.

Olsson z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Z doświadczenia wiem, że ludzie jej pokroju mają niechętny stosunek tylko do kolorowych. Uważają za stosowne nazywać ich czarnuchami. Ty przyjechałeś do Szwecji z Europy Wschodniej i dla niej stanowisz jedynie świadectwo tego, że socjalizm poniósł klęskę, bo inaczej by cię tutaj nie było. Jesteś

więc dla Szwedów żywym dowodem na to, że to, w co wierzą, jest słuszne. Wypijmy za to! — Olsson wypił łyk piwa.

— Chętnie bym takich zabrał w jakieś ustronne miejsce i pokazał im, co o nich myślę.

— Na przykład w miejsce, gdzie pieprzą się wilki.

— Co takiego?

— Nie tak mawiacie? *Vukojebina*? To znaczy miejsce, gdzie pieprzą się wilki. Twój brat mnie tego nauczył, gdy się ostatnio widzieliśmy.

Jozak wybuchnął śmiechem.

— *Vukojebina*. Widzę, że trochę się podszkoliłeś. Trzy lata z Vitomirem Jozakiem. Takich rzeczy nie uczą na studiach prawniczych?

— Tam nie uczą wielu innych rzeczy. — Olsson się roześmiał.

— Ale niektórzy wierzą w to, czego nauczyli się na prawie. Za każdym razem, kiedy spotykam ich w sądzie, są rozgoryczeni, jakby ktoś ich wydymał bez mydła.

Obaj roześmiali się głośno. Olsson pochylił się nad stołem i szepnął:

— Skoro o tym mowa, nie szykuje się jakaś impreza?

Jozak wzruszył ramionami, udając brak zainteresowania.

— No, dobra — powiedział Olsson, unosząc spojrzenie do nieba. — Zgrywaj sobie obojętnego. Tylko nie zapomnij mi powiedzieć, jak będziesz się gdzieś wybierał. Już dawno nie miałem okazji się zabawić, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Inni prawnicy nigdy go nie zapraszali. Jeśli po rozprawie szli na piwo, unikali go.

— Czy ja jestem twoim alfonsem? Nie stać cię na własne

dziwki? Co ty robisz z pieniędzmi?

— Nie wygłupiaj się. Po prostu zadzwoń, gdy panie będą na miejscu, od razu przyjadę.

— W środę.

— W środę — powtórzył Olsson, a jego twarz rozjaśnił radosny uśmiech. — W takim razie kupię nowy garnitur i zabiorę do domu jakąś laseczkę. Co świętujemy?

— Zgadnij — odparł z uśmiechem Jozak.

4

Johan Droth wypił po kolacji dwa kieliszki koniaku i chyba dlatego ogarnęła go nostalgia. Rzadko tyle pije. Siedzi przed kominkiem i ogląda zdjęcia. Ma w domu kilkadziesiąt albumów, ale od lat do nich nie zaglądał. Zdjęcia z matką, ojcem i z rodzeństwem. Jego żona z dziećmi, kuzyni. Właściwie nie utrzymują kontaktów. Usłyszą o nim dopiero po jego śmierci, gdy trzeba będzie oszacować majątek. Ale na zdjęciu, które trzymał na kolanie, akurat tego nie widać. Zostało zrobione w Boże Narodzenie, jak zawsze, dopóki żył ich ojciec. Liczna rodzina zasiadająca wokół stołu w wiejskiej posiadłości w Sörmlandzie. Wiąże się z tym wiele różnych wspomnień, o których wolałby zapomnieć. Niestety, trudno się przed nimi obronić. Zamknął album i położył go na stole, pośród innych.

Kiedy przejął ster firmy, interesy zaczęły kwitnąć, ale rodzina mu się rozpadła. Żona wróciła do Szkocji, córki nie chciały go znać. Został mu tylko Buster, ale nie wiadomo, co z niego będzie. Istnieje ryzyko, że gdy on umrze, Buster zmarnuje odziedziczoną fortunę, wszystko to, co on tworzył przez całe życie. Ze zdumieniem przyłapał się na myśli, że byłoby chyba lepiej, gdyby

Buster umarł przed nim.

5

Gdyby nie czuła, że nadal jest w ciąży, mogłaby pomyśleć, że już od roku trzymają ją w ciemnościach. Ręce miała przywiązane do podłogi, więc nie mogła otrzeć krwi spływającej z nosa. Po prostu ją połykała. Nagle otworzyły się drzwi i do środka wpadła smuga światła. Ktoś poświecił jej latarką w twarz, więc odwróciła głowę. Po tak długim pobycie w ciemnościach, który dla niej trwał wieczność, światło ją oślepiało. Do pokoju weszli dwaj mężczyźni. Zamknęli drzwi i znowu zrobiło się ciemno. Annie krzyknęła tak głośno, jak tylko mogła, i krzyczała dopóty, dopóki wielka dłoń nie zatkała jej ust.

6

Kiedy Max wszedł do redakcji, maszyny do pisania, klawiatury i kopiarki nagle ucichły. Można było odnieść wrażenie, że całe piętro zastygło w bezruchu.

Już poprzedniego ranka panował tu większy spokój niż zwykle. Kiedy wszyscy pracownicy zajęli miejsca przy biurkach, Wikholm zwołał zebranie i poinformował, że Annie Lander nie wróciła w piątek po pracy do domu i od tamtej pory nie daje znaku życia. Ani rodzina, ani policja nie wiedzą, co się z nią stało. Jakby zapadła się pod ziemię. Poprzedniego wieczoru zadzwonił do niego jej mąż i w porozumieniu z policją postanowili, że w dzisiejszym wydaniu gazety zaapelują do Annie i do społeczeństwa o jakikolwiek znak. Na razie są bezradni, więc liczą na każdą pomoc. Wy też możecie pomóc, zakończył Wikholm. Na koniec zapowiedział, że Max Lander przyjdzie przed południem do redakcji, aby z nim porozmawiać. Obecny

będzie także Carl von Konow, który bardzo zaangażował się w sprawę.

— Na tym kończymy — powiedział Wikholm. — Wracajcie do pracy, a jeśli ktoś się czegoś dowie, niech przyjdzie z tym do mnie.

Wikholm wygłosił swoje przemówienie bez przekonania i wszyscy, którzy pracowali w redakcji dłużej niż tydzień, wiedzieli, co to oznacza.

Kilka osób się rozplakało. Inni zostali jeszcze na chwilę, żeby porozmawiać o pewnym dziennikarzu telewizyjnym. Cats Falck zaginął kilka lat wcześniej. Znalaziono go razem z przyjaciółką w samochodzie na dnie kanału w Hammarby. Wiele osób uważało, że został zamordowany. Falck zbierał materiały do reportażu o dużych szwedzkich firmach zamieszanych w aferę eksportową. Chciał napisać o związkach łączących wysokich urzędników państwowych — w tym premiera Olofa Palmego — z pewnymi kręgami w Związku Radzieckim. Podobno Annie też szykowała tekst, który miał być prawdziwą bombą. Jeśli ktoś ją zamordował, to znaczy, że sprawca jest na wolności. Falck nie żyje. Palme nie żyje. Dokąd zmierzasz, Szwecjo? Czy to możliwe, że zaginiona dziennikarka została zamordowana dlatego, że zamierzała coś opublikować?

Dwie godziny później w redakcji zjawił się Max. Szedł korytarzem jak skazaniec na egzekucję. Wszyscy stali przy biurkach, automatach z kawą i kopiarkach i spoglądali na niego pustym wzrokiem. Tego samego uczucia doświadczył poprzedniego wieczoru w swoim mieszkaniu. Jego przyjaciele mieli takie miny, jakby chcieli mu powiedzieć: nie pójdę za tobą,

bo wiem, że czeka cię piekło.

Kiedy poprzedniego dnia zadzwonił na policję, zadano mu wiele pytań, na które nie potrafił odpowiedzieć. Na przykład o stan jej konta bankowego, o paszport i o to, kto widział ją ostatni. zaproponował więc, że pójdzie do redakcji i do jej banku i następnego dnia wróci na komendę z informacjami.

Rozłączył się i zadzwonił do Wikholma. Opowiedział mu o zaginięciu Annie i o zgłoszeniu tego faktu na policji. Wikholm obiecał, że w poniedziałkowym wydaniu puści notkę na ten temat.

Szli wąskim korytarzem, aż w końcu dotarli do skrzydła budynku, w którym panował mniejszy ruch. W rogu stał niewielki telewizor z wyłączoną fonią. Akurat pokazywano zdjęcie Christera Petterssona, którego kiedyś podejrzewano o zamordowanie Palmego. Max przypomniał sobie, że tamtej nocy, gdy zamordowano Palmego, był akurat w barze. Kiedy wyszedł ostatni klient i właściciel zamykał lokal, zjawił się niejaki Faraon, miejscowy ćpun, a przy tym brat C. Zapukał do drzwi, twarz miał bladą. Kazał, żeby C. włączył radio. „To już koniec”, powiedział. „Teraz już nikt nie będzie nas krył”. Kiedy włączyli radio, zrozumiał, co Faraon miał na myśli. Akurat szło specjalne wydanie programu informacyjnego *Ekot*. Dźwięk, który dobiegał z radia, rozchodził się niezakłócony po całym pomieszczeniu. Max miał wrażenie, jakby nagle wybuchła wojna domowa albo ktoś dokonał zamachu stanu, albo jakby przez wiele następnych lat musieli się spotykać w tajnych pokojach, przemykać ulicami i czekać ze strachem, aż załomoczą do drzwi wysłannicy nowej władzy — znanej wielu innym, choć obcej dla

nich. Ktoś wtedy powiedział: „Zamknijcie, do cholery, drzwi na klucz”. Zrobił to C. Podobno w klubach zaledwie dwieście metrów od placu Stureplan ludzie się ucieszyli, gdy disc jockey ogłosił przez mikrofon, że Palme nie żyje. Maxowi trudno w to uwierzyć. Rok później poznał Annie i dopiero ona potwierdziła, że to prawda. Annie też tam była, ale nikt nie zauważył łez w jej oczach.

Max i Wikholm weszli do sali konferencyjnej, gdzie czekał na nich mężczyzna z filiżanką kawy na stoliku. Za nim stał flipchart, a na drugim końcu stolika puste filiżanki po kawie, które świadczyły o tym, że ktoś tu przed nimi był. Mężczyzna mógł być między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Wyglądał na wysportowanego. Wstał, żeby przywitać się z Maxem. Podpierał się laską. Włosy zaczęły mu już trochę rzednąć. Za szklami okularów czaił się badawczy wzrok. Pod oczami miał worki świadczące o dużym zmęczeniu. Max pomyślał, że zmieściłby się w nich cały jego wieczorny zarobek z klubu. Mężczyzna się uśmiechał, ale jego oczy pozostawały chłodne. Wyglądał tak, jakby poszarzałej skóry miał na twarzy za dużo. Zwisła nad kołnierzykiem białej koszuli. Sam garnitur musiał kosztować więcej niż samochód Maxa. Mężczyzna otworzył usta, ukazując pożółkłe zęby.

— Nazywam się Carl von Konow — powiedział, spoglądając Maxowi prosto w oczy. — Proszę spocząć. Napije się pan czegoś? Może kawy?

— Chętnie.

— Ja się tym zajmę — zaproponował Wikholm, wstając z krzesła. — Coś do kawy?

— Piję czarną — odparł Max. Pokręcił głową i popatrzył na von Konowa.

— Podchodzimy do tej sprawy z najwyższą powagą — powiedział von Konow, gdy Wikholm wrócił do pokoju z filiżanką kawy. — To dobrze, że od razu pan do nas zadzwonił. Jak pan już wie, napisaliśmy o tym w dzisiejszym wydaniu gazety. Jan rozmawiał z ludźmi i powoli wszystko układa się w całość. Wiemy już, o której godzinie Annie wyszła z redakcji i z kim tu ostatni raz rozmawiała. — Von Konow rzucił spojrzenie Wikholmowi i kontynuował: — Trudniej nam za to wyjaśnić, dlaczego zagięła.

— Poza tym nasze dotychczasowe ustalenia nie są zbyt jasne — wtrącił Wikholm. — Musimy porozmawiać z wieloma osobami, żeby pomóc policji. Dopiero wtedy będziemy mogli stwierdzić, czy zaginięcie Annie ma coś wspólnego z jej pracą. Jest popularną dziennikarką i zna wiele osób, więc musimy się z nimi skontaktować albo zostawić to policji.

— A kto mógłby coś o tym wiedzieć? — spytał Max.

— Głównie ci, z którymi współpracowała w redakcji. Ale zdarza się też, że nasi dziennikarze nawiązują współpracę z dziennikarzami z lokalnych gazet. Zakładam, że Annie również, choć nie wiemy jeszcze, z kim się kontaktowała. Na przykład jeśli zabiją kogoś w domu kultury w Oxelösund, dobrze jest mieć znajomości w lokalnej gazecie i wymienić się informacjami. Warto też znać prokuratorów, psychologów, lekarzy, psychiatrów sądowych, policjantów. Mogę tę listę ciągnąć w nieskończoność. Każda z tych osób może wiedzieć coś, co jest ważne. Jeśli chodzi o nas, udało nam się ustalić następujące

fakty: Annie pracowała ostatnio nad artykułem o zamordowanych prostytutkach. Zarówno ja, jak i Carl zaangażowaliśmy się w tę sprawę szczególnie, bo Annie zdobyła sporo tak zwanych delikatnych informacji, w tym o osobach, które korzystają z usług prostitutek. Kontaktowała się też z policją i od nich także czegoś się dowiedziała. Rozmawiałem z nimi dziś rano. Powiedzieli mi, że rozmawiali z Annie w piątek po południu. Nie mamy jednak potwierdzenia, że kontaktowała się z jednym z mężczyzn, których nazwiska były na jej liście. Myślę o tych, których miała, jak to się mówi, pod lupą.

Wikholm przerwał na chwilę swój wywód. Dwa razy ścisnął palcami nos, sięgnął po pudełeczko leżące na stole, wyjął z niego prymkę tabaki i włożył ją sobie do ust. Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Mężczyźni spoglądali na notes. Mieli nadzieję, że znajdą w nim odpowiedzi na swoje pytania.

— Wiemy, kim są ci mężczyźni, i jeśli będzie to konieczne, potrafimy ich odnaleźć — kontynuował Wikholm. — Na pewno wiemy, że Annie była tu w ostatni piątek. Nie była w zbyt dobrym humorze.

— Pokłóciliśmy się — odparł bez zastanowienia Max; Wikholm i von Konow spojrzeli na niego. — W czwartek wieczorem pokłóciliśmy się i dlatego mogła być w złym humorze.

Wikholm skinął głową.

— Moim obowiązkiem jest poinformować pana, że w piątek zawiesiliśmy Annie w obowiązkach służbowych — powiedział von Konow i poczerwieniał na twarzy i na szyi.

— Nie wspomniałem o tym we wczorajszej rozmowie, bo nie chciałem pana jeszcze bardziej niepokoić — wyjaśnił Wikholm.

— Została zawieszona?

— Opublikowała artykuł, z którego powodu gazeta może mieć kłopoty — odparł von Konow. Skrzyżował ręce na piersi i rozsiadł się na krześle. — Metoda, którą się posłużyła, żeby ten tekst trafił do druku, sprawiła, że musiałem ją zawiesić.

— O jakich kłopotach pan mówi?

— Na przykład o oskarżeniu o zniesławienie — wyjaśnił Wikholm.

— Albo o brak wiarygodności — dodał von Konow. — Na potwierdzenie tego, o czym napisała, nie miała żadnych dowodów.

— A o czym pisała?

— Jeśli pan chce, przyniosę kopię artykułu.

Max skinął głową.

Von Konow pochylił się w jego stronę.

— Nie mamy podstaw twierdzić, że artykuł miał cokolwiek wspólnego z jej zaginięciem — powiedział. — Nawet jeśli to, o czym napisała, może być dla pewnych osób kłopotliwe. Ale nie ma żadnych dowodów, że to, o czym napisała, jest prawdą. Dlatego została zawieszona.

— O dalszym przebiegu sprawy zadecyduje oczywiście policja — dodał Wikholm. — Wróćmy jednak do tego, co działo się w piątek. Ostatnio widziano ją w redakcji tuż po pierwszej. Około dwóch godzin później Annie zadzwoniła na policję i rozmawiała z niejakim Kayem Orhą. To on skontaktował się z nami dziś rano. Wymienił nazwisko mężczyzny, o którym Annie wspomniała w ich rozmowie, ale na razie nie udało im się z nim skontaktować. Tak to wygląda. To niewiele, sam to wiem, ale od

czegoś musimy zacząć — zakończył, bębniąc palcami po blacie biurka.

— Mam jeszcze jedno pytanie — powiedział von Konow. — Co działo się z Annie po tym, jak wyszła z redakcji, do czasu, gdy zadzwoniła do tego policjanta? Ma jakieś ulubione miejsca, do których chodzi?

— Biblioteka Królewska — odparł Max, przenosząc wzrok z notesu Annie na von Konowa. — Lubi tam pracować, więc być może stamtąd dzwoniła. Z budki telefonicznej.

— W takim razie musimy powiedzieć o tym policji — zasugerował Wikholm. — Niech tam kogoś wyślą, żeby popytał ludzi. Najlepiej od razu do nich zadzwonię. Zaraz wracam.

Przez dwie minuty w pokoju panowała cisza. Von Konow oparł się łokciami o stół i powiedział:

— Wiem, że przeżywa pan teraz trudne chwile. Ale zapewniam, że podchodzimy do tej sprawy z najwyższą powagą i zrobimy wszystko, żeby pomóc i panu, i policji. Niech pan nie pomija żadnego szczegółu w rozmowach z nimi. Wszystko może być ważne.

Gdy von Konow wstawał od stołu, w drzwiach pojawił się Wikholm.

— Będziemy trzymać kciuki, żeby szybko się okazało, że cała ta sprawa ma proste wyjaśnienie i Annie wkrótce się znajdzie.

Max spojrzał na niego i pomyślał, że nie wierzy w ani jedno jego słowo.

• • •

Max został zawodowym muzykiem głównie dlatego, że lubił grać. Istniały też inne powody niż te, o których wspomniał Annie,

gdy pierwszy raz odprowadzał ją do domu. Został muzykiem także w geście protestu. Nie chciał być zwykłym młodym i zdolnym, który dostaje pracę w banku i dokonuje tego mikroskopijnego awansu społecznego, o jakim marzyli jego rodzice. Dość wcześnie zbuntował się przeciwko takiej wizji, czym wielce ich rozczarował. Zawiódł ich, bo nie chciał zostać kimś i nie miał ambitnych celów. Nie odłożył nawet tyle pieniędzy, żeby kupić sobie studencką czapkę. Po każdym koncercie szedł do baru, zamawiał duży kieliszek wódki i opowiadał dowcipy. Jeśli po koncercie ktoś go zaprosił na imprezę, chętnie dołączał. Kiedy kucharz oferował mu haszysz, palił, a gdy stały bywalec proponował mu tabletki, prosił o dwie, choć inni brali jedną. Jeśli dziewczyna proponowała mu łóżko, od razu się zgadzał. Ale gdy ktoś go pytał, czy jest szczęśliwy, wstawał z krzesła i wychodził. W końcu spotkał Annie. Poczł się tak, jakby przez piętnaście lat mieszkał na bezludnej wyspie i czekał, aż zjawi się tratwa z dziewczyną, która go stamtąd zabierze. Potem, na otwartym morzu, zakochali się w sobie. Wtedy nie chciał się do tego przed sobą przyznać, bo to było takie przewidywalne, że taki facet jak on potrzebuje ratunku takiej kobiety jak ona. Ale i tak to wiedział. I to się nie zmieniło. Annie sprawiła, że poczuł się dumny. Wystarczająco dumny, żeby nie musieć się tłumaczyć, dlaczego nie ma ochoty zostać na imprezie do rana. Potrzebuje jej. Kiedy jej przy nim nie ma, boi się zasnąć, bo nie chce się obudzić w życiu, z którego kiedyś go wyratowała. A teraz zniknęła. Teraz to on musi ratować ją.

7

Max wszedł do budynku policji na Kungsholmen dokładnie

o drugiej. Policjant, z którym umówił się na rozmowę, czekał na niego na dole. Przedstawił się jako Leif Gustafsson i nie wyglądał na policjanta. Był opalony, miał spłowiałe włosy i zaczątki łysiny. Usta miał proste, zęby olśniewająco białe. Prawdopodobnie należał do tych mężczyzn, którzy podają kobiecie okrycie tylko po to, żeby prześlizgnąć się wzrokiem po jej szczupłej talii i dobrze ją zapamiętać. Arnie Becker, pomyślał Max. Przypomina Arniego Beckera z *Prawników z Miasta Aniołów*.

Minęli poczekalnię, w której siedzieli ciepło ubrani ludzie. Śmierdziało tu potem i wilgotnym materiałem. Max spojrział przez zakratowane okno na ulicę. Już wkrótce zapalą się pierwsze latarnie.

— Jesień — zaczął Gustafsson, jakby czytał w jego myślach. — Jest jak genialny kieszonkowiec: sięga do kieszeni płaszcza i bierze, co jej się podoba.

Weszli na piętro i Gustafsson przywitał się skinieniem głowy z innym policjantem. Pomieszczenie, do którego weszli, było dość wysokie. Ściany białe, podłoga w kolorze trawnika, na którym Liverpool przegrał kiedyś ze słabeuszami z Millwall. Max poczuł się nieswojo.

— No to zobaczymy — zaczął Gustafsson. Wyjął notes i usiadł na skrzypiącym krześle. — Zanim pan tu przyszedł, rozmawiał pan z Wikholmem, który jest przełożonym pańskiej żony. Rozumiem, że został pan o wszystkim poinformowany?

— Spotkałem się z nim przed południem — odparł Max i skinął głową. — Obiecał, że zadzwoni.

— To dobrze. Przekazał mi sporo informacji na temat pracy Annie. Na razie nie wiem, czy to coś ważnego, ale warto

sprawdzić osoby, z którymi się kontaktowała, i zapytać je, czy kontaktowała się z nimi po rozmowie telefonicznej, która, jak wiemy, odbyła się w piątek. Rozmawiała wtedy z policjantem z naszej komendy, ale rozumiem, że o tym też pan wie?

Max znów skinął głową.

— Zadam panu kilka pytań, standardowych w przypadku zaginięcia. Może będę musiał zadać pytania uzupełniające w zależności od tego, co usłyszę. Policjant, z którym rozmawiał pan wczoraj, prosił, żeby pan sprawdził jej paszport, konto bankowe i ubrania. Zrobił pan to?

— Wszystko jest na swoim miejscu. Paszport w szufladzie, pieniądze na koncie. Nie było żadnych dziwnych wypłat.

— A ubrania?

— Wydaje mi się, że niczego nie brakuje — odparł Max, wzruszając ramionami. — Nie pamiętam jej wszystkich ubrań, ale te, które znam, są na miejscu.

— Okay — powiedział Gustafsson, notując. — W takim razie sprawa jest jasna. — Przez chwilę szukał właściwych słów. — Czy pana żona zdradzała ostatnio oznaki mogące świadczyć o tym, że jest zmęczona życiem? — spytał. — Czy wyglądała na nieszczęśliwą?

Co to za pytanie, pomyślał Max i pokręcił przecząco głową.

— Niedługo urodzi nam się dziecko, więc myślę, że jest szczęśliwa. Chciał pan zapytać, czy miała depresję?

— Na przykład. Albo czy wcześniej nie cierpiała na chorobę psychiczną. Coś w tym rodzaju.

— Nie miała takich problemów. Nie ma tego rodzaju cech.

— A sprawy rodzinne?

Max przełknął głośno ślinę.

— Jej matka popełniła samobójstwo.

— To straszne. Kiedy to się stało?

— Kiedy Annie była dzieckiem. Miała trzy lata.

— Czy cokolwiek wskazywało na to, że pana żona myśli o samobójstwie?

Max spuścił wzrok i nie odpowiedział.

— Przykro mi, że o to pytam, ale muszę rozważyć wszystkie możliwości, żeby niczego nie zostawić przypadkowi.

— Rozumiem — odparł Max i uniósł głowę. — Nie, nic na to nie wskazywało.

W jego myślach przemknęły różne obrazy: Annie w hotelowej wannie wypełnionej czerwoną wodą; Annie wisząca na sznurze pod sufitem; Annie śpiąca na posłaniu z kolorowych tabletek. Potrząsnął głową, żeby odegnać te wizje. Gustafsson coraz bardziej mu się nie podobał. Jeszcze kilka takich pytań i go znienawidzi.

— Mam jeszcze jedno pytanie. Niestety, muszę je zadać. Czy w waszym małżeństwie doszło do jakichś komplikacji? Na przykład do zdrady?

Max poczuł, że już teraz nienawidzi Gustafssona.

— Trochę się kłóciliśmy, ale to nie było nic poważnego. Mamy wkrótce zostać rodzicami, oboje jesteśmy zapracowani. To spore obciążenie. Nic więcej.

— To znaczy, że żadne z was nie dopuściło się zdrady małżeńskiej i nie zostało na tym przyłapane? Czy dobrze pana zrozumiałem?

Max pomyślał o służbowej broni Gustafssona i o tym, jak

mógłby się nią posłużyć. Nie będzie musiał z niej strzelać. Po prostu chwyci za lufę i zatłucze go kolbą, aż w pokoju zrobi się cicho.

— Słyszał pan moje pytanie?

— Co takiego? — spytał Max, pocierając czoło. — Nie, nie zdradziłem żony i z tego, co wiem, ona też nie zdradziła mnie.

Gustafsson skinął głową i zapisał jego słowa.

— Przepraszam, że spytałem, ale to konieczne.

Uśmiechnął się do Maxa i zamknął notes. Położył go na kolanach, a długopis schował do kieszeni koszuli. Odchylił się i popatrzył na Maxa lodowatym wzrokiem. Jego oczy były teraz równie wąskie jak wyskubane brwi, z których nabijali się jego koledzy z policji w Norrmalmie.

— Rozumiem, że się pan niepokoi — kontynuował Gustafsson. — Ale wszystko się wyjaśni. Na pewno. Każdego roku w samym tylko Sztokholmie znika aż tysiąc osób. Większość z nich na własne życzenie, ale w końcu wracają. Może to słaba pociecha, ale tak to wygląda. Każdy patrol policji ma zdjęcie pana żony, więc jestem pewien, że wkrótce zostanie znaleziona. Proszę mi dać znać, gdyby pan sobie coś przypomniał.

Gustafsson podniósł się i wyciągnął rękę do Maxa. Jego dłoń była miękka i spocona.

• • •

Max już dawno pogodził się z faktem, że jego życie znajduje się zazwyczaj w cudzych rękach. Ojca, szkoły, wojska. I nawet potrafił to zaakceptować. Nigdy nie czuł się z tym nieswojo. Po prostu żył dalej i uważał, że wszystko układa się tak jak należy. Teraz, idąc przez park w Kronobergu, nagle zrozumiał, że ten

etap jego życia dobiegł końca. Już nigdy nie pozwoli, żeby tacy ludzie jak Wikholm czy Gustafsson decydowali o ich życiu — jego, Annie i ich dziecka. Nie pozwoli, żeby życie przeciekało mu przez palce, aż wreszcie bez żadnych ceremonii dobiegnie końca. Od tej pory bierze sprawy w swoje ręce.

8

Thomas Munkenberg zawsze był wrażliwy na zapachy. W dzieciństwie wymiotował, gdy rano szedł wysikać się do łazienki, chyba że zdążył przed śniadaniem. Matka wpuszczała go do toalety i czekała, aż skończy. Nigdy nie mówił o tym kolegom w klasie, boby się z niego naśmiewali.

Teraz nie jest już tak źle. Siedzi w saunie w Kronobergu i wyczuwa jedynie typowe zapachy chloru, starych skarpet i świeżo upieczonego chleba. Pewnie ktoś nasikał na agregat. Kiedyś, w podstawówce, robili to chłopcy ze starszych klas. Uważał, że koledzy z policji już dawno powinni wyrosnąć z takich zabaw. Ale przecież ludzie bywają różni. Nowo mianowany inspektor policji Munkenberg z pewnością nie jest typem, który sika w saunie. Podobnie Gustafsson. Siedzi na brudnoszarym ręczniku rozciągniętym na dolnej ławie. Jest na nim ledwie widoczne logo policji, które prawie całkowicie wyblakło po dwudziestu latach prania. Gustafsson ani razu sam nie włożył ręcznika do pralki. Jego żona była jedynym świadkiem, jak logo i on stopniowo blakną.

Munkenberg i Gustafsson pływają o tej samej porze. Potem idą do sauny, żeby trochę pogadać. O tym, co zdarzyło się w ciągu dnia, o jakimś incydencie i o wszystkim, co może się stać w dającej się przewidzieć przyszłości. Czasem wybierają się na

piwo do któregoś z pobliskich barów, a jeśli wieczór jest jasny — do lokalu na Kungsgatan. Można tam spotkać pielęgniarzy, którym podobają się policjanci. Nigdy nie pytał o to Gustafssona, ale podejrzewa, że jego życie nie jest takie idealne. On sam nie lubi samotności i dlatego zostaje zawsze tak długo, jak tylko się da. Jeśli ktoś idzie coś zjeść, przyłącza się do niego. Jeśli ktoś chce zaszałać, też jest chętny. Jednak dzisiaj w saunie siedzą tylko on i Gustafsson. Na miasto też chyba nie pójda. Żadna dziewczyna go nie przygarnie tylko dlatego, że jest policjantem. Może w drodze do metra wpadnie na piwo. Lubi rozmawiać ze starszymi policjantami i słuchać ich opowieści. Kiedyś on też będzie jednym z nich i będzie opowiadał żółtodziobom własne historie. Jest policjantem od czterech lat. Od dwóch miesięcy pracuje w wydziale zabójstw. Przedtem patrolował stacje metra. Nie chwając się, jest najlepszy ze swojego rocznika. Inni prowadzą spektakularne sprawy, o których rozpisuje się prasa. Jeden z nich — którego znał z widzenia — był w telewizji po śmierci premiera Palmego. Ale dla niego to nie zmartwienie. Ciężka praca się opłaca. Bardzo dobrze wie, że nie ma wielu takich — jeśli w ogóle są — którzy pracują tak ciężko jak on. Pierwszy przychodzi do pracy i ostatni z niej wychodzi. Jego czas jeszcze przyjdzie. On jest cierpliwy i może poczekać.

— To był ciężki dzień, Munken — zaczął Gustafsson, zaczesując do tyłu swoje rzadkie, mokre włosy. — Nie jesteśmy już młodzikami.

— E tam. — Munkenberg się zaśmiał. Pochlebiali mu, że Gustafsson posłużył się zdrobnieniem. — Jak ci minął dzień?

— Nie narzekam — odparł Gustafsson, poprawiając ręcznik.

— A co u ciebie?

— Utknąłem w śledztwie. Czuję się tak, jakbym robił jeden krok do przodu i dwa do tyłu.

— A o co chodzi?

— Zajmuję się facetem, którego prawie zakatowano na śmierć w dyskotece na Kungsholmen. Tak go skopali, że leżał w kałuży krwi. Nikt niczego nie widział. Ani goście, ani bramkarze. Nikt nie zauważył, jak wychodzi z lokalu. Przesłucham go pewnie nie wcześniej niż za miesiąc i damę głowę, że nie będzie pamiętał więcej niż inni goście.

— Takie czasy — odparł Gustafsson. — Człowiek zapomina o niektórych rzeczach z różnych powodów.

— A co u ciebie? — Munkenberg chciał podtrzymać rozmowę. — Ten facet, który był u ciebie, też miał kłopoty z pamięcią?

— Jaki facet? — spytał Gustafsson, odwracając do niego swoją zaczerwienioną twarz.

— Ten, na którego czekałeś na dole.

— A, ten. — Gustafsson uniósł brwi. — Zrobił na mnie dobre wrażenie. Martwi się, bo zaginęła jego żona. Ja też bym się martwił, gdyby moja żona była dziennikarką w takich czasach i gdyby któregoś wieczoru nie wróciła do domu.

— Jest w to zamieszany?

Gustafsson pokręcił głową.

— To nie ten typ faceta. Podejrzewam, że go zostawiła, a on jest w szoku, bo jeszcze to do niego nie dotarło. Może wyjechała za granicę, a może poszła do lasu i odebrała sobie życie? Była w ciąży. To chyba rodzinne.

— Samobójstwo?

— Tak. Jej matka zabiła się, gdy ona miała kilka lat.

— Powiedziałeś, że to dziennikarka?

— Dziennikarka śledcza. Jej gazeta ma siedzibę w wieżowcu.

Munkenberg skinął głową. Wydał wargi i spojrzał w kąt sauny, gdzie widać było pęknięcie na desce. To pewnie przez opary z moczu, pomyślał.

— Chyba pracowała nad jakąś wybuchową sprawą — kontynuował Gustafsson. — Mamy kontakt z jej gazetą. Jej koledzy są wstrząśnięci.

— Czym?

— Jej zaginięciem, ale i tym, że mogło mieć coś wspólnego ze sprawą, nad którą pracowała.

— A co to za sprawa?

— Pisała o grubych rybach, które korzystały z usług prostytutek. Jakoś przemyciła tekst do druku i w piątek została zawieszona. Od tamtej pory nikt jej nie widział. Może była tak sfrustrowana, że odebrała sobie życie? A może naprawdę zaginęła?

Jakiś mężczyzna, którego Munkenberg znał tylko z widzenia, wszedł do sauny i usiadł na najniższym stopniu. Munkenberg przesunął się trochę w stronę Gustafssona.

— Ale była w ciąży. Po co miałyby odbierać sobie życie?

— Nie mówię, że na pewno się zabiła, ale mogło tak być. Pewnie po prostu go zostawiła, a teraz siedzi u jakiejś koleżanki i płacze.

Munkenberg pokręcił głową.

— Mam złe przeczucie — powiedział. — Czuję, że coś jest nie tak.

Gustafsson zmarszczył brwi. W jego naturze nie leżało podejrzewać ludzi o najgorsze.

— Chcesz powiedzieć, że jej facet zaciągnął ją do lasu, tam ją załatwił, a teraz próbuje nam wmówić, że wykończył ją ktoś, komu nie spodobał się jej tekst w gazecie?

— Takie rzeczy się zdarzają — bronił się Munkenberg.

— Miejmy nadzieję, że się mylisz — powiedział Gustafsson, wstając. — Ja mam nadzieję, że po prostu olała tego biedaka. Nic więcej.

Gustafsson nieszczególnie cenił Munkenberga. Słyszał, że za bardzo ciągnie go do piwa, a w czasie firmowej wigilii pozwalał sobie na zbyt dużo wobec niektórych policjantek. Zresztą o jednej z nich też się dużo mówi. Podobno ma romans z Nathanssonem, dyrektorem wywiadu w Centralnym Urzędzie Śledczym. Słyszał o tym od Borga, który jest pewien, że widział, jak rankiem Nathansson wsiadał do taksówki przed jej domem. Nie ma dymu bez ognia, pomyślał, podchodząc do drzwi. Jednak mimo złej opinii o Munkenbergu wolał zostać w jego towarzystwie, niż wrócić do domu. Położył dłoń na klamce i spytał:

— Może wybierzemy się na piwo?

— Jasne — odparł Munkenberg, który ciągle jeszcze myślał o mężu zaginionej dziennikarki. Zawsze instynktownie czuje, gdy coś się nie zgadza. Być może zyskał ten dar, gdy dorastał. Jego rodzice często się kłócili i zawsze potrafił wyczuć, że coś wisi w powietrzu. Był jak barometr, który zapowiada złą pogodę. Jeśli ktoś zamierzał powiedzieć mu coś złego, wiedział o tym godzinę wcześniej. Ma nosa do takich rzeczy. Jest w tym lepszy od Gustafssona, a nawet od samego Sherlocka Holmesa. Właśnie

takie myśli zaprzętały jego głowę, gdy wchodził pod zimny prysznic. Kiedy w domu dochodzi do zabójstwa kobiety, sprawcą jest najczęściej facet, z którym żyła. Instynkt mu podpowiada, że tak samo jest i tym razem. Musi zachować czujność. Trwać na posterunku, być nieustraszony. Wykorzystać okazję. Czuje, że wkrótce dojdzie do przełomu. Nie wie tylko jakiego.

Lojalność i ambicja

1

Max przesunął wzrokiem po suficie pełnym żółtych plam od dymu z papierosów. Szybko oddychał. Wykładzina podłogowa śmierdziała tytoniem i dymem. Siedział z Patrikiem w kawiarni na placu Odenplan, gdzie bywała głównie młodzież paląca tytoń. Czuł, że jest zbyt młody, aby z powodu zaginięcia żony siedzieć jak sparaliżowany. Niestety, tak właśnie jest. Oni palą, a on siedzi jak sparaliżowany. Zaraz minie trzecia, na ulicach jest pełno wózków. Pchają je ludzie, którzy zbyt wcześnie zapomnieli, że powinni być szczęśliwi.

Patrik położył mu dłoń na ramieniu.

— Wiem, że zbyt wiele od ciebie oczekuję, ale weź się w garść.

Max spojrzał na niego.

— Musisz zacząć myśleć. Wiesz o Annie coś, czego nie wie ani policja, ani redakcja. Znasz ją lepiej niż wszyscy. Jeśli coś jej się stało, możesz jej pomóc. Będę cię wspierał, ale sam nie dam rady. To twój obowiązek. Wiem, że to trudne, ale nie ma innej możliwości. Chyba że wolisz tu siedzieć i czekać. Rozumiesz, co mówię?

Max skinął powoli głową, ale tylko dlatego, że wiedział, że

przyjaciel tego od niego oczekuje.

Patrik się uśmiechnął. Wyglądał na przestraszonego. Max jeszcze nigdy go takiego nie widział. Miał nadzieję, że przyjaciel nie dostrzega, jak bardzo przestraszony jest on sam.

— Napij się kawy i zjedz kanapkę — powiedział Patrik, przesuając w jego stronę talerz. — Musisz nabrać sił.

Max jadł i pił z poczuciem, jakby każdy kolejny łyk i łyk był ostatnim, który zdoła w siebie wmusić. Widział jednak po minie Patrika, że przyjaciel nie pozwoli mu wstać od stołu, zanim nie skończy. Stał się dzieckiem, które potrzebuje opieki dorosłych.

— Annie pracowała nad artykułem o facetach, którzy korzystają z usług prostytutek — zaczął Patrik, gdy talerz był pusty. — Od dłuższego czasu zbierała materiały. Pewnie poznała ludzi, z którymi warto było porozmawiać. — Popatrzył na Maxa, który skinął głową. — Wymieniła jakieś nazwiska?

— Nie.

— No to co zamierzasz zrobić? — spytał zrezygnowanym głosem Patrik.

— Nie wiem. Nie jestem dziennikarzem.

— Ja też nie, ale zastanów się. Gdybyś podejrzewał, że zdarzyła się zła rzecz, to jak byś się zachował?

Max potarł dłonią czoło.

— Próbowałbym chyba dowiedzieć się czegoś więcej o osobach zamieszanych w sprawę.

— Jak?

— Tak, żeby te osoby o tym nie wiedziały.

— Gdzie zacząłbyś szukać? Wiemy, że Annie rozmawiała z prostytutkami, ale to za mało. Powiedz, gdzie można zdobyć

informacje o innych ludziach.

Max popatrzył na niego, ale się nie odezwał.

— U innych ludzi — odpowiedział na swoje własne pytanie Patrik. — Gdybym chciał się dowiedzieć czegoś o tobie, poszedłbym tam, gdzie pracujesz, i porozmawiałbym z ludźmi. Zacząłbym tworzyć w ten sposób twój obraz. Poszedłbym do urzędu skarbowego, żeby wyciągnąć stamtąd wszystkie możliwe informacje, na przykład czy jesteś związany z innymi firmami i tak dalej. Mogłoby się okazać, że jesteś członkiem zarządu spółki, której właścicielem jest ktoś inny. Albo że dostajesz pieniądze z podejrzanego źródła.

— Trzeba by też skontaktować się z policją — dodał Max. — Sprawdzić, czy ta osoba popełniła przestępstwo i figuruje w policyjnej bazie.

— Racja. — Patrik skinął głową. — Trzeba przejrzeć wszystkie dokumenty, aż się znajdzie coś, co pozwoli szukać dalej.

— Na przykład ludzie, którzy stoją obok ciebie na zdjęciu i mogą coś o tobie opowiedzieć.

— Właśnie — przyznał Patrik. — Annie na pewno przeglądała gazety i szukała wiadomości o tych ludziach.

Max siedział przez chwilę w milczeniu.

— A jeśli naprawdę badała sprawę ludzi, o których piszą gazety?

— Znanych ludzi?

— Tak.

— To miała dużo do czytania. O takich łatwiej coś znaleźć. Czemu podejrzewasz znanych ludzi?

— Nie wiem. To tylko przeczucie — odparł Max. — Annie

zawieszono z powodu tego artykułu. Ci, którzy chodzą do takich klubów, to znane osoby. Oskarżenie takich ludzi o korzystanie z usług prostytutek to drażliwa sprawa, bardziej niż gdyby chodziło o takich jak ty i ja. Wtedy jej gazeta musiałaby zachować szczególną ostrożność.

— I podjąć decyzję o jej zawieszeniu?

— Tak. Byłoby dziwne, gdyby Annie napisała o czymś, na co nie miała dowodów. To jedna z najambitniejszych osób, jakie znam. Sprawdza wszystko po kilka razy. Dlaczego miałyby nagle zmyślać?

— Czytałem ten artykuł — powiedział Patrik. — Nie myślałem o nim ani w piątek, ani w weekend. Uśmiechnąłem się tylko i pomyślałem, że to typowe dla Annie.

— Dlaczego?

— Dobry, ostry tekst. Kiedy go czytałem, miałem wrażenie, że słyszę jej głos. Ty czytałeś?

— Tak — potwierdził Max. — Dali mi go w redakcji. Annie musiała odkryć jakieś powiązania między klubami a zamordowanymi kobietami.

— Ktoś poczuł się zagrożony, pomyślał, że Annie coś wie. Ale gazeta nie chciała ciągnąć tematu.

Max ujrzał w myślach twarze Wikholma i von Konowa.

— Co zrobiłaby Annie, gdyby ktoś zakazał jej grzebać w sprawie, która jej zdaniem śmierdzi? — ciągnął Patrik.

— Przestałaby komuś takiemu ufać.

— Co jeszcze?

— Robiłaby dalej swoje, tylko nikomu by o tym nie mówiła. Znalazłaby sposób, żeby nie zdradzić się z tym, co wie.

Patrik zaczął bębnić palcami po stoliku.

— Gdybym to ja zajmował się jakąś drażliwą sprawą, ujawniłbym tylko tyle, żeby móc dalej robić swoje, ale nie więcej, bo wtedy ludzie zaczęliby wypytywać. Do redakcji przychodziłbym jak najrzadziej, żeby móc pracować w spokoju. Najważniejsze materiały zabrałbym do domu i tam bym nad nimi pracował. Wiesz, dokąd szła, gdy nie chciała pracować w redakcji?

— Do domu albo do Biblioteki Królewskiej. Spędzała tam dużo czasu. Może ktoś w bibliotece ją zapamiętał?

Patrik spojrział na zegarek. Była już prawie szósta.

— Biblioteka jest jeszcze otwarta.

— Powiedziałem w redakcji, że Annie spędzała tam dużo czasu. Obiecali, że skierują tam policję.

— Nie zaszkodzi, jeśli my też się tam wybierzemy — powiedział Patrik. — Ale musimy się zastanowić, gdzie zacząć. Dlaczego Annie chodzi do biblioteki? Przecież może pracować spokojnie w domu. Bo jest tam coś, czego nie ma gdzie indziej.

— Co takiego?

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. W końcu Patrik spojrział na niego spod uniesionych brwi.

— Mikrofilmy — powiedział.

2

Sissi wyszła z kiosku z paczką papierosów i nawet nie zdążyła go zauważyć. Dopiero gdy poczuła zapach jego wody po goleniu, odwróciła się. Dick, jej alfons. Od razu pożałowała, że wygadała Sonji, gdzie się ukrywa od czasu napadu. Kiedy niepostrzeżenie uciekła ze szpitala, zadzwoniła do pierwszej osoby, która — taką

miała nadzieję — mogłaby jej pomóc: do kierowcy taksówki, Tomasa. Potem mieszkała u niego w Kärrtorp. Stamtąd kilka dni później zadzwoniła do Sonji, żeby ją uspokoić. Jak widać, Sonja się wygadała.

— Jestem sam — powiedział Dick, widząc jej rozbiegane spojrzenie. — Mnie nie musisz się bać — dodał, kładąc dłoń na jej policzku, żeby lepiej obejrzeć ślady po ranach.

— Zostaw mnie w spokoju — odparła Sissi, próbując się uwolnić.

Dick zmarszczył brwi i rozwiązał jej szal, żeby obejrzeć ślady na szyi.

— Cholera, ale ty teraz wyglądasz — powiedział.

— Czego chcesz?

— Masz wrócić do pracy. Stali klienci o ciebie pytają.

— Jestem czysta i próbuję uporządkować swoje życie.

— No i jak ci idzie? — spytał Dick, pochylając się w jej stronę.

— Co czujesz, jak nawiedzają cię demony? Radość? Jak szukasz brzytwy, żeby się pociąć i nie musieć myśleć?

— Proszę, zostaw mnie w spokoju — odparła Sissi. Przypomniała sobie, że nocami bardzo się poci. Potem cała pościel strasznie śmierdzi. Do tego tak długo wymiotuje żółcią, aż w końcu nic już nie może z niej wyjść.

— Spokojnie — powiedział Dick, unosząc rękę. — Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku — wyjaśnił. Odsunął jej z czoła kosmyk włosów i przyłożył palce do siniaka. — Krążą różne historie o tym, co się stało. Niektórzy myślą, że nie żyjesz.

— A co cię to obchodzi?

— Nie mów tak. Martwię się o ciebie — odparł Dick, rozglądając się. — I to tak bardzo, że przyniosłem ci prezent. — Wyjął działkę heroiny.

Sissi spuściła wzrok.

— Mówiłam, że jestem czysta.

Dick skinął głową i zaczął przerzucać torebkę między palcami.

— Jak się nazywa facet, u którego mieszkasz? Dla niego to robisz? Zakochałaś się?

Sissi nie odpowiedziała.

— No, mów — zachęcił z uśmiechem Dick. — Nie zrobię mu krzywdy, jeśli tego się boisz. Kto to jest? Tylko nie mów mi, że mieszkasz z tym zboczeńcem, który krąży po mieście ze strunami od fortepianu i poluje na dziewczyny.

— Ma na imię Tomas — odparła Sissi i od razu tego pożałowała.

— Tomas — powtórzył Dick poważnym głosem. — Szybko się znudzi pobitą kurwą, która śpi u niego na kanapie. A kiedy przyjdzie ten dzień, przypomnij sobie, gdzie jest twoje miejsce i gdzie są ci, którym na tobie naprawdę zależy. — Wsunął jej do kieszeni torebkę z narkotykiem. — Wyrzuć to, jeśli chcesz. Wiesz, gdzie mnie szukać, jak będziesz potrzebowała wsparcia.

Sissi odwróciła się i ruszyła szybkim krokiem w stronę domu.

— Aha, jeszcze jedno! — zawołał za nią Dick. — Słyszałaś, co się stało z twoją znajomą dziennikarką? Tą, co jest w ciąży?

— Z Annie? — spytała Sissi, zatrzymując się.

— Zaginęła — powiedział Dick. — Podobno gliny podejrzewają, że zabił ją jej facet. Fatalna sprawa, co? Jednego

dnia człowiek jest, drugiego go nie ma.

Sissi odwróciła się i ruszyła w stronę domu. Czuła, jak jej oczy napełniają się łzami. Włożyła dłonie do kieszeni i wyczuła w niej torebkę z narkotykiem. Pomyślała o Annie. Najchętniej poszłaby za Dickiem, żeby ją stąd zabrał do jedyne go życia, jakie zna. Chciałaby udawać, że nic się nie stało i nic się nie stanie. Kiedy znalazła się przed drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową, odwróciła się i zobaczyła, że Dick nie ruszył się z miejsca i do niej macha. Weszła do środka, nie zwracając na to uwagi. Zaczęła płakać. Potrzebowała pieniędzy na bilet, żeby stąd wyjechać. I to szybko.

3

Munkenberg został w pracy po godzinach. Zawsze był wtedy dumny, chociaż matka nie podzielała jego entuzjazmu. Nie podobało jej się, że został policjantem. Wybrała dla niego zawód nauczyciela.

— Takie czasy — mówiła, gdy odwiedził ją na oddziale onkologicznym w szpitalu. — Mężowie zdradzają swoje żony, a one zdradzają mężów. Najgorszy jest w tym wszystkim los dzieci. Już niedługo nie będzie ani jednej normalnej rodziny z matką i ojcem. A w metrze w ogóle nie słyszy się szwedzkiego. Zaczęłam się bać wracać metrem z pracy do domu.

— Dlaczego się boisz?

— Nie chcę, żeby ktoś sobie pomyślał, że patrzę na ludzi z góry. Ale przecież oni nie są stąd.

— O kim mówisz?

— O nich — odparła, pochylając się w jego stronę. — Większość z nich to chyba Irańczycy. Pode mną mieszka Hasse,

pewnie go pamiętasz. Jest policjantem w Huddinge. Mówi, że wciąż mają jakieś problemy z Irańczykami. Polityka, narkotyki, ciągle coś. A policji brakuje pieniędzy i nieustannie trwają u nich jakieś reorganizacje. Hasse mówi, że się modli do Boga, żeby sąd nie skazał Christera Petterssona, bo już nigdy się nie dowiemy, kto zastrzelił Palmego. Tak mówi Hasse, a ja uważam, że ma rację.

— Mamo, ja też jestem policjantem i dobrze wiem, jak sprawy wyglądają...

— Policjantem — przerwała mu. — Powinieneś być zostać nauczycielem. Ludzie mieliby z ciebie pożytek. Dzieci nie dostają już nawet mleka w szkole. Na świecie żyje zbyt dużo ludzi. Niedługo będzie tu jak w Chinach.

Przez pewien czas ciągnęła w tym stylu, aż w końcu zasnęła.

Niedawno przejął od Gustafssona sprawę zaginionej dziennikarki. Właściwie nie przejął, tylko zaoferował mu swoją pomoc. Gustafsson się ucieszył. Munkenberg już po dwóch godzinach ustalił, że jej matka wcale nie odebrała sobie życia, chociaż tak właśnie twierdził mąż dziennikarki. Okazało się, że została zamordowana. Facet skłamał, więc coś ukrywa. Chce im wmówić, że kobiety w jej rodzinie mają samobójstwo w genach. Gustafsson jest tak zmęczony, że nie chce mu się nawet schylić po owoce leżące na ziemi. Gdyby prawda wyszła na jaw, Gustafsson chybaby oszalał. Kiedy opuścili saunę i poszli na piwo, przedstawił mu swoją nową teorię. Przez całą godzinę udowadniał mu, że może chodzić o seryjnego mordercę.

— Seryjnego mordercę? — spytał Munkenberg. — A co za tym przemawia?

— Słyszałem o tym od jednego z naszych, który naczytał się o Kubie Rozpruwaczu. Jeśli przejrzeć listę nazwisk zamordowanych kobiet, o których pisała Lander, można dojść do wniosku, że ktoś próbuje go naśladować.

— Nazwiska?

Gustafsson wyjął z kieszeni kartkę.

— Dziennikarka badała przypadki, w których znaleziono martwe kobiety, ale nie ustalono sprawcy. Siedziałem niedawno z Borgiem i luźno rozmawialiśmy, a wtedy on spytał o te kobiety. Wyjąłem materiał, który dostałem od gazety, pokazałem mu i właśnie taka była jego reakcja.

— Na nazwiska?

— Tak — odparł Gustafsson. — Sam popatrz. — Położył kartkę na zadrapanym blacie stołu. — Marie, Catrine, Elisabeth i Marianne. Tak miały na imię kobiety z listy tej dziennikarki. Zostały zamordowane, a sprawcy nie wykryto. A teraz popatrz tutaj. To jest lista ofiar Kuby Rozpruwacza sprzed stu lat: Mary Ann Nichols, Elisabeth Stride, Catherine Eddowes i Mary Kelly. Mają takie same imiona. Poza tym Elisabeth Stride była Szwedką. A wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? — spytał, bębniąc palcami po kartce.

— Nie.

— Zaginiona dziennikarka ma na imię Annie. A wiesz, jak się nazywała piąta ofiara Kuby Rozpruwacza?

Munkenberg popatrzył na Gustafssona, ale się nie odezwał. Wiedział, czego się po nim spodziewać, i dlatego nim gardził.

— Annie Chapman.

Małpy, pomyślał, przeglądając materiał zgromadzony przez

Annie. Zaoferował swoją pomoc pod warunkiem, że będzie miał dostęp do materiałów. Stale pamiętał, żeby nie zbliżać się zbyt blisko do Gustafssona. Nie wolno mu się stać jednym z nich. Musi trzymać go na dystans, na ile to możliwe. Jednym ze sposobów, aby okazać się niezwykle skutecznym, jest rozwiązanie tej sprawy i przedstawienie wyników śledztwa bezpośrednio szefowi. Dziś rano natknął się przy automacie z kawą na Kaya Orhę i opowiedział mu o wersji z Kubą Rozpruwaczem. Z początku Orha słuchał go z zainteresowaniem, ale potem pokręcił głową, jakby nie wierzył własnym uszom. A gdy Munkenberg doszedł do końcowego wniosku i powiedział, że piąta ofiara ma na imię Annie, Orha zaczął się śmiać. Z początku dyskretnie, potem coraz głośniej, aż w końcu oczy zaszyły mu łzami ze śmiechu. Munkenberg nie bardzo rozumiał jego zachowanie, ale śmiał się razem z nim. Ludzie, którzy ich mijali, pewnie się zastanawiali, o czym rozmawiają. W końcu Orha otarł łzy serwetką i przeprosił go za swoje zachowanie. Powiedział, że wysuwanie tak dziwacznej teorii w tak ważnej sprawie to prawdziwa tragedia.

— Cieszę się, że ją przejąłeś — dodał Orha, kładąc mu dłoń na ramieniu. — Jest teraz we właściwych rękach.

Orha miał na przedramieniu tatuaż przedstawiający różę wiatrów. Pewnie kazał go sobie zrobić, gdy płynął statkiem i mijali Republikę Zielonego Przylądka.

We właściwych rękach, pomyślał Munkenberg, bębniąc palcami po stoliku. Żebyś wiedział, że tak.

Zadzwoił do gazety; przełożony dziennikarki, Jan Wikholm, poinformował go, że w dniu zaginięcia Annie została zawieszona.

Kara spotkała ją za to, że puściła do druku swój artykuł, łamiąc zasady obowiązujące w redakcji. Teraz redakcja obawiała się procesu o zniesławienie. Ktoś mógłby im zarzucić, że treść artykułu została wzięta z powietrza, a jego autorką jest zbyt ambitna dziennikarka, która przekroczyła pewną granicę. Munkenberg przeczytał artykuł i w zasadzie zgodził się z opinią, że autorka przekroczyła granicę paranoi. Jej spekulacje na temat klubu, w którym mordowano kobiety, wydają się mało przekonujące. Rzeczywistość tak nie wygląda, no, chyba że w rozmowach dziennikarzy. Ich zdaniem sprawcami zbrodni są zawsze mężczyźni w czarnych kapeluszach, którzy biorą udział w spisku. Natomiast w świecie inspektora policji kryminalnej Munkenberga sprawcą jest zazwyczaj narkoman z Sollentuny. Musi dokładniej przeczytać ten artykuł. Teraz jednak powinien poszukać ostatnich śladów po Annie Lander.

Z treści artykułu wywnioskował, że dużo czasu spędzała w Bibliotece Królewskiej. Wysłał więc tam policjanta z jej zdjęciem, żeby rozpytał wśród personelu. Ładna kobieta. Na pewno ktoś zwrócił na nią uwagę. I rzeczywiście, po południu ich trud został wynagrodzony. Okazało się, że zauważyła ją pewna para — jak się później okazało, dwoje komunistów — która przyszła do biblioteki, żeby uczcić pamięć o Leninie... czy coś w tym rodzaju. Od razu ją rozpoznali. Z tego, co potem przekazał mu policjant — o ile czegoś nie pokręcił — wynikało, że doszło między nimi do kłótni, bo dziewczyna zezłościła się na chłopaka, że zbyt długo gapił się na Lander. Bibliotekę opuścili pokłóceni. Dzisiaj wrócili. Podobno są studentami albo naukowcami. Nieważne. W każdym razie przekazali istotną informację: Annie

płakała. Stała przy budce telefonicznej i płakała. Chłopak zeznał, że jest tego absolutnie pewny, bo właśnie dlatego zwrócił na nią uwagę, a nie ze względu na jej urodę.

Teraz już wiadomo na pewno, że Annie była tam w piątek po południu i płakała. Jej mąż jest muzykiem, pracuje w klubie na Brunnsgatan. Jeśli to nie on był przyczyną jej łez, to całkiem możliwe, że mogła potem pójść właśnie do niego, żeby znaleźć pocieszenie. Potrzebowała z kimś porozmawiać.

Munkenberg podszedł do mapy wiszącej na ścianie i przyłożył palec do miejsca, gdzie zaznaczona była Biblioteka Królewska. Przesunął palcem do Birger Jarlsgatan. Klub, w którym pracuje jej mąż, znajduje się wyżej, na Brunnsgatan, prawie na skrzyżowaniu z Malmskillnadsgatan. Mogła więc albo przejść przez Norrlandsgatan, albo wejść schodami przy David Bagaresgata. Musi dopilnować, żeby na obu ulicach i w klatkach schodowych pobliskich budynków wywiesić ogłoszenia z jej zdjęciem i numerami telefonów, pod które należy zadzwonić. Może ktoś sobie coś przypomni. Może jakiś odległy huk wystrzału? W każdym razie warto spróbować. Jeśli znajdzie się świadek, który zezna, że widział, jak Annie idzie w stronę klubu, i jeśli jej mąż tam wtedy był, to może będzie miał im coś do powiedzenia. Zeznał, że ostatni raz widział ją wieczorem, w dniu poprzedzającym zaginięcie. Pokłócili się, zasnął na kanapie, a gdy się obudził, już jej nie było. Z pracy poszła do Biblioteki Królewskiej. Rozmawiała z kimś przez telefon i płakała. Z biblioteki wyszła tuż po trzeciej. Może spotkała się z tajemniczym Sturem Hultem? Kay Orha twierdzi, że rozmawiała z Hultem przez telefon. Zadzwoniła potem do Orhy

i powiedziała mu, że mężczyzna, który przedstawił się jako Sture Hult, ma informacje na temat jej matki. Munkenberg poprosił więc o odnalezienie Hulta i sprawdzenie, co łączy go z Annie i co wie o jej matce. Okazało się, że została zamordowana. A więc jakiś ślad istnieje. Może obie, matka i córka, naznaczone są nieszczęściem? Annie wyszła z biblioteki i ktoś ją zamordował. Może leży teraz w krzakach w pobliskim parku, jak jedna z zabitych kobiet, o których pisała? Idiotyczna teoria Borga okazałaby się prawdziwa. Jednak na razie żaden właściciel psa nie zadzwonił, aby poinformować, że podczas spaceru w parku znalazł ludzkie zwłoki.

Na końcu będzie musiał skontaktować się z prostytutkami, z którymi rozmawiała dziennikarka. To nie mniej ważne od innych spraw. Po wyjściu z biblioteki mogła pójść do nich na Malmskillnadsgatan. Najgorsze jest to, że za kanapkę i kubek kawy takie kobiety zeznają cokolwiek. Jeśli pokaże im zdjęcie Annie, będą się zaklinać: tak, widziałam ją pięć minut temu. Skoro Munkenberg już tam idzie, to weźmie też zdjęcie jej męża. Pewnie w niczym to nie pomoże, ale niczego nie wolno zaniedbać. Właściwie to mógłby z tym wszystkim trochę poczekać. I tak musi przesunąć wszelkie działania o pół godziny albo nawet o czterdzieści pięć minut. Poczul, że musi iść do toalety. Wysunął szufladę i wyjął z niej gazetę. To trochę potrwa.

Kiedy zamykał się w toalecie, usłyszał, jak ktoś wykrzykuje na korytarzu jego nazwisko. Uchylił lekko drzwi.

— Munkenberg, telefon do ciebie!

— Czy to nie może poczekać? — spytał, kładąc rękę na brzuchu.

— Chodzi o tę zaginioną dziennikarkę.

Wyszedł na korytarz. Gazetę zostawił w toalecie.

— A konkretnie?

— Dzwoni jakaś Sabine Skog, która dowiedziała się o sprawie z gazety. Twierdzi, że wie, co się stało.

4

Björn Dufwa miał siwą spiczastą bródkę i ciemne postrzępione włosy, które prawie zakrywały mu uszy. Zawsze ubierał się w tę samą jasnobrązową marynarkę z łatami na łokciach i jeden z pięciu golfów, które miał. Do tego — bez względu na to, czy był w bibliotece, czy w domu — pantofle. Od kiedy opuścił uniwersytet, nie spotykał się z kobietami, a gdy nie był w bibliotece, większość czasu spędzał na tłumaczeniu zagranicznych artykułów dla „Legatus Mensae” — czasopisma wydawanego przez członków stowarzyszenia Mensa. Miał niemal fotograficzną pamięć. Zawsze zapamiętywał to, co widziały jego oczy, nawet jeśli była to drobna rzecz. Na przykład numer identyfikacyjny zapisany na karcie bibliotecznej, gdy ktoś wypożyczał książkę; nazwę i adres sklepu wydrukowane na paragonie, który wypadł komuś z portfela; listę zakupów. Pewnego razu ta zdolność do zapamiętywania różnych rzeczy sprawiła mu nieoczekiwany kłopot. Zdarzyło się to w czasie, gdy pracował w bibliotece w Upplandzie. Pewnego razu wygadał się przed kobietą wypożyczającą książkę, że wie o niej więcej, niż powinien. Kobieta oskarżyła go, że grzebał w jej torebce. Musiał zrezygnować z posady, chociaż zaklinał się, że jest niewinny. Mąż tamtej kobiety pracował w policji. Pewnego wieczoru odwiedził go z innym policjantem i dał mu do zrozumienia, że najlepiej

będzie, jeśli wyjedzie z miasta. Tak właśnie trafił do Biblioteki Królewskiej. Od jedenastu lat pracuje w dziale mikrofilmów. Kiedy więc ujrzał, jak tamci dwaj mężczyźni podchodzą do kontuaru, od razu wiedział, że nigdy wcześniej tu nie byli. Jednego z nich rozpoznał — to Max, mąż Annie Lander, zamieszkałej przy Åsagatan 144. Miała jego zdjęcie w portfelu, tuż obok dowodu osobistego. Za każdym razem, gdy tu przychodzi, prosi ją o dowód, chociaż jej dane zna na pamięć. Jednak nie daje nic po sobie poznać, pomny złych doświadczeń z przeszłości.

Od razu potwierdził, że Annie Lander była w dziale mikrofilmów w piątek po południu. Nie zauważył, o której wyszła, ale prawdopodobnie tuż przed czwartą, bo o tej porze nie było go na stanowisku. Inaczej na pewno by zauważył jej wyjście.

— Prowadzą tu państwo jakiś rejestr, żebyśmy mogli się dowiedzieć, jaki mikrofilm wypożyczyła? — spytał Patrik.

Dufwa przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

— Mogę to sprawdzić. Proszę poczekać.

Wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Zaraz wrócił z kartką, na której zapisał coś z pamięci, i zaproponował, że pomoże w szukaniu.

— Zobaczmy — powiedział, wkładając film do czytnika. — To stary numer „Folket”, z pięćdziesiątego dziewiątego roku. Proszę — dodał, robiąc krok do tyłu. — Teraz już można czytać. Aha, jedna ważna rzecz: zostawiła film w czytniku.

— Co to znaczy?

— Kiedy ktoś wypożycza film, wkłada go do czytnika i przed wyjściem zwraca. Tymczasem ona wyszła, ale film zostawiła

w czytniku. Zazwyczaj tego nie robi.

Max pochylił się i zaczął czytać.

— Być może była wzburzona tym, co przeczytała — kontynuował Dufwa. — I dlatego wyszła, zapominając o mikrofilmie.

— Albo bardzo jej się śpieszyło — wtrącił Patrik — i nie miała czasu go zwrócić.

— To też możliwe — zgodził się Dufwa. — Być może odpowiedź kryje się w treści mikrofilmu.

— To artykuł o jej matce — wyjaśnił Max. — Jej matka utonęła. Ale nie ma tu nic, co mogłoby ją wzburzyć albo zaskoczyć. Annie wiedziała, jak zginęła jej matka.

Max zaczął głośno czytać artykuł. Patrik i Dufwa słuchali go z uwagą.

— Mogę spojrzeć? — spytał Patrik, pochylając się w stronę czytnika. Szybko zlustrował artykuł. — Czegoś tu brakuje. Można ten artykuł wydrukować?

— Tak — odparł Dufwa. — Na tamtej drukarce. Ale muszą panowie zapłacić za papier — dodał. Przez chwilę zbierał się na odwagę, aż w końcu powiedział: — Jeśli znajdę inne mikrofilmy, które czytała, też mam je wydrukować?

— A moglibyśmy dostać wydruki teraz?

Dufwa przez chwilę się zastanawiał. Spojrzał na zegarek i odparł:

— Zamykamy za pół godziny. Zobaczymy, czy zdążę.

• • •

Z biblioteki wyszli czterdzieści pięć minut później z dwiema torbami wydruków. Dufwa nie dał im tekstów z każdego

mikrofilmu, który przeglądała Annie, tylko z tych, z których sama robiła wydruki. Koszt wydruków wyniósł mniej więcej tyle, co dobry obiad. Za wszystko zapłacił Patrik.

Na klatce schodowej jego domu spotkali Lisę.

— Max, telefon do ciebie — powiedziała z wielkimi od emocji oczami. — Dzwonią z policji.

Max pokonał ostatnie dwa stopnie biegiem. Numer telefonu Patrika i Lisy podał Gustafssonowi. Na wypadek gdyby policja chciała się z nim skontaktować, a jego nie byłoby w domu. Kiedy wbiegł do przedpokoju, serce biło mu jak młotem. Szybko sięgnął po słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie. Słyszał za sobą Lisę i Patrika, chociaż ich nie widział.

Policjant przedstawił się jako Munkenberg. Powiedział, że przejął sprawę od Gustafssona. Mówił powoli i konkretnie. Zadał mu kilka pytań, na które Max odpowiedział. Umówili się na spotkanie i rozmowa dobiegła końca.

Max spojrzał na Patrika. Nadal trzymał słuchawkę w dłoni. Patrik wziął ją od niego i odwiesił na widełki.

— Co się stało? — spytał.

— Mam się stawić na komendzie — odparł Max. Popatrzył na nich i dodał: — Na przesłuchanie.

5

Po jednej stronie stołu siedział Max ze swoim adwokatem. Tak mu poradził Patrik — bez względu na to, czego będzie od niego chciała policja, prawnik może mu się przydać. Adwokat nazywał się Henrik Olsson. Namiary na niego Max dostał od C., który wyjaśnił, że adwokat, towarzysząc mu, wyświadczy C. przysługę. Prawda była jednak inna: C. organizuje co jakiś czas turnieje

pokerowe. Olsson kiedyś sporo postawił i przegrał. Co gorsza — postawił i przegrał coś, co nie było jego własnością.

„Dopilnuj, żeby mój przyjaciel nie miał kłopotów, a dostaniesz wszystko z powrotem”, wyjaśnił mu C. Olsson zgodził się bez wahania.

Po drugiej stronie stołu siedzieli Leif Gustafsson i inspektor Munkenberg. Pokój był mały, a stolik tak wąski, że prawie dotykali się dłońmi. W pomieszczeniu czuć było zapach środków dezynfekujących. Korytarz, którym szli do pokoju, przypominał dom wariatów. Olsson szepnął Maxowi, że policjanci specjalnie prowadzą go do pokoju przesłuchań mieszczącego się koło aresztu, żeby go przestraszyć. Kiedy Munkenberg zaczął przesłuchanie, Olsson zajęty był szukaniem jakiegoś dokumentu w teczce.

— Proszę nam opowiedzieć o związku, jaki łączył pana z Sabine Skog.

Max spojrzał na Munkenberga pytającym wzrokiem. Olsson przestał grzebać w teczce i spojrzał na Maxa. Gustafsson patrzył na niego z zaciśniętymi ustami, które układały się w uśmiech.

— Pozwoli pan, że odświeżę panu pamięć — powiedział Munkenberg ze złowieszczym uśmiechem. — Sabine Skog to młoda kobieta, którą dwa lata temu pobił pan w piwnicy.

Sabine. Maxowi świat zawirował przed oczami. Miał tylko nadzieję, że nie spadnie z krzesła i że cała ta sytuacja to tylko sen. Jego sen. Jeden z tych, o których nigdy nikomu nie opowiadał, więc nikt o nim nie powinien wiedzieć. Niestety, policjanci siedzący po drugiej stronie stołu wiedzieli. A więc wszystko się wydało.

Był z Annie już od dwóch miesięcy, gdy któregoś wieczoru poszedł po koncercie na imprezę. To było w jakimś domu w Tyresö. Rozmawiał tam z pewną kobietą, która nazywała się Sabine Skog. Zapamiętał jedynie to, że spędził z nią wtedy trochę czasu. Upił się bardziej niż zwykle i wciągnął trochę prochów. Od kiedy poznał Annie, nigdy tego nie robił. Niestety, tamtego wieczoru zachował się jak szczeniak pragnący na chwilę wyrwać się z monotonnego bytu, który nagle wydał mu się nudnym życiem typowego Svenssona.

Spodobał jej się. Poszła z nim do piwnicy albo do sypialni. Nie pamięta. Chyba chcieli wspólnie wypalić skręta czy coś takiego. Nagle ona zaczęła go całować, a po chwili on odwzajemnił pocałunek. Zanim się zorientował, Sabine zaczęła rozpinać mu spodnie. Stracił panowanie nad sobą i brutalnie ją odepchnął. Zbyt brutalnie, to fakt. Sabine upadła na podłogę. To nie była tylko jego wina, ona też była pijana, a na nogach miała pantofle na wysokich obcasach. Na pewno nie chciał jej przewrócić. Niestety, Sabine się potłukła, byli świadkowie i w ich oczach nie wyglądało to najlepiej. Dziewczyna rozplakała się, a jej przyjaciółki zaczęły mu grozić. Wypadł z piwnicy i nawet nie zabrał marynarki, bo gdzieś ją rzucił i nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Miał w niej klucze do mieszkania i pieniądze. Do domu wrócił zmarznięty na kość. Wtedy nie mieszkali jeszcze z Annie razem. Wymyślił więc jakąś historyjkę, że niby został napadnięty, i Annie go przyjęła. To był koszmar, o którym chciał jak najszybciej zapomnieć. Całkiem niezłe mu się to udało. Nigdy o tym Annie nie opowiadał. I teraz Skog albo jakaś idiotka, która ją знаła, przeczytała w gazecie, że Annie zaginęła, więc

zadzwoiła do redakcji, a potem na policjê, żeby opowiedziec o jej niegrzecznym facecie, który zachowuje siê brutalnie i pewnie bierze prochy, a na dodatek lajdaczy siê z innymi kobietami i na pewno ma coœ wspólnego z jej zaginiêciem.

Max spojrzal na obu policjantów. Pierwszy odezwal siê Gustafsson.

— Mamy caly dzien na wysluchanie tego, co zechce nam pan powiedziec.

Max poczul, ze zeszywnial mu jezyk.

— Mogê prosiç o szklankê wody? — spytal. Po chwili stanal przed nim kubek z wodà. — To nic waznego — zaczal Max, gdy wypil wodê. — To byla moja wina. Poszedlem po koncercie na imprezê, zaczeliśmy siê do siebie kleic, a gdy chcialem przestac, odepchnalem ja od siebie tak mocno, ze upadla na podloge. To wszystko.

— To, co uslyszeliśmy od pani Skog, rózni siê od pana wersji w dwóch punktach — sprostowal Munkenberg. — Pani Skog twierdzi, ze to pan ja poderwal, poszedl z nià na imprezê, zaprowadzil do piwnicy i nagle oszalał. Przewrocil ja pan na podloge, a potem wybiegl z domu. Twierdzi tez, ze ciekla jej krew z nosa i ze ma zdjecia, które to potwierdzaja. To prawdziwy cud, ze nie zglosila tego policji. Mialby pan sprawe o pobicie.

— Nic mi nie wiadomo o krwawieniu z nosa. Bylem tam, ale niezbyt dobrze pamietam, co siê wydarzylo. Nie chcialem zdradziç mojej dziewczyny, wiec sobie poszedlem.

Munkenberg skinal glowà. Popatrzył na Maxa z wyzszoscia, jakby wlasnie w tym momencie dopadl swojà ofiare.

— Czy pamietà pan, ze podczas ostatniego spotkania

z obecnym tu inspektorem Gustafssonem odpowiadał pan na pytanie o stosunki łączące pana z żoną? Zacytuję pana słowa: „Nie, nie zdradziłem żony”. Tak pan wtedy powiedział?

— Tak.

— A więc kłamał pan?

— Ja bym tego nie nazwał zdradą. Rzeczywiście, nawet nie pomyślałem o tamtej sprawie. To się zdarzyło dawno temu i byłem wtedy pijany. Nie sądzę, żeby to miało szczególne znaczenie.

Munkenberg uderzył pięścią w stół i zawołał:

— O tym, co ma znaczenie, a co nie, decydujemy my!

Olsson pochylił się w jego stronę i machnął ręką, jakby chciał go powstrzymać.

— Proszę się uspokoić. Cała ta historia oznacza tylko tyle, że mój klient miał przed swoją żoną drobną tajemnicę i właśnie wyszła ona na jaw. To przykra sprawa, która niczego nie zmienia.

— Myli się pan — odparł Munkenberg, unosząc palec. — Pana klient okłamał policjanta. A jeśli zrobił to raz, niewykluczone, że zrobił to kilka razy. — Przez chwilę wpatrywał się w Olssona, po czym przeniósł wzrok na Maxa i skierował w jego stronę swój wskazujący palec. — Czy to pan jest Sturem Hultem?

— Kim?

— Pana żona twierdziła w rozmowie z wysoko postawionym oficerem policji, że skontaktował się z nią mężczyzna, który przedstawił się jako Sture Hult. Podobno mieszka we Flen i ma informacje o śmierci jej matki. Stało się to tego samego dnia, w którym po wyjściu z redakcji poszła do Biblioteki Królewskiej.

Od tamtej pory nikt jej nie widział. Człowiek, który przedstawił się jako Sture Hult, może mieć z tym coś wspólnego. Problem polega na tym, że we Flen nie znaleźliśmy nikogo o tym nazwisku. Jeden Hult mieszka w Borlänge, drugi w Skövde, trzeci w Karlstadsie. Rozmawialiśmy z każdym z nich. Zaprzeczyli, jakoby kontaktowali się z Annie Lander, i obaj zapewnili, że jej nie znają. Tym bardziej jej matki, która nie żyje od trzydziestu lat. Dlatego jeszcze raz pytam: czy pan coś o tym wie?

Max ukrył twarz w dłoniach.

— Nie znam żadnego Hulta i nie wiem nic o matce Annie — odparł. — Wiem tylko tyle, że popełniła samobójstwo. Annie sama mi opowiadała, że jej matka się utopiła.

— Matka pana żony nie odebrała sobie życia — sprostował Munkenberg. — Została zamordowana.

— To nie może być prawda — zaprotestował Max. — Mówicie o innej osobie.

— A może chce nas pan przekonać, że samobójstwa to w jej rodzinie norma?

— Dlaczego miałbym to robić?

— Tylko pan może odpowiedzieć na to pytanie — odparł Munkenberg. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Wiem tylko tyle, że moja żona zaginęła i żaden z was nie wie, co się z nią stało. To wszystko.

Munkenberg przestał się uśmiechać. Gustafsson skinął głową. Jego twarz przybrała ponury wyraz. Max z trudem powstrzymywał się przed płaczem.

— Panowie — powiedział Olsson, który dotychczas przysłuchiwał się rozmowie w nonszalanckiej pozycji. — Mój

klient nie czuje się dobrze. Zaginęła jego ciężarna żona, a wy zachowujecie się tak, jakbyście go podejrzewali, że ją zamordował. Jeśli nie macie dowodów, to proponuję, abyśmy zakończyli to przesłuchanie.

Munkenberg wyszedł z pokoju i wrócił po pięciu minutach. Popatrzył na Gustafssona i pokręcił głową.

• • •

Max i Olsson poszli do kawiarni na Bergsgatan. W milczeniu usiedli przy stoliku. Olsson popijał kawę i jadł ciastko. Max nawet nie tknął stojącej przed nim filiżanki.

Wszyscy już wiedzą o jego historii z Sabine.

W redakcji i na policji.

Tylko Annie nie wie.

Był pewien, że go zostawi, gdy o wszystkim się dowie. Zrobiło mu się niedobrze na myśl o tym, że coś jej się przytrafiło i że dowiedziała się o Sabine od kogoś innego, nie od niego. Spróbuje jej to jakoś wyjaśnić: nie był sobą, miał problemy, okłamywał ją. Co więcej może zrobić? Niestety, nie wystarczy powiedzieć, że się upił, naćpał i poszedł z jakąś lalunią do piwnicy i że przestał się z nią całować dopiero wtedy, gdy zrozumiał, że ona chce czegoś więcej.

Po tamtym zdarzeniu Annie starała się mu pomóc: zajęła się nim, namawiała go, żeby zgłosił napad policji, i kupiła mu nowy portfel, zresztą taki sam jak ten, który miał przedtem. Zrobiła dokładnie to, co należy zrobić, gdy osoba, którą kochamy, potrzebuje pomocy. A przecież on nie zasługiwał na jej troskę. Ani przez chwilę. Wiedział o tym wtedy i teraz. Niestety, łapał się wówczas wszystkiego, jak spragniony miłości golden retriever, co

czyni sprawę jeszcze gorszą. W oczach innych ludzi jest tak złym człowiekiem, że jeszcze chwila i dojdzie do wniosku, że to on sam jest winien jej zaginięcia.

Uniósł wzrok i zobaczył, że Olsson wpatruje się w niego i beztróska zajada swoje ciastko.

— Nie mam nic wspólnego z jej zaginięciem — powiedział Max.

Olsson machnął tylko ręką i sięgnął po filiżankę, żeby popić ciastko.

— Niczego na pana nie mają, ale to fatalne uczucie zostać przyłapanym na kłamstwie — odparł. — W takim przypadku policja zaczyna każdego podejrzewać. Proszę się jednak nie niepokoić, wyjaśnimy tę sprawę.

— Jak?

— Niech pan wraca do domu i nie robi niczego niemądrego. To wszystko. Ja spróbuję wysłać sygnał do prokuratora, pogadam z nim i trochę go wybadam. Podejrzewam, że nic na pana nie mają. Tamten młody ambitny policjant, który podejrzewa każdego, kto ma na sumieniu drobne kłamstewko, jest pewnie innego zdania. To karierowicz. Kiedy wyszedł z pokoju, pewnie zadzwonił do prokuratora, opowiedział mu, co ma, i prokurator kazał mu pana puścić. Nie można jednak wykluczyć, że prokurator zaproponuje, aby pana śledzono.

— Mnie?

— Prokurator spyta komisarza, czy ma na to środki. Jeśli ten uzna, że tak, będą pana obserwować, na przykład przy każdym pana wyjeździe z miasta. Albo we wszystkie wieczory po dziewiętnastej. W każdym razie ma pan siedzieć cicho i nie robić

żadnych głupstw. Proszę z nimi beze mnie nie rozmawiać, tak samo z nikim z redakcji. Nie może pan zrobić czegoś, co utwierdzi ich w podejrzeniach. Rozumiemy się?

— Tak.

— Okay. Co pan zamierza teraz robić?

— Wrócę do domu, zostanę tam i będę rozmawiał tylko z panem.

— Mądry chłopiec — powiedział Olsson i spojrział na zegarek. — Zobaczy pan, że wszystko skończy się dobrze.

Z kawiarni wyszli razem, ale potem każdy ruszył w swoją stronę. Kiedy Max przecinał Malmskillnadsgatan, poczuł się winny. Nie wiedział tylko, z jakiego powodu.

• • •

Wysiadł z metra na stacji Slussen i ostatni odcinek drogi do domu pokonał piechotą. Wokół niego szli ludzie, jakby nic się nie stało. Jakby ten dzień był taki sam jak wczorajszy i taki sam jak jutrzejszy. Szedł drobnym krokiem Götgatan. Czuł wewnętrzną pustkę. Na czoło spadła mu pojedyncza kropla, ale nawet jej nie starł. Zagryzał wargę, żeby opanować płacz. Policjanci mogli równie dobrze potraktować go prądem elektrycznym. Obiecał zadzwonić po przesłuchaniu do Patrika, żeby mu opowiedzieć, czego od niego chcieli. Teraz nie może tego zrobić. Może nigdy tego nie zrobi. Musiałby mu spojrzeć w oczy i wyznać, że okłamywał i jego, i żonę. Patrik stanął po jego stronie, tak jak wszyscy. Zadawali mu pytania, a on na nie odpowiadał. Zapomniał tylko wspomnieć o tym, o czym policja już wie. Głośno westchnął. Jako mężczyzna, przyjaciel, ale najbardziej jako człowiek.

• • •

Wrócił do domu, zdjął buty i powiesił kurtkę obok kurtki Annie. Wchodząc po schodach, nie zwrócił uwagi na kobietę, którą minął. Przeszła obok niego ze spuszczonym wzrokiem. Przypomniała mu się dopiero wtedy, gdy na podłodze w przedpokoju, wśród kopert z fakturami i reklamami, znalazł zapisaną ręcznie kartkę. Szybko przeszedł przez salon, otworzył okno i spojrzał w dół, ale kobiety już nie było. Wiadomość była napisana kwiecistym charakterem pisma i brzmiała następująco:

Annie nie zniknęła z własnej woli.

Niech pan nie ufa policji.

Proszę poszukać Sonji.

Sissi

Przez chwilę stał zrezygnowany. Kim jest Sissi? I kim jest Sonja, której ma poszukać? Nagle załapał. To na pewno te kobiety, o których pisała Annie. Pobiegł do sypialni, wyciągnął z biurka dwie górne szuflady i wyrzucił ich zawartość na łóżko. Skoroszyty, ręcznie zapisane kartki, brudnopisy artykułów napisane na maszynie. Numery telefonów do Kaya Orhy i fotografa Marcusa. Dane różnych osób przysłane przez urząd skarbowy. Zdjęcia kobiet przypominających prostytutki, z którymi Annie rozmawiała. Wycinki z gazet z fotografiami poważnych mężczyzn w garniturach.

Na końcu znalazł wydruki rozmów z Sissi i Sonją.

Zapoznanie się ze zgromadzonym materiałem zabrało mu cztery godziny. Wszystko posegregował i ułożył w kupkach na łóżku. Miał teraz więcej pytań niż odpowiedzi. Policja uważa, że coś ukrywa. Tylko czekają, aż popełni jakiś błąd. Dopóki wierzą, że ma coś wspólnego ze sprawą, nie kiwną palcem, żeby odkryć

prawdziwy powód jej zaginięcia. Nie pomogą mu. Patrik obiecał, że przejrzy wydruki z Biblioteki Królewskiej. W tym czasie on musi poszukać wyjaśnienia u kogoś innego. Jeśli chce poznać odpowiedzi, powinien zrobić to samo, co Annie: porozmawiać z dziewczynami z ulicy. Musi znaleźć Sonję.

6

W salce konferencyjnej, którą Johan Droth urządził w swoim mieszkaniu, oprócz niego byli Jonsson, Olofsson, Theorin, Hellsten i Buster. Siedział przy owalnym stole. Na kominku w rogu pokoju płonął ogień. Było ciepło, ale atmosfera nie była najlepsza. Zawsze tak jest. Już po samym sposobie, w jaki zebrani układają długopisy i notatniki, można poznać, o jaki rodzaj spotkania chodzi.

Johan Droth znowu miał nocny koszmar. Był tak straszny, że aż się obudził, i tak realistyczny, że poszedł do toalety umyć ręce w gorącej wodzie. Potem uniósł je do lampy, żeby się upewnić, że koszmar się skończył. Ma krew na rękach. Nocami dręczą go wyrzuty sumienia i nie może przestać myśleć, że rak zżera go od środka, jak zgniły owoc. Wyrzuty sumienia drzemały w nim przez prawie trzydzieści lat. Teraz żywią się resztkami, które rak pozostawia w swoich cuchnących kanałach. Kiedy się obudził, był cały spocony. Rano też się pocił, i to tak bardzo, że przed spotkaniem musiał zmienić koszulę. Gdy otwierał tę naradę, nadal był pod wrażeniem nocnego koszmaru. Uspokoił się dopiero pod sam koniec, gdy omawiali punkt osiemnasty pod tytułem *Działalność w USA*. Dopiero wtedy znowu poczuł się jak ich zwierzchnik.

— W związku z obecną sytuacją postanowiłem dokonać

pewnych zmian w naszych amerykańskich strukturach — powiedział Johan Droth.

Słyszając te słowa, Buster uniósł wzrok znad stołu.

— Ponieważ fuzja Scansteel i spółki w Austrii dokonała się zgodnie z planem, prawdopodobnie już w pierwszej połowie przyszłego roku firma trafi na giełdę. Chcemy, aby była notowana na giełdzie w Nowym Jorku — kontynuował jego ojciec.

Mężczyźni uśmiechnęli się i spojrzeli po sobie. To dobra wiadomość. Buster sięgnął po leżący na stole długopis.

— Skoro mowa o Ameryce — ciągnął Johan Droth — postanowiłem, że osobą odpowiedzialną za nasze sprawy w Stanach Zjednoczonych będzie Karlvik. Wykonał dobrą robotę i jest właściwym człowiekiem, który stosownie zadba o nasze interesy.

Buster popatrzył po zebranych, potem na ojca i wybuchnął śmiechem.

— Karlvik? Myślałem, że to ja odpowiadam za USA.

— Odpowiadałeś, a teraz podjąłem inną decyzję.

— W takim razie co ze mną?

— Znajdę dla ciebie zadania tutaj, w Szwecji. Martin będzie potrzebował w przyszłości pomocy w działalności operacyjnej i na pewno mu się przydasz.

— A więc odsuwasz mnie od spraw amerykańskich i przydzielasz mnie do papierkowej roboty? Czy dobrze cię zrozumiałem?

— To ty tak powiedziałaś, nie ja. Każdy z nas był kiedyś przesuwany na inne stanowisko albo przydzielano nam inne

obowiązki, nierzadko wbrew naszej woli. Chodzi o właściwą osobę na właściwym miejscu. Naszym celem jest dobro firmy.

— A mogę spytać, dlaczego przestałem być tą właściwą osobą na właściwym miejscu?

Johan Droth siedział przez chwilę w milczeniu.

— Decyzja zapadła — odparł w końcu. — Mówię o tej sprawie w tym gronie wyłącznie z powodów informacyjnych.

— Chodzi o to, że wystąpiłem z propozycją pożyczki dla amerykańskiego konsorcjum. Mam rację? Bądź ze mną szczery.

Ogień na kominku trzaskał dyskretnie, jakby ktoś pozwolił mu tu być pod warunkiem, że będzie zachowywał się cicho.

— Jeśli chcesz porozmawiać o powodach mojej decyzji, możemy to zrobić na osobności. To dla twojego własnego dobra.

Buster rzucił długopis na stół.

— Dla mnie rozmowa w obecności innych nie stanowi problemu. Kto wie, może oni też stwierdzą, że mam rację? Czy właśnie tego się boisz, tato? — Celowo użył słowa „tata”, bo wiedział, że ojciec nie cierpi, gdy mówi tak do niego w sytuacjach oficjalnych.

— Tu nie chodzi o to, kto ma rację, tylko o to, kto podejmuje decyzje. Ja ją już podjąłem. Twoja propozycja, aby robić interesy z tamtymi ludźmi w USA, była lekkomyślna i nieprzemyślana. Zresztą nikt z tu obecnych nie popiera takich propozycji. Wiedziałbyś o tym, gdybyś tylko chciał się uczyć od ludzi doświadczonych w prowadzeniu interesów, zamiast ciągle się wyklócać. Zebraliśmy potrzebne dane, dokonaliśmy ich analizy, podjęliśmy decyzję i poinformowaliśmy ich, że nie jesteśmy zainteresowani ich propozycją.

— Czasem się zastanawiam, z kogo lepsi biznesmeni, z nich czy z nas.

— Biznesmeni? — powtórzył Droth. — Nie nazywaj tych ludzi biznesmenami! Syndykat, z którym rozmawiałeś, kierowany jest przez zwykłego gangstera. Taka jest prawda. Tacy jak on zakładają skarpety częściej na głowę niż na nogi. — Wstał z krzesła i stanął tyłem do zebranych. — Teraz, gdy już mianowałem nowego przedstawiciela w USA, jestem o wiele bardziej przekonany o słuszności tej decyzji niż w chwili, gdy ją podejmowałem. — Odwrócił się i popatrzył na syna wzrokiem, który jakiegoś młodego przywódcę związków zawodowych w Cochabambie mógłby skłonić do wniosku, że jego czas się właśnie skończył. W kąciку ust Bustera zauważył kropelki śliny. Pomyślał, że z jego synem jest coś nie w porządku. — Sprawę uważam za zakończoną. Bądź tak miły i opuść pokój — powiedział Johan Droth i machnął ręką, jakby opędzał się od muchy. — Reszta zostaje.

Buster wstał z krzesła i zerwał z niego marynarkę tak gwałtownym ruchem, że je przewrócił. Wyszedł z pokoju, nie podnosząc go z podłogi.

Johan Droth miał w garści sędziów, polityków, policjantów, a w niektórych sytuacjach także całe urzędy. Dlatego bolało go, że nie potrafi okiełznać własnego syna. Istniało ryzyko, że rodzina się rozpadnie, a wtedy rozpadnie się także jego imperium. I właśnie to denerwowało go najbardziej. Posiadanie akcji, domów i samochodów to jedno. Władanie ludźmi to coś zupełnie innego. Nie ma chyba nic bardziej deprymującego niż nieudane próby.

— Buster zawsze był inny — powiedział, nie patrząc na czterech mężczyzn siedzących przy stole.

Buster to jego jedyny syn i dlatego zostanie jego dziedzicem. Obaj dobrze wiedzą, że to nie on jest najzdolniejszy spośród rodzeństwa, ale taka jest tradycja w ich rodzinie. Przypomniał sobie pewną rozmowę Bustera z kolegami z klasy. Jego syn miał wtedy nie więcej niż dwanaście, trzynaście lat.

— Wszystko to będzie kiedyś moje — powiedział, robiąc zamaszty ruch ręką.

— Kiedy? — spytał któryś z chłopców.

— Kiedy zostanę szefem.

— Szefem czego?

— Sztokholmu. Albo czegoś więcej. Wezmę, ile tylko się da.

To właśnie wtedy Johan zrozumiał, że syn różni się od niego. Nadal się jednak nie poddawał. Może teraz nadeszła właściwa chwila.

Usiadł przy stole i spojrzał na współpracowników zatroskanym wzrokiem.

— Słyszałem o tym syndykacie i wiem, co to za jedni. Znam ich moralność. Przez wszystkie lata ciągle się gdzieś na nich natykałem.

— Porozmawiam z Busterem — zaproponował Hellsten. — W końcu zawsze okazuje posłuszeństwo.

— Zrób to — odparł Droth. — Jeśli nie mamy innych spraw, to na dzisiaj możemy skończyć.

Theorin chrząknął i spojrzał na Drotha, który wyglądał na zmęczonego. Ostatnio trochę się postarzał.

— Jest jeszcze jedna sprawa, zanim się rozejdziemy —

powiedział.

— Mam nadzieję, że nie mamy żadnych nowych problemów?

— Dziś rano dzwonił do mnie Karlvik.

— I czego chciał?

— Dwa tygodnie temu odwiedziła go pewna dziennikarka.

— Przejdź do rzeczy.

— Wypytywała go o ciebie. Od razu zadzwoniłem do Martina.

Droth przeniósł wzrok z Theorina na Hellstena.

— Mam nadzieję, że Karlvik wie, jak ma odpowiadać na takie pytania?

— Oczywiście — zapewnił go Hellsten.

— Więc na czym polega problem?

Theorin spuścił wzrok. Zamiast niego odpowiedział Hellsten.

— Zadzwonił do Görana, bo ta dziennikarka zaginęła.

Nazywała się Annie Lander.

Johan Droth zbladł.

— Dlatego Karlvik nie wiedział, czy ma zadzwonić na policję, i poinformował, że u niego też była ta dziennikarka — uzupełnił Theorin.

— I co mu powiedziałaś? — spytał Droth, nalewając sobie drżącą ręką wody do szklanki.

— Zapewniłem go, że dobrze zrobił, dzwoniąc do nas, i że jeśli poda mi dzień i godzinę spotkania, to sam skontaktuję się z właściwą osobą. Poleciałem mu, żeby już o tym nie myślał. My się wszystkim zajmiemy.

— A dlaczego tak długo zwlekał z powiadomieniem nas o jej wizycie? Jak myślisz? — spytał Droth.

Hellsten wzruszył ramionami.

— Kiedy z nim rozmawiałem, powiedział, że miał inne sprawy na głowie i dlatego dopiero po pewnym czasie wszystko skojarzył. Domyślałem się, że zwlekał, bo nie wiedział, jak nam to przekazać, i nie chciał się zbłąźnić.

Droth skinął głową.

— A tamten policjant? Dzwoniłeś do niego?

— Tak, wczoraj przed południem.

— I co powiedział?

— Podziękował za wskazówkę, ale sprawiał wrażenie średnio zainteresowanego. Na pewno miał inny ślad.

— A więc problem mamy z głowy?

— Tak — potwierdził Theorin. — Mimo to uważam, że powinniśmy zaprosić Karlvika na kolację i upewnić się, że jej pytania nie namieszały mu w głowie.

— Dobry pomysł. Martin, zajmij się tym.

— Już to zrobiłem. Spotkanie odbędzie się w następnym czwartek w klubie.

Droth skinął głową i napił się wody.

— Na razie obowiązują nowe zasady: wszystkie sprawy, które nie mogą zostać upublicznione, mają przechodzić przez Martina. Nikogo więcej. Żadnych rozmów telefonicznych, spotkań ani pytań. Zrozumiano?

Wszyscy potwierdzili skinieniem głowy.

— Martin będzie się kontaktował bezpośrednio z każdym z was. Zasady obowiązują od zaraz. Zastanawiam się, dlaczego ta dziennikarka pytała o te sprawy. I dlaczego zwróciła się z pytaniami do Karlvika? — Wydawało się, że Droth zadał te pytania sobie samemu.

Hellsten podniósł się z krzesła.

— Niedługo się tego dowiemy — powiedział.

• • •

Buster uniósł głowę znad sedesu i odchylił ją do tyłu. Klęczał na podłodze toalety ojca, która kiedyś, gdy tu mieszkał, była jego toaletą. Przez spodnie czuł chłód posadzki. W lśniących kafelkach ujrzał swoje odbicie. To była prawdziwa egzekucja. Tak to trzeba nazwać. Egzekucja na oczach innych. Nikt nie stanął po jego stronie, nie tym razem. Gdyby tylko wiedzieli to co on, może zmieniliby zdanie. Ale się nie dowiedzą. Stary od razu by go uciszył, na wszystkie możliwe sposoby. Może nawet na zawsze. Wprawdzie jest jego jedynym synem, ale pewnie wcale go to nie wzrusza. Dla Johana Drotha więzi krwi liczą się tylko do pewnego stopnia. Wcześniej też tak było. Nic nie jest dla niego święte. On sam wiedział o tym najlepiej.

Kiedy był chłopcem, budził się często po nocach, żeby się wysikać. Była to jakaś dolegliwość związana z układem nerwowym. Nie potrafił wysikać się przed snem i dlatego musiał wstawać w nocy. Pewnego razu, gdy nocą szedł do łazienki, usłyszał hałas dobiegający z jadalni. Dorośli jedli kolację, a jemu kazali iść spać wcześniej. Przed snem opiekunka przeczytała mu bajkę. Stanął wtedy w progu jadalni, ale nikt go nie zauważył i rozmowa toczyła się dalej. To wtedy się dowiedział, że ma siostrę, nieślubne dziecko jego ojca, od której ten odciął się po jej narodzinach. Nagle ojciec go zobaczył, podszedł do niego i wymierzył mu taki policzek, że zakręciło mu się w głowie. Musieli go zanieść do łóżka.

— Są pewne sprawy, o których dzieci nie powinny wiedzieć —

wyjaśnił mu ojciec następnego dnia przy śniadaniu. — To dla twojego dobra, synu. Tak właśnie przejawia się moja miłość do ciebie.

To wtedy uświadomił sobie, do jakiej rodziny należy i że jest to przynależność warunkowa. Jeśli bowiem ktoś złamie zasady ustanowione przez głowę rodziny, musi się liczyć z tym, że zostanie odrzucony i po prostu przestanie istnieć. A wtedy równie dobrze może przestać żyć.

Wciągnął nosem resztki kokainy z deski klozetowej i stanął przed lustrem. Naczynia krwionośne w oczach zaogniły się jak fajerwerki.

— Nie dajesz mi wyboru — powiedział, przeglądając się w lustrze. — Zapędziłeś mnie w kozi róg — dodał i wybuchnął nagłym śmiechem. Uczestniczą w pojedynku, ale to on strzeli szybciej. Rozpocznie od własnych funduszy. Na jakiś czas mu wystarczą. To pieniądze z tajnych kont na Curaçao. Pieniądze wrócą na nie, zanim ktokolwiek zauważy, że zniknęły. Każdego można kupić. Potarł palcem nos i oblizał górną wargę. Pochylił się w stronę lustra tak nisko, że od jego oddechu zaszło parą. Nadchodzi nowa era, pomyślał. Te skurwysyny jeszcze się przekonają, do czego jestem zdolny.

Po powrocie do domu zażył ostatnią działkę kokainy. Wymieszał gin z tonikiem i zadzwonił do Kennetha, który zaopatrywał go w prochy. Zamówił dziesięć gramów i poprosił go, aby mu je od razu dostarczył.

— Wspominałeś kiedyś o facecie, który pierze pieniądze — powiedział.

— Pamiętam, i co?

— Jak on się nazywa?

— Vitomir Jozak.

— Chciałbym się z nim spotkać. Kiedy możesz mnie z nim umówić?

— Nie wiem. On nie spotyka się z ludźmi, których nie zna.

— Powiedz, że czekam na dwadzieścia milionów. Może to go przekona.

Rozłączył się i rzucił telefon na kanapę. Przejrzał się w dużym lustrze wiszącym na ścianie. W złotych ramach wygląda całkiem elegancko. Wypił resztę alkoholu ze szklanki i wrzucił ją do kominka, aż roztrzaskała się na kawałki. Na kawałku szkła, który wylądował na podłodze, zobaczył logo Drotha. Było przełamane na pół.

Może powinien zadzwonić do Görana i poprosić go, żeby podesłał mu jakąś dziewczynę? Potrzebuje mnóstwo czasu, żeby wprawić się w odpowiedni nastrój, a właśnie tego mu teraz brakuje.

7

Sissi nie chciała mieć nic wspólnego ze sprawą zaginięcia Annie. Wystarczą jej własne kłopoty. Zamierzała jednak jakoś pomóc i dlatego napisała kartkę, którą wrzuciła do mieszkania Annie. Potem zeszła po schodach i metrem wróciła do domu. Co chwila się rozglądała, obawiając się, że nagle usłyszy w wagonie, jak ktoś do niej woła: „Sissi, do cholery, gdzie ty się podziewałaś?!”. Kiedy wysiadła na stacji Kärrtorp, odetchnęła z ulgą. Udało jej się zostawić wiadomość i nikt jej nie zauważył.

Potem szczęście też jej nie opuszczało. Przed wejściem do budynku zobaczyła zaparkowany samochód. Za kierownicą,

obok Dicka, siedział ktoś, czyjej twarzy nie mogła rozpoznać. Jednak zobaczyła ich wcześniej niż oni ją. Na dworze było zimno i dlatego jak najszybciej chciała się znaleźć w swoim ciepłym mieszkaniu. Niestety, drugiego wejścia do budynku nie było, a ona nie miała ochoty dowiedzieć się, po co wrócił Dick i kim jest ten drugi facet w eleganckim wozie. Wycofała się więc i poszła w stronę metra. Kiedy godzinę później wróciła, wyjrzała ostrożnie zza rogu. Samochodu już nie było. Szybkim krokiem ruszyła do wejścia. Czuła się tak, jakby ktoś obserwował ją przez lornetkę.

8

Za kierownicą siedział Ranko, obok niego Vitomir. Samochód oblepiała gęsta mgła. Jozak głęboko się zaciągał i wypuszczał ustami kółka z dymu. Pieniądze wpłynęły, AIK wygrała swój ostatni mecz, a jutro przyjedzie ciężarówka z papierosami. Tym razem przywiezie też paczkę heroiny, większą niż kiedykolwiek wcześniej. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, pod koniec roku będą mieć mnóstwo forsy. Część ukryje w kasie, część znów zainwestuje w heroinę. Resztę przeznaczy na zapłacenie ludziom: celnikom, policjantom, kierowcom. Im więcej robią interesów, tym więcej ludzi muszą opłacać, a im większe są te interesy, tym więcej muszą ludziom płacić. Ale takie są reguły gry, a on jest zręcznym graczem. Gliniarz, któremu ma dzisiaj zapłacić, zajmuje wysokie stanowisko w policji w Norrmalmie. Wprawdzie Jozak nie pamięta, w którym wydziale pracuje, ale to bez znaczenia. Gliniarz ma wszędzie kontakty, kumpluje się z szycami i to od nich dowiaduje się tego, co dla nich jest ważne. Czasem daje mu cynk, żeby się wycofał, czasem wstrzymuje

działania. Jozak dobrze mu za to płaci. Musi mieć pewność, że gliniarzowi zależy, aby on, Vitomir Jozak, nadal był wolnym człowiekiem. Jeśli trafi za kraty, skończą się pieniądze, a przecież gliniarze potrzebują kasy. Dlatego Jozak stara się im pomagać. Nie robi tego dla nich, tylko dla siebie. I tak powinno być. Wszystkich można kupić. Nikt nie docenia jego możliwości.

— Facet, z którym mamy się spotkać, jest gliną — powiedział Jozak, patrząc na Ranka. — Na wysokim stołku. Pomaga nam, ale mu nie ufamy. Zapamiętaj to. Mówimy mu tylko o tym, o czym powinien wiedzieć. Kapujesz?

Ranko skinął głową.

— To dobrze. Zabieram cię na spotkanie tylko po to, żeby wiedział, że jesteś moim bratem. I jak kiedyś gdzieś cię przydybie, żeby nie robił ci problemów. Jasne?

— Jasne.

— Siedź spokojnie, patrz na niego i obserwuj, jak reaguje na to, co mówię. Zapamiętaj jego twarz.

Ranko znowu skinął głową. Jozak wyjrzał przez boczne okno i przyglądał się ludziom wychodzącym ze stacji metra.

— Widzisz? — spytał, wskazując mężczyznę, który przechodził przez ulicę. Ich samochód stał przed wejściem do stacji metra Brommaplan. — Wszystkie domy wyglądają tu tak samo. — Zapalił kolejnego papierosa i znowu spojrzął na mężczyznę, który po wyjściu z metra skręcił za róg i ruszył w stronę domu. — To on — powiedział, wskazując go palcem. — Facet w beżowej marynarce. Jedź za nim, ale nie za blisko. Podjedziemy do niego, dopiero jak skręci w boczną uliczkę.

Ranko uruchomił silnik i odczekał, aż mężczyzna przejdzie na

drugą stroną ulicy. Dopiero wtedy ruszył. Obaj wiedzieli, gdzie mieszka, więc nie musieli się martwić, że go zgubią, ale Vitomir wolał nie nachodzić go w domu ze względu na rodzinę. Mężczyzna podwinął rękaw płaszcza, spojrzął na zegarek i przyśpieszył.

Jozak spojrzął na zegar na desce rozdzielczej. Wpół do szóstej.

— Chyba się dziś spóźni na kolację — powiedział ze śmiechem, wskazując palcem przez szybę. — Podjedź pod tamten czerwony samochód i zatrzymaj się obok niego.

Ranko przyśpieszył i mężczyzna odskoczył na bok przestraszony głośnym dźwiękiem silnika. Zatrzymali się przy nim, Jozak opuścił szybę i spojrzął na niego z uśmiechem.

— Wsiadaj — powiedział.

Mężczyzna nie wyglądał na uszczęśliwionego jego widokiem. Wyjął ręce z kieszeni i zwiesił je po bokach, jak zbuntowane dziecko. Potem westchnął i wzniósł oczy do nieba.

— Przestań stroić fochy — rzucił Jozak. — Siadaj, kurwa, z tyłu.

— Jestem już spóźniony. Umówiłem się z dziećmi na kolację.

— Cholernie mnie to wzrusza — odparł Jozak, kładąc dłoń na sercu. — Wskakuj do środka, zanim mój brat wyjdzie i zapakuje cię do bagażnika.

Mężczyzna zeszywniał, jakby nie był pewien, czy Jozak mówi do niego. Pokręcił głową, otworzył tylne drzwi i wsiadł do samochodu.

— Zrób kilka rund po dzielnicy, potem wysadzimy go w tym samym miejscu. — Jozak zwracał się do Ranka po serbsku.

Gdy samochód ruszył, zapiął pas bezpieczeństwa i odwrócił

się do mężczyzny, który siedział ze skrzyżowanymi na piersi rękami za fotelem kierowcy.

— To mój brat, Ranko. Ranko, to nasz kumpel z policji — powiedział. Ich spojrzenia spotkały się w lusterku wstecznym. — Czemu masz taką kwaśną minę?

— Nie życzę sobie, żeby mi grożono i traktowano mnie w ten sposób — odparł mężczyzna.

— Trochę sobie z ciebie żartowaliśmy — powiedział Jozak. — Może to ci poprawi humor — dodał z uśmiechem, rzucając mu kopertę. — Starczy ci na to gównu, którym zajmujesz się w weekendy, i to na długi czas.

Mężczyzna otworzył kopertę, wyjął jej zawartość i przerzucił w palcach gruby plik banknotów.

— Ile tego jest? — spytał.

— Pięćdziesiąt.

Mężczyzna gwizdnął cicho.

— Za co aż tyle?

— Chcę ci w ten sposób okazać swoją wdzięczność. Zawsze jestem szczodry wobec tych, których lubię. Właśnie kupiłem dwie restauracje. Jedną na Kungsholmen, drugą w Sundbybergu. Przez ostatni rok mieliśmy trochę kłopotów z twoimi kumplami z policji. Nasi goście czują się przez to niepewnie. Klienci przestają przychodzić do baru, w którym bywa policja. Dlatego masz dopilnować, żeby wasi ludzie zostawili oba lokale w spokoju. Nic tam nie znajdą. Zrozumiałeś?

— Tak — odparł mężczyzna, kiwając głową. — A od kogo je kupiłeś?

— Od faceta, który chciał je sprzedać.

— Zapłaciłeś mu?

— A co cię to obchodzi?

— Powinienem wiedzieć, czy poprzedni właściciel nie biega po mieście i nie opowiada, że oba lokale od niego wyłudziłeś. Policjanci nadstawiają uszu, a ja nie zawsze mam na nich wpływ.

— Zapłaciłem mu. Pozwoliłem mu tam dalej pracować i został nawet współwłaścicielem.

— Ile?

— Pięćdziesiąt tysięcy.

— To niewiele jak za dwa lokale w Sztokholmie.

— Jak wiesz, jestem dobrym negocjatorem. Kasę dostał w gotówce, tak jak ty. Był zadowolony i zgodził się na interes. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

— Co to za lokale?

— Adresy są w kopercie.

— Okay. — Mężczyzna westchnął, wkładając kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki. — Sprawdzę, czy ktoś coś na nie ma, zakończę sprawę i w razie czego was ostrzegę. Mam rozpytać w jakiejś konkretnej sprawie?

— Znasz moje miejsca. Wiesz, co można w nich kupić. To, co zawsze. Mamy coraz więcej takich miejsc. Stajemy się jak McDonald's, kapujesz? Ranko będzie stał przy kasie i pytał, czy podać coś więcej.

Jozak roześmiał się i poklepał brata po ramieniu. Samochód zwolnił i zatrzymał się w tym samym miejscu co poprzednio.

— Rozejrzę się i posłucham, co w trawie piszczy — obiecał mężczyzna.

— Wiedziałem, że mogę na tobie polegać. — Jozak

przekrzywił lekko głowę.

— Jak już rozmawiamy, to jest jeszcze jedna sprawa.

— Co takiego? Więcej pieniędzy na pewno ci nie dam.

— Nie chodzi o pieniądze. Potrzebuję czegoś innego.

— No to opowiedz o tym wujkowi Vito — odparł z uśmiechem Jozak.

— Ketamina. Możesz mi ją załatwić?

Jozak wzruszył ramionami. Nie spuszczał wzroku z rozmówcy.

— Żaden problem. Ranko może załatwić, co tylko chcesz. Ale bądź ostrożny, nie chcemy, żebyś potem wyciągnął kopyta. Potrzebujemy cię na dłużej.

Mężczyzna otworzył drzwi i wystawił jedną nogę.

— Poczekaj — zatrzymał go Jozak.

— Tak?

— Twoim zdaniem jest tu więcej takich, którzy to biorą?

Mężczyzna spojrział na niego przeciągle, wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi.

— Ketamina? Po co mu to? — spytał Ranko, unosząc brwi.

— Do jakichś świństw — odparł Jozak, dając mu ręką znać, żeby już jechał. — O takich świństwach nie będę rozmawiał z kimś, kogo lubię. Zbok zasługuje na śmierć.

Przeżegnał się i w tej samej chwili samochód ruszył.

Usługi i ślady

1

Kay Orha miał skronie przyprószone siwizną, wydatne kości policzkowe, zakrzywiony nos i dwie głębokie bruzdy między oczami. Nosił siwą brodę. Ubrany był w ciemnoszary garnitur, kamizelkę, białą koszulę i czerwony krawat. Utył, zwłaszcza w barkach i klatce piersiowej, jak wielu mężczyzn w jego wieku, którzy żywią się słodkimi bułkami, kawą z automatu i niezbyt smaczną chińszczyzną. Na miejscu dawnej iskry pojawiło się matowe spojrzenie, jak u kogoś, kto doszedł do wniosku, że już niczego nowego i ciekawego w życiu nie zobaczy. Orha wychowywał się w religijnej rodzinie w miejscowości Kalanti. Później przeprowadzili się z Finlandii w okolice Uppsali. Jego matka chciała, żeby został pastorem, ale jemu marzyła się praca, która dawałaby władzę. Jego pragnienie zemsty było gęste i lepkie i musiało wydostać się na zewnątrz, aby mógł zapomnieć o wszystkich niesprawiedliwościach, których doznał we wczesnym życiu. Na przykład w szkole. Kiedy przeprowadził się do Szwecji, jego akcent wzbudzał salwy śmiechu. Zamiast „g” mówił „k”. Podobnie było z obciachowymi ubraniami, które kazała mu nosić matka, i odpowiedziami na pytania nauczyciela.

— Kay, kto jest z bożej łaski królem Szwecji?

— Jezus Chrystus?

Salwy śmiechu, drwiny i szyderstwa, których musiał wysłuchiwać na przerwach. Wieczorne modlitwy z matką. Chęć odwetu. Dwa zmarnowane lata. Wyższa Szkoła Policyjna. Fakultet prawny. W policji w Sztokholmie zajmował wysokie stanowisko, ale w jego gabinecie nie było tego widać. Stos papierów na biurku, uschnięty kwiat w doniczce. Jasnożółte nagie ściany. Po odejściu Hansa Holméra niektórzy typowali go na stanowisko komendanta policji. On też miał na nie nadzieję. Niestety, wygrał inny kandydat, Sven-Åke Hjälmsroth, wcześniej szef służby bezpieczeństwa. Miał wtedy sześćdziesiąt siedem lat. Niektórzy pocieszali Kaya, że to typowa decyzja polityczna, że ktoś stracił, a ktoś inny zyskał. Pomyślał wtedy, że to słabe pocieszenie.

Göran Theorin, który wkrótce miał odejść ze stanowiska szefa wydziału narkotykowego w komendzie rejonowej policji, zdjął płaszcz i usiadł na krześle. W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi i w progu stanął Munkenberg.

— Cholera, nie wiedziałem, że masz gości — powiedział, widząc, że Orha nie jest sam. — Wpadnę później.

— Nie ma sprawy. Znasz Theorina? — spytał Orha.

— Pobieźnie — odparł Munkenberg. Uśmiechnął się uprzejmie i przeszedł przez próg.

Theorin przywitał go lekkim ruchem ręki, spojrzął na Orhę i uniósł brwi. Orha uśmiechnął się przeprasząco. Kiedyś młody i niedoświadczony Theorin był jego studentem w szkole policyjnej. Od tamtej pory minęło wiele czasu. Theorin jest od

niego o dziesięć lat młodszy. Wysportowany, opalony, nienaznaczony życiem, które innym ludziom nie szczędzi trosk i rzuca kłody pod nogi.

— Wejdz. A może się śpieszysz?

— Nie, skąd — odparł Munkenberg. Wszedł do pokoju i zamknął drzwi.

Orha zauważył, że Munkenberg poczuł się zaszczycony.

— Siadaj — rzucił, wskazując mu krzesło obok Theorina. — I mów, co ci leży na wątrobie.

— Chciałem tylko powiedzieć, że doszedłem do pewnych wniosków dotyczących tamtej kobiety, która do ciebie dzwoniła, a potem zaginęła.

— To znaczy?

— Dałbym sobie rękę uciąć, że w całą sprawę jest zamieszany jej mąż. Zgłosił jej zaginięcie, zgłoszenie przyjął Gustafsson, ale jestem pewien, że facet coś ukrywa.

— Czemu tak myślisz?

— Dzwoniła do mnie pewna kobieta, która dowiedziała się z gazety o zaginięciu Annie Lander.

— I co powiedziała?

— Że przed dwoma laty poznała na imprezie Maxa Landera. Bawili się razem, ale w pewnym momencie on zaczął być nachalny. Potem nagle uciekł i zostawił swoje rzeczy. Od tamtej pory nie słyszała o nim, ale jak przeczytała o zaginionej dziennikarce, od razu sobie wszystko przypomniała, także nazwisko tej dziennikarki. Jest całkowicie przekonana, że facet maczał palce w zaginięciu żony.

— Rozmawialiście z nim? — spytał Orha.

— Tak, od razu po rozmowie z nią.

— I co powiedział?

— Po części potwierdził jej wersję, ale zapewniał, że to było nieporozumienie. Był pijany. W pewnej chwili dotarło do niego, dokąd sprawy zmierzają. Wpadł w panikę i wybiegł z domu, zostawiając klucze i portfel. Potem wrócił do swojej dziewczyny i opowiedział jej bajeczkę, że go napadnięto.

— Typowe — mruknął Theorin.

— Co było potem? — spytał Orha.

— Przycisnęliśmy go pytaniami o żonę. W końcu się załamał, ale do niczego się nie przyznał. Tłumaczył się tym, że nie wyznał żonie prawdy. Dziwne było jednak to, co nam powiedział potem: że matka tej dziennikarki odebrała sobie życie. Tak naprawdę została zamordowana i nie mamy podstaw sądzić, że dziewczyna o niczym nie miała pojęcia. Przecież mogła o tym przeczytać, a jest dziennikarką i umie szukać informacji. Powinna dokopać się do wszystkiego, co dotyczy jej pochodzenia. Może to przed nim ukrywała? Z drugiej strony facet też nie jest bez winy, bo szlajał się z innymi babami.

— Niezbadane są wyroki boskie — odparł z uśmiechem Orha.

— Co z nim zrobiliście po przesłuchaniu?

— Puściliśmy go wolno. Osobiście rozmawiałem o tym z prokuratorem, ale nie mamy wystarczających dowodów. Gustafsson uważa, że facet jest niewinny. To miły gość, typ nieudacznika.

— Nie oceniaj nikogo po wyglądzie — powiedział Theorin. — Nie wszyscy mordercy mają mord w oczach.

— Słuchaj Theorina, Munkenberg. To on spośród nas

wszystkich schwytał najwięcej łobuzów. A teraz odchodzi i będzie doradcą w sektorze prywatnym, gdzie można zarobić porządne pieniądze.

— Coś o tym słyszałem — przyznał Munkenberg.

— Nie wierz we wszystko, co słyszysz. — Theorin westchnął. — Za to posłuchaj mnie, kiedy mówię, że przy takich ludziach jak ten facet powinieneś mieć oczy szeroko otwarte.

— Na razie nie zamierzam mu odpuścić. Wezmę go pod obserwację.

— Słusznie. Masz dobry węch.

— Dzięki.

— Pomyślcie tylko — wtrącił Orha i zrobił sztuczną pauzę. — Jak chory musi być człowiek, który zabija swoją żonę, nosząc jego dziecko. Dokąd ten kraj zmierza? Coś ci powiem, Munkenberg, i nie są to brednie starego zgreda. Pewnie zgodzisz się z Göranem, że z każdym rokiem przestępstwa w tym kraju stają się coraz brutalniejsze. Kiedy miałem tyle lat co ty, w policji nigdy nie słyszeliśmy o lekarzach, którzy ćwiartują prostytutki, ani o alkoholikach, którzy strzelają do premiera. Ani o mężach, którzy zabijają ciężarne żony. Żyjemy w takich czasach i w takich czasach przyjdzie ci pracować w przyszłości, Munkenberg, gdy my będziemy już siedzieć w domu i cieszyć się emeryturą.

— Zrobię, co w mojej mocy — odparł z uśmiechem Munkenberg.

— Masz rodzinę?

— Tylko matkę — odpowiedziała Munkenberg, spoglądając na Orhę pytająco.

— Mieszka tutaj?

— Właściwie to ja mieszkam u niej — wyjaśnił Munkenberg, spuszcżając wzrok. — Na razie. Jest chora, więc jej pomagam.

— Na co choruje? Przepraszam, że pytam.

— Ma raka. Leży na onkologii, ale niedługo puszcżą ją do domu. Jak jej się trochę polepszy, znajdę sobie jakieś lokum.

— Trzymam za nią kciuki. I za to, żebyś rozwiązał sprawę tej dziennikarki. To nie będzie takie proste, ale jak ci się uda, zaproszę cię na kielicha.

Theorin się uśmiechnął.

Munkenberg spojrział na niego rozpromienionym wzrokiem.

2

Max leżał na kanapie w salonie i przez pół nocy przewracał się z boku na bok. Nie mógł zasnąć. Wsłuchiwał się w szum deszczu ze oknem i uderzenia kropel o szyby. W tle rozbrzmiewała muzyka ze stereo. W końcu udało mu się zasnąć. Potem znowu się obudził i pobiegł do sypialni. Tam do niego dotarło, że wszystko, co się wydarzyło, nie jest snem. Na widok pustego łóżka rozplakał się. Znowu nie mógł zasnąć. Wrócił do salonu i położył się na kanapie. Przez długi czas wsłuchiwał się w porywy wiatru. O świcie z ulicy zaczęły dobiegać inne odgłosy: śmieciarka, doręczyciele gazet. W końcu jakoś zasnął, a gdy się obudził, było już przedpołudnie.

Wszyscy, którzy gdzieś pracują, już dawno wyszli z domu. Spuścili wodę w toalecie, zalali kawę wrzącą wodą, zjedli śniadanie. Słyszał, jak jakaś para się kłóci. Dzieci przestały płakać. W całym budynku panowała cisza, hałas dobiegał teraz z zewnątrz.

Nasypał do ekspresu kawy na dwie filiżanki. Musi być mocna.

Od kiedy Annie zaginęła, nie robił zakupów. Wszystko, co jest w domu, kupiła ona. Dotykała każdego przedmiotu, o wszystko dbała, niedługo i to się skończy. Ona szła po zakupy, on sprzątał. On robił pranie, ona prasowała. Do końca życia będzie już chodził głodny, w pomiętym ubraniu.

• • •

Wyszedł na ulicę i od razu poczuł chłód. Wciągnął głęboko powietrze przez nos i duża dawka tlenu uderzyła mu do głowy. Zimna jak metal krew popłynęła szybciej. Resztki snu pierzchły, ale czuł się tak, jakby ktoś obudził go pchnięciem noża w brzuch. Zapiął kurtkę, szczelniej owinął szyję szalikiem i ruszył w stronę metra. Nie miał pojęcia, o której godzinie prostytutki wychodzą na ulicę, ale postanowił czekać aż do skutku.

Pięć godzin później był już porządnie przemarznięty. Policzki szczypały go od mrozu i wydawało się, że skarpety przesiąkły mu moczem, w który kilka razy wdepnął. Ubranie jakby przeszło jego zapachem. Obserwował ludzi i miał wrażenie, że ich cuchnące śliną głosy okrywają go niczym powłoka. Ich nienawiść wdarła się do jego ust jak jakiś kwaśny smak. Mężczyzna ze szramą przez pół twarzy wziął go za tajniaka. Inny na niego nakrzyczał. Oskarżał go, że jest gwałcicielem, i próbował mu złamać parasol na głowie. Gdyby akurat nie przechodził tamtędy Faraon, brat C., pewnie Max trafiłby do szpitala, zanim spotkałby Sonję. Faraon starał się uspokoić potężnego faceta o imieniu Teddy, który szedł w towarzystwie dziewczyny z parasolką, i przekonywał go, że Max to „swoją człowieka”.

Max już chciał zrezygnować, gdy dostrzegł kobietę w blond peruce. Oznajmiła, że wie, gdzie znaleźć Sonję, i obiecała go tam

zabrać za drobną opłatą.

• • •

— Coś mi postawisz — powiedziała Sonja. — Stracę zarobek, jak będę z tobą za długo rozmawiać. Lubię Annie, ale wiesz, jak jest. Więc coś mi postaw. Najlepiej piwo albo dwa.

Sonja wypila duży łyk piwa, zapaliła papierosa i poczęstowała go. Max pokręcił głową.

— Twoja strata — rzuciła. Zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym nad stołem.

Max dopił swoje piwo i zamówił jeszcze dwa.

— Tropcy policji nie mają nic wspólnego z prawdą — zaczęła, gdy kelnerka przyniosła im piwo i odeszła. — A ja nie mam nic wspólnego z zaginięciem Annie, choć policja myśli inaczej. Postanowiłem więc odnaleźć ją sam. Z tobą też rozmawiała. Poświęciła mnóstwo czasu, żeby pomóc dziewczynom, które są w takiej sytuacji jak ty. Teraz, gdy zaginęła, to ja potrzebuję twojej pomocy.

— Nie wiem, czy o tym słyszałeś, ale dla Sissi, która też z nią rozmawiała, skończyło się to fatalnie.

— Nie wiem, co się z nią stało, i wcale nie chcę, żebyś wystąpiła w roli świadka. Chcę tylko usłyszeć, o czym opowiedziałaś Annie. Inaczej tego wszystkiego nie zrozumie.

— Annie też tak mówiła. Że nie mamy się czego bać, żebyśmy się nie martwiły — odparła Sonja. Zwilżyła językiem suche wargi i Max zobaczył, że ma zniszczone zęby. — Nikomu nie ufam i lepiej o tym pamiętaj. Wystarczy, że tu z tobą siedzę i rozmawiam, i ktoś może pomyśleć, że jesteś gliną, a ja zaczęłam sypać.

— Rozumiem. Jeśli się nie mylę, Annie pracowała nad tekstem, w którym chciała opisać waszych klientów. Chcę usłyszeć, kim są, jak się nazywają i gdzie ich znaleźć.

Sonja spojrzała na niego i napiła się piwa.

— Proszę cię.

Wstała szybko od stołu, wzięła torebkę i wyszła do toalety. Wróciła po dziesięciu minutach i poprosiła o kolejne piwo. Max zamówił dwa piwa i dwie szklanki whisky.

— Masz pięć minut — oświadczyła Sonja. — Powiem, co wiem, wypiję piwo, wyjdę stąd i nigdy więcej się nie spotkamy. Kapujesz?

Max skinął głową.

— Nie słyszę!

— Kapuję.

Sonja pochyliła się nad stołem.

— Na początku nie brałam w tym udziału. Potem tak, ale miałam problemy z narkotykami, a oni nie chcą takich dziewczyn. To te same gnoje, które robią takie rzeczy od lat siedemdziesiątych. Co jakiś czas dołącza do nich ktoś nowy, co jakiś czas któryś z nich umiera, ale to w zasadzie ci sami ludzie. Bogacze, którzy się nie boją, że pójdą za kratki. Szychy z policji, sędziowie, ministrowie i cholera wie, kto jeszcze. Dlatego jak któraś z naszych zaczyna się skarżyć, nikt jej nie wierzy. Tak to wygląda. Nie mam ochoty brać udziału w żadnym cyrku i zeznawać, bo stracę wszystkich klientów. Pomyślą, że się spowiadam pierwszemu lepszemu, który ma ochotę mnie wysłuchać. Jedyłą przegraną będę ja. Dlatego nie powiedziałam Annie wszystkiego, bo od razu napisałaby o tym w gazecie,

a wtedy byłby klops.

Max nie bardzo wiedział, co miała na myśli, ale założył, że nic przyjemnego.

— Ale tobie powiem, bo ciebie nikt nie będzie słuchał.

— To znaczy kto?

— Ci, którzy słuchali Annie.

— Nie rozumiem.

— Policja chyba nie ma o tobie dobrego zdania. Niedawno dwóch tu przyszło. Pokazywali dziewczynom twoje zdjęcie i pytali, czy widziały cię w okolicy. Jakbyś był kolejnym pieprzonym gwałcicielem.

— Naprawdę?

Sonja roześmiała się głośno.

— A co ty sobie myślałeś? Że wszyscy ludzie to dobre duszki, które sobie pomagają? — Pokręciła głową i zgasła papierosa w popielniczce. Jej palce miały żółtobrązowy kolor. — Pewnie uznali, że jesteś gnojkiem, i teraz chcą to udowodnić. Ciekawe, co zrobiłeś, że się na ciebie uwzięli.

Zapaliła nowego papierosa i rozsiadła się na krześle.

— Teraz się nie dziwię, że tamci na ulicy mieli taką minę, jakby chcieli mnie załatwić.

— E, to tylko ćpuny i dilerzy. Ciesz się, że gliny o ciebie pytały, bo gdybym nie wiedziała, że jesteście po przeciwnych stronach, za cholerę bym z tobą nie gadała. Wiem, że nie wpakujesz mnie w tarapaty, bo i tak nikt ci nie uwierzy. Dlatego mogę ci powiedzieć o różnych rzeczach. Jest taki facet, nazywają go Papież.

— Papież?

— Ma różne ksywki, ale dziewczyny mówią na niego Papież.

— Jak naprawdę się nazywa?

— Kiedyś wiedziałam, ale zapomniałam. To bogaty dupek, elegant, ale to raczej jego rodzina jest bogata. Jakiś hrabia czy ktoś w tym rodzaju. W każdym razie wariat. Kiedyś zorganizowali elegancką imprezę i zamówili na nią tort, do którego wsadzili moją kumpelę, Witaminę. Miał przyjść król, ale nie wiem, czy przyszedł. O tym, czy przyjdzie, zawsze mówią nam wcześniej. Ale nie znam nikogo, kto by go tam widział. W każdym razie ci faceci organizują czasem imprezy, a wtedy zamawiają przez telefon grupę dziewczyn. Nie przyjeżdżają po nas od razu na ulicę, tylko najpierw dzwonią do burdelmamy. Ona wybiera dziewczyny i dopiero wtedy nas odbierają. Potem każą nam się przebrać w stroje kelnerek. My i tak wiemy, jak to się skończy. To takie jakby przedstawienie. Kiedyś zawieźli nas do mieszkania na Östermalmie, raz do willi w Djurgården, innym razem byliśmy w dawnym lokalu rozrywkowym na Blasieholmen.

— Co to za ludzie?

— Tacy, co mają władzę — odparła Sonja, patrząc na zegarek. Wypiła resztę piwa. — Robią to, co chcą, bo im wolno. O takich jak oni piszą gazety. Dzięki za piwo. Gdybym była na twoim miejscu, dałabym sobie z tym spokój, póki jeszcze żyję. Już mówiłam, to niezbyt miłe towarzystwo.

Sonja wstała z krzesła. Max spojrział na nią.

— Zresztą kim ja jestem, żeby udzielać ci rad? — powiedziała z uśmiechem. — Prostą dziewczyną z Årsty.

— Powiedz mi, co się stało z Sissi — poprosił Max, gdy Sonja

była już przy drzwiach.

Spojrzała na niego przeciągle i odparła z krzywym uśmiechem:

— Sissi się upiekło. Ale inne nie miały tyle szczęścia.

3

— Przejrzałem wszystkie wydruki, od pierwszej do ostatniej strony.

— Znalazłeś coś? — spytał Max. Zadzwoił do Patrika z budki telefonicznej przy Regeringsgatan. Miał tylko kilka monet i mnóstwo pytań. Obiecał, że o przesłuchaniu na policji opowie mu później.

— We wszystkich tekstach pojawia się to samo nazwisko, Johan Droth. A właściwie chodzi o rodzinę Drothów, bo oprócz ojca, Johana seniora, jest też jego syn, Johan junior. Ojciec od dawna nie żyje. Przejrzałem wszystkie artykuły, a potem wróciłem do tego, który dotyczy matki Annie. Znalazłem też artykuł o posiadłości, którą rodzina Drothów ma w Sörmlandzie. Nazywa się Töversta i leży koło Flen. Posiadłość spaliła się w tym samym dniu, w którym utonęła matka Annie. Annie na pewno ten artykuł widziała i w jakiś sposób powiązała ze sobą oba wydarzenia.

— Co jeszcze?

— Jest też sprawa klubów, o których pisała Annie. Niektóre są częścią sieci, ale wygląda na to, że Annie skupiła uwagę tylko na jednym z nich. Nazywa się Herrskapet. Znalazłem o nim kilkanaście artykułów, głównie w popołudniówkach. Okazuje się, że to klub nie dla kobiet. Mam też listę z nazwiskami członków, to same znane osoby. Johan Droth należy do klubu.

— Klub jest tajny? Jak zakon?

— Nie, to prywatny klub dla bogatych ludzi, którzy mają władzę. Miałem z niektórymi do czynienia służbowo. Nie sądzę, żeby każdy mógł tam wejść, ale kilka razy koło niego przechodziłem i nie zauważyłem w nim niczego szczególnego.

— Gdzie jest ten klub?

— Niedaleko hotelu Grand, na Blasieholmen.

— Blasieholmen?

— Tak.

— Blasieholmen. O cholera!

— Co takiego?

— Niedawno spotkałem się z dziewczyną, z którą wcześniej rozmawiała Annie. Ma na imię Sonja. Potwierdziła to, o czym Annie napisała w artykule: że jest grupa facetów, którzy zapraszają na swoje imprezy prostytutki, a one udają tam kelnerki. Twierdzi, że to się dzieje od lat siedemdziesiątych i że wszystkim kieruje jeden człowiek. Podobno byli na Blasieholmen. Powiedziała: „W dawnym lokalu rozrywkowym na Blasieholmen”.

— Cholera!

— Ciekawe, czy to właśnie jego szukała Annie — rzekł w zamyśleniu Max, opierając się o ścianę budki. — Johana Drotha.

— Chcesz powiedzieć, że to on jest winien śmierci prostytutek? Ale przecież on ma już prawie siedemdziesiąt lat!

— Tak, ale może są inni. W każdym razie Annie się nim interesowała, a ja chciałbym się dowiedzieć dlaczego.

— Co zamierzasz zrobić? — spytał niespokojnym głosem

Patrik, jakby czuł, że będą mieć problemy.

— Dowiedzieć się, czy go znalazła.

Patrik chciał zaproponować, żeby poprosić o pomoc policję, ale rozmowa została przerwana.

4

Koło wejścia do sklepu Nordiska Kompaniet stał mężczyzna oparty o ścianę. Kiedy Max przecinał Hamngatan, mężczyzna ruszył za nim drugą stroną ulicy. Na wysokości Kungsträdgården przeszedł na tę samą stronę, ale trzymał się w odległości dziesięciu, piętnastu metrów za nim. Kiedy Max zatrzymał się przy parku Berzeliusa, żeby porozmawiać z dwoma mężczyznami, tamten kucnął i udawał, że zawiązuje sznurowadła.

Max spytał ich o adres klubu i skręcił w prawo, w ulicę Arsenalsgatan, kierując się w stronę Blasieholmen. Zatrzymał się przed wejściem i w tej samej chwili ktoś położył mu ciężką dłoń na ramieniu.

— Szedłem za panem od samej Hamngatan — powiedział mężczyzna; Max poczuł silny zapach płynu po goleniu. — Chciałem sprawdzić, dokąd pan pójdzie. Obawiałem się najgorszego. Jak widać, moje obawy się potwierdziły.

Przed Maxem stał Henrik Olsson.

— Czy pan już całkiem stracił rozum? — spytał z zaciśniętymi zębami.

Szarpnął Maxa za ramię i odciągnął go od drzwi. Ten próbował się uwolnić, ale od razu poczuł, że adwokat jest od niego znacznie silniejszy. Puścił go dopiero wtedy, gdy znaleźli się dwadzieścia metrów dalej. Olsson zapalił papierosa, nie

częstując Maxa.

— Co pan sobie, do cholery, wyobraża? Przecież prosiłem, żeby nie stwarzał pan problemów. — Olsson chciał jeszcze coś dodać, ale rozmyślił się i pokręcił głową. — Podjąłem się tej sprawy i zobowiązałem się, że panu pomogę. Poświęcam na nią wiele czasu, ale pan mi tego nie ułatwia.

— Przepraszam.

Olsson się uśmiechnął. Uniósł lekko brwi.

— Ja nie chcę, żeby mnie pan przepraszał. Pan ma ze mną współpracować. Wkładam w tę sprawę sporo wysiłku. Chcę, żeby zakończyła się dla pana jak najlepiej.

Max chciał go znowu przeprosić, ale ugryzł się w język. Olsson zrobił krok w jego stronę i położył mu dłoń na ramieniu.

— Przykro mi, że na pana nakrzyczałem, ale muszę pana stąd zabrać, zanim drzwi się otworzą i ktoś stąd wyjdzie. Wszystko w porządku?

— Tak — odparł Max.

— To dobrze. Wie pan, co teraz zrobić?

— Mam sobie stąd pójść.

Olsson się roześmiał.

— Niech pan wraca do domu i nie rusza się z niego na krok, chyba że po mleko. Zadzwońię do pana. Proszę powiedzieć „tak” na znak, że pan mnie zrozumiał, albo nie mówić nic.

— Tak — odparł Max, rozkładając ręce.

— Świetnie. Tutaj w niczym pan sobie nie pomoże — powiedział Olsson, zapalając nowego papierosa. — Ani sobie, ani Annie. Niech pan już idzie. I proszę odbierać telefon, gdy zadzwonię.

Max ruszył przed siebie. Zastanawiał się, czy nie ma do powiedzenia czegoś mądrego, co sprawi, że będzie mógł wrócić pod klub. Niestety, nic takiego nie przychodziło mu do głowy. Odwrócił się, ale Olssona już tam nie było.

5

Jozak nawiązał kontakt wzrokowy z blondynką, która podeszła do ich stolika. Na ustach miała różową szminkę. Rozsiadł się na kanapie, napił piwa i rozejrzał po lokalu. Nie był zainteresowany tą kobietą ani żadną inną. Na razie.

— Może coś dla ciebie — powiedział do Olssona, bębniąc palcami po stole, a jednocześnie skinął głową na blondynkę. — Zapłaciłem też za twój nowy garnitur.

Olsson przyjrzał się kobiecie, popatrzył na Jozaka i uśmiechnął się.

— Wypiję jeszcze kawę, a potem zabiorę ją do domu. Dzięki za wiadomość.

Jozak się roześmiał, posłał uśmiech kobiecie i zapalił papierosa. Przed dwiema godzinami Avram i Ranko przyjechali po niego do domu i zabrali na umówione spotkanie z Olssonem. Najpierw podjedli, a teraz stolik uginał się od trunków.

Poprzedniego wieczoru była kolejna dostawa. Ich człowiek w urzędzie celnym w Trelleborgu dobrze się spisał, wszystko poszło znakomicie. Rano bez problemu odebrali towar w Västberdze. Pół kilograma brązowej heroiny, która zostanie rozcieńczona, przepakowana i wysłana dalej. Dostanie za nią siedemset pięćdziesiąt tysięcy. Wkrótce będzie obracał milionami. W ciągu ostatniego roku sprzedali ponad trzy kilogramy towaru, ale gdyby trochę spuścili z ceny, udałoby się

opchnąć więcej. Muszą jednak uważać, żeby nie popsuć rynku. Ściąganie pieniędzy idzie im całkiem dobrze, więc mogliby sobie pozwolić, żeby od czasu do czasu udzielić dilerom kredytu. Przecież nie sprzedają towaru ćpunom, tylko handlarzom, którzy odbierają go w jednym z jego lokali. Sprzedawcy to jego pośrednicy, kontaktują się z durniami, którzy kupują działki i dają sobie w żyłę. To liczna grupa i każdy chce dostać swoje, ale czasem warto zmniejszyć ryzyko. Towar, który kupili, jest w siedemdziesięciu pięciu procentach czysty. To świetna proporcja w odróżnieniu od gówna, które trafia na tutejszy rynek z Estonii. Mogą więc sobie pozwolić, żeby trochę „ochrzcić” towar, a i tak jego jakość będzie lepsza od tego, co oferują inni. Towar z Estonii jest czysty w około dziesięciu procentach, a przecież nawet ćpuny chcą mieć prochy dobrej jakości, bo za nie płacą. W następnym roku sprzeda dziesięć kilogramów. Musi znaleźć więcej lokali, w których będzie można prowadzić sprzedaż. Może jakieś pizzerie? Kiedyś zastanawiał się nawet nad pomysłem, aby towar w przystosowanych samochodach rozwozili kurierzy. Dogadał się z pewnym mechanikiem samochodowym, który obiecał, że przerobi je tak, że da się w nich ukryć narkotyki. Pieniądze, które ma w kasie, wykorzystana na zakup większej partii towaru i na pensje dla kurierów. Niektórzy z nich mają wobec niego długi, więc żeby je spłacić, będą musieli zgodzić się na jego propozycję.

To jego szansa. Nie miał nic przeciwko Olofowi Palmemu, ale jego śmierć miała jedną pozytywną stronę: w śledztwo włączyło się wielu policjantów, a ci z wydziału narkotykowego zajęli się śledzeniem Kurdów. Taki stan utrzymywał się przez kilka lat,

więc Jozak wykorzystał okazję i stworzył własną sieć sprzedaży. Kiedy odłożą trochę pieniędzy, będą mogli przejść do kolejnego etapu. Nowe pieniądze są już w drodze. Poprzedniego dnia spotkał się w kancelarii Olssona z Busterem Drothem. Poszło lepiej, niż się spodziewał.

— Możesz dostać od ręki dwa miliony — powiedział Buster. Uniósł dwa palce i spojrzał na Jozaka. — Jeśli wszystko pójdzie dobrze, porozmawiamy o naprawdę dużych pieniądzech.

— Jak dużych? — spytał Olsson.

— Na początek o dziesięciu milionach — odparł Buster. — W jednej racie. Może więcej. Później wszystko będzie zależało tylko od tego, ile Vitomir będzie mógł podjąć z zachowaniem umiarkowanego ryzyka.

Jego człowiek, który wypłacił pieniądze na Curaçao — a może w jakimś banku w Breganzonie — przewiózł je po prostu w sportowych torbach. Człowiek Jozaka odbył podróż w odwrotnym kierunku. Może spotkali się gdzieś w pół drogi?

— A co to jest umiarkowane ryzyko?

— Chodzi o to, żeby żaden ślad nie doprowadził do mnie, gdyby coś poszło nie tak. Wiem, do czego są ci potrzebne pieniądze, ale nie chcę znać szczegółów.

— Ja nie wysyłam wszystkim liścików o tym, co robię. Sam podejmuję ryzyko, żeby produkt trafił we właściwe miejsce. Kiedy sprzedamy towar, podzielimy się pieniędzmi.

Musi wynegocjować z Bożkiem wielkość dostaw i zaproponować mu coś w zamian. Wtedy Bożko dopilnuje, żeby mieli zielone światło na wywóz towaru z Macedonii.

— Jaki będzie mój zysk za każdy zainwestowany milion? —

spytał Buster.

Jozak spojrział na Olssona, a ten odpowiedział:

— Przynajmniej potrójny.

Buster skinął głową.

— A jeśli coś pójdzie nie tak?

— Pieniądze przepadną — odparł Jozak. — I twoje, i moje. Wkładam w ten interes tyle samo co ty, więc się postaram, żeby wszystko poszło jak należy.

— Gdzie dostarczyć pieniądze?

— Ranko do ciebie zadzwoni i powie.

Buster podał mu rękę.

— Wspólniku.

• • •

— Zanim się nawalimy, pogadajmy jeszcze o dwóch sprawach — powiedział Olsson, pochylając się w stronę Jozaka; ten wyczuł zapach koniaku bijący z jego ust. — Spłaciłem Kennetha, tak jak prosiłeś. Pytał, czy istnieje możliwość zainwestowania większej kasy.

— I co mu odpowiedziałeś?

— Że na razie nie.

— Dobrze. Ale dawaj mu nadzieję. Nigdy nie wiadomo.

— Zrozumiano. A druga sprawa...

Olssonowi przerwała dziewczyna z pomalowanymi na różowo ustami. Stała za nim, pochyliła się i szepnęła mu coś do ucha. Olsson wysłuchał jej, a potem zajrzał jej w dekolt. Wokół jego stolika zaczęli się gromadzić różni ludzie: dziewczyny, które liczyły na drinka, i mężczyźni, którzy chcieli uścisnąć mu dłoń. W innych okolicznościach Vitomir kazałby im zostawić go

w spokoju, ale dzisiaj był w dobrym humorze.

Ranko wrócił z toalety. Usiadł przy stoliku i sięgnął po szklankę, żeby wznieść toast. To samo zrobili Jozak i Avram. Ranko i Avram wdali się w ożywioną dyskusję i na koniec przybili piątkę. Jozak spojrział na Olssona, który siedział odchylony i rozmawiał z dziewczyną. Nie słyszał o czym, ale uśmiechnął się na ten widok. Kiedyś będzie rządził tym miastem. Całym tym brudnym interesem. Całym krajem. Będzie potężniejszy niż McDonald's.

— Posłuchaj — powiedział, kładąc dłoń na ramieniu Olssona.

Ten spojrział na niego i dał znak dziewczynie, żeby ich na chwilę zostawiła.

— Tak?

— Ta druga sprawa... o co chodzi?

— Chciałbym cię poprosić o drobną przysługę — odparł Olsson. — Mam klienta, który sam nie wie, czego chce, i ciągle wpada w kłopoty, a wtedy i ja mam kłopoty. Obiecał, że zachowa spokój i będzie siedział w domu, ale podejrzewam, że sobie z tym nie poradzi. Potrzebuję kogoś, kto przez dwa dni będzie za nim chodził. To nic szczególnego. Niech ktoś za nim pojeździ i jak zauważy, że facet chce zrobić coś głupiego, niech do mnie zadzwoni.

— Nic więcej? Ma za nim tylko chodzić?

— Zależy mi jedynie na tym, żeby nie narobił kłopotów — odparł Olsson, wzruszając ramionami. — Inaczej nie wygram w sądzie, jeśli dojdzie do rozprawy. Poza tym mam też własny interes w tym, żeby nie stwarzał problemów. No to jak, pomożesz mi?

Jozak skinął głową.

— Ranko! — zawołał do brata przez stół. — Dopij. Masz robotę.

• • •

Kiedy następnego dnia Jozak wszedł do toalety i przejrzał się w lustrze, uznał, że wygląda na bardziej przemęczonego niż zwykle. Był też brzydszy niż dawniej. Sikanie sprawiało mu większy ból. To prawda, długo pili, ale była też inna przyczyna. Ostatnio wiele się zdarzyło i właśnie dlatego wczoraj wypił więcej niż zwykle. Było mu to po prostu potrzebne. Wydawało mu się, że jego wargi zgrubiały. Spod rozpiętej koszuli wydobywał się taki zapach, jakby nocował w obcym łóżku i zapomniał iść pod prysznic. To był naprawdę przyjemny wieczór, który niepostrzeżenie przeszedł w dzień. Za każdym razem, kiedy jest pijany, czuje się gruby. To dziwne, ale zawsze myśli wtedy o swojej poprzedniej tożsamości. Zaczyna się zastanawiać, czy dziś poradziłby sobie z rzeczami, które robił wtedy. Na przykład w Stuttgarcie, gdy przez długi czas czekał na zimnie, aby zastrzelić Albańczyka, który założył Ruch Narodowy na rzecz Wyzwolenia Kosowa. Był wtedy sprawny jak tygrys. A dzisiaj? Zaprzętają go całkiem bezsensowne myśli. Tamten Albańczyk nie żyje, a on ma kaca. Niestety, nie udaje mu się odpędzić od siebie takich myśli. Łzy, huk wystrzałów, pękająca skóra, roztrzaskane czaszki, połamane zęby i bezskuteczne modlitwy. Wykonywał zadanie. Niektórzy prosili, żeby po prostu strzelił. Jednak większość prosiła o życie. „Rozumiesz, w co się pakujesz?”, spytał, gdy przed kilku laty Ranko powiedział, że chce z nim pracować. „Ci, którym odbierzesz życie, już zawsze

będą cię prześladować. Popatrz na mnie. Idzie za mną cały pochód trupów. Pieprzone upiory z fryzurami z lat siedemdziesiątych”.

W tym momencie zadzwonił telefon. Jozak wyszedł do przedpokoju i odebrał.

— Nic się nie dzieje — usłyszał w słuchawce głos Ranka. — Facet nadal jest w swoim mieszkaniu. Jak długo mam czekać?

— Aż wyjdzie na ulicę. Idź za nim i zadzwoń, jeśli uznasz, że dzieje się coś dziwnego.

— A dlaczego go śledzimy? Kto to jest?

— Jakiś palant, który nie potrafi zadbać o swoje sprawy. Robimy przysługę Olssonowi. Dzięki temu on też będzie nam winien przysługę. Tak myślę.

— To chyba najnudniejsza robota, jaką do tej pory miałem.

Gównu spływa zawsze w dół, a ty jesteś na samym dole, pomyślał Jozak, a głośno powiedział:

— Nie marudź. Nigdy nie wiadomo, co na końcu okaże się ważne.

Echa dawnych wydarzeń

— Z kim rozmawiam?

— Tu Max Lander. A kto mówi?

— Nazywam się Sture Hult. Zna pan moje nazwisko?

— Tak — odrzekł Max. Sam nie wiedział, czy się bać, czy okazać złość. — Usłyszałem je od policji, ale oni twierdzą, że pan nie istnieje.

— Jak pan widzi, istnieję. Wiem, że mieszka pan na Södermalmie. Może spotkamy się za kwadrans na Medborgarplatsen? Przed hotelem Malmen?

— Dobrze — zgodził się Max. — Jak pana rozpoznam?

— Podejdę do pana — odparł Hult i się rozłączył.

• • •

Hult podał mu rękę.

— Pan Lander? — spytał.

— Tak.

— Dzień dobry — powiedział Hult i mocno potrząsnął ręką Maxa. Okazało się, że jest niski, ma siwe włosy i wypielegnowaną bródkę. Patrzył na Maxa spod przymrużonych powiek. — Sture Hult. To moje prawdziwe imię i nazwisko. Zapewniam. Nie okłamałbym kogoś, komu podaję rękę. Policjanci to głąby. Po ślubie przyjąłem nazwisko żony, Ericsson. Miałem swoje

powody. Kiedy zmarła, wróciłem do dawnego nazwiska, ale policji musiało to umknąć. I niech tak zostanie. Umówiłem się z Annie, że kiedy się spotkamy, wszystko jej opowiem.

Max z trudem powstrzymywał łzy. Annie jest tak daleko. Tak strasznie daleko.

— Organizm podpowiada mi, że czas na kawę — powiedział Hult. — Może pójdziemy do kawiarni?

— Oczywiście. Znam jedną, za rogiem.

To przecież ich dzielnica, jego i Annie. Ostatnio bał się, że przyjdzie taki czas, że to będzie już tylko jego dzielnica.

Kiedy kelnerka przyniosła im kawę i ciastka, Hult zaczął opowiadać, jak trafił na artykuł Annie pod tytułem *Jawność ich jedynym świadkiem*. Po lekturze skojarzył, że autorka jest córką Karin, tą dziewczynką, która po śmierci matki trafiła do rodziny zastępczej. To, że w ogóle zauważył artykuł, uznał za niezwykle zbieg okoliczności. Dlatego nawet się nie wahał i od razu do niej zadzwonił. Annie wypytywała go o szczegóły, a on dał jej do zrozumienia, że wie, kto zamordował jej matkę.

— Zamordował? — zdziwił się Max. — Myślałem, że popełniła samobójstwo. Że się utopiła.

— Zamordowali ją — odparł Hult, kręcąc głową. — Z nieznaney mi przyczyny. Dom, w którym zginęła, podpalono, żeby zniszczyć dowody. Jej zwłoki porzucono przy jeziorze Båven, żeby wyglądało na to, że się utopiła. Policja dopiero po dłuższym czasie ustaliła, że to było zabójstwo, ale niezbyt się wysiliła, żeby znaleźć winnego.

— Ale dlaczego ktoś miałby ją zabić?

Hult wzruszył ramionami.

— Z zazdrości, z miłości albo po prostu ze względów praktycznych. Nie miałem okazji spytać o to sprawcy.

— Pan wie, kto to zrobił?

— Wiem, kto był właścicielem posiadłości. Moim zdaniem to właśnie tam Karin została zamordowana.

— Ma pan na myśli rodzinę Drothów?

Hult spojrział na Maxa wielkimi oczami.

— Wiem o tym z artykułu, który Annie czytała w Bibliotece Królewskiej — wyjaśnił Max. — Opublikowano go po śmierci jej matki.

— Rodzina Drothów — powtórzył Hult i skinął głową. — Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego u nich mieszkała.

— Ale dlaczego ktoś taki jak Johan Droth miałby zabić matkę Annie?

— Zadzwoiłem do niej właśnie po to, żeby jej o tym opowiedzieć. Myślę, że Johan Droth jest biologicznym ojcem Annie. Był wtedy żonaty. Bał się, że wyjdzie na jaw, że ma kochankę, która była z nim w ciąży, a potem urodziła dziecko. Może dlatego musiała zniknąć. Annie była wtedy zbyt mała, żeby cokolwiek zapamiętać. Potem umieszczono ją w rodzinie zastępczej, aby nigdy nie dowiedziała się o swoim pochodzeniu.

Max napił się trochę wody. Nabrał ochoty na szklaneczkę ginu.

— Niech mi pan wybaczy, ale to dla mnie trochę za dużo — powiedział. — Opowiedział pan o tym wszystkim Annie?

— Nie zdążyłem. Myślałem, że mamy więcej czasu. Umówiliśmy się na spotkanie, a gdy nie przyszła, zadzwoniłem do państwa domu. Potem przeczytałem w gazecie, że zaginęła.

Dzwoniłem do niej jeszcze kilka razy, ale bez powodzenia.

— Dlaczego nie skontaktował się pan z policją?

— Ktoś z policji mataczy, ale nie wiem kto. Nikomu tam nie ufam.

Max przypomniał sobie minę Munkenberga, który go przekonywał, że żaden Sture Hult nie istnieje. Zastanawiał się, co zrobić. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Annie o niczym mu nie powiedziała.

— Zacznijmy od początku — rzekł. Bardzo żałował, że nie ma z nim Patrika. — Którego dnia zadzwonił pan do Annie?

— W piątek. Jutro upłynie tydzień. Zadzwoniłem do niej po południu i umówiliśmy się na spotkanie w weekend, bo i tak wybierałem się do Sztokholmu, żeby odwiedzić córkę. Potem zostałem u niej trochę dłużej.

— W rozmowie telefonicznej wyjawiał jej pan, że jej matka nie popełniła samobójstwa, tylko została zamordowana?

— Ona już o tym wiedziała.

Max poczuł kłucie w piersiach.

— Ale opowiedziałem jej o szczegółach tej historii, na przykład o tym, jak znaleziono jej matkę. I o zaniedbaniach w śledztwie. Chciałem jej dać do zrozumienia, że zabójcą mógł być jej biologiczny ojciec.

— Rozumiem — odparł Max i głośno przełknął ślinę. — Annie pewnie poszła do Biblioteki Królewskiej, żeby sprawdzić, czy pana informacje są prawdziwe. Miała nadzieję, że się czegoś dowie ze starych gazet.

— To ma sens.

— Wiem, że przeglądała gazetę, która ukazała się tydzień po

śmierci Karin. Dowiedziała się z niej, gdzie znaleziono zwłoki i o pożarze w posiadłości Drotha.

— To też brzmi sensownie.

— Co zrobiła potem?

— Tego nie wiem — odparł z naciskiem Hult. — Niech pan się nad tym zastanowi, a ja pójdę do toalety.

Hult wstał z krzesła i skierował się w stronę zaplecza kawiarni.

Nagle go olśniło. Johan Droth był na liście Annie, zanim zadzwonił do niej Hult. Podejrzewała, że Droth uczestniczy w imprezach z prostytutkami. Po wizycie w bibliotece dodała dwa do dwóch, pamiętając o tym, co opowiedział jej przez telefon Hult. Domyśliła się, kto jest jej ojcem, i zrozumiała, że zabójca jej matki i mężczyzna, którego obserwowowała przed klubem, to ta sama osoba. Co za nieprawdopodobny zbieg okoliczności! Kiedy wychodziła z biblioteki, musiała być zszokowana.

Max podszedł do kasy.

— Czy można tu skorzystać z telefonu? — spytał.

— Niestety — odparła dziewczyna za ladą. Zrobiła przy tym krok do tyłu, żeby zasłonić aparat wiszący na ścianie.

— To ważne — powiedział z naciskiem Max.

Dziewczyna patrzyła na niego w milczeniu.

Max spojrzął na drzwi toalety, na stół z filiżankami i na zegarek. Do czego jest mu potrzebny Sture Hult? Jest mu wdzięczny za przekazane informacje, ale ten człowiek w niczym więcej mu nie pomoże.

— Przyszedłem tu ze starszym mężczyzną — powiedział. — Jest teraz w toalecie. Kiedy wyjdzie, proszę mu przekazać, że

skontaktuję się z nim później. Muszę znaleźć telefon i zadzwonić.

Dziewczyna skinęła głową i spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby trochę żałowała, że nie udostępniła mu telefonu.

— Proszę mu ode mnie podziękować.

• • •

Ledwie Olsson wszedł do biura, zadzwonił telefon. Przez chwilę mu się przyglądał, ale w końcu postanowił nie odbierać. Nie ma teraz ani czasu, ani ochoty na rozmowy. Chciał tylko iść do łóżka z dziewczyną, którą przyprowadził do swojego biura.

• • •

Max podszedł do samochodu zaparkowanego przed domem. Olsson nie odbierał, więc postanowił zignorować to, co mu obiecał. W takiej sytuacji musiał działać. Był absolutnie pewien, że wie, co Annie zrobiła, gdy zrozumiała, na kogo poluje. Wydaje się logiczne, że pojechała tam, gdzie wszystko się zaczęło. Do posiadłości Töversta.

CZĘŚĆ CZWARTA

Piątek 20 października — wtorek 31 października 1989 roku

Październik 1959 roku

Siedział przy kuchennym stole, pił kawę i czytał gazetę. Gazety docierają tu dopiero w porze obiadowej, a nawet później. Nasłuchiwał odgłosów dochodzących z piętra domu. Znowu zaczęła myszkować. Pokłócili się i dobrze wiedział, czego szuka, ale wszystko, co nie powinno trafić w jej ręce, schował w ukrytym pokoju. Jeśli spróbuje tam wejść, zapali się lampka w kuchni. Kazał zrobić połączenie, które w razie czego zadziała jak alarm.

Już setki razy prowadzili podobne rozmowy. Za każdym razem żąda, żeby się z nią ożenił, bo nie chce, żeby ich córka dorastała jako nieślubne dziecko. Niestety, ludzie z jego sfery się nie rozwodzą. Często zdradzał żonę, ale po raz pierwszy się zdarzyło, że kochanka zaszła w ciążę. Od początku się o nią troszczył, ale ona żąda od niego czegoś, czego nie może jej dać.

Podczas gorączkowej dyskusji poprzedniego wieczoru zagroziła mu, że o wszystkim opowie. Wyjawi ludziom, że słynny finansista Johan Droth ma dziecko i że zadawał się z kobietą, która kiedyś pracowała jako robotnica w fabryce. Wie też o innych jego sprawkach. Ostatnio próbowała znaleźć przeciwko niemu dowody i zaczęła przeglądać jego dokumenty. Zdaje sobie sprawę, że same jej słowa nie będą nic warte, jeśli on im

zaprzeczy. Jak on to powiedział? „Jak myślisz, komu wszyscy uwierzą? Tobie czy mnie?”

Usłyszał jej kroki na schodach. Pewnie dziewczynka się obudziła i jest głodna. Musi z tym skończyć. Karin nie może zniszczyć mu kariery. Jej marzenie o życiu w posiadłości się nie spełni. Musi jej to dobitnie uświadomić.

• • •

Kiedy tamtego popołudnia Karin zeszła do kuchni, sytuacja od razu wymknęła się spod kontroli. Zaczęła wykrzykiwać i mu grozić, że jeśli nie uzna ich córki, opowie o wszystkim znajomemu dziennikarzowi. Wtedy on wpadł we wściekłość i ją odepchnął.

Karin upadła tak nieszczęśliwie, że uderzyła głową o żelazny piecyk. Dziewczynka zaczęła krzyczeć jak szalona. Wściekłość go zaślepiała. Zaczął bić Karin bez opamiętania, a gdy otrzeźwiał, okazało się, że ona nie żyje. Zawłókł ją nad jezioro, żeby wszyscy pomyśleli, że doszło do nieszczęśliwego wypadku i Karin się utopiła. Wrócił do domu, wyprowadził sparaliżowaną strachem dziewczynkę na dwór i podłożył ogień, żeby zatrzeć ślady. Kiedy zjawily się straż i policja, za wszystko obwinił Karin. Zeznał, że to ona podpaliła dom, a potem pobiegła nad jezioro; bała się, że chce ją opuścić, i straciła rozum. Z początku policja nie uwierzyła w jego wersję, ale dzięki znajomościom doprowadził do umorzenia śledztwa z braku dowodów. Dziewczynkę umieszczono w rodzinie zastępczej, a on po pewnym czasie przestał myśleć o całym zdarzeniu. Teraz sprawa wróciła jak koszmarne wspomnienie.

Kiedy niedawno pojawiła się przed klubem, od razu ją poznał.

Była łudząco podobna do matki. Wsiadł do samochodu i kazał Hellstenowi sprawdzić, co tam robiła. Odpowiedź nie brzmiała zbyt optymistycznie.

Nie pierwszy raz ktoś węszy wokół jego rodziny, szukając kompromitujących szczegółów. Tym razem jednak robi to jego własna córka.

Przeszłość nagle go dopadła. Będzie musiał błyskawicznie zaprowadzić w swoim życiu porządek. Pojedzie na południe. Jeśli jest w życiu spotkanie najbardziej rozstrzygające, to właśnie ku niemu zmierzał.

Krew i tajemnice

1

Jozak zapalił pierwszego papierosa z drugiej tego dnia paczki. Dochodziła czwarta. Barman postawił przed nim zimne piwo i butelkę wody mineralnej. Jozak zaczął od piwa. Obiadu jeszcze nie jadł. Pochylił się nad stolikiem i ukrył twarz w dłoniach. Miał trudności z zaśnięciem. Zawsze tak jest, gdy czeka na nową dostawę, i za każdym razem ma nadzieję, że w końcu zaśnie. Kiedy stał w magazynie i obserwował, jak jego ludzie rozładowują ciężarówkę, puls nawet mu nie przyśpieszył. Był całkiem spokojny, jakby po prostu mył zęby w łazience, ale i tak odczuwał zmęczenie. Napił się piwa i zapalił kolejnego papierosa. Pieprzony kraj, prawie całą dobę jest tu ciemno. Przyjmie jeszcze kilka dostaw i wyjedzie za granicę, żeby wygrzać się w słońcu. Może do Tajlandii? Słyszał, że to modny kierunek. Albo do Afryki Południowej. Na pewno tu nie zostanie. Ma też rodzinę w Ameryce. Może ją odwiedzi?

— Vito, telefon! — zawołał barman, podając mu słuchawkę. — Dzwoni Ranko.

Jozak podniósł się z krzesła i nagle zakręciło mu się w głowie. Wypije jeszcze jedno piwo i od razu poczuje się lepiej.

— Otwórz mi następną butelkę — powiedział do barmana, biorąc od niego słuchawkę. — Ranko? Co się dzieje?

— Nasz facet jest w drodze.

— Dokąd?

— Pił kawę z jakimś gościem na Folkungagatan, a teraz jedzie samochodem.

— Z jakim gościem?

— Nie wiem. Nie znam go.

— I gdzie teraz jest?

— Na Hornsgatan. Chyba wybiera się na południe.

— Dzwoniłeś do Olssona?

— Tak, ale nie odbiera.

— Spróbuj znowu. Jedź za facetem, aż się zatrzyma, i wtedy znowu do mnie zadzwoń.

2

Na zakrętach reflektory oświetlały pnie drzew rosnących wzdłuż pobocza wąskiej drogi. Za każdym razem Max odnosił wrażenie, że jest obserwowany. Za oknem szumiał wiatr. Spoconymi dłońmi trzymał kierownicę. Skupił uwagę na drodze i starał się ignorować otaczającą go ciemność.

Zjechał na stację benzynową. Oprócz niego i mężczyzny w średnim wieku, który tankował samochód, nikogo tam nie było. Wsiadł z wozu i rozejrzał się. Świat nadal wyglądał normalnie. Pachniało tu tak, jak powinno pachnieć na niewielkiej stacji benzynowej, na której jest też kiosk z kiełbaskami. Wszędzie panowała całkowita cisza. I właśnie to go przerażało.

Mężczyzna okazał się pomocny: wytarł do sucha pokrywę

silnika, wyjął mapę i pokazał, jak w dwie minuty dojechać do posiadłości Töversta. Spytał jeszcze, po co Max jedzie do takiej zapadłej dziury. Max odparł, że chce odwiedzić znajomego.

Posiadłość leżała dwieście metrów od lokalnej drogi, kilometr od krajowej. Przed werandą rozciągał się piaszczysty plac. Max zatrzymał się przy wjeździe. Wyłączył silnik i przez chwilę siedział bez ruchu. W mieście nigdy nie jest tak ciemno. Domyślił się, że jezioro znajduje się dwieście metrów za zabudowaniami. W połowie odległości między domem a jeziorem stał niewielki domek. Widać go było tylko dlatego, że w przedpokoju paliło się światło.

Oparł brodę o kierownicę. Jeszcze może się wycofać, wrócić do domu i zostawić sprawę policji. Jeśli drzwi otworzy Johan Droth, będzie to oznaczało, że stoi przed nim morderca. Musi wtedy zachować zimną krew. Działać ostrożnie. Uważać na siebie. Nie mieć wątpliwości. Być w gotowości do działania. To wszystko dla dobra Annie. Jeszcze raz przemyślał swoje entré. Zapuka do drzwi, spyta o Johana Drotha, a gdy się okaże, że to on, spyta go wprost, co wie o matce Annie. Wszystko się rozstrzygnie w ciągu kilku następnych sekund. To właśnie tu i teraz musi się w nim dokonać przemiana. Musi na powrót stać się takim mężczyzną, jakim był w wieku dwudziestu lat, gdy jeszcze wierzył, że już na zawsze nim pozostanie.

Wyjął kluczyk ze stacyjki i otworzył drzwi. Właściwie w takim miejscu nie ma potrzeby ich zamykać. Musi jednak zachować ostrożność. Wyjął portfel, pęk kluczy do mieszkania i klubu i położył wszystko na fotelu pasażera. Potem wysiadł z samochodu i zamknął drzwi na klucz. Zastanawiał się, czy nie

schować kluczyka pod samochodem albo na którymś z kół, ale w końcu uznał, że najlepszą kryjówką będą jego własne majtki. Dopiero teraz ruszył w stronę drzwi. W jednym z okien we wschodnim skrzydle paliło się światło. Zasuwał kurtkę. Zdążył wejść na pierwszy stopień, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich mężczyzna.

• • •

Mógł mieć nie więcej niż pięćdziesiąt kilka lat. Z brązowych, zbyt luźnych spodni z manchesteru wystawała mu koszula w ciemną kratę. Mężczyzna spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

— Czym mogę służyć? — spytał po chwili milczenia.

— Szukam Johana Drotha. Rozumiem, że to jego dom?

Mężczyzna odpowiedział dopiero po chwili.

— I tak, i nie. — Uśmiechnął się. — Myślałem, że to właśnie on się zjawił. Nie ma szans, żeby ktoś tu podjechał niezauważony. — Podał Maxowi rękę i przedstawił się: — Mam na imię Göran.

Max uścisnął jego ciepłą dłoń.

— Max.

— Wynajmuję ten dom — wyjaśnił Göran. — Może pan zauważył ten drugi domek, bliżej jeziora? Przenoszę się tam na czas, gdy Johan zjeżdża tu na weekend. Za to w ciągu tygodnia mieszkam tutaj jak prawdziwy król i dbam o dom.

— Pan Droth przyjeżdża tu w każdy weekend?

— Tylko wtedy, kiedy ma czas i ochotę. Wiem, że w ten weekend się tu wybiera. Jeśli pan chce, może pan wejść i na niego poczekać.

Göran się odsunął i wskazał ręką hol.

— Myślę, że zrobię sobie małą przejażdżkę — powiedział Max, wycofując się. — Wrócę później.

— Jak pan woli — odparł Göran.

Max odwrócił się i spojrzał w ciemność. Przednią szybę samochodu pokrywała warstwa wilgoci. Göran nadal stał w drzwiach. Max poczuł falę ciepła bijącą z wnętrza domu. W końcu się odwrócił.

— Wie pan co? Chyba jednak przyjmę zaproszenie.

Göran się uśmiechnął.

— Cieszę się. Właśnie przyniosłem z piwnicy butelkę dobrej whisky. Pija pan whisky?

Max pomyślał, że wprawdzie jest samochodem, ale ryzyka nie ma, bo to jakaś zapadła dziura.

— Tak — odparł. — Piję whisky.

Powiesił kurtkę na wieszaku i wszedł do dużej kuchni przylegającej do holu. Göran wyszedł mu naprzeciw z dwiema szklankami. Podał Maxowi jedną i przeszedł przez kuchnię do mniejszego pokoju z dwiema kanapami i kominkiem, na którym od niedawna płonął ogień.

— To oban, leżakowałem w magazynie na szkockim wybrzeżu przez czternaście lat — powiedział Göran, unosząc szklankę.

Max popatrzył pod światło na swoją i powąchał napój.

— Na zdrowie — powiedział Göran. — Witam w Töversta.

Tręcili się szklankami i wypili. Mocny trunek i ciepło bijące z kominka sprawiły, że Max po raz pierwszy od dawna poczuł się swojsko.

— Zapomniałem spytać, skąd pan zna Johana — odezwał się Göran.

— Znam to za dużo powiedziane. Muszę go o coś zapytać.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego. — Göran uniósł brwi.

— Nie wiem — odrzekł Max. — Może pan czytał w gazecie o zaginionej dziennikarce? Ze Sztokholmu?

Göran skrzywił się i pokręcił głową, jakby się zawstydził.

— Tutaj na prowincji nie czyta się gazet — odparł.

Max skinął głową.

— To moja żona. Sądzę, że przed zaginięciem kontaktowała się z panem Drothem. Chcę go o to zapytać. Może się czegoś dowiem.

— To straszne! — zawołał Göran, odstawiając pustą szklankę na stolik. — Czy zajmuje się tym policja?

— Tak, ale na razie chyba niczego nie mają. W każdym razie niczego się od nich nie dowiedziałem.

Göran skinął głową. Przez cały czas bębnił palcami po pustej szklance.

— Niech pan dopije, to naleję nam jeszcze po jednej. Przyjemniej będzie czekać.

Max wypił resztę trunku i podał mu szklankę ponad stolikiem. Göran wyszedł z pokoju.

Max popatrzył na żar na kominku. Twarz go paliła. Rozpiął jeden guzik koszuli. Ciepło, pomyślał. Nie powinien był pić whisky. Może w ogóle nie powinien tu przychodzić. Może popełnił błąd i najlepiej będzie, jeśli wsiądzie do samochodu i odjedzie? Oparł głowę o kanapę i nagle poczuł się bardzo zmęczony. Poczul kłucie w stawach. Spróbował się podnieść, ale stracił równowagę. Chwycił ręką za stolik, jednak był zbyt słaby, żeby się wesprzeć. Jego ramiona były miękkie jak wata.

Göran wrócił do pokoju i usiadł naprzeciwko niego na kanapie. Max uniósł głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Göran sączył alkohol i przyglądał mu się z uśmiechem, którego Max nie rozumiał. Nie wiedział nawet, ile czasu minęło.

— Muszę się przyznać — zaczął Göran, zakładając nogę na nogę — że nie byłem wobec pana szczery. Dopuściłem się trzech niewinnych kłamstw — powiedział, licząc na palcach. Odstawił szklankę na stolik i spojrzał na Maxa, który walczył ze sobą, żeby głowa mu nie opadła i żeby nie zsunął się na podłogę między stolik a kanapę. — Po pierwsze: znam tę zaginioną dziennikarkę. Nazywa się Annie Lander. Po drugie: wsypałem panu coś do szklanki; za chwilę pan zaśnie i przez pewien czas będzie smacznie spał. Wcześniej nie sprawdzałem, jak to działa, więc musiałem trochę improwizować. Nie spodziewałem się żadnej wizyty, zwłaszcza pańskiej. Po trzecie: Johana Drotha nie było tutaj od trzydziestu lat.

W tym samym momencie Max osunął się na podłogę. Zdążył jeszcze poczuć, jak kurz pokrywający dywan osiadł mu na twarzy, i chwilę potem stracił przytomność.

3

Pierwszego dnia Ranko siedział w samochodzie przed mieszkaniem Maxa sam. Żeby całkowicie nie odmrozić sobie tyłka, wypił mnóstwo kawy. Drugiego dnia zmusił Djordjego, żeby się do niego przyłączył. Po nim zjawił się jeszcze Avram. Przed samochodem leżało już ze sto niedopałków. A teraz marzną w lesie. Facet, którego obserwują, wszedł do jakiegoś domu.

— Odczekamy chwilę, a potem zadzwonimy do adwokata —

powiedział Avram.

— Może zagramy w karty? — zaproponował z tylnego siedzenia Djordje.

— Żadnego światła, idioto — odparł Ranko, patrząc w lusterko wsteczne.

Ranko otworzył i zamknął popielniczkę i zaczął bębnić palcami po desce rozdzielczej. Najpierw opowiedział o ostatniej dziewczynie, którą zaliczył przed wyjazdem z Belgradu, potem rozmawiali o tym, co się dzieje w ich rodzinnych stronach. Ani na chwilę nie spuszczały wzroku z domu. Nic się jednak nie działo.

Po czterdziestu pięciu minutach Ranko zadzwonił do Olssona.

4

Munkenberg siedział za biurkiem. Tak długo wpatrywał się w stos papierów, że w końcu rozboleły go oczy. Od dnia, w którym zaginęła Lander, minął tydzień. Wydawało mu się, że rozwiązanie tej sprawy jest proste: zabił ją mąż. Niestety, okazało się, że ma alibi. Rozmawiali z jego sąsiadami i jeden z nich zeznał, że Max puszczał głośno muzykę, więc poszedł do niego, zapukał do drzwi i poprosił go, aby trochę ściszył. Max posłuchał. Kiedy zaginiona wychodziła z biblioteki, jej mąż był w domu i słuchał jazzu. Głośniki huczały tak potężnie, że muzykę było słychać w całej kamienicy. Najwyraźniej nikt nie wie, dokąd poszła Annie Lander. Wyszła z biblioteki i ślad po niej zaginął. Był rozczarowany, że wszystkie jego starania okazały się bezowocne. Zaczął żałować, że podjął się tej sprawy.

Kiedy zegar na ścianie pokazał czwartą, Munkenberga rozboleł brzuch i musiał pędzić do toalety. Ból przypominał serię

wystrzałów, jak u rysunkowego kowboja. I gdy tak siedział na sedesie, po raz kolejny doznał olśnienia. Potem, gdy wracał samochodem do domu, zrozumiał, że kiedy inni policjanci „mają nosa”, on o sobie może powiedzieć, że „ma żołądek”. Za każdym razem, gdy boli go brzuch i idzie do klopa, dokonuje się jakiś przełom. Jego żołądek działa jak seismograf. Kiedy wychodził z toalety, jakiś policjant zawołał go po nazwisku. Munkenberg już chciał zamknąć drzwi, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

— Dzwoni jakaś kobieta — powiedział policjant przez szparę w drzwiach. — Mówi, że w sprawie ogłoszenia.

Pobiegł do pokoju i odebrał telefon. Dwadzieścia minut później siedział na kanapie w mieszkaniu Eleanor Olsson na Johannesgatan. Po kolejnych dwudziestu minutach znowu siedział w samochodzie przed wejściem do budynku, gdzie mieszkała pani Olsson, i zastanawiał się nad dalszym działaniem.

Pani Olsson ma siedemdziesiąt trzy lata i jest wdową. Jej mąż zmarł przed trzema laty na raka płuc. Żółte smugi na tapetach sugerują, że był nałogowym palaczem. Po śmierci męża pani Olsson kupiła psa. Wabi się Ingvar. To dość niezwykle imię dla psa, ale jej zdaniem to niezwykle zwierzę. Pani Olsson jest drobna jak wróbel, ma rzadkie siwe włosy i duże szare oczy. Po domu chodzi w butach i lekko kuleje. Kiedy siedząc na kanapie, założyła jedną nogę na drugą, Munkenberg pomyślał o swojej matce. Gdyby nie miała jego, pewnie też kupiłaby psa.

Pani Olsson codziennie chodzi na spacer tą samą drogą. Wychodzi z mieszkania i po pewnym czasie skręca w David Bagares gata. Jej pies za każdym razem sika w tych samych miejscach. Uważa, że taki spacer jest w sam raz dla pani w jej

wieku i dla jej małego psa. Niestety, w tym tygodniu musiała zostać w łóżku, ale nie chciała powiedzieć, z jakiego powodu. Ma szufladę pełną lekarstw i codziennie je zażywa. Być może dlatego się rozchorowała. Podczas choroby z pieskiem wychodził sąsiad, ale nie podobało się to ani jemu, ani psu. Ona wciąż czytała gazety i słuchała radia. Jeśli chodzi o telewizję, to nigdy nie miała na nią zbyt dużo czasu. W każdym razie dzisiaj w końcu wstała z łóżka i poszła jak zwykle na spacer z psem. Właśnie podczas tego spaceru coś znalazła. „Ten czarny notes”, powiedziała, kładąc go na stole. Zabrała go do domu z czystej ciekawości. Od razu zauważyła na nim nazwisko zaginionej dziennikarki, o której czytała w gazetach. Widziała też ogłoszenie wywieszane przez policję na klatce schodowej.

— Jestem już stara, ale mózg nadal pracuje — zapewniała pani Olsson.

Teraz on siedzi w samochodzie pod jej domem i przegląda notes. Okazało się, że leżał na skrzynce transformatora na David Bagares gata. Jeśli położyła go tam Annie Lander — i na przykład zapomniała zabrać — notes stanowi dowód na to, że po wyjściu z biblioteki szła właśnie tą ulicą. Munkenberg rozmawiał z właścicielem klubu, ale ten zeznał, że Annie nie była w nim od dawna. Mogła potem iść jak zwykle na Malmskillnadsgatan, ale nikt jej tam w piątek nie widział. Mogła zostać napadnięta i uprowadzona. Ktoś zostawił jej rzeczy na ulicy, ktoś inny je przejrzał i zabrał to, co przedstawiało wartość.

Munkenberg dopiero na ostatniej stronie znalazł coś istotnego. Była to notatka na samym środku kartki o następującej treści:

Sobota 17 października

Posiadłość Töversta, parafia Helgesta, Flen, JD jr

Notatka była podkreślona w taki sposób, jakby osoba pisząca była czymś wyjątkowo oburzona. Siedemnasty października, pomyślał Munkenberg. Trzy dni temu. Ale wtedy nie przypadała sobota, tylko wtorek. W sobotę był czternasty października, dzień po tym, jak Annie widziano ostatni raz. Bębnił palcami po kierownicy i próbował się skupić. Zwyczajny policjant po znalezieniu takiego notesu rzuciłby go pewnie na stos papierów, uznawszy, że dowodzi to tylko tego, że w piątek trzynastego października, to znaczy w dniu zaginięcia, Lander wyszła z Biblioteki i poszła dalej ulicą David Bagares gata. Ale on nie jest zwykłym policjantem. Pochylił się nad fotelem dla pasażera i z bocznej kieszeni na drzwiach wyjął mapę drogową. Rozłożył ją na desce rozdzielczej i po chwili znalazł miejscowość Flen. Pojedzie tam i na miejscu dowie się, gdzie leży Helgesta. Spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta. Jeśli nie pojedzie, wpadnie na chwilę do matki, a potem spędzi cały wieczór w domu. Tyle że Flen to nie jego teren i chyba nie powinien. No tak, ale jeśli zadzwoni do tamtejszej policji, powiedzą mu, że przyjrzą się sprawie w następnym tygodniu, bo jest już piątek wieczór i wszyscy szykują się do wyjścia. W domu czeka kolacja, w lodówce chłodzi się wino. Za to jeśli niczego tam nie znajdzie, będą go pytać, po co tam w ogóle pojechał. A jak zareagują, jeśli ostatnia notatka, którą Annie Lander sporządziła przed zaginięciem, faktycznie zawiera coś ważnego? Zostanie bohaterem, a bohaterów nikt nie rozlicza. Odłożył mapę na boczne siedzenie, włączył silnik i poczuł gwałtowny napływ

adrenaliny. Jeszcze raz spojrział na notatkę. Lander mogła mieć na myśli sobotę, dzień po swoim zaginięciu. Albo siedemnasty października, który przypadał we wtorek, trzy dni temu. Z nieznanego powodu błędnie przypisała datę do dnia tygodnia. Nieważne dlaczego. On dowie się tego, gdy wszystko będzie jasne. Jeśli się nie pośpieszy, może być za późno.

5

Max otworzył oczy. Otaczała go kompletna ciemność i tylko zapach drewna zdradzał, że leży na podłodze. Po chwili zaczęła mu wracać świadomość. W ustach odczuwał dziwny smak. Czaszkę rozsadzał mu ból, który napływał i odchodził falami. Za każdym razem zbierało mu się na wymioty. Włosy lepiły mu się od potu. Jak długo był nieprzytomny? Godzinę czy dobę? Przypomniwał sobie samochód, whisky, kanapę i upadek na podłogę. Podano mu narkotyk. Tamten facet wiedział, kim on jest i czego chce. Max nabrał głęboko powietrza i ustawił się na czworakach. Poczul smród wymiocin. Dotknął palcami treści własnego żołądka na podłodze.

W końcu podniósł się na kolana. Podczołgał się trochę w prawo i natknął na ścianę. Zawrócił i ruszył w odwrotnym kierunku. Nagle wyczuł coś pod ręką. Ludzkie ciało. Naga kobieta. Puls gwałtownie mu przyśpieszył. Wyprostował się, przeszedł nad ciałem i po chwili znowu dotknął ściany. Po omacku poszukał klamki albo kontaktu. Przesuwał się wzdłuż ściany zgodnie z ruchem wskazówek zegara, aż poczuł między palcami coś wystającego. Kontakt. Nacisnął i całe pomieszczenie zalało światło z lampy pod sufitem. Prąd popłynął dalej na niższy poziom. System alarmowy sprzed trzydziestu lat wciąż działał.

W chwili gdy zapaliła się lampa, druga lampa rozbłysła w pustej kuchni na dole.

Max znajdował się na strychu ze skośnym dachem. Pomieszczenie miało nie więcej niż dwadzieścia metrów kwadratowych. Przy krótkiej ścianie stała skrzynia. Leżała na niej otwarta skórzana aktówka, a w niej szklane rurki, które odbijały światło lampy. Przy drugiej krótkiej ścianie była kamera wideo na statywie. Na ścianie z kontaktem znajdowały się drzwi. Na środku pokoju ujrzał Annie. Miała związane ręce i nogi.

Była naga i leżała na plecach. Max patrzył na jej piękne, jasne ciało, którego tyle razy dotykał. Ma inny kształt, pomyślał, klękając przy niej. Rozłożył nad nią ręce, jakby szukał życia, które uszło z niej wraz z powietrzem. Annie wyglądała jak porcelanowa lalka, która się rozbiła i została na nowo posklejana ze skorup. Jej cudowne rzęsy były zlepione krwią. Usta miała otwarte, wargi i przedni ząb pokryte zaschniętą krwią. Max pochylił się nad nią i wybuchnął płaczem. Jego łzy i wydzielina z nosa kapały na jej nagi brzuch. Za to jego wnętrze było puste. Nie płakało. Było martwe i surowe jak pustynia w Nevadzie po teście atomowym. Pochylił się nad twarzą żony i wypowiedział jej imię, ale Annie nie odezwała się. Położył dłoń na jej szyi, żeby wyczuć puls. Jest. Chociaż słaby. Przyłożył dłoń do brzucha, żeby sprawdzić, czy Mingus się rusza, ale niczego nie poczuł. Ciało Annie było chłodne. A przecież zawsze była taka ciepła.

— Annie — szepnął. — Słyszysz mnie?

Rozejrzał się wokół siebie. Musi znaleźć jakiś przedmiot, żeby przeciąć jej więzy. Podniósł się i podszedł do szafki, na której leżała aktówka. Były w niej tylko szklane rurki, więc wziął jedną

z nich, uniósł do lampy i zauważył, że po wewnętrznej stronie spływa kropla cieczy. Doszedł do wniosku, że podali Annie ten sam środek co jemu. Otwierał jedną szufladę za drugą, ale wszystkie były puste. Podeszedł do drzwi, przyłożył do nich ucho i zaczął nasłuchiwać. Cisza. Może drzwi są za grube? Nieważne, musi coś znaleźć, żeby przeciąć więzy. Oparł się o nie i lekko na nie naparł. Drzwi się uchyliły, więc ostrożnie wyjrzał przez szparę na zewnątrz. Pokój był pusty. Otworzył drzwi na oścież i wszedł do pomieszczenia przypominającego gabinet. Pod sufitem paliła się lampa. Oślepiła go, więc przysłonił oczy dłonią i rozejrzał się po pokoju, żeby znaleźć jakiś ostry przedmiot. Niestety, wszędzie leżały tylko papiery, zdjęcia i ołówki. W końcu znalazł nożyk do rozcinania kopert. Przycisnął go do dłoni, ale okazało się, że jest zbyt tępy. Nawet nie zostawił śladu na skórze. Max odwrócił się i przesunął wzrokiem po regałach z książkami, stojących po obu stronach drzwi prowadzących do pomieszczenia, w którym się obudził. Niestety, niczego nie znalazł.

Nagle coś sobie przypomniał. Wsunął dłoń do majtek, żeby sprawdzić, czy są w nich klucze, które tam ukrył. Są. Wrócił do Annie, kucnął obok niej i zaczął przecinać węzeł ząbkami klucza. Mniej więcej po minucie zrobił sobie przerwę. Udało mu się lekko naciąć sznur. Wiedział, że trochę to potrwa, ale nie tracił nadziei. Kiedy będzie miał za sobą mniej więcej dwie trzecie pracy, przegryzie więzy zębami. Przecięcie pierwszego sznura zabrało mu kwadrans. Z drugim poszło szybciej.

— Wydostaniemy się stąd, kochanie — szepnął, rozplątując sznur, którym Annie miała związane stopy. — Uratuję nas.

Usunął ostatni węzeł i przeciągnął jej ciało na środek gabinetu.

— Annie — szepnął. Położył jej głowę na swoich kolanach i odgarnął włosy z twarzy. — Słyszysz mnie?

Jej klatka piersiowa powoli się unosiła i opadała. Max rozejrzał się. Musi ją w coś owinąć. Niestety, w gabinecie niczego nie znalazł.

Podszedł do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Położył dłoń na klamce, ale drzwi były zamknięte. Spojrzał przez dziurkę od klucza. Tkwił w niej klucz, jest zamknięty od zewnątrz. Tylko wtedy zdołają się wydostać. Musi spróbować, chociaż jedyna metoda, która przyszła mu na myśl, pochodziła z okresu, gdy miał dziesięć lat. Zdjął z regału największą książkę — coś o sztuce, w formacie A3 — i wyrwał z niej dwie kartki. Klęknął przy drzwiach i przez dolną szparę wysunął obie kartki na zewnątrz. Wsunął do dziurki kluczyk od samochodu i zaczął powoli wypychać klucz tkwiący w niej od drugiej strony. Miał nadzieję, że upadnie na którąś z kartek i nie potoczy się dalej, a wtedy będzie mógł go wciągnąć przez szparę do środka.

W końcu mu się udało. Klucz upadł na podłogę z lekkim trzaskiem. Na szczęście dźwięk był zbyt słaby, żeby ktokolwiek go usłyszał. Max przyłożył głowę do podłogi i wyjrzał przez szparę. Klucz leżał w odpowiednim miejscu. Po kilkunastu sekundach miał go w ręce i szybko otworzył zamek. Uchylił lekko drzwi i wyjrzał na korytarz. Ujrzał podłogę pokrytą zieloną wykładziną i schody prowadzące w dół. Przez chwilę stał nieruchomo. Na parterze panowała cisza. Słyszał tylko oddech ukochanej kobiety. Musi ją stąd zabrać do samochodu. Z krzesła

stojącego przy poręczy zdjął koc, zamknął drzwi, wsunął koc pod Annie i ją nim owinął. Pocałował ją w czoło i twarz. Pochylił się, żeby ją podnieść, ale wyslizgnęła mu się z rąk.

— Kochanie, musisz mi pomóc. Słyszysz, co mówię?

Pocałował ją w usta. Annie otworzyła oczy i spojrzała na niego.

— Jesteś — powiedział Max.

— Przyszedłeś — wyszeptała słabym głosem.

Max skinął głową. Z trudem powstrzymywał łzy.

— Musimy stąd wyjść — powiedział. — Pojedziemy do domu. Cała nasza trójka. Pamiętasz? — spytał i sam skinął głową na potwierdzenie swoich słów.

Annie próbowała coś powiedzieć, ale Max położył jej palec na ustach.

— Musimy stąd uciec, kochanie. Rozluźnij się trochę, to może zabołec.

Jej ciało było bezwładne, znowu zamknęła oczy. Max owinął ją kocem, odsunął włosy z oczu i sprawdził puls. W końcu wziął ją na ręce.

— Nic nam nie grozi — powiedział. — Wracamy do domu. Ty, ja i Mingus.

Nawet nie zauważył, że drzwi za nim nagle się otworzyły. Usłyszał tylko trzask i poczuł uderzenie w głowę. Annie wysunęła mu się z rąk i oboje upadli na podłogę. Jego krew wymieszała się z jej krwią.

— Dokąd się wybieracie? — spytał Göran.

Chwilę potem Max usłyszał śmiech i kroki jakiegoś drugiego mężczyzny. Obaj zaczęli ciągnąć jego i Annie po podłodze.

6

Kiedy zadzwonił telefon, Olsson pomyślał, że to był dobry pomysł, żeby kupić sobie telefon bezprzewodowy. Leży teraz obok niego na kanapie, a on może jednocześnie rozmawiać przez telefon i patrzeć na dziewczynę, która robi mu laskę. Dostał jej numer tamtego wieczoru w mieście i zaprosił ją na lunch. Potem poszli do jego biura przy Karlaplan, a tam nie tracił zbyt wiele czasu na gadanie. Pokazał jej widok z okna i obrazy na ścianach i pochwalił się, ile zarabia. Później spytał, czy chciałaby się z nim kochać. Dziewczyna trochę się droczyła, ale potem poszli razem na kanapę. Przed trzema minutami rozpiął rozporek, a teraz zadzwonił telefon.

— Henrik Olsson — powiedział. Dziewczyna spojrzała na niego, ale dał jej znak, żeby nie przerywała.

— Mówi Ranko.

— Cześć, chłopie. Co się stało?

— Twój znajomek wyjechał. Ja, Avram i jeszcze jeden kumpel pojechaliśmy za nim. Chciałem zapytać, co mamy teraz robić.

— Niech to szlag! — powiedział Olsson. Wyprostował się i położył dziewczynie rękę na głowie. — Gdzie jesteście?

— Na wsi.

— Ale gdzie?

Ranko odwrócił się do Avrama i spytał po serbsku:

— Gdzie jesteście?

— W okolicach Gnesty — odparł Avram.

Ranko przekazał Olssonowi nazwę miejscowości i dodał:

— Facet jest w środku, jego samochód stoi przed domem. Ukrywa się.

— Niech to szlag! Przeczuwałem, że tak będzie. Zapukaj do drzwi i każ mu wracać do miasta. Niech siedzi w domu i nie rusza się z niego na krok.

— A co mamy zrobić, jak nie będzie chciał wyjść?

Dziewczyna stanęła przed Olssonem i rozebrała się.

— Nie mogę teraz rozmawiać — odparł Olsson. — Po prostu zapukajcie do drzwi i każcie mu wracać. Jeśli nie zechce, wymyślcie coś.

• • •

Ranko spojrzał na Avrama.

— Co powiedział? — spytał Avram.

— Chyba się akurat pieprzył.

— Gównu mnie obchodzi, co robił — odparł Avram, uderzając Ranka otwartą dłonią po głowie. — Pytałem, co nam kazał zrobić.

— Zapukać do drzwi i go stamtąd zabrać.

— No to do roboty — powiedział Avram. — Zostańcie tutaj, ja tam pójde i przemówię naszemu przyjacielowi do rozumu.

Wysiadł z samochodu, a Ranko i Djordje śledzili go wzrokiem. Kiedy znalazł się na piaszczystej alejce prowadzącej do domu, odszedł na lewo, stanął przy drzewie i pogwizdując, zaczął sikać.

— O kurwa — powiedział po minucie Ranko, widząc, że Avram nadal tam stoi. — Długo mamy tkwić w tym lesie? Ile on będzie jeszcze lał? Sam tam pójde, jak jemu to zabiera tyle czasu.

— Kazał nam tu zostać — zaprotestował z tylnego siedzenia Djordje.

Ranko otworzył drzwi i wysiadł. Odwrócił się i spojrzał na kumpla.

— No to teraz ja ci każę zostać w samochodzie i w razie czego

odebrać telefon.

Zatrzasnął drzwi i ruszył w stronę domu. Przyłożył dłoń do czoła i poczuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Włożył rękę do kieszeni i dotknął pistoletu. Kolba kleiła się do jego wilgotnej dłoni. Starał się przyzwyczaić wzrok do ciemności. Wokół panowała zupełna cisza, słyszał tylko swoje kroki. Szedł po piasku jak przestraszony kot. Próbował dostrzec coś za oknami domu, ale w środku nie zauważył żadnego ruchu. Wszedł po schodach i zadzwonił do drzwi, ale nikt nie otworzył, więc trzy razy zastukał. Avram nadal stał przy drzewie, ale przestał już gwizdać. Pewnie sobie teraz otrzepuje kutasa i żałuje, że jest taki stary i powolny, pomyślał z uśmiechem Ranko. Odwrócił się, żeby spojrzeć na samochód. Djordje dawał mu z tylnego siedzenia jakieś znaki, ale nie rozumiał, o co mu chodzi. W chwili gdy znowu odwrócił się do drzwi, usłyszał chrzęst klucza przekręcanego w zamku. Mocniej zacisnął dłoń na pistolecie i wtedy drzwi się otworzyły. W progu stanął mężczyzna.

Ranko spojrział na niego, a on na Ranka. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Trwało to kilka sekund, ale obaj odnieśli wrażenie, że minęła cała wieczność.

— Co ty tu robisz? — spytał Göran Theorin.

Ranko jeszcze raz mu się przyjrzał i dopiero teraz go rozpoznał.

Przypomniał sobie, kim jest. To policjant Vitomira.

Dotarło do niego, że nie powinni spotkać się w tym lesie. To przecież ten zbok, który zasługuje na śmierć.

Ranko zrozumiał, że coś tu nie gra, i natychmiast sięgnął do kieszeni po pistolet. Zanim jednak zdążył go wyciągnąć, Theorin

wycelował w niego broń, którą skrywał za plecami, i wystrzelił. Pocisk przeszedł mu nad górnym okiem i odstrzelił tylną część czaszki. Ranko był martwy, jeszcze zanim uderzył głową o ziemię. Pistolet wypadł mu z ręki na kamienne podłoże przed schodami. Lewa stopa drgnęła jeszcze kilka razy, po czym wszystko ustało. Theorin przeszedł nad ciałem Ranka. Pistolet nadal trzymał wyciągnięty przed sobą.

7

Munkenberg zatrzymał się na stacji benzynowej w Gneście, żeby zatankować. Kasjera, u którego płacił, spytał o drogę do Helgesty i do posiadłości Töversta. Kasjer niechętnie odpowiadał na jego pytania, ale nabrał ochoty na widok policyjnej odznaki.

— Jest pan tu służbowo? — spytał, otwierając szeroko usta.

Munkenberg przyłożył palec do ust i rozejrzał się. W sklepie oprócz niego był jeszcze jakiś mężczyzna przy stoisku z gazetami.

— Nie wolno mi o tym mówić, ale to ważna sprawa — wyjaśnił Munkenberg.

Kasjer wyjął kartkę i narysował trasę dojazdową. Opowiedział też o Cyganach, którzy kradną benzynę, wchodzą do sklepu z nożami w zębach i biorą z niego, co chcą. Munkenberg skinął ze zrozumieniem głową, zapłacił i wyszedł. Pieprzone wieśniaki, pomyślał, odjeżdżając ze stacji. Jeśli ich jedynym problemem są Cyganie, to naprawdę nie wiedzą, co to znaczy prawdziwy problem.

8

Avram zbyt późno zauważył, że Ranko stoi przed drzwiami domu. Spojrzał w tamtym kierunku dopiero w chwili, gdy z uchylonych drzwi wydostała się na zewnątrz smuga światła.

Potem wszystko rozegrało się w błyskawicznym tempie. W progu stanął zupełnie inny facet niż ten, którego śledzili. Wyciągnął rewolwer i chwilę później głowa Ranka rozpadła się na kawałki. Avram jednym ruchem wyjął z kieszeni broń i przykucnął. Mężczyzna ruszył w stronę samochodu z wyciągniętą dłonią. Trzymał w niej rewolwer. Avram zauważył jakiś ruch w oknie na piętrze. Mężczyzna uniósł rękę i zaczął strzelać w stronę samochodu. Pociski zagrzechotały o szyby. Djordje skulił się na tylnym siedzeniu. Mężczyzna oddał trzy strzały i był już bardzo blisko samochodu. Avram jeszcze raz spojrzął w stronę okna na piętrze, ale nikogo w nim nie zauważył. Być może osoba, którą widział wcześniej, nadal jest na górze albo schodzi na dół. Mężczyzna, który zabił Ranka, z wyciągniętą ręką stał nieruchomo przy wozie i mierzył w ciemność, żeby znaleźć cel. Avram zrobił krok do przodu, skulił się, oparł łokciem o kolano, wycelował i strzelił. Pocisk trafił mężczyznę między łopatki. Avram prawie usłyszał trzask kości. Tamten poleciał na twarz, wykonał pół obrotu i upadł na samochód. Zdążył jeszcze spojrzeć w stronę domu, jakby szukał wzrokiem kogoś niewidocznego. Avram zastygł. Moment później oddał jeszcze jeden strzał. Pocisk przeszedł przez szyję mężczyzny i utkwiał w lewym przednim błotniku. Z rany na nogi i piasek trysnęła fontanna krwi. Ciało zawisło na samochodzie. Mężczyzna był martwy.

— Djordje! — krzyknął Avram. — Żyjesz?

— Tak! — zawołał z wnętrza samochodu Djordje. — Mogę już wyjść?

Avram spojrzął na dom. Żadnego ruchu. Wycelował pistolet w drzwi, tuż nad ciałem leżącego na ziemi Ranka.

— Przejdź na drugą stronę i wyceluj w drzwi — powiedział.
Djordje otworzył tylne prawe drzwi, wyczołgał się ze środka, schował za samochodem i wycelował.
— Co się, kurwa, dzieje? — spytał.
— Ten skurwiel zastrzelił Ranka. Drugi jest na piętrze.
— Nasz facet?
— Nie wiem.
— Co, kurwa, robimy?
— Ranko nie żyje. Musimy zawiadomić Vitomira. Wyjmij telefon i zadzwoń do niego.

• • •

— Kurwa! — krzyknął Jozak i ukrył twarz w dłoniach. Siedział w swoim klubowym biurze. Avram czekał na polecenia.
Barman usłyszał krzyk Jozaka i stanął w drzwiach.
— Wszystko w porządku? — spytał.
Jozak uniósł wzrok. Jego spojrzenie przeraziło barmana.
— Mamy tu jakąś broń? — spytał Jozak.
— Przecież powiedziałeś...
— Wiem, kurwa, co powiedziałem! Ale teraz potrzebna mi pieprzona broń. Załatwisz mi ją czy nie?
Barmanowi zaczęła drżeć dolna warga.
— Tu nie ma broni — odparł.
— Znajdź mi Olssona. Każ mu tu przyjść. Ma pięć minut, bo inaczej go zabiję. Natychmiast!
Jozak uderzył telefonem w stół i przyłożył słuchawkę do ucha.
— Co się, kurwa, stało? — spytał.
— Ranko zapukał do drzwi tamtego domu — odparł Avram. — Ktoś otworzył i do niego strzelił. Nawet o nic nie spytał. Przedtem

coś powiedział, ale nie usłyszałem co.

— Kto go zastrzelił?

— Nie wiem. On też nie żyje.

— Oprócz faceta, którego mieliście śledzić, ktoś tam jeszcze jest?

— Zauważyłem ruch na piętrze, ale nie wiem, czy to był on. Co robimy, Vito? Powiedz, co mamy zrobić.

— Poczekaj chwilę — odparł Jozak i położył słuchawkę na biurku. Musi zebrać myśli. Co mu mówiła matka? „Nie wciągaj w to Ranka”. Tak właśnie powiedziała. „To dobry chłopak”. Jak jej wtedy odpowiedział? „Obiecuję, mamó, że zrobię z niego ludzi. Zajmę się nim”.

Jozak wyjął z pojemnika na tacy obok piwa kostkę lodu i włożył ją do ust. Tak długo ją żuł, aż się roztopiła. Zamknął oczy i spojrzał w sufit; głośno oddychał przez nos. Takie sytuacje zdarzały mu się już wcześniej. Rzeczy nieprzewidziane, czyjaś śmierć. Ale wcześniej nie chodziło o brata. Mimo to uznał, że nie ma powodu, aby akurat teraz zachować się inaczej niż zwykle. Stracił już wielu przyjaciół, więc musi postępować rutynowo. Doświadczenie mu podpowie, co robić dalej, jakie podjąć decyzje. Wyprostował się, położył dłonie na biurku i zaczął bębnić palcami po blacie. Po chwili przyłożył słuchawkę do ucha.

— Avram, słyszysz mnie?

— Powiedz tylko, co mam zrobić.

— W domu ktoś został — powiedział Jozak, czując mocny przypływ adrenaliny. — Ten ktoś też odpowiada za śmierć Ranka. Zabij go. Zabij każdego, kogo tam znajdziesz. Bądź bezlitosny. Zrób to tak, żeby żadnego z nich nie można było

przed pogrzebem pokazać w trumnie. Jak będzie po wszystkim, zabierz Ranka do naszego lekarza. Tam się spotkamy.

• • •

Avram wyjął z bagażnika uzi i podał go Djordjemu.

— Vitomir powiedział, żeby nikomu nie okazywać litości.

Najpierw przeszukali parter. Na stole w kuchni leżały resztki jedzenia. W bocznym pokoju stał niewielki telewizor. Od kominka nadal bił żar, ale ogień przestał się palić. W całym domu słychać było tylko wiatr i skrzypienie ścian. Na jednej z nich wisiał zegar. Jeśli w domu jest ktoś jeszcze, zachowuje się naprawdę cicho.

— Widziałem go na piętrze — szepnął Avram do Djordjega. Obaj skierowali się w stronę schodów. — Na pewno już nas usłyszał. Strzelaj od razu, jak coś zauważysz. Nie ma sensu ryzykować. Jeśli facet jest uzbrojony, miał dużo czasu, żeby się przygotować.

Ostrożnie ruszyli schodami w górę. Avram szedł tyłem z bronią uniesioną nad głowę Djordjega. W końcu znaleźli się na piętrze. W słabym blasku lamp ujrzeli ciemnoczerwony ślad ciągnący się po podłodze w stronę drzwi. Miał około dziesięciu centymetrów szerokości i tuż przed dywanem stawał się brunatny. Avram pochylił się i dotknął go palcem. Obejrzał go i pokazał Djordjemu.

— To krew. Świeża — powiedział, przesuwając palcem po dywanie. Zatrzymał się i podał coś Djordjemu. — Wybity ząb. Musiało tu dojść do walki.

Avram wskazał ręką drzwi, przy których krwawy ślad się kończył. Oparł się o ścianę, policzył do trzech, szybko nacisnął

klamkę i gwałtownie otworzył drzwi. Nic. Obaj stali przez chwilę w milczeniu. W końcu Avram zajrzał do środka. Pusto. Krwawy ślad ciągnął się w stronę regału z książkami i tam się kończył. Jakby ktoś się tam położył, umarł i rozpułnął w powietrzu. Weszli do pokoju. Przez chwilę stali i patrzyli na regał. Avram spojrział przez okno wychodzące na podwórze, gdzie na ziemi leżał Ranko.

— To w tym oknie kogoś widziałem — powiedział.

— Nikogo już tu chyba nie ma — odparł Djordje. — Może uciekł przez tylne drzwi, jak dzwoniłiśmy do Vito.

— Kurwa! — zaklął Avram. Vitomir ubije ich własnymi rękami, jeśli winni unikną kary. Nie powinien był mu wspominać, że widział kogoś w oknie. Zresztą do całej tej sytuacji w ogóle nie powinno dojść. A teraz potrzebują jeszcze jednego trupa.

9

Annie otworzyła lewe oko. W całej głowie czuła pulsujący ból. Prawe oko nadal miała zamknięte. Drgania powiek przypominały jej odgłos niszczonej blachy. Spróbowała poruszyć prawą ręką, ale bez powodzenia. Twarzą dotykała zimnej podłogi. Czuła jej ostry zapach, ale nie potrafiła określić, skąd pochodzi. Maxa już przy niej nie było. A może leży dalej i dlatego go nie widzi? Może w ogóle go tu nie było? Po drugiej stronie pokoju stał mężczyzna. Był odwrócony do niej tyłem, twarzą do ściany. W ręce trzymał pistolet. Wokół jego głowy utworzyła się świetlna aureola, więc Annie wywnioskowała, że mężczyzna wygląda przez otwór w ścianie i że na zewnątrz jest jasno. Chciała zobaczyć, jak wygląda. To jeden z tamtych dwóch

mężczyzn. Nie widziała ich twarzy, ale wiedziała, że to jeden z nich. Próbowwała wymówić imię Maxa, ale nie potrafiła wydobyć z siebie dźwięku. Co zrobią z nimi i z ich dzieckiem? Miała ochotę krzyknąć i jej milczenie było dla niej jak zdrada — większa od śmierci. Ostrożnie obróciła głowę, żeby sprawdzić, czy w pokoju jeszcze ktoś jest. Usłyszała hałas, ale nie pochodził od mężczyzny przy ścianie. Niczego nowego nie zauważyła. Dwadzieścia centymetrów od jej głowy stała puszka piwa. Za każdym razem, gdy mężczyzna był blisko niej, czuła od niego alkohol. Miała ochotę chwycić puszkę, zrobić z niej ostrze i wbić je im obu w serce. Wyciągnęła rękę, żeby jej dosięgnąć. Lewe ramię miała zeszywniałe, ale mogła nim poruszać. Od puszki dzieliło ją zaledwie kilka centymetrów. Przesunęła się lekko w tamtą stronę i ponowiła próbę. Dotknęła puszki czubkiem palca. Przesunęła się jeszcze o centymetr i spróbowała chwycić puszkę kciukiem i palcem wskazującym. Puszka była do połowy pełna, zbyt zimna i wilgotna i wymknęła jej się z dłoni. Przewróciła się na bok i chociaż Annie wyciągnęła rękę jeszcze dalej, znowu jej nie dosięgnęła. Puszka przewróciła się na podłogę, zawirowała i zastygła bez ruchu. Annie spojrzała na mężczyznę, który odwrócił się w jej stronę i popatrzył na nią rozszerzonymi oczami. Ich spojrzenia się spotkały. Na ułamek sekundy cały pokój znieruchomiał, a dom wstrzymał oddech. Annie rozpoznała mężczyznę. Wiedziała, kim jest. Znają się. On też zrozumiał, że go rozpoznała. Wydawało się, że chce jej coś powiedzieć, ale wtedy jego ciałem zaczęły wstrząsać gwałtowne drgawki. Mężczyzna zaczął krwawić tak obficie, że jego krew oblała jej twarz. Strumienie krwi przypominały ciepły deszcz.

Ktoś do niego strzelał. Pociski wystrzeliwane seriami z pistoletu automatycznego rozerwały mu koszulę na strzępy i zabarwiły ją na czerwono.

• • •

W powietrzu unosiły się drobinki gipsowego kurzu, strzępy rozerwanych pociskami desek i zapach świeżej krwi. Ściana, za którą stał regał z książkami, wyglądała jak sito. Po chwili otworzyły się drzwi prowadzące do ukrytego pokoju.

Podziurawiony kulami mężczyzna leżał na brzuchu. Avram dotknął palcami jego szyi i dopiero po chwili przewrócił go na plecy. Mężczyzna był prawie przecięty w pół pociskami, ale żaden nie trafił go w głowę. Avram przyłożył mu broń do policzka, żeby spełnić obietnicę daną Vitomirowi, ale nie zdążył nacisnąć spustu, bo przeszkodził mu w tym Djordje.

— Co to, kurwa, znaczy? — spytał.

Na podłodze pokoju ukrytego za regałem z książkami leżała kobieta. Tuż obok niej leżał mężczyzna, którego śledzili z Avramem. Ich ciała pokrywały plamy krwi. Było jej tyle, że pewnie oboje nie żyli. Przy ścianie stała kamera na statywie. Avram wszedł powoli do pokoju i zmarszczył brwi. Do jego butów dopłynęła strużka krwi, więc cofnął się o krok.

— Co jest grane? — spytał, kucając przy kobiecie. Przyłożył najpierw jej, a potem mężczyźnie dwa palce do szyi. Spojrzał na Djordjega i wzruszył ramionami.

— Sam nie wiem. Nie czuję tętna. Chwilę... jest, ale słabe. Już chyba za późno, ale jeśli mamy zabrać ich do lekarza, musimy się pośpieszyć. Będziemy ich utrzymywać przy życiu tak długo, aż się dowiemy, co tu się stało.

Avram podszedł do kamery, wyjął z niej kasetę i schował ją do kieszeni.

— Musimy ich stąd wynieść — powiedział. — Zapakujemy ich razem z Rankiem do samochodów i odjedziemy. Weź kobietę, ja wezmę naszego faceta.

Djordje zaczął odmawiać po cichu *Ojcie nasz*.

— Skąd oni się tu wzięli? — spytał. — Co tamci im zrobili?

Avram pokręcił głową.

Djordje podniósł Annie i zszedł z nią po schodach. Avram przerzucił sobie Maxa przez ramię. Idąc przez pokój, zatrzymał się na chwilę przy zabitym mężczyźnie leżącym na podłodze. Wyjął z kieszeni broń i strzelił do niego. Dolna część twarzy natychmiast zamieniła się w krwawy strzęp. Avram jeszcze raz na niego spojrział. Położył Maxa ostrożnie na podłodze i wyjął z kieszeni nóż.

— To za Ranka — powiedział, skalpując trupa. Potem dźwignął Maxa z podłogi i wyszedł z pokoju.

10

Kiedy było już po wszystkim, Munkenberg nie potrafił wyjaśnić, dlaczego zapisał numer rejestracyjny ostatniego z dwóch samochodów, które mijał, gdy skręcał w boczną drogę, mającą — zgodnie z wyjaśnieniami kasjera ze stacji benzynowej — doprowadzić go do posiadłości Töversta. Być może zrobił to dlatego, że samochód jechał bardzo szybko. Coś mu mówiło, że kierowcy się tak śpieszy, bo jak najprędzej chce stamtąd zniknąć. Jechał zbyt szybko jak na kogoś, kto o tak późnej porze wyjeżdża z bocznej drogi na krajową. Prowadził brązową albo beżową toyotę z numerem rejestracyjnym ONO 430 albo ONO 480.

Munkenberg nie potrafił dokładnie podać numeru, bo nie miał wtedy okularów. Ale to i tak wystarczy, żeby znaleźć samochód, kierowcę i właściciela.

Właściwie nawet nie musiał zapisywać numeru, bo zapadł mu wyraźnie w pamięć. Zwłaszcza od momentu, gdy znalazł się przed domem i w blasku reflektorów ujrzał ciało Theorina leżące na ziemi. Od razu rozpoznał jego profil. Zauważył też, że koszulę ma poplamioną krwią, a szyję nienaturalnie wykręconą. Domyślił się, że Theorin jest martwy. Co on tu w ogóle robił?

Drzwi wejściowe do domu trzaskały. Wokół panowała cisza, rozbrzmiewały tylko te trzaski. Munkenberg słyszał je przez całą drogę od samochodu do wejścia. Za każdym razem wstrząsał nim mimowolny dreszcz. Wyjął pistolet i ścisnął go mocno w dłoni. Wokół panowały ciemności, jedynym źródłem światła była lampa wisząca przy drzwiach. Całkiem możliwe, że w mroku ktoś się kryje i do niego celuje, a za chwilę jego głowa też rozpadnie się na kawałki. Skulił się i przyśpieszył kroku. Przeszukał parter, zaglądając do każdego pokoju. Tak uczyli ich w szkole policyjnej.

Wszedł na piętro i zatrzymał się w progu pokoju. W jednej chwili poczuł się tak, jakby ktoś zadał mu jakimś twardym przedmiotem cios w czaszkę, po którym w jego głowie zapanowała całkowita pustka. Na podłodze ujrzał zwłoki kolejnego policjanta. Był to Kay Orha.

Nigdy wcześniej nie widział martwego człowieka. Zwłaszcza takiego, który został prawie przecięty na pół serią z pistoletu automatycznego. Czaszka Orhy lśniła na czerwono. Sprawca po prostu go oskalpował, a potem zostawił na podłodze jak padlinę.

Na stoliku obok telefonu leżała kartka A4. Znajdował się na niej odręcznie napisany tekst. Był niedokończony, ale za to pokryty krwawymi odciskami palców, które przypominały ściany w mieszkaniu matki pokryte grzybem. Munkenberg przeczytał tekst, usiadł na krześle i dopiero teraz wszystko zrozumiał. Nagle poczuł się tak, jakby połknął ostry widelec. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer alarmowy. Co tu robili Orha i Theorin? Może szukali na własną rękę Annie Lander i obaj padli ofiarą tamtego szaleńca?

Borg miał rację, pomyślał, czekając na połączenie. W pełni zasługuje na szacunek. Morderca naśladuje Kubę Rozpruwacza. Powinien był sam to wiedzieć, ale trudno, dopiero teraz wszystko pojął. Szwedzki seryjny morderca. Za tydzień to określenie znajdzie się w jego teczce. Nieważne, jakiej marki był pierwszy samochód, który znalazł się obok ciepłego jeszcze ciała Olofa Palmego. To on, Munkenberg, wyciągnął szczęśliwy los na loterii.

Wszystko się zgadza. Jeśli zadzwoni teraz na domowy numer Maxa Landera, ten nie odbierze. Lander jeździ toyotą. Okaże się, że jego samochód nie stoi teraz pod domem. Jeśli analiza wykaże, że odciski palców na kartce należą do Landera, będzie to oznaczać, że to on jest mordercą. A całą tę tajemnicę rozwikłał on, Thomas Munkenberg.

• • •

Dyżurny na komendzie policji w Eskilstunie odebrał telefon o osiemnastej dwadzieścia trzy. W słuchawce usłyszał męski głos. Nie potrafił jednak ustalić, czy dzwoniący jest bardziej szczęśliwy, czy przerażony.

— Mówi inspektor policji kryminalnej Munkenberg z policji

w Norrmalmie. Potrzebuję wsparcia. Dwaj policjanci nie żyją. Zostali zastrzeleni. Powtarzam: postrzelono dwóch policjantów.

— Rozumiem. Co się stało?

— Zabito dwóch policjantów. Potrzebna karetka. Dwie karetki.

— Gdzie pan teraz jest?

— W posiadłości Töversta, koło Helgesty, między Gnestą a Flen.

— Mówi pan: między Gnestą a Flen?

— Koło Båven. Jeziora Båven.

— Mhm. Twierdzi pan, że nie żyją dwie osoby. Czy ktoś inny doznał obrażeń?

— Nie, nikt więcej. Niech policja szuka brązowej albo beżowej toyoty, numer rejestracyjny ONO czterysta trzydzieści albo ONO czterysta osiemdziesiąt. Samochód może należeć do sprawcy obu zabójstw.

— Zabite osoby są policjantami?

— Tak. Chodzi o zabójstwo policjantów.

11

Kiedy późnym wieczorem Jozak i Avram zjawili się u lekarza, Jozak stwierdził, że Ranko sam zdecydował o swoim życiu.

— Wiedział, że coś takiego może mu się przydarzyć — powiedział, spoglądając na Avrama. — Prawda?

Avram skinął głową. Ciało Ranka leżało w sąsiednim pokoju. Ich matka nie powinna go oglądać przed pogrzebem. Trumna będzie zamknięta. Twarz Ranka przypomina maskę, która rozpadła się na kawałki.

— Jak ktoś nie jest ostrożny, właśnie coś takiego może mu się

zdarzyć — kontynuował Jozak. — Ranko o tym wiedział. Mimo to postanowił zaryzykować. Tak właśnie było.

— Rozmawiałeś już z waszą matką? — spytał Avram.

— Jeszcze nie. — Jozak pokręcił głową. Wstał z krzesła i podszedł do okna. — Przetransportuję go samolotem do Belgradu i sprawię mu porządną pogrzeb. Potem trochę tam zostanę. Pojedziemy za kilka dni. Muszę uzgodnić termin spotkania z Bożkiem. Koniec z duperelami. Koniec ze ściąganiem pieniędzy od właścicieli restauracji. Tu sto tysięcy, tam sto tysięcy. Zaczynamy robić wielkie interesy. Staniemy się największym importerem w północnej Europie. Czeka na nas wielki szmal — powiedział, spoglądając na Avrama czerwonymi ze zmęczenia oczami. — Zbliża się nasz *big time*. Możesz być tego pewien. Idą wielkie czasy — mówił Jozak, siadając z powrotem na krześle. — Zanim wyjadę, masz się wszystkiego dowiedzieć: kto przebywał w domu, kto jest jego właścicielem i dlaczego byli tam ten facet i kobieta. Możliwe, że przez przypadek. A jeśli nie? Rozpytaj się o niego i sprawdź, jak się spiknął z Olssonem. Wykorzystaj nasze źródła w policji. Powiedz Milanowi, żeby przyniósł mi odtwarzacz wideo, obejrzymy sobie kasety z kamery. Może to nam coś wyjaśni. Dopiero wtedy zdecydujemy.

— Zdecydujemy? O czym? — spytał niepewnym głosem Avram.

— Kto będzie następny — odparł Jozak. Przeciągnął dłonią po szyi i spojrzał przed siebie. — Zanim Ranko spocznie w trumnie, ten sam los spotka kogoś innego. Musimy się tylko dowiedzieć i zdecydować kogo.

Myśliwy i jego zdobycz

1

Dwaj policjanci nie żyją. W wieczornych wiadomościach telewizyjnych spiker przypomniał, że to pierwsze zabójstwa policjantów w Szwecji od 1984 roku, kiedy w Gällivare zastrzelono Holgera Pohjanena. W sprawie ostatnich wydarzeń wypowiedział się psychiatra z Instytutu Karolinska:

— Do zabójstw policjantów dochodzi często podczas zatrzymania, na przykład gdy sprawca przestępstwa zostaje złapany na gorącym uczynku. Powodem może być też zemsta na konkretnym policjancie albo na całej policji. W niektórych środowiskach przestępczych nienawiść do policji jest tak silna, że zabójca policjanta od razu zyskuje wyższy status w hierarchii.

Próbki krwi znalezionej na miejscu zdarzenia wysłano do analizy do Państwowego Laboratorium Kryminalistycznego. Zwrócono się też o pomoc do Wielkiej Brytanii z prośbą o analizę profilu DNA. Na miejscu znaleziono list z odciskami palców, które od razu zabezpieczono. List stał się podstawą tezy nazwanej roboczo „aktem terroru w posiadłości Töversta”. To, co się tam wydarzyło, uznano za wierzchołek góry lodowej. Cała policja ruszyła na poszukiwania Maxa Landera. Gazety nazwały

go „zabójcą policjantów”. Policja była niemal pewna, że to on zamordował żonę i ukrył jej ciało. Prasa nazwała go „zabójcą kobiet”. W pobliżu Fruängen znaleziono jego porzucony samochód. Ten sam, który pewien policjant zauważył w pobliżu domu, gdzie doszło do zbrodni, to znaczy nad jeziorem Båven. Ten policjant to prawdziwy bohater. Dość szybko nastąpił przeciek do prasy. Wynikało z niego, że policja bada, czy w ciągu ostatnich dziesięciu lat Lander nie zamordował innych kobiet. Podobno zabił żonę i obu policjantów z obawy, że poprzednie zbrodnie wyjdą na jaw.

Priorytetem policji stało się znalezienie Maxa Landera. Za to Vitomir Jozak miał zupełnie inny priorytet: musiał zrobić wszystko, aby poszukiwania policji zakończyły się niepowodzeniem. Tego samego wieczoru, gdy przyjechali z Rankiem do lekarza, obejrzał kasetę wideo. Nagranie przedstawiało dwóch mężczyzn i Annie Lander. Była związana i leżała na podłodze. Skopiował nagranie i dał je pewnemu chłopakowi. Kazał mu zanieść kasetę na komendę policji i przekazać ją policjantowi, który nazywa się Munkenberg. Dał chłopakowi za to sto koron. Był pewien, że policjant nic z tym nagraniem nie zrobi. Policja ma już sprawcę, ofiary i bohatera. Prawda nie jest więc nikomu potrzebna. Kasetę wysłał tylko po to, aby policja utwierdziła się w przekonaniu, że tak właśnie ma być. Wiedział, kto jest jego przeciwnikiem. Może się okazać, że to rozstrzygająca sprawa i że to od niej zależy, kto będzie górą: on czy oni. Ale policja nie powinna poznać całej prawdy. Jeśli się bowiem okaże, że to nie Lander zabił obu policjantów, zaczną szukać prawdziwego sprawcy. Mogą wtedy wpaść na jego ślad

i go w to wszystko wmieszać, a tego absolutnie nie chce. Niech więc Lander pozostanie głównym podejrzanym. Nie wolno tylko dopuścić, żeby go znaleźli.

2

W gabinecie lekarskim stało kilka metalowych krzeseł obitych manczesterem. Na jednym z nich siedziała ciemnoskóra kobieta. Max wpatrywał się w zarys ciała małego chłopca, którego miała przy sobie. To jego syn, Leonard Mingus Lander. Ma czterdzieści sześć centymetrów wzrostu i waży dwa i siedem dziesiątych kilograma. Uratował go przestępca, który tego samego dnia stracił swojego jedyne brata. Słyszał, jak kobieta karmi jego syna. Milan powiedział, że tak ma być. Dziecko potrzebuje pokarmu, a na miejscu jest tylko ta kobieta i tylko ona może je nakarmić. Mingus na pewno myśli, że karmi go jego własna matka. Tak byłoby najlepiej, ale Annie jest zbyt słaba na karmienie. Milan ma ciemne włosy, z szyi na biały fartuch zwisają mu okulary na tasiemkach. Są teraz w jego gabinecie, to tutaj przywieźli ich Avram i Djordje. Milan zaniepokoił się stanem Annie i postanowił przyjąć poród. Maxowi wyjaśnił, że studiował medycynę na uniwersytecie w Belgradzie.

— Tylko dwa lata, po Pavloviciu, tym poecie — powiedział Milan. — Potem wpadłem w kłopoty.

— Jakie kłopoty?

— Polityczne. Te są najgorsze.

Milan przyłączył się do antykomunistycznej opozycji w Jugosławii. Studiował wtedy medycynę i razem z kolegami z roku poszedł szukać ludzkich czaszek w miejscu, w którym chłopcy nie chcieli wypasać bydła. To tam i wtedy uświadomił

sobie rozmiar komunistycznych zbrodni. Uciekł z kraju i trafił do Szwecji. Po pewnym czasie dotarło do niego, że mógł być prześladowany przez kumpli Jozaka z UDBA. Ale nigdy o tym nie rozmawiali. To, co robił kiedyś Jozak, nie miało nic wspólnego z ideologią. Później doszli do wniosku, że ich wspólnym wrogiem są komuniści.

Kobieta karmiąca dziecko mogła być o kilka lat młodsza od Maxa. Miała okrągłą, miłą twarz, lśniące białe zęby i wąskie brwi. Na głowie nosiła kaptur z czarno-czerwonego materiału, który wystawał jej spod jasnoniebieskiego szala. Max nie wiedział, czy podczas karmienia dziecka powinien wyjść z pokoju i czy kobieta nie uzna jego obecności za niestosowną. Ona chyba wyczuła jego niepewność, bo coś do niego powiedziała. Max w ogóle jej nie zrozumiał, więc popatrzyła na Milana i z uśmiechem powtórzyła swoje słowa. Max spojrział na nią, a ona wskazała na małą dziewczynkę, która leżała u jej stóp na kocu.

— Mówi, że jej córka nazywa się Gargaaro — wyjaśnił Milan.
— To znaczy „Ta, która pomaga”. Teraz pomaga panu — dodał z uśmiechem.

— Co to za język? — spytał Max. Uśmiechnął się do kobiety i skinął jej głową, żeby okazać w ten sposób swoją wdzięczność.

— Nieważne — odparł Milan, odwracając się do Maxa plecami. — W każdym razie to nie szwedzki. Ma na imię Ambia.

Max podał kobiecie rękę i przedstawił się. Przywitała się z nim po chwili wahania. Poczuł, że Ambia ma delikatne dłonie.

— Do Szwecji przyjechała kilka lat temu — wyjaśnił Milan. — Pomagam jej. Pochodzi z miejscowości Baidoa, która leży nad

rzeką Juba, przy granicy z Kenią. Najpierw przyleciała do Holandii, a stamtąd tutaj. Cała jej rodzina została w Somalii, z wyjątkiem tej dziewczynki. Życie jest trudne — dodał poważnym tonem, spoglądając na Maxa.

Zanim Max zdążył go jeszcze o cokolwiek spytać, Milan zapowiedział, że już wkrótce odwiedzi ich szef.

• • •

Kiedy Jozak na niego spojrział, Max był pewien, że nadeszła jego ostatnia chwila. Doszedł do wniosku, że utrzymywano go przy życiu wyłącznie z jakiegoś konkretnego powodu i że powód ten właśnie przestał być aktualny. Jozak był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Miał na sobie żółte dresowe spodnie i czarną skórzaną kurtkę. Jego dłonie były wielkości bochna chleba. Miał też uśmiech dziecka i oczy zabójcy: czerwone i wodniste, jakby przed chwilą wypił butelkę wódki bez zakąski. Usiadł na krześle i wyjaśnił Maxowi, jak od tej pory aż do końca jego życia będzie wyglądał ich układ. Bez względu na to, czy będzie to życie krótkie czy długie. Avram przysunął krzesło i usiadł obok nich. Ambia wyszła z pokoju. Milan podążył za nią i zamknął za sobą drzwi.

Rozmawiając z Maxem, Jozak patrzył mu prosto w oczy.

— Uratowałem wam życie i chcę, żebyście dalej żyli — powiedział.

Max skinął głową na znak, że zrozumiał.

— Ale mój brat, Ranko, nie żyje.

Max przeciągnął dłonią po spodniach, które dostał od Milana.

— Ranko zasługuje na to, żeby go pomścić. A wy zawdzięczacie mi życie. Może kiedyś będę potrzebował waszej

pomocy. Jeśli tak się zdarzy, skontaktuję się z wami, a wtedy macie zrobić, co wam każę.

Max przez chwilę się zastanawiał, o co Jozak mógłby go poprosić, ale szybko przestał zaprzętać sobie tym głowę.

— Na pewno was znajdę, bo dostaniecie ode mnie paszporty — kontynuował Jozak. Uderzył dwa razy dłonią w kieszeń na piersi. — Nie zostaniecie w Szwecji. Jesteś poszukiwany za zabicie dwóch policjantów i zamordowanie żony. Nie możesz tu zostać i opowiedzieć prawdy, bo policja się dowie, że nie byłeś tam sam, a wtedy zaczną węszyć i w końcu trafią do nas. Tego bym nie chciał. Macie wobec mnie dług wdzięczności. Dostałeś życie i wolność i musicie mi za to zapłacić. Wywieziemy was ze Szwecji. Jak będziecie chcieli się przeprowadzić z jednego miasta do drugiego, przyślecie mi pocztówkę, żebym o tym wiedział. Jeśli nie, będziecie mieć problem. Zrozumiałeś?

Max skinął głową, ale dalej się nie odzywał.

— To dobrze. Pocztówki będziesz wysyłał na dwa adresy, żeby na pewno doszły. Jedną na adres w Szwecji, drugą na adres w Belgradzie. Co miesiąc. Jak nie, to was znajdziemy. Kapujesz?

Max ponownie skinął głową.

— Uważasz, że to sprawiedliwe? — spytał Jozak.

— Tak — odparł załamany głosem Max.

— To dobrze — powiedział Jozak, podając mu rękę. — W takim razie wszystko uzgodnione.

Max wyciągnął rękę i poczuł, jak jego dłoń ginie w dłoni Jozaka. Kiedy wychodził z pokoju, Avram powiedział mu, że dostaną paszporty na nowe nazwiska. Nie muszą się martwić, bo oba są doskonałej jakości. Zostaną przez kilka dni u Milana, żeby

Annie wróciła do sił, ale potem będą musieli stąd zniknąć. Max Lander jest poszukiwany w całej Szwecji. Zostaną wywiezieni przez Kopenhagę do Amsterdamu. Tam przeczekają u znajomych Vitomira, którzy później przewiozą ich w inne miejsce.

— Do Paryża — zaproponował Max. — Chcemy pojechać do Paryża.

— Najpierw musicie się wydostać ze Szwecji — odparł z uśmiechem Avram. — A to nie będzie łatwe.

3

Munkenberg wpatrywał się w ostatnią stronę notesu Annie, który leżał przed nim na stole. *Sobota 17 października, posiadłość Töversta*. Poświęcił sporo czasu na przejrzanie wszystkich notatek, ale właśnie ta ostatnia nie daje mu spokoju. „Zostaw to i ciesz się ze świetnie wykonanej roboty”, powiedział przed wyjściem do domu jego przełożony. Ale jemu nie daje to spokoju. Coś tu się nie zgadza. Ogarnął go dziwny niepokój. Przecież siedemnasty października był bez wątpienia we wtorek. Lander albo się pomyliła, albo notatka ma jakieś inne, ukryte znaczenie. Ostatecznie doszedł do wniosku, że dziennikarka nie mogła się pomylić. Prawda musi być inna.

Wziął pustą kartkę i na samym środku napisał datę. Potem pod spodem dopisał rok. Rok temu siedemnasty października przypadał w poniedziałek. Poprzedni, 1987, był rokiem przestępnym i siedemnasty października przypadał w sobotę.

— Chyba coś tu mam — powiedział do siebie. Sięgnął po nową kartkę, żeby zapisać wszystkie lata, w których siedemnasty października przypadał w sobotę. Przez chwilę się wahał. Wstał szybko z krzesła i podszedł do szafy z dokumentami. Wysunął

górną szufladę i zaczął gorączkowo szukać teczki zawierającej kopię akt śledztwa prowadzonego przed laty w sprawie śmierci Karin Åkesson.

Jeszcze zanim znalazł właściwy dokument, był przekonany, że została zamordowana w sobotę siedemnastego października, a jej ciało znaleziono w jeziorze w pobliżu posiadłości Töversta.

Usiadł na skraju biurka z aktami rozłożonymi na kolanach. Godzinę później w miejsce podniecenia pojawiło się dziwne, nieprzyjemne uczucie. Wtedy zadzwonił telefon. Ktoś z sekretariatu poinformował go, że czeka na niego przesyłka. Zszedł na dół i odebrał kopertę bez nazwiska nadawcy. W środku znalazł kasetę wideo. Nagle poczuł, że wszystko jest nie tak, ale sam nie wiedział dlaczego.

4

Max zasnął przed telewizorem, który przyniósł im do pokoju Milan. Obudziła go Annie, wymachująca przez sen rękami. Musiał ją obudzić, bo w pewnej chwili zaczęła głośno krzyczeć. Spojrzał jej w oczy i pomyślał, że niespokojne spojrzenia, które widział u przyjaciół po jej zaginięciu, nawet w przybliżeniu nie kryły strachu tak wielkiego, jak ten, który był w jej oczach.

Położył dłoń na jej czole i Annie zaczęła oddychać spokojniej. Sięgnął po szklankę wody stojącą na szafce nocnej i podał ją Annie. Piła zachłannie, aż opróżniła całe naczynie.

Kiedy budziła się z nocnych koszmarów, cicho popłakiwała. A gdy jej wzrok odzyskiwał na krótko jasność widzenia, chwilę później znowu przepełniał go strach. Milan powiedział, że podał jej najsilniejsze środki uspokajające, jakie tylko miał. Max mu uwierzył.

— Przyszedłeś po mnie — powiedziała Annie. — Przyszedłeś i mnie uratowałeś.

— A czego się spodziewałaś? — zażartował Max i znowu pogłaskał ją po czole. — Wiesz, że nie znoszę samotności.

To samo Annie mówiła poprzedniej nocy, a on nie wiedział, czy zapomniała, czy chciała po prostu powiedzieć to ponownie. Przez chwilę znowu była kobietą, w której kiedyś się zakochał, tak jakby wszystko było jak zwykle.

— Mingus czuje się dobrze? — spytała.

— Tak — odparł Max.

— Zaraz, jak tylko będę mogła...

Max położył jej palec na ustach.

— Stopniowo wrócisz do sił — powiedział. — Ja i Mingus poczekamy, aż będziesz gotowa.

Sam wiedział najlepiej, że nic nie będzie już tak, jak dawniej. W miejsce tego, co kiedyś kochał, pojawiło się coś innego. Teraz od nowa musi nauczyć się ją kochać albo przynajmniej spróbować z tym żyć. W jej oczach i głosie była dawniej namiętność, a teraz zastąpiła ją twardość, która sprawiała mu prawie fizyczny ból.

— Musisz się z tym pogodzić, że nigdy ci o niczym nie opowiem — rzekła Annie, jakby czytała w jego myślach. — Chcę o wszystkim zapomnieć. I uciec gdzieś z tobą. Chcę, żebyś ty też zapomniał.

Max skinął głową.

— Obiecuj mi — poprosiła Annie.

Obiecał. Było to zbyt drobne kłamstwo, żeby ktoś mógł je zauważyć. Nawet on sam.

5

Munkenberg włożył kasetę do odtwarzacza wideo, nacisnął *play* i na ekranie telewizora ukazała się wykrzywiona strachem twarz Annie Lander. Jej nagim ciałem wstrząsały drgawki. Na ekranie pojawili się dwaj mężczyźni w czarnych kominiarkach. Jeden podszedł do Annie, objął ją od tyłu za szyję i szepnął jej coś do ucha. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia, nozdrza poruszały się szybko, jakby za chwilę miała stoczyć walkę. Nagle Munkenberg drgnął. Przewinął taśmę do tyłu, puścił ją drugi raz, zatrzymał i pochylił się jak najbliżej ekranu. Obraz nie był najlepszej jakości, ale jemu wystarczyło to, co zobaczył na przedramieniu mężczyzny, kiedy podwinął mu się rękaw koszuli: jedno z szesnastu ramion róży wiatrów, którą wytatuowano mu w pobliżu Wysp Zielonego Przylądka.

6

Patrik chodził do pracy i wracał do domu zazwyczaj tą samą drogą, najczęściej spóźniony. Było już po dziesiątej i Max od godziny czekał na niego za budynkiem Wyższej Szkoły Handlowej. Stał ukryty za krzakami z wózkiem, w którym leżał Mingus. Wózek po prostu ukradł — uznał, że policja nie będzie szukać ojca z dzieckiem. Mingusa musiał ze sobą zabrać, bo Annie zażyła tyle środków uspokajających, że nie obudziłby jej nawet nalot policji. Kiedy przyjaciel znalazł się od niego nie dalej niż metr, Max wyszedł zza krzaków. Patrik zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

— Co się, do cholery, dzieje, Max? — spytał.

Max opowiedział mu o wszystkim, a wtedy Patrik mocno go objął, mocniej niż zwykle. Długo trzymał go w ramionach i Max

dopiero po dłuższej chwili poczuł, że przyjaciel cały drży wstrząsany płaczem. Po kilku minutach uspokoił się na tyle, że mógł się już uśmiechnąć. Pochylił się nad wózkiem.

— Cześć, szkrabie — powiedział. — Miałeś naprawdę wielkie wejście.

Max się uśmiechnął. Po raz pierwszy od bardzo dawna. Wspomnił Patrikowi, że będzie musiał wyjechać z miasta.

— Chcę cię poprosić o pomoc w dwóch sprawach.

— Proś, o co tylko chcesz.

— Poczekaj, aż usłyszysz, o co mi chodzi. Najpierw odwiedź moją matkę i opowiedz jej o wszystkim, co się stało. Wyjaśnij, jak do tego doszło. Zapewnij ją, że wszystko się ułoży, ale pod warunkiem, że weźmie się w garść. Tylko nie dzwoń do ciotki Vivi — dodał z uśmiechem. — Kocha cię ponad wszystko, więc lepiej będzie, jak porozmawiasz z nią osobiście. Pojedź do niej.

— Załatwione. — Patrik skinął głową.

— A teraz druga sprawa — kontynuował Max. Pochylił się i wyjął spod wózka plastikową torbę. — Wszystko, co wiem, opisałem. To, co się wydarzyło, wszystko, o czym wie Annie — powiedział z nagłym grymasem na twarzy, jakby coś go ukłuło w bok. — Napisałem o tym, co się wydarzyło wieczorem, gdy tam pojechałem, i o tym, co się stało poprzedniego dnia. Dosłownie o wszystkim. Weź to i ukryj w bezpiecznym miejscu.

— Jasne — odparł Patrik, odbierając od niego torbę.

— Jest tam lista z nazwiskami. W pierwszym tygodniu każdego miesiąca będę ci wysyłał czystą widokówkę. Jak jej nie dostaniesz, skopiuj te materiały i wyślij po jednym komplecie do każdej osoby z listy. To dziennikarze. Zrozumiałeś?

— Tak — potwierdził Patrik. Jego wzrok mówił, że stara się wszystko zapamiętać i się zastanawia, gdzie ukryć materiały będące czymś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej jego przyjaciela.

— Jeśli będę chciał kogoś z tej listy usunąć, wpiszę jego nazwisko na widokówce jako nadawcę. Podobnie, jeśli będę chciał dopisać kogoś nowego. Nadażasz?

— Jak najbardziej.

— Jest jeszcze jedna sprawa.

— Trzecia? — spytał z uśmiechem Patrik.

— Muszę pożyczyć trochę pieniędzy.

— Ile?

— Nie wiem. Zanim znajdziemy z Annie stałą pracę, przez jakiś czas będziemy w podróży. Jak myślisz, ile będzie nam potrzeba?

— A dokąd jedziecie?

— Do Paryża.

Patrik roześmiał się i pokręcił głową.

— Fajnie, że wybraliście takie tanie miasto.

— Mamy swoje powody — odparł Max, klepiąc go po ramieniu.

— Jasne, Paryż to zawsze Paryż — stwierdził Patrik, unosząc głowę. Z jego ust wydobywała się para, która przypominała dym z papierosa. — Już się więcej nie zobaczymy, prawda? — spytał ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Max spojrzał na niego i nagle poczuł się staro.

— Nie, przyjacielu, nie sędzę.

Patrik skinął w milczeniu głową.

— Jesteś moim najlepszym przyjacielem — powiedział. — Kocham cię jak brata. Może już nigdy się nie zobaczymy. Mam na koncie niewiele ponad sto tysięcy koron. To nasze oszczędności. Jutro rano wypłacę tyle, ile pozwoli mi bank. Przyjdź wieczorem i przygotuj się, że znowu zmarzniesz. Resztę przekażę ci w jakiś inny sposób. Coś wymyślimy. Na jakiś czas powinno ci to wystarczyć.

— Jesteś pewien?

— Nigdy wcześniej nie byłem niczego tak pewien. — odparł z uśmiechem Patrik.

Max z trudem powstrzymywał się od płaczu, bo wiedział, że jeśli znów go obejmie, rozstanie będzie jeszcze trudniejsze.

— Będę musiał o wszystkim opowiedzieć Lisie, gdy znowu zacznie marudzić, żebyśmy sobie sprawili letni domek. Chyba coś znalazła koło Söderköping — kontynuował Patrik.

Max wybuchnął śmiechem. Trzęśli się ze śmiechu tak samo, jak wiele razy przedtem. Aż łzy ciekły im po policzkach.

Następnego wieczoru Patrik przyniósł pieniądze w to samo miejsce. Objęli się ostatni raz.

— Gdybym wiedział, że Lisa się nie pogniewa, pocałowałbym cię na drogę — powiedział Max chwilę przed rozstaniem.

— Max! — zawołał jeszcze na odchodnym Patrik, gdy dzieliło ich już kilka kroków.

Max odwrócił się.

— Wygraliśmy z Evertonem trzy do jednego. Dwie bramki zdobył Rush.

Ostatnie derby. Patrik wykonał zwycięski gest.

Max uniósł kciuk.

— Kto strzelił trzeciego gola? — spytał.

— Barnes — odparł Patrik. Głos całkowicie mu się załamał.

Patrzyli na siebie przez chwilę, po czym każdy z nich ruszył w swoją stronę, nie oglądając się za siebie.

7

Mrok panujący w pokoju rozjaśniał blask bijący z ekranu telewizora, na którym zastygł niewyraźny fragment nagrania. Tylko ktoś, kto oglądał kasetę wcześniej, mógłby się domyślić, że nagranie przedstawia dwóch mężczyzn i kobietę.

— Max Lander jest niewinny — powiedział Munkenberg, próbując spojrzeć w oczy dwóm siedzącym przed nim mężczyznom. Potem przeniósł wzrok na szczupłego człowieka, który stał oparty o ścianę w drugim końcu pokoju. — Na nagraniu jest ktoś inny. Wiem, kim są.

Munkenberg opowiedział wcześniej o kasecie szefowi wydziału zabójstw i to on zwołał nieformalne spotkanie.

— Może nagranie pochodzi z wcześniejszego okresu? — spytał Björn Dahlén. — Przecież mógł je nam podesłać mąż tej dziennikarki.

— Data nagrania zapisała się na kasecie automatycznie. W czasie kiedy powstawały te ujęcia, Lander był zupełnie gdzie indziej. Na przykład u nas, na komendzie. Poza tym rozpoznaję miejsce, z którego pochodzi nagranie. To dom, gdzie wszystko się rozegrało.

— O czym ty gadasz? — spytał Klas Lindholm z Centralnego Urzędu Śledczego.

— Kasetę została nagrana w posiadłości Töversta. Na nagraniu widać, jak dwaj faceci torturują Annie Lander. Jeden

ma na przedramieniu ten sam tatuaż, co Kay Orha. Drugim, sądząc po budowie ciała, jest Theorin. Obu znaleziono martwych na miejscu. Zostali zastrzeleni. Annie Lander znikła, a ten, kto przysłał nam tę kasetę, na pewno o wszystkim wie. Oryginał niewątpliwie przechowuje w bezpiecznym miejscu.

W pokoju zapadła cisza.

— Skąd mamy wiedzieć, że nagranie trafiło tylko do nas? — spytał po chwili Lindholm.

— Myślę, że nadawcy chodziło o to, aby oczyścić z winy Maxa Landera. Winni już nie żyją. To Orha i Theorin. Nagranie to groźba: dajcie sobie spokój, bo wyślemy ten materiał innym.

— Co powinniśmy zrobić? — spytał Dahlén.

— Musimy ujawnić nagranie bez względu na to, co naprawdę się stało.

— I opowiedzieć wszystkim, że mieliśmy w policji dwóch szaleńców?

— Jeśli to ci sami, co na nagraniu — wtrącił Lindholm. — Nie powinniśmy zapominać, że rozmawiamy o policjantach, którzy mają za sobą piękne kariery.

— Szukamy niewłaściwego sprawcy — zaprotestował Munkenberg. — Rozmawiamy przecież o ludzkim życiu.

— Moi panowie — włączył się do rozmowy mężczyzna przy ścianie. Do tej pory jeszcze nie zabrał głosu. Był to Bo Nathansson, szef wywiadu w Centralnym Urzędzie Śledczym. — Brak powodów, żeby tę sprawę przeciągać. Wszyscy wiemy, że wydarzyły się straszne rzeczy, mamy ofiary i sprawców, chociaż można by dyskutować, kto jest kim. Ale to mniej ważna kwestia. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko zapomnieć o nagraniu.

Nawet jeśli jest tak, jak mówi Munkenberg. Nie wolno nam tego opublikować. Społeczeństwo straciłoby zaufanie do policji. A ci dwaj na nagraniu nie żyją. Zostali już ukarani. Czy jest coś, co kłóci się z tezą, że zabił ich Lander? Możemy udać, że o niczym nie wiemy...

— Na to nie mogę się zgodzić — przerwał mu Munkenberg. — Tak nie wolno. Orha i Theorin to przestępcy. Są też inne sprawy, które...

— Nawet jeśli są dowody, które potwierdzają twoją teorię — przerwał mu Nathansson — i tak nie możemy być niczego pewni, prawda? Nie możemy o to spytać ani Theorina, ani Orhy, prawda?

— Nie, ale na nagraniu widać...

— Zapomnij na chwilę o kasecie. Zastanów się nad tym, co się stało, i nad różnicą między ujawnieniem a nieujawnieniem nagrania — powiedział Nathansson. Stanął za Dahlenem i Lindholmem, którzy lekko się pochyłili. — Na końcu dojdiesz do wniosku, że korzyści związane z taką decyzją wcale nie są większe od jej wad, tymczasem korzyści z nieujawnienia nagrania są znacznie większe.

— Nie wiemy, od jak dawna Orha i Theorin dopuszczali się takich przestępstw — rzucił Munkenberg. — Mogli mieć na sumieniu więcej ofiar.

Nathansson podszedł do stołu, pochylił się i spojrzał na Munkenberga.

— Jak myślisz, kogo dokładnie prześwietlą, jak już przyjdzie co do czego? Nie ciebie? — spytał.

Munkenberg nie odpowiedział.

— Musisz stanąć po naszej stronie i spojrzeć na całą sprawę z szerszej perspektywy. Możemy ci zaufać?

Nathansson stał tak blisko, że Munkenberg czuł na policzku jego oddech.

— Dużo stracisz, jak nie będziesz grał w zespole — szepnął.

— O co ci chodzi?

— Ty też masz swoje tajemnice. Źle by się to dla ciebie skończyło, gdyby wyszły na jaw.

Munkenberg spojrział na niego uważnie. Nathansson pochylił się jeszcze bardziej.

— Rok temu, w pewną grudniową noc, poszedłeś za naszą koleżanką z komendy, Ceciliją Andén, do jej domu. Olała cię na policyjnej imprezie, a jak wyszła, poszedłeś za nią i wszedłeś do jej domu. W środku nocy zadzwoniłeś do jej drzwi, a gdy nie chciała otworzyć, krzyknąłeś przez otwór na listy, że jest kurwą, a potem nasikałeś jej przez ten otwór do mieszkania — powiedział Nathansson. Spojrział przez ramię na dwóch pozostałych policjantów, którzy stali ze spuszczonym wzrokiem. — Gdyby informacja o tym zdarzeniu wyszła na jaw, zniszczyłaby twoją reputację i zaszkodziła twojej wspaniałej karierze w policji. Zgadzasz się ze mną?

Nathansson spojrział na Munkenberga, który stał przed nim ze spuszczonym wzrokiem. Nathansson musiał tam wtedy być. Stał za drzwiami i widział, jak jego mocz ścieka na podłogę. To on nie pozwolił jej otworzyć drzwi, zabronił użyć policyjnej pałki i dać mu to, na co zasłużył. Nathansson obiecał jej wtedy, że dopilnuje, aby Munkenberg dostał za swoje. I właśnie teraz trafia mu się okazja. Cecilia o wszystkim zaświadczy, jeśli ją o to poprosi.

— Musisz zdecydować, po której stoisz stronie. Prawda w tym przypadku niczego nie zmieni. Dałeś już ludziom to, czego chcieli, sprawcę. I na tym koniec. Rozumiemy się?

Munkenberg spojrział mu prosto w oczy. Nathansson cofnął się o krok, poklepał go po ramieniu i odwrócił się do obu policjantów.

— Bez względu na to, co widzieliśmy na nagraniu, istnieją powody, by sądzić, że Max Lander popełnił podobne przestępstwa, więc nie musimy go żałować. Zabezpieczyliśmy ślady, które łączą go z dziewczyną znaną w Rosersbergu. To bardzo mocne dowody.

— Jakie dowody? — spytał Dahlén, spoglądając na niego ze zdumieniem. — O żadnych dowodach nie słyszałem.

— To kup jutro rano gazetę — odparł Nathansson; na jego twarzy pojawił się arogancki uśmiech, którego jego koledzy szczerze nie znosili.

Po tych słowach wyszedł z pokoju. Był pewien, że udało mu się osiągnąć zamierzony cel.

To, że Orha i Theorin nagrywali scenę, w której gwałcili kobietę, należy uznać za prawdziwy skandal. Jednak dla niego o wiele większym problemem było to, że zostali przyłapani na gorącym uczynku i zastrzeleni.

8

— Gdzie ty się, kurwa, podziewałeś? — krzyknął do słuchawki Buster Droth. — Szukam cię od kilku dni!

— To jakieś szaleństwo — odparł Kenneth. Mówił takim głosem, jakby się bał, że ktoś zakradnie się do niego od tyłu. — Ranko nie żyje.

— Ranko?

— Brat Vitomira.

— Wiem, kurwa, kim jest Ranko. Mówisz, że nie żyje?

— Nikt nic nie wie. Coś paskudnego wisi w powietrzu.

— Kurwa. — Busterowi od razu przypomniały się pieniądze, które wysłał Jozakowi.

— Rozmowa z Jozakiem nie ma teraz najmniejszego sensu. Facetowi kompletnie odbiło. Oszalał. To jakaś paranoja.

— Jak to się stało?

— Podobno Ranko i jego kumple szukali jakiegoś faceta. W pewnej chwili ktoś wyjął pistolet i strzelił Rankowi w twarz. A potem podziurawili jego. Opowiedział mi o tym kumpel Ranka, Djordje, ale obiecałem, że się nie wygadam. Kurwa, to kompletna porażka — powiedział z nerwowym uśmiechem Kenneth.

— Hm... — mruknął Buster. Myśłami był gdzie indziej.

— Czytałeś o tym psychopacie, który zastrzelił dwóch gliniarzy?

— Tak — odparł Buster. Elementy układanki zaczęły nagle tworzyć całość.

— Podobno załatwił pięć dziewczyn, może nawet więcej. Mam nadzieję, że gliny złapią tego skurwiela i go zastrzelą. Brat mojego kumpla pracuje w policji. Podobno jest cicha umowa, że jak go dopadną na ulicy, to zabiją. Przeszukują całe miasto. Ciągłe dzwonią ludzie, którzy chcą dostać nagrodę. Myślę, że złapią go lada moment.

— Jaką nagrodę?

— Dwa miliony za informację, która pomoże go ująć. Słyszałem o tym, jak byliśmy wczoraj na mieście z Mogge. Dwa

melony! Jestem pewien, że ktoś go sypnie i zgarnie kasę.

Buster nie odpowiedział, tylko odłożył słuchawkę. Wszystko zaczynało stopniowo tworzyć logiczną całość.

Wstając od stołu, zauważył, że jego spocone dłonie zostawiły na blacie wilgotne plamy. Zaczął chodzić po pokoju. Wygląda na to, że prasa nie wie, że na miejscu zginął także Ranko. Na myśl o tym, że Vitomir prawdopodobnie wszedł na wojenną ścieżkę, poczuł niepokój. Theorin i Orha grali o wysoką stawkę i przegrali, a on stracił dwóch ludzi, z którymi łączyły go wspólne interesy. Zawsze, kiedy chciał, podsyłali mu dziewczyny i pomagali w trudnych chwilach.

Dziewczyny prawie nigdy nie okazywały strachu, chociaż jemu wcale nie chodziło o seks. Był tylko pretekstem. Chodziło o to, że jest tak potężny, że może robić, co tylko chce. Od czasu do czasu musi sobie o tym przypominać i właśnie do tego służą mu kobiety. Nie ma nic przeciwko prostytutkom, ale zdarzyło mu się posunąć za daleko i kilka z nich straciło życie. Sprawy wymknęły się spod kontroli, gdy razem z Orhą i Theorinem zabawiali się z tamtą kobietą z Europy Wschodniej. To było dwa miesiące temu, gdy w posiadłości urządzili sobie zakrapiany weekend. Zostawili ją potem w lesie, a policja uznała, że doszło do nieszczęśliwego wypadku. Wystawił się wtedy na niepotrzebne ryzyko. Teraz obu świadków już nie ma i choćby z tego względu ich śmierć jest mu na rękę. Zresztą i tak nie ma się czego obawiać. Na pewno nie trafi za kratki, bez względu na to, czy policja dotrze do świadków. Ci, którzy są wtajemniczeni, zawsze pamiętają, aby nie zostawić po sobie żadnych śladów. Jednym z nich jest dyrektor zakładu medycyny sądowej w Solnie. Kiedy

dziewczyny trafiały tam na sekcję, były czystsze niż kiedykolwiek w całym swoim życiu. Wszędzie ma ludzi, którym płaci, żeby chronili innych. Dzięki temu sprawy przebiegają zawsze tak, jak chce. Od początku do końca.

I nagle wszystko zaczyna się walić. Jeden z tych, którzy mieli chronić innych — Ranko — dostaje w czapę. Ktoś zabija Orhę i Theorina, zabiera kobietę i znika. Tak to musiało wyglądać. Co to oznacza? Że dziennikarka i jej mąż nadal żyją i są na wolności. Jeśli Jozak dojdzie do tego samego wniosku co on, łatwo ustali, co go łączyło z Theorinem i Orhą. Wystarczy, że z nią pogada. Ciekawe, co Orha powiedział, zanim odstrzelili mu twarz. Może Jozak już o wszystkim wie? Na liście osób zamieszanych w śmierć Ranka pojawi się też jego nazwisko. Buster Droth. Policji się nie boi, ale boi się Vitomira Jozaka.

9

Nathansson stanął za biurkiem. Dobrze wiedział, co się zdarzy, jeśli wyjdzie na jaw, że dwaj zabici policjanci byli na miejscu zbrodni tylko dlatego, że torturowali i gwałcili kobietę, a na dodatek nagrywali to na wideo. Ten zaś, który ich zastrzelił, w rzeczywistości uratował kobiecie życie. Spotkania Theorina i Orhy z Annie Lander nie uda się przedstawić jako przypadkowego. Skoro obaj chcieli się zabawić, mogli wybrać prostytutkę zamiast dziennikarki ze znanej gazety. Każdy uzna, że przywieźli ją tam z jakiegoś powodu. Od razu pojawi się pytanie: dlaczego właśnie ją? Odpowiedź nasunie się sama: bo ktoś ich o to poprosił, bo wykonywali zlecenie. Potem stanie się to co zawsze: zbyt wiele osób zacznie się interesować zebrany przez nią materiałem, a więc ci, którzy do tej pory czuli się

bezpiecznie, zaczną się bać. A przecież to on powinien zadbać, aby nadal się tak czuli. Jakiś pismak może też w końcu odkryć najciemniejszą z tajemnic ukrywanych przez rodzinę Drothów: że Annie Lander jest nieślubnym dzieckiem Johana.

On sam dowiedział się o tym od Bustera przed rokiem. Jeśli prawda wyjdzie na jaw, ludzie zaczną się zastanawiać, co stało się z jej matką. Od razu sobie przypomną, że jej ciało znaleziono nad jeziorem, kilka minut drogi od domu Johana Drotha, który spłonął w tym samym czasie. Rodzinę Drothów zaczną podejrzewać o ukrywanie prawdy.

Nathansson się zamyślił. Dobrze wiedział, czym to się skończy: albo uwaga wszystkich skupi się na Busterze, którego rozpozna prawie każda prostytutka w Sztokholmie, i zostanie uznany za podejrzanego, albo światła reflektorów skierują się na Johana. Jeśli ktoś ujawni prawdę o jego nieślubnej córce, będzie skończony. Poza tym śledztwo, w którym oni sami dopuścili się tylu zaniedbań, też zostanie prześwietlone, a wtedy może się to źle skończyć nie tylko dla Drotha. To też trzeba wziąć pod uwagę.

Mając to wszystko na względzie, Nathansson sięgnął po słuchawkę, żeby zadzwonić do swojego zleceniodawcy.

10

Buster odłożył słuchawkę. Podszedł do okna, wyjrzał na ulicę i popatrzył na dom po drugiej stronie. Może Jozak już tu jedzie? Nathansson przekazał mu nowe informacje, na co on stwierdził, że byłoby zbyt dużym zbiegiem okoliczności, gdyby się okazało, że Ranko pojawił się w tamtym miejscu dokładnie w tym samym czasie, co Orha i Theorin, i że coś musi łączyć Maxa Landera z Jozakiem. Nathansson doszedł do wniosku, że mogłoby to

wyjaśnić sposób, w jaki zginęli obaj jego ludzie.

— Jest bardziej prawdopodobne, że dwóm policjantom odstrzelił głowy płatny morderca, a nie gitarzysta jazzowy — powiedział Nathansson.

— Na tym polega problem — odparł Buster. — Nie wystarczy, że okłamiemy policję i opinię publiczną. Będziemy też musieli nakłamać Jozakowi. W końcu domyśli się prawdy, a to może oznaczać wielkie problemy dla naszej rodziny. Mój ojciec może dojść do tych samych wniosków wcześniej niż Jozak, a wtedy i tak będę załatwiony.

Ojciec się dowie, że wypłacił pieniądze z konta na Curaçao. Gorzej, jeśli dowie się o rytualnych orgiach i martwych kobietach... To będzie mój koniec, pomyślał Buster.

— A może nie powinniśmy nikogo okłamywać? — rzucił Nathansson.

— Co masz na myśli?

— Dowody wskazują na to, że sprawcą jest Max Lander. Prasa i policja będą długo podążać tym tropem. Tymczasem my skontaktujemy się z Jozakiem i przedstawimy mu naszą wersję zdarzeń.

— Chyba zwariowałeś. Myślisz, że Jozak uwierzy policji, a nie swoim ludziom?

— Czasem najlepszą obroną jest atak.

— No i?

— Właśnie mamy taką sytuację. Musimy zaatakować.

• • •

Najlepszą obroną jest atak, pomyślał Buster. Dlatego od razu sięgnął po słuchawkę, żeby zrobić pierwszy krok.

11

Annie i Max oglądali telewizję, gdy do pokoju wszedł Jozak. W ręce trzymał gazetę.

— Posłuchajcie — powiedział, pokazując im pierwszą stronę. — „Mężczyzna zamieszany w zamordowanie siedemnastolatki. Policyjne źródła podają, że policja ma profil DNA zabezpieczony w posiadłości Töversta. Jest on zgodny z profilem, który zabezpieczono w czasie sekcji zwłok siedemnastolatki znalezionej przed rokiem w Rosersbergu. Policja uważa, że to mocny dowód na poparcie tezy, że wspomniany mężczyzna (trzydzieści dwa lata) może być powiązany z wieloma innymi zabójstwami kobiet w Sztokholmie”. Co to za dowody? — spytał Jozak, opuszczając gazetę.

— Gazety zawsze podają zmyślane informacje — zachnął się Milan.

— To nie są wymysły — zaprotestowała Annie, patrząc na Jozaka.

Wszyscy spojrzeli na nią zdumionym wzrokiem.

— To nie są wymysły? — powtórzył Milan.

Annie pokręciła głową.

— Pobrali próbki krwi z posiadłości Töversta i porównali ze spermą z prezerwatywy, którą wyjęli z brzucha zabitej dziewczyny z Rosersbergu. Wyniki analizy w dużym stopniu się pokrywają.

Mężczyźni nadal patrzyli na Annie w milczeniu.

— Niedawno rozmawiałam ze znajomym lekarzem sądowym. Zdradził mi, że w żołądku dziewczyny policja znalazła prezerwatywę. Zawierała ona dość śladów biologicznych, żeby

pobrać próbki i wysłać je do analizy DNA do pewnej firmy w Anglii. Pewnie próbki krwi też tam wysłali i otrzymali odpowiedź, że wyniki się pokrywają. Niestety, trochę tu namieszali albo policja celowo wprowadziła ich w błąd. Myślą, że krew z domu należy do Maxa. Ale to moja krew. Podczas drugiej analizy DNA badali moją krew.

— Twoją? — zdziwił się Milan.

— Tak, moją.

— A czyja była ta prezerwatywa znaleziona w żołądku? — spytał Jozak.

— Johana Drotha — odparła Annie. — Podejrzewam, że tę dziewczynę zabił on albo jego syn, to znaczy mój przyrodni brat. Niedawno się dowiedziałam, że Johan Droth jest moim ojcem. To dlatego policja myśli, że mają profil DNA osoby, która była w obu tych miejscach. Strasznie im zależy, żeby wsadzić Maxa za kraty, więc przypuszczam, że nawet mniejsza zgodność obu profili doprowadzi ich do wniosku, że znaleźli sprawcę.

Jozak patrzył spod zmrużonych powiek to na Maxa, to na Annie. Sam nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Już chciał coś powiedzieć, gdy nagle zadzwonił telefon Avrama.

— Vitomir, słucham.

— Dzwonił do mnie Buster — powiedział Olsson.

— Czego chciał?

— Chce się z tobą spotkać.

— Po co?

— Twierdzi, że ma informacje o tym, co tam się stało.

Jozak patrzył przez chwilę na Landerów.

— Skąd dzwonił? — spytał po namyśle.

— Z domu.

— To znaczy skąd?

— Poczekaj chwilę — odparł Olsson. Odłożył telefon i po chwili znowu się odezwał: — Z Danderydsgatan sześć.

— Spotkamy się tam za pół godziny.

Jozak popatrzył na Landerów i uderzył Avrama gazetą w ramię.

— Zanim wrócę, macie dokładnie wyjaśnić Avramowi, co się stało. Chcę poznać całą prawdę. Jeśli mi się nie spodoba, będzie to oznaczać, że uratowałem was niepotrzebnie.

12

Leif Gustafsson sprawdził przez ostatnie dni setki informacji, które wpłynęły na policję. Ta, którą przysłał Harry Modin, nie różniła się zbytnio od innych. Była krótka i dotyczyła pewnego mieszkania, do którego w tym samym dniu, gdy zostali zabici dwaj policjanci, wprowadziło się kilka osób. Nowi lokatorzy całymi dniami siedzieli w mieszkaniu i wychodzili tylko nocą. Gustafsson chciał już odłożyć kartkę na stos im podobnych, ale postanowił jeszcze sprawdzić adres. Na ekranie monitora pojawiło się imię i nazwisko: Milan Gvero. Na początku próbował sobie wmówić, że obce brzmienie nie ma tu żadnego znaczenia, ale na wszelki wypadek odłożył kartkę na drugą kupkę z informacjami przeznaczonymi do dalszego sprawdzenia. Nazwisko brzmiało znajomo i dlatego położył kartkę na wierzchu.

13

Była to ostatnia rzecz, którą Max postanowił zrobić przed wyjazdem do Kopenhagi. Już wkrótce będą musieli opuścić swój

dom. Zdjęcia, płyty, meble, które razem kupowali, ubrania, które dostał od Annie w prezencie — wszystko musi zostać i niczego nie wolno im ze sobą zabrać. Jest jednak coś, czego nie zostawił: swojej gitary. Dostał ją od Annie i nie ma mowy, żeby ją zostawił. Począł, aż Annie zaśnie, poszedł do metra i wszedł do składu jadącego w stronę centrum.

Na Brunnsgatan było pusto. Minęła trzecia, klub od kilku godzin był zamknięty. Klucz dostał od C. Był wśród rzeczy, które zabrali z samochodu. Ostrożnie włożył go do dolnego zamka, przekręcił i pchnął drzwi, które powoli się uchyliły. Odczekał chwilę i wszedł do środka. Przez pewien czas stał nieruchomo w ciemnościach. Wszędzie było czuć alkoholem, ludzkim potem i dymem papierosowym. To był na pewno dochodowy wieczór. Ciekawe, czy o nim rozmawiali, a jeśli tak, to co mówili.

Wszedł za kontuar i nalał sobie piwa. C. postawi mu ostatnią butelkę. Wypił dwa duże łyki i wszedł do „łóży”, jak ją żartobliwie nazywali. Była to zwykła, niewielka kanciapa na zapleczu. Zabrał swój futerał, wrócił do sali, położył go na kontuarze i otworzył. Instrument nadal tam był. Znalazł też zdjęcie Annie.

Zamknął futerał i odstawił butelkę do pustej skrzynki pod ladą. Zamknął drzwi i przez chwilę stał z kluczem w dłoni. Wrzucił go w otwór na listy i usłyszał, jak upada na podłogę. C. wie, kim jest. Nie lubi policjantów.

Wszedł do metra i patrzył na kolejne mijane stacje. Wszędzie było ciemno. W wagonie oprócz niego nikogo nie było. Jakiś spóźniony przechodzień wszedł na stacji Hornstull i poszedł na tył wagonu, który tonął w cieniu. Max nie widział jego twarzy.

Pociąg zatrzymał się jeszcze na kilku stacjach, ale nikt więcej nie wsiadł.

• • •

Avram załatwił volvo. Djordje wjedzie nim na prom odchodzący z Helsingborga do Danii. Max będzie leżał z tyłu owinięty w koc. Annie i Mingus pojedą tym samym samochodem. Będą się zachowywać jak zwykła rodzina, która jedzie na wakacje. Zostało im niewiele czasu. Rzeczy są już spakowane do samochodu. Na wypadek gdyby musieli się pośpieszyć. Avram zdrowo opieprzył Maxa za to, że poszedł w nocy po gitarę, ale na szczęście nie powiedział o tym Jozakowi. Policja przeszukała całe Söderort. Sąsiedzi Milana pewnie już się domyślają, że coś jest nie tak. Wyliczył, że za dwa dni będą musieli wyruszyć na południe.

14

Gustafsson dowiedział się, że z góry przyszło polecenie, aby szczególną uwagę zwrócić na informacje, które w jakikolwiek sposób wiążą sprawę Annie Lander i zabitych policjantów z jugosłowiańskim środowiskiem przestępczym. Dlatego jeszcze raz przewertował wszystko, co dotyczyło Milana Gvery. Przeprowadził rutynową kontrolę jego danych osobowych, przejrzał katalog skazanych, zadzwonił do urzędu skarbowego, do ubezpieczalni i na samym końcu do urzędu prowadzącego rejestr przedsiębiorstw. Z zebranych informacji wyłaniał się stopniowo obraz człowieka związanego z Vitomirem Jozakiem. Gustafsson przeprowadził kilka dodatkowych rozmów i dowiedział się, że Gvero jest lekarzem. Specjalizuje się w udzielaniu porad osobom poszkodowanym, które z różnych

względów wolą nie pokazywać się w szpitalu, bo na przykład nie chcą się spotkać z policją. Państwowe Laboratorium Kryminalistyczne zabezpieczyło ślady krwi z posiadłości Töversta. Pochodziła przynajmniej od trzech osób. Max i Annie odnieśli rany, a jeśli ich obrażenia były poważne i sami nie mogli o siebie zadbać, ich jedynym ratunkiem mógł być Gvero. Ale jak nawiązali z nim kontakt? Coś mu podpowiada, że maczał w tym palce Jozak. W światku przestępczym krążą pogłoski, że Ranko Jozak nie żyje. Może to on był w Töversta tą trzecią osobą? Max Lander na pewno nie jest sprawcą podwójnego zabójstwa, ale na wszelki wypadek Gustafsson dokładnie sprawdził każdą informację, żeby nikt nie mógł mu później zarzucić, że zaniedbał obowiązki. Teraz góra znowu na niego naciska. Dał facetowi dwa dni forów, ale więcej nie może dla niego zrobić.

Podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić do szefa wywiadowców, Bergqvista.

— Mam coś ciekawego — powiedział.

• • •

Rakel Björck mieszkała na trzecim piętrze. Kiedy szła do zsypu, żeby wyrzucić śmieci, nawet nie zapaliła światła na schodach. Był już wieczór, po siódmej. Na klatce było ciemno, ale kontakty na ścianie jarzyły się na pomarańczowo. Rakel była już w połowie drogi do zsypu, gdy nagle napotkała grupę uzbrojonych mężczyzn, którzy cicho i szybko wchodzili na górę. Na ich widok przywarła do ściany, ściskając kurczowo worek ze śmieciami. Jeden z mężczyzn — w mroku nawet nie zauważyła który — wyjaśnił jej, że są policjantami. Zapewnił, że nie musi się niczego obawiać, ale lepiej niech wróci do mieszkania, zamknie

drzwi i nie wychodzi.

Harry Modin mieszkał w budynku naprzeciwko na czwartym piętrze. To on zadzwonił na policję i przekazał ważną wiadomość. Jego żona leży w łóżku i powoli umiera, a on albo siedzi przy niej, albo w swoim fotelu. Wsłuchuje się w dźwięk przypominający charczenie, które z każdym dniem coraz bardziej słabnie. Modin wiedział, że życie jego żony, z którą spędził tyle lat, powoli się kończy. Po każdym takim czuwaniu przy niej ma kłopoty z zaśnięciem, więc zamiast przewracać się w łóżku z boku na bok, idzie do kuchni i wygląda przez okno. W całym mieszkaniu właśnie w tym miejscu jego ból jest najłatwiejszy do zniesienia. Zaczął nawet palić. I co z tego? Ma siedemdziesiąt lat, wkrótce i tak zostanie sam. Którejś nocy, między jednym papierosem a drugim, zwrócił uwagę na młodego mężczyznę z wózkiem dziecięcym. Kto wychodzi z dzieckiem na spacer w nocy? I kto spędza całe dni w domu? Poszedł do szafy, wysunął szufladę ze zdjęciami i wyjął z niej lornetkę. Obserwował jedno okno za drugim, aż znalazł mieszkanie, którego szukał. Firany były zasunięte, ale dzięki lornetce udało mu się zobaczyć, że w środku jest kilku mężczyzn. Coś mu się nie zgadzało, więc zadzwonił na policję i opowiedział o tym, co widział. Policja zareagowała dopiero teraz.

• • •

Policjanci zatrzymali się przed drzwiami mieszkania. Na klatce schodowej panowała cisza. Pierwszy z nich trzymał pistolet maszynowy MP5 skierowany lufą w stronę drzwi. Jeśli w środku jest zabójca obu policjantów, muszą być gotowi użyć broni. Policjant nazywał się Torsten Enlund, w policji pracował

od piętnastu lat i miał nadzieję, że bydlak, którego mają aresztować, da mu okazję, żeby zastrzelił go na miejscu. W razie najmniejszych wątpliwości strzeli. Nikt nie będzie miał do niego pretensji po tym, jak bandyta potraktował tamtych policjantów. Dwaj inni antyterrorysty, którzy stali obok niego, skinęli głową na znak, że są gotowi. Kilka sekund później wyłamali drzwi i wpadli do mieszkania, które od niedawna było przystanią dla Maxa i Annie.

Słyszając hałas dobiegający z przedpokoju, Milan Gvero wybiegł z pomieszczenia, które służyło mu za biuro. Nie słyszał, co mówią do niego intruzi, nie wiedział, kim są ani dlaczego zjawili się w jego mieszkaniu, nie słyszał ich poleceń. Podniósł ręce, a oni rzucili go brutalnie na ścianę. Chwilę później ujrzał przed oczami lufę pistoletu maszynowego.

— Gdzie oni są?! — krzyknął policjant.

— Kto? — spytał Milan.

Policjant z MP5 podszedł do niego tak blisko, że Milan poczuł na twarzy ostry zapach zgagi.

— Wiemy, że tu są.

— No to po co pytasz? — odparł Milan. Chwilę później dostał potężny cios w żołądek. Zamknął oczy i postanowił zachowywać się tak, jak powinien, to znaczy przeciągać sprawę jak najdłużej.

Na drzwiach do sypialni Milan powiesił kiedyś białą zasłonę. Nie chodziło mu o to, żeby coś ukrywać, pragnął zapewnić minimum prywatności pacjentom, gdyby miał kilku naraz. Nie chciał, żeby wchodzili sobie do pokoi. Nie wszystkim mógł ufać. Jeden z policjantów odsunął zasłonę, a ten, który go uderzył, spojrział na niego i zachnął się z pogardą. Pozostali zajęli

pozycje przy drzwiach. Jeden położył dłoń na klamce. Milan wiedział, że drzwi są zamknięte na klucz. Policjant cofnął się o dwa kroki, wziął zamach i z całej siły kopnął w drzwi na wysokości zamka. Drzwi wyleciały z zawiasów, a policjanci wpadli do środka.

• • •

Max, Annie i Djordje siedzieli w samochodzie i widzieli, jak Milan wychodzi z budynku w towarzystwie dwóch policjantów. Mingus spał na tylnym siedzeniu. Z okien wychylali się lokatorzy. Djordje zauważył policyjne radiowozy, jeszcze zanim skręcił do garażu. Dlatego przejechał ulicą z dozwoloną prędkością, aby nie zwrócić niczyjej uwagi. Wyjechał z miasta i zatrzymał się dopiero w Södertälje. Wysiadł z wozu i zadzwonił do Jozaka. Max obserwował, jak Djordje co jakiś czas się odwraca i patrzy na auto.

— Co powiedział? — spytał Max, gdy Djordje wrócił do samochodu.

— Zabrali Milana. Policja wie, że coś go łączy z Vitomirem. Vito uważa, że mogą też wiedzieć o mnie i o wszystkich innych, z którymi pracuje. Twierdzi, że jesteśmy spaleni.

— Spaleni?

— Nie mogę z wami zostać. Musicie pojechać sami.

— Sami? Jak to? — spytała Annie.

— Musicie coś wymyślić — odparł Djordje i poczerwieniał na twarzy.

— Ale co? — spytał Max. — Jest z nami dziecko. Jak sobie poradzimy?

— Vito tak kazał — odrzekł Djordje ze wzrokiem

skierowanym przed siebie. — Nie macie rodziny?

— Nikogo, kto mógłby nam pomóc w takiej sytuacji. — Max pokręcił głową. Przez chwilę nad czymś się zastanawiał. — Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko zostać. To jedyne wyjście.

Djordje spojrział na Annie, a ona skinęła na potwierdzenie głową.

— Nie wolno wam tu zostać — odparł Djordje. — Vito się nie zgodził. To zbyt duże ryzyko. On decyduje. Koniec dyskusji. — Przekręcił kluczyk w stacyjce.

— To nie moja decyzja — powiedział. — Muszę was teraz zostawić.

• • •

Sture Hult obserwował przez okno, jak obce volvo wjeżdża na jego podjazd do garażu. W chwili gdy pomyślał, że ktoś pomylił drogę i chce tylko zawrócić, w samochodzie otworzyły się przednie drzwi. Wysiadł z niego mężczyzna, który nie zamknąwszy drzwi i nie wyłączywszy silnika, obszedł samochód. Po nim wysiadły z niego jeszcze dwie osoby, które wyjęły ze środka dziecięcy wózek. Ruszyły powoli w stronę domu, a samochód opuścił podjazd i odjechał tam, skąd przyjechał. Hult rozpoznał Maxa dopiero w chwili, gdy ten stanął przed drzwiami i nacisnął dzwonek.

— Wchodźcie szybko — powiedział Hult. — Mam wścibskich sąsiadów, a o was trąbią w telewizji.

Annie i Max wprowadzili wózek do przedpokoju.

— Mogę skorzystać z toalety? — spytała Annie.

Hult skinął głową i nie spuszczał z niej wzroku. Poznał ją dzięki zdjęciom publikowanym w gazecie, choć wyglądała trochę

inaczej.

— Co się stało i co tu robicie? — spytał. — Kto jest w tym wózku?

— To nasz syn — odparł Max.

Hult cofnął się i oparł o zlewozmywak.

— Jestem niewinny i nie zrobiłem tego, o czym piszą gazety — dodał Max.

Do przedpokoju weszła Annie. Stała obok męża i oparła się o ścianę.

— Wiem o tym — powiedział Hult. — Ale, na miłość boską, co się stało?

— Nie mamy czasu, żeby teraz o tym opowiadać — odparła Annie. — Musimy wyjechać ze Szwecji. Jest pan jedyną osobą, do której możemy się zwrócić o pomoc. Niech nam pan pomoże, to po drodze o wszystkim opowiemy.

— Jak mam wam pomóc?

— Niech nas pan wywiezie z kraju — odparł Max. — Musimy się dostać do Amsterdamu, stamtąd pojedziemy dalej. Jeśli nas złapią, prawda nigdy nie wyjdzie na jaw.

— A nie możecie powiedzieć im prawdy? — spytał Hult, siadając obok nich na krześle. — Iść z tym do prasy?

— Jest wielu takich, którzy do tego nie dopuszczają. — Annie pokręciła głową. Spojrzała na niego z troską w oczach. — Od naszej ostatniej rozmowy wiem już trochę więcej o tym, jak ten kraj funkcjonuje.

— Ma pani na myśli policję?

— Tak, ale innych też.

— A ja tkwię w samym środku tego bajzlu — dodał Max. —

Znaleźli kozła ofiarnego i trzymają się swojej wersji.

— Dlaczego nie chce się pani ujawnić i pokazać, że żyje? Przecież policja twierdzi, że zamordował panią własny mąż.

— Z pewnych względów to niemożliwe — odparła Annie, wzruszając ramionami.

— A w redakcji? Nikogo tam pani nie ma?

— Komu mogłabym zaufać?

Hult skinął głową.

Annie przez chwilę się zastanawiała.

— Jest wiele osób, które lubię i szanuję. One szanują mnie. Na pewno by wysłuchały mojej wersji, ale co potem? Nie mają wpływu na to, co idzie do druku. Myślę, że nawet Bergström by mi pomógł, chociaż go oszukałam, ale mógłby przez to stracić pracę. A co dalej? Niczego by to nie zmieniło. Carl von Konow i tak zostanie na swoim stanowisku. Wikholm chciał dobrze, jestem tego pewna, ale zależy mu też na godnej emeryturze.

— Czyli w gazecie na nikogo nie może pani liczyć?

— Nie sądzę.

— A w policji? Może to głupie pytanie?

— Rozmawiałem tam z niejakim Gustafssonem — odparł Max.

— Odniosłem wrażenie, że mi uwierzył. Ale w gazetach pisali o dowodach. Już nie mogę mu zaufać.

— A w klubie, gdzie pan pracuje?

— W klubie jest C. Nie wierzy, że jestem zabójcą, ale nie chce wpaść w kłopoty. W takich sytuacjach zawsze udaje, że niczego nie widzi i nie słyszy. Może mógłby mi pomóc w nawiązaniu kontaktu, ale to ja mam wobec niego zobowiązania, a nie on wobec mnie.

— A przyjaciele? — spytał zrezygnowanym głosem Hult.

Max spojrział na Annie i wzruszył ramionami.

— Jeden prawnik i kilku urzędników bankowych — powiedział.

— I kilku muzyków jazzowych — dodała z uśmiechem Annie.

— W takim razie mamy do dyspozycji całą armię — podsumował Hult.

Wszyscy troje roześmiali się głośno.

— Ale bądźmy poważni — powiedział Hult. — Czy jeśli powiecie całą prawdę, zabrzmi ona wiarygodnie? Czy uda się na jej podstawie wskazać winnego i przedstawić rzeczywisty przebieg wydarzeń?

— Tak — zapewniła Annie.

— Na pewno?

— Na sto procent — stwierdziła bez wahania. — Istnieje tyle dowodów i poszlak, że nawet ci, którzy wątpią najbardziej, zaczną się w końcu zastanawiać. Pod warunkiem że prawda zostanie upubliczniona. Problem polega na tym, że prawda wyjdzie na jaw dopiero wtedy, kiedy napisze o niej prasa. Tylko że każda gazeta w Szwecji, która opiszę całą tę historię, znajdzie się natychmiast pod ostrzałem policji i rodziny Drothów, jeszcze zanim nakład zejdzie z prasy drukarskiej.

— Powiedziałaś coś istotnego.

— Co?

— Że żadna gazeta w Szwecji tego nie opublikuje. Boją się o swoją reputację, o to, że ktoś ich oskarży o zniesławienie. Mam rację?

— Tak, właśnie to miałam na myśli.

— A gdyby to była inna gazeta? — spytał Max.

— Nie rozumiem. Jaka?

— Taka, która ma w nosie Drotha i szwedzką policję? — zasugerował Max. — Gazeta, która nie ma nic wspólnego ze Szwecją, ale chętnie napisze artykuł o bogatym sąsiedzie z północy.

Zapadła cisza.

— Musicie pójść z waszą historią do jakiejś gazety zagranicznej, która się nią zainteresuje. Na przykład „Le Figaro” we Francji albo „Frankfurter Allgemeine Zeitung” w Niemczech. Jeśli ją wydrukują, szwedzkie gazety też się do niej odniosą. Władze będą musiały zareagować i zająć stanowisko. Dzięki temu sprawa wypłynie.

— Być może ma pan rację — zgodziła się Annie.

— Jasne, że mam — odparł Hult, uderzając pięścią w stół.

— Ale to nam nie pomoże — powiedziała Annie, a Max i Hult popatrzyli na nią rozczarowani. — Opublikowanie tej historii w zagranicznej gazecie wymaga czasu, a ja nie mam takich znajomości. Muszę nawiązać z kimś kontakt, przetłumaczyć tekst, wyjaśnić kontekst, przedstawić źródła. Gdybym miała dwa miesiące, coś bym może załatwiła. Ale nie mamy tyle czasu. Najwyżej dwadzieścia cztery godziny.

— Masz rację — zgodził się z nią Max. — Teraz nam się nie uda. Może w dalszej perspektywie, ale na pewno nie teraz.

Przez kilka minut panowała cisza. W końcu Hult wstał i przyniósł trzy szklanki. Postawił je na stole razem z opróżnioną do połowy butelką whisky i usiadł ciężko na krześle. Nalał sobie trochę alkoholu i spojrzał pytającym wzrokiem na Maxa.

— Nie, dziękuję — odparł Max.

— Napiję się wody — powiedziała Annie. Wzięła szklanę i podeszła do zlewu.

— Nie wiecie, co tracie — mruknął Hult i opróżnił szklanę do dna. Skrzywił się, nalał sobie jeszcze raz i powiedział: — Czasem rano wyprowadzam psa sąsiadki. Pracuje na nocną zmianę, a mąż jeździ służbowo. Wtedy im pomagam. Sąsiadka pracuje od północy mniej więcej do ósmej rano. Po pracy wraca do domu. Z mężem mają dwa samochody. Kiedy ich nie ma, kluczyki zostawiają u mnie. Zdarzało się, że przy brzydkiej pogodzie jeździłem którymś z nich do wiejskiego sklepiku.

— Sugeruje pan, że moglibyśmy z któregoś z nich skorzystać? — spytał Max z rozjaśnioną twarzą.

Hult spojrział na zegarek i wstał od stołu.

— W czasie podróży będziemy musieli coś zjeść. Niestety, nie wolno nam się nigdzie zatrzymywać — powiedział, otwierając spizarkę. Wybrał kilka pudełek i podał je Annie, która postawiła je na stole. — Spakujemy się do samochodu, kiedy moja sąsiadka pojedzie do pracy. Rano będziemy w Amsterdamie.

Annie zastygła z pudełkiem ciastek w ręce.

— Nawet się pan nie domyśla, ile to dla nas znaczy — powiedziała.

Hult przestał wyjmować rzeczy z szafki i spojrział na nią.

— Mam swoje powody — odparł. Wyszedł z kuchni i po chwili wrócił ze zdjęciem w ramce. — Może to pani zabrać — powiedział, podając je Annie.

Zdjęcie przedstawiało matkę Annie. Hult sfotografował ją wkrótce po przeprowadzce do Flen. Annie usiadła Maxowi na

kolanach i spojrzała na zdjęcie. Była tak bardzo podobna do matki, że łatwo można by je pomylić.

• • •

Tuż po północy Hult zgasił światło w całym domu i poszedł do sąsiadki. Po chwili w kuchni pojaśniało. Dwie minuty później wrócił z kluczami od samochodu. Zaczęli pakować rzeczy do bagażnika.

— No to w drogę — powiedział Hult i spojrzał na Annie, która zajęła miejsce na tylnym siedzeniu. — Przyda się nam trochę szczęścia. I świętego spokoju — dodał.

Jechali przez całą noc. Mieli tak dużo czasu, że o wszystkim zdążyli sobie opowiedzieć. Co pewien czas Annie i Max zmieniali się przy Mingusie. Wczesnym rankiem zatrzymali się na parkingu koło Ängelholmu, gdzie jeszcze raz dokładnie przedyskutowali wszystkie szczegóły związane z tym, co zrobią po przekroczeniu granicy. Max poszedł do budki telefonicznej, żeby zadzwonić do Jozaka i poinformować go o aktualnym miejscu pobytu. Spytał go też o Milana.

15

Kiedy ktoś zadzwonił do drzwi, Sissi pomyślała, że to Tomas. Codziennie rano przed wyjściem z domu czegoś zapomina: a to portfela, a to drugiego śniadania, a to kluczyków od samochodu. Roześmiała się i podeszła do drzwi. Dotarło do niej, że nie może się doczekać widoku jego zawstydzonej miny, gdy stanie w progu i powie, że znowu czegoś zapomniał i żeby mu to przyniosła. Nawet nie spojrzała w wizjer, tylko od razu otworzyła. Kiedy zobaczyła, że na klatce schodowej stoją Jugol i Avram Gavrić, chciała zatrzaskać drzwi, ale nie zdążyła. Mężczyźni weszli do jej

mieszkania.

CZEŚĆ PIĄTA

Czwartek 2 listopada 1989 roku — piątek 9 lutego 1990 roku

Zakończenie

1

Dwa dni wcześniej Johan Droth pojechał na południe. Teraz wraca drogą A4 na północ i niedługo minie Sarre-Union. Ruch był niewielki. W radiu leciał akurat utwór Erika Satie. Za oknami samochodu pojawiały się na przemian lasy i pola. Pola były jeszcze puste, korony drzew pokrywał szron.

Ten region należał kiedyś do cesarstwa rzymskiego. Później stał się częścią Królestwa Niemieckiego. Wynikało to z chęci kontynuowania tradycji, która zaczęła się dwa tysiące lat wcześniej. Regionem rządili Francuzi, Niemcy i znowu Francuzi. W 1940 roku przed katedrą w Strasburgu stanął Hitler, który z mównicy pytał zgromadzony tłum: „Czy musimy oddawać tę perłę Francuzom?”. Zebrani na placu Niemcy odpowiedzieli mu entuzjastycznie: „Nigdy”. Wkrótce potem Hitler powierzył rządy w Alzacji i Lotaryngii dwóm gauleiterom. Robert Wagner, gauleiter Baden, miał rządzić Alzacją. Josef Bürckel, gauleiter powiatu Saarpfalz, dostał Lotaryngię. Stało się tak ku niezadowoleniu wielu ludzi. Głównie Francuzów, którzy uważali ten region za swój, ale także Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i samego Göringą, który obawiał się, że obaj lokalni przywódcy

partyjni dostaną zbyt dużo władzy. Jednak najgorzej przeżyli to mieszkańcy obu prowincji. Hitler powierzył Wagnerowi i Bürcklowi misję germanizacji tych terenów. Obaj gauleiterzy podeszli do niej z wielką energią i wypędzili do Francji dziesięć tysięcy Żydów. Ich napływ tak bardzo zaniepokoił rząd Vichy, że zaczęto opracowywać plan ich przemieszczenia. Rozważano nawet pomysł wysłania ich statkami do francuskich kolonii na Karaibach. Na szczęście plan ten nie został nigdy wprowadzony w życie.

Johan Droth lubi się zagłębiać w historię, gdy ma wiele spraw na głowie. W jego domu w Luksemburgu stoi biblioteka pełna książek o wielkich wojnach i bitwach. To prawdziwa rozkosz czytać o tym, co się zdarzyło i już nigdy się nie zmieni, aż po wieczne czasy. Historii nie można zmienić. Ona zawsze będzie trwać.

Właśnie wraca ze szpitala uniwersyteckiego we Freiburgu. Czekają tam na niego złe wieści. Dowiedział się o przerzutach. Rak zaatakował kręgosłup. Nie do końca zrozumiał, a może nie dosłyszał wszystkiego, o czym mówił lekarz, ale sądząc po jego zatroskanej minie, nie rokował mu zbyt długiego życia. Dopadły go sprzeczne uczucia. Czuł się rozkojarzony i stary, spokojny i dziecinnie przekorny. Nie zrobili nic, a podobno mają najlepszą opiekę lekarską w Europie. Pana stan jest dobry, powiedzieli podczas poprzedniej wizyty. Gówno prawda, pomyślał. Nagle zauważył tablicę informującą o przydrożnym parkingu. Ściszył muzykę.

— Gówno prawda — powiedział do siebie, bębniąc palcami o kierownicę. Na koszulę spadła mu jakaś kropla. Dotknął czoła,

ale było suche. Zrozumiał, że to łza, a nie pot. Poczuł rozczarowanie. — Weź się w garść, człowieku — powiedział, patrząc sobie w oczy w lusterku wstecznym. — Akurat teraz musisz się wziąć w garść.

Nie pierwszy raz mierzył się z problemem. Przez całe życie walczył z trudnościami. To właśnie walka kształtuje mężczyznę, który musi przezwyciężyć trudności i zostawić je za sobą. Z przerzutami czy bez, nadal jest mężczyzną.

Ale rak to pół biedy. Buster stracił kontrolę. A on nie był pewien, którzy z jego ludzi podzielają jego wizję przyszłości. Sam już nie wie, komu ufać. Chyba tylko Hellstenowi. A może jemu też nie? Czy ktoś może mu cokolwiek zagwarantować? Wszystko się nagle wali — jego zdrowie i imperium. Umrze i nic po nim nie zostanie. To, co odziedziczył po ojcu, stanie się wspomnieniem, jeszcze zanim robaki zamienią jego ciało w miążgę. Kiedy ktoś będzie pisał historię, jego życie zostanie uznane za porażkę. Musi jak najszybciej zarezerwować powrotny lot do Szwecji. Może się bowiem okazać, że jego nieobecność jest dla niego groźniejsza niż rak.

Skręcił w drogę numer 43 prowadzącą do Sarre-Union. Postanowił zrobić sobie przerwę i zaczerpnąć świeżego powietrza. Tuż za długim zakrętem skręcił na parking dla ciężarówek. Trochę dalej, przy tej samej drodze, jest restauracja, w której kiedyś zatrzymał się na posiłek. Nazywa się *Windhoff Kehne*. Prosty, lecz zaskakująco przyjemny lokal. Ale on nie jest głodny. Potrzebuje tylko świeżego powietrza. Zaparkował, wyłączył silnik i przez chwilę siedział nieruchomo. Myślał o asfalcie i o tym, czy utrzyma się na nim na swoich słabych

nogach.

Wysiadł z wozu i oparł się o drzwi. Zamknął oczy i nabrał świeżego powietrza. Oddychał regularnie. Szum samochodów mieszał się z dźwiękami przyrody, wiatru i ptaków. Nie było ich widać, ale dobrze je słyszał. Obszedł samochód raz i drugi. Całe szczęście, że jeszcze słyszysz, pomyślał z uśmiechem. Na szczytach drzew siedziały niemieckie ptaki. Nie zna się na ptakach, nie wie, jak długo żyją. Przypomniał mu się Malaparte, którego książkę czytał poprzedniego dnia. W oryginale. Malaparte też pisał o ptakach: że tak beztrosko śpiewają i nie boją się śmierci na ziemi. Ich przodkowie — jeśli można powiedzieć tak o ptakach — siedzieli na tych samych konarach i gałęziach, słyszeli salwy armatnie i serie z karabinów maszynowych, ale nie bali się ani Hitlera, ani SS, ani gauleitera Wagnera.

Przeszedł na drugi koniec parkingu, gdzie zaczynał się las. Trochę dalej rozciągał się skrawek brunatnego pola. Przyroda to przyroda, życie to życie, pomyślał. Zatrzymał się na skraju parkingu, stanął plecami do samochodu i obserwował płaski krajobraz. Może przejeżdżał wtedy na koniu Juliusz Cezar, a ptaki należały do jego imperium? Dwa dni przed jego śmiercią do kurii w Pompejach wleciał król ptaków z gałązką laurową w dziobie, ale zadziobało go stado ścigających go ptaków. Droth popatrzył na kilka ptaków, które o coś walczyły. To wróżba, pomyślał. Ale lepiej w takie wróżby nie wierzyć.

Wrócił do samochodu i stanął przy bagażniku. Kątem oka zauważył wóz, który przejechał przez parking i po chwili zaparkował dwadzieścia metrów dalej. Pewnie ktoś też musi

wyprostować nogi, pomyślał. Otworzył drzwi i postanowił zdjąć płaszcz i położyć go na tylnym siedzeniu. Kiedy zamykał drzwi, zauważył, że kierowca tamtego samochodu idzie w jego stronę. Może chce go zapytać o drogę? Nie ma sprawy, udzieli mu wyjaśnień, ale przez opuszczoną szybę. Jest już starym człowiekiem i nikt się nie obrazi, jeśli odpowie, siedząc. Usadowił się za kierownicą, a nieznajomy mężczyzna stanął przy jego samochodzie. Droth uniósł wzrok i tuż przed oczami ujrzał lufę karabinu. Wstrzymał oddech, czekając na strzał, który wyśle go na śmierć wcześniej, niż się spodziewał. Spoglądał w wylot lufy, która coraz bardziej zbliżała się do jego twarzy. W głowie miał mętlik. To napad, pomyślał. Policzył szybko w myślach i uznał, że kwota, którą ma w samochodzie, powinna zadowolić każdego rabusia. Jego rozważania przerwał głos nieznajomego.

— Nie chcę popełnić błędu, więc najpierw spytam: to ty jesteś Johan Droth?

Droth uniósł wzrok i spojrzał mu prosto w oczy. Jedno oko było trochę przymknięte, jak gdyby nieznajomy brał go na muszkę. Całkiem niepotrzebnie, bo lufę karabinu trzymał nie dalej niż pięć centymetrów od jego twarzy.

Droth skinął na potwierdzenie głową.

— To dobrze — odparł mężczyzna i głośno się roześmiał. — Jechałem za tobą od Strasburga i gdyby się okazało, że to nie ty, straciłbym mnóstwo czasu.

— Czego pan chce? — spytał Droth. — Mam w portfelu przynajmniej dziesięć tysięcy franków. Mogę je panu dać.

Mężczyzna pochylił się nagle tak gwałtownie, że lufą uderzył Drotha w przednie zęby. Ten poczuł w ustach smak krwi.

— Jeśli ci się wydaje, że jechałem za tobą, żeby cię okraść, to jesteś głupszy, niż myślałem.

— O czym pan mówi? — spytał Droth. Czuł, jak ogarnia go coraz większa panika.

— Nie jestem tu po to, żeby cię okraść — powiedział z uśmiechem mężczyzna. — Jestem tu, żeby cię zabić. Normalnie nie robię już takich rzeczy. Ale ta sprawa jest zbyt ważna, żeby ktoś inny miał się nią zajmować. Zaryzykuję i sam cię zabiję. Domyślasz się dlaczego?

Droth pokręcił ostrożnie głową.

— Mój brat nie żyje, i to z twojej winy — wyjaśnił nieznajomy.

— Ja go nie zabiłem. Rozmawia pan z niewłaściwą osobą.

— Nie powiedziałem, że go zabiłeś. Powiedziałem tylko, że zginął z twojej winy — wyjaśnił mężczyzna, pochylając się jeszcze bardziej w stronę swojej ofiary. — Kazałeś dwóm idiotom zająć się pewną dziennikarką. Jeden z tych dupków zabił mi brata. Ty żyjesz, więc musisz za to zapłacić, bo chcę, żeby ktoś odpokutował. Rozumiesz?

— Rozmawia pan z niewłaściwą osobą — powtórzył Droth. — Proszę wymienić dowolną kwotę, a ja ją zapłacę.

— Ja już mam twoje pieniądze.

Droth otworzył szeroko oczy i spojrzał na mężczyznę bezmyślnym wzrokiem.

— Robiłem interesy z twoim dziedzicem, pożyczył mi dwadzieścia milionów. To twoje pieniądze. Nie wiem, czy mu je zwrócę.

Buster, pomyślał Droth i spuścił głowę.

— Pewnie o tym nie wiedziałeś, ale to bez znaczenia —

powiedział mężczyzna i znowu uderzył Drotha lufą karabinu w zęby.

Droth poczuł, jak smak lufy miesza się ze smakiem krwi.

— Policja będzie cię ścigać — powiedział w końcu.

— Czy ja wyglądam na zamartwionego? — spytał mężczyzna, unosząc broń.

— Rozmawiasz z niewłaściwą osobą — powtórzył po raz ostatni Droth.

2

— Co za czasy! — powiedział kasjer Lennart. — Człowiek nie może się nawet zatrzymać na siku, żeby go ktoś nie zamordował.

Spojrzał przy tym na Hulta, który zastygł ze wzrokiem wbitym w stojak z gazetami.

— Całe szczęście, że mieszkamy w naszym małym Sörmlandzie. Nie mam racji? — kontynuował Lennart. — Człowiek wyjeżdża ze Szwecji, żeby zwiedzić świat, i wraca w trumnie.

Hult nie odpowiedział, więc Lennart zajął się następnym klientem.

Hult po raz ostatni w tym tygodniu zjawił się w wiejskim sklepiku. Dotknął palcami pierwszej strony gazety, jakby chciał sprawdzić, czy to, o czym napisano, jest prawdą. Nagłówek w wieczornej gazecie brzmiał następująco:

FINANSISTA JOHAN DROTH ZAMORDOWANY
PODCZAS NAPADU RABUNKOWEGO WE FRANCJI

W drugiej gazecie treść brzmiała podobnie, ale autor nie wymienił nazwiska ofiary. Hult zdjął ze stojaka gazetę i dokładnie ją przejrzał, strona po stronie. Usiadł na jednym z dwóch krzeseł przy małym stoliku, gdzie Lennart od wczesnego

ranka podawał kawę. Artykuł opowiadał o tym, jak Johana Drotha znaleziono na leśnym parkingu we Francji, w okolicach Sarre-Union. Prawdopodobnie wracał do swojej posiadłości w Luksemburgu. Odkrycia dokonał dwa dni temu kierowca ciężarówki. Policja miała kłopot z ustaleniem tożsamości ofiary, bo nie znaleziono przy niej żadnych dokumentów. Uznano więc, że zostały skradzione. Policja w Alzacji skontaktowała się z firmą, w której ofiara wynajęła samochód, i dopiero tam ustalono, że został on wynajęty na nazwisko Johan Droth. Po rozmowie z rodziną policja potwierdziła, że ofiarą jest Johan Droth. Policja francuska podejrzewa, że doszło do napadu rabunkowego, podczas którego sytuacja wymknęła się sprawcy spod kontroli. Zastrzelił swoją ofiarę z karabinu. Przypominało to egzekucję. Na razie policja nikogo nie podejrzewa.

Hult poczuł łzę na policzku. Kiedy spłynęła mu na wargę, zawstydził się. Otarł ją szybko i pokiwał głową. Zginął człowiek i nie ma z czego się cieszyć, ale nic nie mógł na to poradzić. Czuł radość. Domyślił się, że ktoś wymierzył Drothowi sprawiedliwość. Nie wiedział kto, ale wiedział wystarczająco dużo, żeby nazwać to aktem sprawiedliwości.

Szybko zapłacił i wyszedł na dwór. Oprócz gazety niczego w sklepie nie kupił. Stał na parkingu i przyglądał się przejeżdżającym samochodom. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Od tamtych wydarzeń minęło trzydzieści lat. Dopiero teraz sprawę Karin Åkesson można uznać za zakończoną.

Co pozostało

1

Winda w hotelu Beograd InterContinental zjeżdżała na parter. Vitomir Jozak miał na sobie ciemny garnitur. Przejrzał się w lusterku i zapalił papierosa. Znowu jest w domu.

Po pogrzebie Ranka został w Belgradzie. Matka bardzo płakała, siostra zresztą też. Zarzucały mu, że to przez niego Ranko nie żyje i że jako starszy brat doprowadził młodszego do zguby. W milczeniu przyjął ich słowa. Jego starzy przyjaciele stali z zaciśniętymi zębami. Niektórym z nich było to obojętne i przyszli tylko po to, żeby okazać mu szacunek. Ranko i tak nie żyje.

Tamten facet na parkingu we Francji błagał o życie. Tacy jak on zawsze błagają o życie. Nawet wtedy, gdy są tak ciężko ranni, że już nigdy nie mogliby żyć normalnie. Ale i tak chcą żyć. Kiedy go zastrzelił, zabrał mu portfel, zegarek i sygnet i włożył je do worka razem z rozebrany na części karabinem. W drodze do Strasburga worek wrzucił do rzeki i pojechał na lotnisko, skąd z fałszywym paszportem odleciał do Belgradu.

Przed wyjściem z windy zgasił papierosa w popielniczce.

Po chwili znalazł się w lobby. Przybył o umówionej godzinie.

Teraz stoi przed nim mężczyzna, który ma mnóstwo pieniędzy, władzę, sławę i amerykański samochód. Bożko. Wyciągnął do niego ręce na powitanie. Błyszcząca podłoga i jasne lampy sufitowe sprawiły, że Bożko przypominał gwiazdę filmową. Jego złoty zegarek rozświetlał połowę lobby. Zjawił się w towarzystwie swoich goryli. Cały światek w Belgradzie czeka na coś w napięciu. Może na pierwszy strzał? On, Jozak, przyszedł bez obstawy.

Dla siebie zamówił piwo, Bożko poprosił o sok. Nie przyszli tu na długie rozmowy. Spotkanie potrwa krótko, ale to im wystarczy. Bożko już wie, o co chodzi, a on sam myślał o tej sprawie setki razy. Bożko czekał, aż Jozak przystąpi do rzeczy.

— Szwecja jest warta wysiłku — zakończył Jozak, gdy już przedstawił Bożkowi wszystkie argumenty i gdy obaj opróżnili swoje szklanki. — Razem może nam się udać.

— Ja muszę tu zostać — odparł Bożko. — Szykuje się wojna.

— Wiem. — Jozak skinął głową. — Ale ja sam się wszystkim zajmę. Dotarłem do człowieka, który może nam pomóc zbudować fundament. To adwokat. Załatwiłem też sfinansowanie całej operacji. Ale musimy zrobić to razem. Co dwie głowy, to nie jedna. Zarobimy ogromne pieniądze.

Bożko przez chwilę mierzył go wzrokiem. Spojrzał na goryla. Potem wyduł wargi i skinął głową, jakby odpowiadał na pytanie kelnerki, czy życzy sobie więcej soku.

— Zgoda — powiedział i ruszył nieznacznie lewym ramieniem.

Jozak uśmiechnął się, skinął głową i podał Bożkowi rękę nad stołem. Pożegnali się i wstali. Jozak spojrzał mu w oczy

i powiedział:

— Obiecuję ci, że będziemy potężniejsi niż McDonald's.

2

Dyrektorzy zebrali się zgodnie ze zwyczajem. Portret Johana Drotha juniora wisiał obok portretu jego ojca w pokoju Gustawa Adolfa. Złote ramy obu obrazów miały tę samą wielkość, co świadczyło o tym, jak ważny dla rodziny był Johan junior. Jego spojrzenie było tak surowe, że poprzedniego wieczoru, kiedy Buster wszedł do pokoju i spoglądał na obraz pod różnym kątem, odnosił wrażenie, że ojciec śledzi go wzrokiem. Dyrektorzy jednogłośnie zatwierdzili kandydaturę Bustera na szefa koncernu. Wiedzieli, że i tak nim zostanie. Było to nieuniknione, ponieważ to on odziedziczył wszystko po ojcu, a poza tym dysponował akcjami typu A, które dawały mu mocną pozycję wśród akcjonariuszy. Wszyscy uznali więc, że najrozsądniej będzie zagłosować na niego, jakby naprawdę tego chcieli.

Zwłoki Johana Drotha skremowano. Postanowiono, że urna z prochami zostanie ustawiona w pokoju, w którym mieszkał przez całe życie. Obok niej stanie lampka, która będzie się świecić przez cały czas.

Buster wygłosił krótkie przemówienie. Oznajmił w nim, że z pokorą przejmuje ster i zamierza wprowadzić rodzinę w nową epokę.

— Wiem, czego chciał mój ojciec, podobnie jak wiem, czego chciał mój dziadek, założyciel tej firmy. Moją ambicją jest urzeczywistnienie ich marzeń. Zamierzam wkroczyć w nowe czasy. Wypijmy za to, co było, i za to, co przyniesie nam przyszłość.

Mężczyźni wznieśli kieliszki. W ich oczach malowały się ulga, strach, pogarda i pewność siebie. Od tej pory ich nowym szefem jest Buster. Będą dla niego pracować, jakby nic się nie stało.

• • •

Wieczorem, kiedy wszyscy już wyszli, Buster został w pokoju, żeby zastanowić się nad obecną sytuacją. Orha i Theorin zabrali do grobu tajemnicę zabitych kobiet i całą posiadaną wiedzę. Nie musi się już obawiać ich ewentualnych zeznań. Tak samo z Johanem, którego prochy teraz leżały w urnie. Wyzwał na pojedynek własnego syna i przegrał. Przegrała też jego nieślubna córka. Ale to nie kompleks Edypa kazał mu posłać ojca i siostrę na śmierć. Uczynił to z praktycznych względów i z miłości do życia, które tak bardzo kocha. Chce żyć dalej, cieszyć się nim jeszcze bardziej niż przedtem i nie pozwoli, żeby ktokolwiek stanął mu na drodze. Po jego trupie. Teraz jest już bezpieczny. Może robić, co tylko chce. I robi.

3

Munkenberg leżał na łóżku i gapił się w sufit. Nie ma jeszcze dziesiątej, a on już próbuje zasnąć. Rozmawiali o nim. Pokleпали go po plecach. Wróżyli mu karierę. Dali do zrozumienia, że nie powinien zadawać zbędnych pytań. Powinien pogodzić się z tym, że czasem musi być tak, jak jest. Przypomnieli mu, że czeka go wspaniała przyszłość. Pytali, czy umie grać w zespole. Potwierdził. Teraz robi mu się niedobrze na widok własnego odbicia w lustrze.

4

Za każdym razem, gdy Annie zasypia, doświadcza tego samego uczucia: słyszy dźwięk otwieranych drzwi. Stożek

światła zatrzymuje się na jej nagiej skórze i sprawia, że gdy zamyka oczy, jej rzęsy błyszczą na czerwono, bo nie może zasłonić oczu rękami. Światło wdziera się do jej głowy, a gdy znika, pojawia się strach. Oddech w ciemnościach, gdy znowu poruszają się drzwi. Czasem wydobywa się z jednych, czasem z dwojga ust. Zwierzęta, które polują parami i krążą wokół zdobyczy, szukając najlepszej okazji do ataku. Zagrażają jej głosy dobiegające z tyłu albo z góry, tłumione wewnątrz kapturów, które zasłaniają twarze. Adrenalina i chęć zerwania więzów, które trzymały ją przy podłodze i wrzynały się w nadgarstki podczas walki. Świadomość, że ktoś się czai w ciemnościach, chociaż nie wiadomo, co zamierza zrobić, gdy ona straci przytomność. Co się okaże, gdy ją odzyska? Obudziła się z głośnym krzykiem. Za każdym razem, gdy Max kładzie dłoń na jej rozpalonym od gorączki czole, marzy, aby nie okazał się nocnym upiorem, którego setki razy widziała w tym pokoju. Nawet kiedy naprawdę to był Max, zdawało jej się, że ma halucynacje. Za każdym razem powtarzała to samo słowo: uciekać.

Całymi dniami targają nią skrajne uczucia. Czasem chce zapomnieć, innym razem wraca pamięcią do tamtych przeżyć. Potrafi zapomnieć na chwilę, na przykład kiedy idą do kawiarni na kawę. Trwa to zazwyczaj do momentu, gdy materiał spodni otrze bliznę po cesarskim cięciu na brzuchu. Wtedy od razu sobie przypomina, co ją tak stale gnębi. Jakby ta blizna została niedbale zaszyta i teraz istniała obawa, że się rozpruje i wszystko, co Annie usiłuje ukryć w głębi, wyjdzie na wierzch. Jakby śmierć się w nią wtarła, wciskając się w każdy zakamarek

jej ciała, aby pozostawić w nim swój stęchły zapach. Czasem odnosiła wrażenie, że śmierć wcisnęła się do jej wnętrza i na stałe przylgnęła do dziecka. Jeszcze zanim przyszło na świat, ten świat przyszedł do niego.

Przez wiele wieczorów spacerowała samotnie po dzielnicy, w której tymczasowo mieszkali. Stale się zastanawiała, jak mogła się porwać na coś, o czym nie miała najmniejszego pojęcia. Obraz prawdy, którą chciała ujawnić, był naiwny. Tamtego dnia w Bibliotece Królewskiej nagle sobie uświadomiła, że trafiła na ślad czegoś zupełnie innego. Czegoś strasznego, co dotyczyło jej życia. Czegoś, co chciała trzymać jak najdalej od siebie i od swojej rodziny, co być może tkwiło w niej samej i dawało o sobie znać przy każdym uderzeniu serca. A może wiedziała o tym przez cały czas? Niewykluczone, że chęć wymierzenia sprawiedliwości za śmierć zamordowanych kobiet nie była niczym innym jak tylko próbą zadośćuczynienia matce przez córkę. Wyobrażała sobie, że los chciał ją zetknąć z jej własnym ojcem, ale nie mogli się spotkać w żadnych innych okolicznościach niż te, w których do spotkania w końcu doszło. Przemoc i śmierć. Ścigała człowieka bez twarzy, który ucieleśniał przemoc kryjącą się w cieniach, aż w końcu odnalazła własnego ojca. Jej modlitwy o odwet zostały wysłuchane. Nie wiedziała, kto to sprawił, ale to już nieważne. Oko za oko, ząb za ząb — w jej przypadku niczego to nie zmienia. Przez chwilę jej się wydawało, że to już koniec, że sprawiedliwość, o którą walczyła, stała się udziałem jej i matki po fakcie. Jednak coraz częściej brało w niej górę wrażenie, że odrąbała głowę hydry tylko po to, aby przyglądać się, jak potworowi odrastają kolejne dwie głowy i jak znika, aby

w ukryciu lizać rany.

Pieniądze, które dostali od Patrika, to cały ich majątek. Nie chcieli brać od niego więcej i oboje byli co do tego zgodni. Kiedy Max zadzwonił do Jozaka z parkingu koło Ängelholmu, ten poprosił Annie, aby potwierdziła wersję zdarzeń, którą przedstawił mu Buster. Annie słuchała jego słów, Max stał obok niej. Kilka razy powiedziała do słuchawki „tak”, a potem powtórzyła rozmowę Maxowi. Wszystko, czego Jozak dowiedział się od Bustera o jego ojcu, było prawdą. Jozak spytał Maxa, czy jeszcze czegoś potrzebują, na przykład pieniędzy, które był im winien Droth.

— Dostanę to, co mi się należy — powiedział Jozak. — Mam dwadzieścia milionów, których nigdy ode mnie nie odzyskają. Mogę wam trochę dać. Nie jestem Świętym Mikołajem, ale pieniądze pomogą wam znaleźć schronienie, a skorzystają z tego wszyscy.

— Nie chcemy tych pieniędzy — odparł Max. — Jest na nich krew. Ale znamy kogoś, komu mogą się przydać — dodał, spoglądając na Annie.

• • •

Max wrzucił trzy widokówki i kopertę do żółtej skrzynki pocztowej wiszącej przed pensjonatem. Kupili je w sklepie z wyrobami tytoniowymi przy rue Racine. Wszystkie trzy przedstawiały Paryż nocą. Nad rozświetloną wieżą Eiffla widniał poskręcany napis: *Paris la nuit!* Pierwsza widokówka była zaadresowana na przedmieście Sztokholmu, drugą wysłali do Belgradu. Max nauczył się obu adresów na pamięć. Odbiorca był ten sam: Vitomir Jozak. Trzecią widokówkę zaadresował do

Patrika, a kopertę do swojej matki. Było w niej niepodpisane zdjęcie jej wnuczka zrobione w automacie na boulevard Montparnasse. Oprócz dziecka na zdjęciu — mimo panującego chłodu — widać było dwa nagie ramiona obejmujące chłopca. Tylko ona będzie wiedzieć, do kogo należą. Były to ich ostatnie pozdrowienia z Paryża. Wkrótce potem wsiedli do taksówki i pojechali na Gare de Lyon, skąd odjechali pociągiem do Cannes. Postanowili pojechać na południe, bo tam jest słońce. Podobno w tym roku wiosna przyjdzie wcześniej.

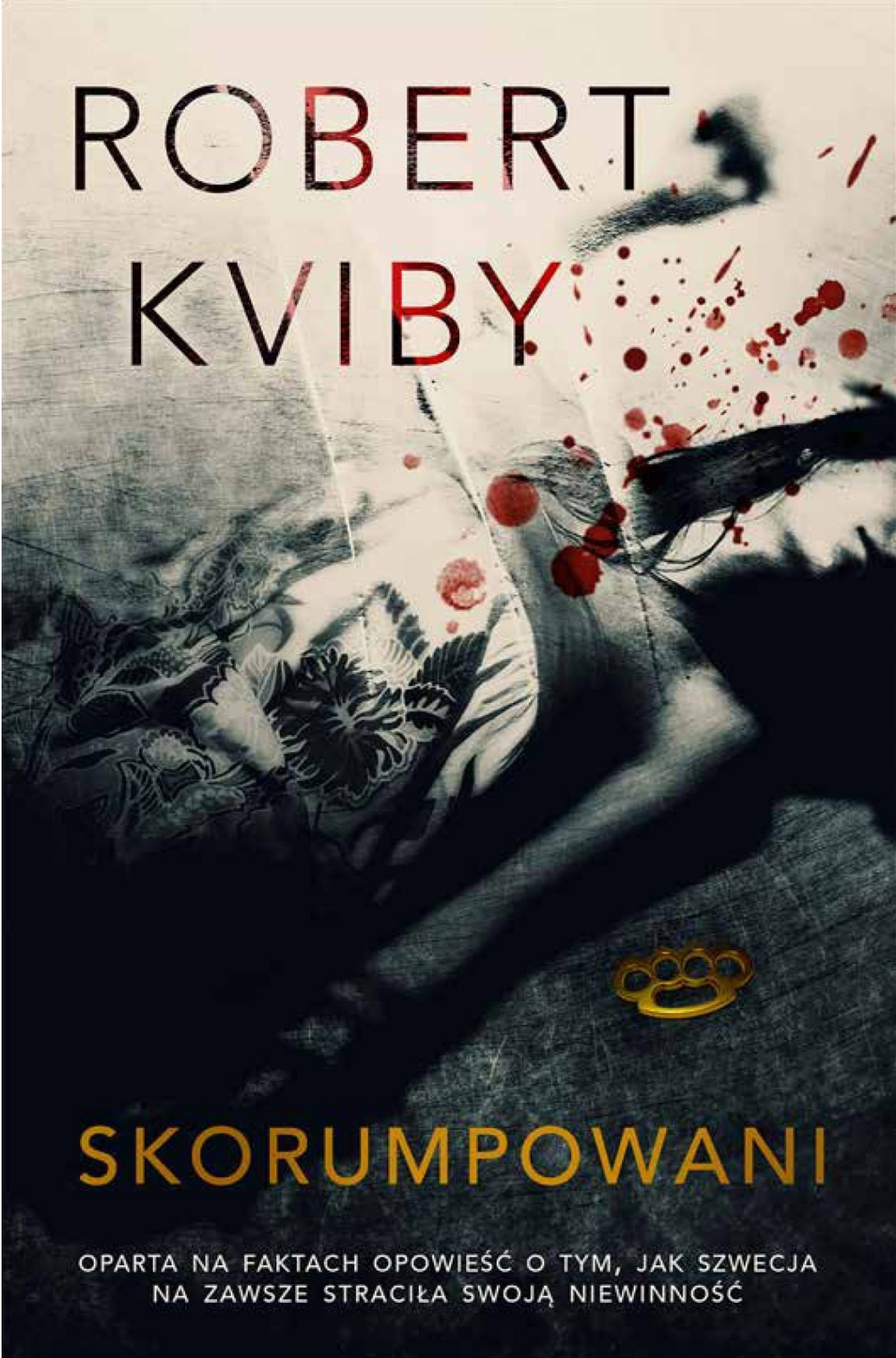
Epilog

Jedna z ubranych w czerwone mundury stewardes poinformowała pasażerów przez mikrofon, że już za chwilę samolot rozpocznie lądowanie na lotnisku Madryt-Barajas. Niebo było czyste, temperatura około dwunastu stopni. Stewardesa skierowała się na tył samolotu. Po drodze położyła dyskretnie dłoń na ramieniu młodej kobiety, która leciała samolotem pierwszy raz w życiu. Wyglądała na równie zdenerwowaną i zaniepokojoną, jak podczas startu. Przez cały czas patrzyła w okno, aż w końcu zobaczyła ziemię, co najwidoczniej bardzo ją uspokoiło. Sofia Kärnström popatrzyła na stewardesę i wreszcie odetchnęła z ulgą.

Już wkrótce rozpocznie nowe życie. Wzięła leżący na kolanach paszport, popatrzyła na zdjęcie i przesunęła palcem po rubryce z imieniem i nazwiskiem. W tym nowym życiu będzie się nazywać Sofia Kärnström. I już nigdy więcej nie przybierze pseudonimu.

Zanim opuściła mieszkanie w Kärrtorp, zostawiła na stole trochę pieniędzy i list do Tomasa. Kiedy przyszedł Jugol i dał jej gotówkę, ani przez chwilę się nie wahała. Najpierw pomyślała, że ją pobije za tę jej gadaninę. Tymczasem dostała od niego pieniądze. I to bardzo dużo. Ma je teraz w torbie pod fotelem

i nawet gdy szła do toalety, zabrała ją ze sobą. Wystarczy jej na dłużej, niż mogłaby planować. Jugol nie chciał powiedzieć, od kogo są te pieniądze, ale ona i tak się domyśliła.



ROBERT KVIBY

SKORUMPOWANI

OPARTA NA FAKTACH OPowieść o tym, jak Szwecja
na zawsze straciła swoją niewinność